REPORTAŻ

Wade Davis

WĄŻ I TĘCZA

Voodoo, zombie i tajne stowarzyszenia na Haiti

Wąż i tęcza. Voodoo, zombie i tajne stowarzyszenia na Haiti

Numer CCXXXVI z *Reportaż*

Wade Davis

Czarne (lip 2022)

Ocena:★★★★☆

Etykiety:Reportaż, Voodoo, zombie i tajne stowarzyszenia na Haiti

W kwietniu 1982 roku Wade Davis, antropolog z Harvardu, wsiada do nocnego pociągu do Bostonu i otwiera kopertę. Wyciąga z niej plik pieniędzy, bilet lotniczy na Haiti i wyblakłą fotografię przedstawiającą ubogiego rolnika. To Clairvius Narcisse, człowiek-zombie, uznany za zmarłego i pogrzebany w latach sześćdziesiątych, lecz na powrót żyjący w haitańskiej społeczności.

Davis wyrusza na Haiti, by rozpocząć naukowe śledztwo, którego celem jest odkrycie toksyny zmieniającej człowieka w zombie. Po zagłębieniu się w kulturę vodoun i doświadczeniu mistycznych obrzędów wpada na trop dwóch trucizn pozyskiwanych z ryb i płazów. Pierwsza wywołuje stan zbliżony do śmierci klinicznej, druga odwraca ten proces, jednak trwale uszkadza mózg, pozbawiając daną osobę własnej woli i indywidualnej tożsamości. Co jednak najbardziej fascynujące – z obu chętnie korzystają władze wioski.

Wąż i tęcza to nie tylko zdumiewająca historia o procesie zombifikacji, ale przede wszystkim o podróży w najbardziej pierwotne zakątki ludzkiej duchowości. Autor doskonale kreśli fenomen krwawych rytuałów vodoun, które stają się punktem wyjścia do zrozumienia doświadczonej brutalnym kolonializmem historii Haiti.

Tytuł oryginału: *The Serpent and the Rainbow*

Tłumaczenie: Jan Dzierzgowski

Kategoria: Reportaż

Ocena w LC: 7.07

Data pierwszego wydania: 01.01.1997

Data pierwszego wydania w Polsce: 06.07.2022

W serii ukazały się:

Jenny Nordberg *Chłopczyce z Kabulu. Za kulisami buntu obyczajowego w Afganistanie* (wyd. 3)

Paweł Smoleński *Wnuki Jozuego* (wyd. 2)

Barbara Demick *Zjadanie Buddy. Życie tybetańskiego miasteczka w cieniu Chin*

Maciej Wasielewski, Marcin Michalski *81 : 1. Opowieści z Wysp Owczych* (wyd. 3)

Andrzej Brzeziecki, Małgorzata Nocuń *Armenia. Karawany śmierci* (wyd. 2 zmienione)

Barbara Demick *W oblężeniu. Życie pod ostrzałem na sarajewskiej ulicy* (wyd. 3)

Wojciech Górecki *Planeta Kaukaz* (wyd. 4)

Szymon Drobniak *Czarne lato. Australia płonie*

Paweł Smoleński *Oczy zasypane piaskiem* (wyd. 2)

Ewa Winnicka *Angole* (wyd. 3)

Remigiusz Ryziński *Hiacynt. PRL wobec homoseksualistów*

Maja Hawranek, Szymon Opryszek *Wyhoduj sobie wolność. Reportaże z Urugwaju* (wyd. 2)

Marcin Kącki *Maestro. Historia milczenia* (wyd. 2)

Jacek Hołub *Niegrzeczne. Historie dzieci z ADHD, autyzmem i zespołem Aspergera* (wyd. 2 poprawione)

Linda Polman *Karawana kryzysu. Za kulisami przemysłu pomocy humanitarnej* (wyd. 3)

Aneta Pawłowska-Krać *Głośnik w głowie. O leczeniu psychiatrycznym w Polsce*

Paweł Smoleński *Syrop z piołunu. Wygnani w akcji „Wisła”* (wyd. 2)

Bartek Sabela *Wszystkie ziarna piasku* (wyd. 2 zmienione)

Anna Bikont *Cena. W poszukiwaniu żydowskich dzieci po wojnie*

Magdalena Kicińska *Pani Stefa* (wyd. 2)

Anna Sawińska *Przesłonięty uśmiech. O kobietach w Korei Południowej*

Mariusz Surosz *Ach, te Czeszki!* (wyd. 2)

Tomáš Forró *Apartament w hotelu Wojna. Reportaż z Donbasu* (wyd. 2)

Sonia Faleiro *Porządne dziewczyny. Zbrodnia i hańba w Indiach*

Swietłana Aleksijewicz *Wojna nie ma w sobie nic z kobiety* (wyd. 5)

Ilona Wiśniewska *Białe. Zimna wyspa Spitsbergen* (wyd. 4)
Adam Robiński *Pałace na wodzie. Tropem polskich bobrów*
Marek Szymaniak *Urobieni. Reportaże o pracy* (wyd. 2)
Ilona Wiśniewska *Migot. Z krańca Grenlandii*
Ed Vulliamy *Wojna umarła, niech żyje wojna. Bośniackie rozrachunki* (wyd. 3)
Wojciech Górecki *Abchazja* (wyd. 3)
Katarzyna Surmiak-Domańska *Mokradełko* (wyd. 2)
Piotr Bernardyn *Hongkong. Powiedz, że kochasz Chiny*
Tomasz Grzywaczewski *Granice marzeń. O państwach nieuznawanych* (wyd. 2)
Aneta Prymaka-Oniszk *Bieżeństwo 1915. Zapomniani uchodźcy* (wyd. 3)

W serii ukażą się m.in.:
Igor T. Miecik *14:57 do Czyty. Reportaże z Rosji* (wyd. 2)
Jacek Hugo-Bader *W rajskiej dolinie wśród zielska* (wyd. 4)

Wade Davis

Wąż i tęcza

Voodoo, zombie i tajne stowarzyszenia na Haiti

Przełożył Jan Dzierzgowski

wydawnictwo zarne

Wołowiec 2022

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

prawolubni

Tytuł oryginału angielskiego *The Serpent and the Rainbow. A Harvard Scientist Uncovers the Startling Truth about the Secret World of Haitian Voodoo and Zombies*

Projekt okładki Ola Szpocińska na podstawie projektu serii Agnieszki Pasierskiej

Projekt typograficzny i redakcja techniczna Robert Oleś

Fotografia na okładce © by Marc French / Panos / Forum

Copyright © 1985 by Wade Davis

This edition is published by arrangement with Sterling Lord Literistic, USA and Book/lab Literary Agency, Poland

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2022

Copyright © for the Polish translation by Jan Dzierzgowski, 2022

Opieka redakcyjna Przemysław Pełka

Redakcja Krystyna Podhajska

Korekta Sabina Szczerbuk / d2d.pl, Małgorzata Tabaszewska / d2d.pl

Skład Robert Oleś

Konwersja i produkcja e-booka: d2d.pl

ISBN 978-83-8191-537-3

Spis treści

Seria
Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Dedykacja
Motto

Uwagi na temat ortografii

CZĘŚĆ I TRUCIZNA
1. Jaguar
2. „Pogranicze śmierci”
3. Hipoteza kalabarska
4. Biała ciemność i żywe trupy
5. Lekcja historii
6. Wszystko jest trucizną, nic nie jest trucizną

CZĘŚĆ II HARVARDZKIE INTERLUDIUM
7. Dwie kolumny notatek na tablicy
8. Śmierć voodoo

CZĘŚĆ III TAJNE STOWARZYSZENIA
9. Każdego lata wędrują pielgrzymi
10. Wąż i tęcza
11. Powiedz mojemu wierzchowcowi
12. Taniec w paszczy lwa
13. Słodkie jak miód, gorzkie niczym żółć

Epilog
Słowniczek
Literatura
Podziękowania

Przypisy
Kolofon

Moim rodzicom, profesorowi Richardowi Evansowi Schultesowi,
dzięki któremu wszystko to było możliwe, oraz Johnowi Lennonowi

Znał historię Adonhuesa, króla Angoli, króla Da, wcielonego w Węża, który jest wiecznym początkiem i nigdy się nie kończy, i którego łączyły mistyczne stosunki cielesne z królową, wcieleniem tęczy, panią wody i porodów.

Alejo Carpentier, *Królestwo z tego świata*[1]

Wszystko jest trucizną, nic nie jest trucizną.

Paracelsus

Uwagi na temat ortografii

Sposób zapisywania nazwy tradycyjnej haitańskiej religii od pewnego czasu jest tematem debat akademickich. Słowo „voodoo” wywodzi się z języka fon w Dahomeju (obecnie Benin). Tłumaczy się je jako „bóg” lub „duch”. Niestety, wskutek przesadnie sensacyjnych i wypaczonych przedstawień w kulturze masowej, zwłaszcza w hollywoodzkich filmach, kojarzy się ono głównie z czarną magią. Antropolodzy starali się obnażyć ten stereotyp i go unikać, dlatego posługiwali się wieloma innymi słowami, na przykład „wudu”, „voudoun” lub „vodoun”. Poszedłem ich śladem, gdyż – jak próbowałem pokazać w swojej książce – bogata haitańska tradycja zasługuje na szacunek i w ogóle nie ma nic wspólnego z „voodoo” z naszej wyobraźni. Wybrałem termin „vodoun”, bo wydaje mi się najdokładniejszy fonetycznie. Chcę jednak zastrzec, że mieszkańcy haitańskiej prowincji nie używają słowa „vodoun” na określenie swojej religii. W ich świecie człowiek albo „służy *loa*” – czyli duchom – albo nie. „Vodoun” to specyficzne wydarzenie, rytuał tańca, podczas którego duchy przybywają, by dosiąść i opętać wiernych.

W całej książce będę też posługiwał się określeniem „społeczeństwo vodoun”. Zdecydowałem się na to w imię wygody; pragnąłem także podkreślić w ten sposób swoją perspektywę – człowieka z zewnątrz – odmienną od perspektywy wyznawcy otoczonego przez duchy.

Istnieją również różne warianty pisowni słowa „zombie”. Słownik *Webster's* woli „zombie”. Mój oksfordzki słownik języka angielskiego w ogóle nie zawiera takiego hasła – Haiti fascynuje raczej Amerykanów niż Brytyjczyków, zwłaszcza od czasu, gdy Stany Zjednoczone prowadziły okupację tego kraju. W literaturze spotyka się różne rozwiązania. William Seabrook (1929) i Maya Deren (1953, wyd. polskie 2000) piszą „zombie”, natomiast Alfred Métraux (1972), Aldous Huxley (1966) i James Leyburn (1941) wybrali wariant „zombi”. Métraux to bodaj największy autorytet w zakresie vodoun, uważam jednak, że Deren miała bliższy, bardziej bezpośredni kontakt z wyznawcami tej religii.

Bardziej interesujące jest pochodzenie tego słowa. Prawdopodobnie jego

pierwowzorem jest kongijskie „nzambi”, które z grubsza rzecz biorąc, oznacza „ducha zmarłej osoby”. To kolejny przykład afrykańskich korzeni religii i kultury vodoun.

Część I

Trucizna

1

Jaguar

Człowieka, który wysłał mnie na poszukiwania haitańskiej trucizny zmieniającej ludzi w zombie, poznałem w mokry i ponury zimowy dzień pod koniec lutego 1974 roku. Siedzieliśmy z moim współlokatorem Davidem w kawiarni przy Harvard Square. David był chłopakiem z gór amerykańskiego Zachodu, synem ranczerów. Na Harvardzie uchodził za nieokrzesanego i niespokojnego, ale jakoś go tolerowano. Ja dorastałem na deszczowym wybrzeżu Kolumbii Brytyjskiej. Obaj przyjechaliśmy na Wschodnie Wybrzeże, żeby studiować antropologię, lecz od dwóch lat nasze studia sprowadzały się głównie do czytania tekstów na temat Indian; mieliśmy już dość, pragnęliśmy czegoś więcej.

Siedziałem przygarbiony nad kubkiem kawy i zauważyłem, że David intensywnie wpatruje się w ogromną mapę świata, która pokrywała jedną ze ścian kawiarni. Zerknął na mnie, znowu spojrzał na mapę, potem znowu na mnie, ale tym razem na twarzy miał uśmiech rozciągający się niemal od ucha do ucha. Uniósł rękę i trafił palcem w skrawek ziemi, który wchodził w Zatokę Hudsona, daleko za kołem podbiegunowym. Popatrzyłem na Davida, po czym również uniosłem rękę. Mój palec wylądował pośrodku górnej Amazonii.

Kilka dni później David opuścił Cambridge i jeszcze w tym samym miesiącu zamieszkał w osadzie Inuitów na brzegu Inletu (zatoczki wchodzącej głęboko w ląd) Rankina. Upłynęło wiele czasu, nim ponownie zobaczyłem swojego kumpla.

Ja zaś, skoro zdecydowałem się jechać do Amazonii, musiałem zacząć od wizyty u profesora Richarda Evana Schultesa. Na Harvardzie uchodził on wówczas za postać niemal mityczną. Podobnie jak wielu studentów – również tych spoza wydziału antropologii – darzyłem go szacunkiem graniczącym z czcią. Schultes był ostatnim wielkim badaczem roślin, reprezentantem starej wiktoriańskiej tradycji, bohaterem żyjącym w epoce, która bynajmniej nie sprzyjała bohaterom. Przeszedł do legendy choćby dlatego, że pewnego razu wziął urlop na cały semestr, by zbierać rośliny lecznicze w północnozachodniej Amazonii, po czym zniknął tam na całe

dwanaście lat.

Tamtego popołudnia, wkrótce po epizodzie z mapą, wślizgnąłem się do Muzeum Botanicznego Harvardu i wdrapałem się na trzecie piętro. W pierwszej chwili spartańskie wnętrze nieco mnie rozczarowało: starannie opisane gablotki z okazami zielnikowymi sprawiały wrażenie nieco nudnych, sekretarki wydały mi się odrobinę zbyt dostojne. Potem jednak odkryłem laboratorium. Pracownie biologów są przeważnie zupełnie sterylne: wszędzie tylko probówki i lampy, płyny konserwujące cuchną tak mocno, że niejeden świeży kwiat mógłby zwiędnąć od tego zapachu. Moim oczom ukazało się jednak zupełnie niezwykłe pomieszczenie. Na jednej ze ścian wisiały amazońskie maski wykorzystywane w rytuałach tanecznych, niżej mogłem podziwiać kolekcję dmuchawek i włóczni. W przeszklonych dębowych gablotkach znajdowały się elegancko wystawione najpowszechniejsze rośliny o działaniu narkotycznym pochodzące z całego świata. Drugą ścianę zakrywała tkanina z kory drzewnej. Pełno tu było również probówek z olejkami eterycznymi, dostrzegłem próbki kauczuku z kauczukowca brazylijskiego, toksyny pozyskane z ryb, pnącza zawierające substancje psychodeliczne, mahoniowe figurki, maty z włókien, sznury, a do tego dziesiątki ręcznie wykonanych szklanych słojów, w których umieszczono zapeklowane owoce z rejonu Pacyfiku wyglądające niczym gwiazdy. Potem zauważyłem fotografie. Na jednej z nich Schultes stał w rzędzie z grupą Indian. Jego pierś zdobiły misternie wykonane malunki, wąskie biodra miał przepasane spódniczką z trawy, na ramiona zarzucił pled z kory. Inne zdjęcie przedstawiało go leżącego na potężnej skale z piaskowca, przyczajonego niczym drapieżnik, i patrzącego na rozpościerające się przed nim morze drzew. Kolejna fotografia: Schultes klęczy na tle grzmiącego wodospadu odziany w koszulę i spodnie khaki, za pasem ma pistolet i uważnie studiuje rysunek naskalny. Zdjęcia te wydawały się pochodzić ze snu; zdawały się nie pasować do dostojnego uczonego, który właśnie po cichu wszedł do laboratorium i stanął naprzeciw mnie.

– Tak? – spytał z wyraźnym bostońskim akcentem.

Znalazłem się twarzą w twarz z żywą legendą i nagle zapomniałem języka w gębie. Zdenerwowany wyrzuciłem z siebie na jednym oddechu, że nazywam się Davis, pochodzę z Kolumbii Brytyjskiej, zaoszczędziłem trochę pieniędzy dzięki pracy przy wyrębie drzew i chcę pojechać do Amazonii, żeby zbierać rośliny. Niewiele wiedziałem o Amazonii, na roślinach znałem się jeszcze słabiej. Spodziewałem się, że Schultes zacznie mnie przepytywać, on jednak omiótł wzrokiem laboratorium, po dłuższej

chwili spojrzał na mnie zza szkieł swoich starych okularów i powiedział:

– A więc chce pan pojechać do Ameryki Południowej i zbierać rośliny. Kiedy zamierza pan wyruszyć?

Nasze ostatnie spotkanie przed wyjazdem odbyło się dwa tygodnie później. Przez ten czas profesor Schultes narysował mi kilka map i wytyczył trasy paru możliwych wypraw. Poza tym udzielił mi zaledwie dwóch rad: przede wszystkim, żebym nie zabierał ciężkich butów. Węży zobaczę raczej niewiele, a te, które napotkam, zazwyczaj gryzą w szyję, nie w nogi. Hełm korkowy będzie mi natomiast niezbędny. Ponadto z entuzjazmem powiedział, żebym koniecznie spróbował ayahuaski, napoju przygotowywanego z pnącza o wyjątkowo silnym działaniu halucynogennym.

Wychodząc z laboratorium Schultesa, wiedziałem, że odtąd jestem zdany głównie na siebie. Dwa tygodnie później wyjechałem do Kolumbii. Co prawda, nie wyposażyłem się w hełm korkowy, dostałem za to dwa listy polecające, które miałem przedstawić w ogrodzie botanicznym w Medellín. Pieniędzy mogło mi starczyć na rok – musiałem tylko uważać z wydatkami. Nie układałem żadnych planów ani nie zdawałem sobie sprawy, że decyzja podjęta ot tak, w kawiarni przy Harvard Square, zaważy na całym moim życiu.

*

Trzy miesiące po wyjeździe z Bostonu siedziałem w nędznej stołówce gdzieś w północnej Kolumbii w towarzystwie ekscentrycznego geografa, starego przyjaciela profesora Schultesa. Tydzień wcześniej zaproponował mi, żebym przyłączył się do niego i pewnego brytyjskiego dziennikarza. Zamierzali przejść „parę mil” po bagnach w północno-zachodniej części kraju. Dziennikarz, Sebastian Snow, był angielskim arystokratą, który dopiero co dotarł tu na piechotę z Ziemi Ognistej na krańcu Ameryki Południowej i pragnął powędrować dalej, aż na Alaskę. Okazało się, że owe „parę mil” biegnie głównie przez przesmyk Darién; cała trasa liczyła czterysta kilometrów i ciągnęła się bezdrożami przez lasy deszczowe Kolumbii i Panamy. Dwa lata wcześniej pluton armii brytyjskiej, dowodzony przez przyjaciela Sebastiana z czasów szkolnych, przemierzył przesmyk. Chociaż żołnierze mieli radio, pozwalające wezwać pomoc, i tak ponieśli po drodze straty: dwóch z nich zmarło, aczkolwiek faktu tego nie podano do wiadomości publicznej. Teraz nieustraszony dziennikarz postanowił dowieść,

że niewielka grupa podróżników, którzy nie będą musieli targać niewygodnego sprzętu wojskowego, zdoła osiągnąć to, co nie udało się przyjacielowi Snowa, i bezpiecznie przebyć całą trasę.

Było to w szczycie pory deszczowej, co oznaczało najgorsze możliwe warunki pogodowe. Miałem już wówczas pewne doświadczenie z chodzeniem po lasach wiecznie zielonych, więc gdy Snow się dowiedział, że jestem poddanym królowej brytyjskiej, uznał, iż z pewnością zechcę mu towarzyszyć. Właśnie dlatego geograf uczestniczący w wyprawie zaproponował mi funkcję przewodnika i tłumacza. Trochę mnie to zdziwiło, gdyż moja stopa nigdy wcześniej nie postała na przesmyku Darién, przyjąłem jednak ofertę. Niezbyt dużo myślałem o czekających mnie wyzwaniach aż do wieczoru poprzedzającego wymarsz, kiedy to na ulicy w ostatnim miasteczku na skraju lasu deszczowego podeszła do mnie stara kobieta i nieproszona postanowiła mnie ostrzec. „Masz jasne włosy – powiedziała – złotą skórę i oczy koloru morza". Nie zdążyłem nacieszyć się tymi komplementami, zaraz bowiem dodała, że niestety, zanim dotrę do Panamy, moja skóra zżółknie. Co gorsza, tego samego wieczoru geograf, który znał tutejsze tereny o wiele lepiej niż ja, w dziwnych okolicznościach zrezygnował z udziału w wyprawie.

Pierwsze dni były wyjątkowo okropne. Musieliśmy przemierzyć rozległe bagna na wschód od Rio Atrato, która akurat wylała, więc zdarzało się, że szliśmy kilka kilometrów zanurzeni w wodzie sięgającej nam do piersi. Gdy wreszcie pokonaliśmy rzekę, sytuacja nieco się poprawiła i bez większych trudności szliśmy od jednej wioski Indian Chocó lub Kuna do drugiej. Pozyskiwaliśmy usługi nowych miejscowych przewodników, kupowaliśmy prowiant. Prawdziwe kłopoty zaczęły się dopiero po dotarciu do miasteczka Yaviza. Ta nędzna dziura, udająca stolicę prowincji Darién, była w istocie jednym wielkim ściekiem, do którego trafiały rozmaite wyrzutki z obu sąsiadujących krajów.

W tamtych czasach panamska Guardia Civil miała oficjalny nakaz nękania cudzoziemców, my zaś byliśmy pierwszymi od dawna gringos w Yavizie. Na posterunku położonym dwa dni drogi od granicy, po jej zachodniej stronie, obłudny strażnik ukradł nasz jedyny kompas. Teraz zostaliśmy oskarżeni o szmuglowanie marihuany. Był to totalny absurd, dał jednak mundurowym pretekst do skonfiskowania całego naszego sprzętu. Sebastian zareagował dość gwałtownie i próbował udowodnić trafność zasady, w którą wierzył całym sercem, że wystarczy krzyczeć dostatecznie głośno po angielsku, a prędzej czy później „cudzoziemcy" zrozumieją, co

chce się im powiedzieć, ale funkcjonariuszom niespecjalnie się to spodobało. Sprawy przybrały jeszcze gorszy obrót, gdy sierżant dokonujący rewizji znalazł pieniądze Sebastiana. Sposób bycia komendanta natychmiast się zmienił. Z szerokim uśmiechem oznajmił, że powinniśmy udać się do miasta, tam poszukać sobie jakichś przyjemnych rozrywek i wieczorem ponownie go odwiedzić.

Mieliśmy za sobą dwa tygodnie marszu. Liczyliśmy na kilka dni odpoczynku w Yavizie, przyszło nam jednak zmienić plany za sprawą ostrzeżenia, które przekazano mi tego samego popołudnia. Kiedy tylko opuściliśmy posterunek, powiosłowałem łodzią w górę rzeki do australijskiej misji, o której wcześniej usłyszeliśmy. Miałem nadzieję pożyczyć tam kompas i może jakieś mapy, gdyż następny odcinek naszej trasy wiódł przez zupełnie niezamieszkały las. Jeden z misjonarzy przywitał mnie na przystani, jakbyśmy byli dobrymi znajomymi, po czym rzeczowo wyjaśnił, że według kilku Kunów przebywających na terenie misji ludzie komendanta zamierzają zastawić w lesie pułapkę i zabić nas dla pieniędzy. Misjonarz mieszkał w tym regionie od lat i potraktował plotkę poważnie, zalecił więc, abyśmy wyruszyli jak najszybciej. Natychmiast wróciłem do więzienia, dyskretnie odzyskałem trochę najważniejszego ekwipunku – całą resztę musiałem niestety porzucić – po czym oznajmiłem komendantowi, że spędzimy następnych kilka dni na terenie misji i gdy tylko nabierzemy sił, wyruszymy w górę rzeki.

Zamiast tego uzbrojeni w dwie strzelby pożyczone od misjonarzy i prowadzeni przez trzech przewodników z plemienia Kuna opuściliśmy Yavizę nazajutrz przed świtem.

Od razu zaczęły się problemy. Kierowaliśmy się w dół – nie w górę – rzeki, ale na wypadek, gdybyśmy byli śledzeni przez ludzi komendanta, Kunowie postanowili poprowadzić nas najpierw strumieniem płynącym po kamieniach, po wejściu do lasu zaś celowo wybrali drogę tak okrężną, jak to tylko było możliwe. Sebastian potknął się i poważnie skręcił kostkę. Pierwszej nocy przekonaliśmy się, co to znaczy spać na ziemi w lesie w szczycie pory deszczowej. Trzej Kunowie i ja leżeliśmy ściśnięci, bezskutecznie próbując się ogrzać; jeden z nas na zmianę zajmował miejsce w środku między pozostałymi. Po południu drugiego dnia nabrałem podejrzeń, że nasi przewodnicy nieźle orientują się w terenach nadrzecznych, natomiast w lesie nie radzą sobie najlepiej. Po trzech dniach moje przypuszczenia się potwierdziły: Kunowie byli kompletnie zdezorientowani.

Zmierzaliśmy do obozu dla robotników w Santa Fe, znajdującego się na

wschodniej granicy Drogi Panamerykańskiej. Marsz powinien był nam zająć góra dwa dni, zajął aż siedem.

Kiedy człowiek się gubi, liczba dni nie ma jednak znaczenia – ważniejsza jest straszliwa niepewność trawiąca go w każdej sekundzie. Dzięki strzelbom mieliśmy jedzenie, lecz nigdy go nam nie wystarczało, natomiast deszcze padające popołudniami i w nocy sprawiały, że nie mogliśmy porządnie odpocząć. Mimo to każdego dnia musieliśmy przez wiele godzin wędrować po lesie. Gdy zaś straci się cały ekwipunek zapewniający ochronę przed naturą, las deszczowy staje się doprawdy straszliwym miejscem. Kontuzja Sebastiana nadal była dość bolesna i choć szedł dzielnie, spowalniał nasz marsz. Gorąco i nieustanna bliskość żywych stworzeń coraz bardziej nam doskwierały, niewyobrażalnie piękne istoty, które widzieliśmy dokoła, robiły się okrutnie dokuczliwe, i nawet cienie roślin przybierających niezliczone formy i kształty traktowaliśmy jako zagrożenie. Wieczorami siedziałem całe godziny, nie mogłem zasnąć, a ulewny deszcz zmieniał ziemię w błoto. Czułem się jak kryształek cukru na języku jakiegoś zwierzęcia i niecierpliwie czekałem, aż wreszcie całkiem się rozpuszczę.

Najgorsza chwila nadeszła rankiem siódmego dnia. Po godzinie drogi od miejsca, w którym spędziliśmy noc, spotkaliśmy pierwszego od wymarszu z Yavizy człowieka, samotnego i nieco szalonego drwala, który wykarczował kawałek lasu i zaczął tam uprawiać ogród. Spytaliśmy go o drogę do Santa Fe. Spojrzał na nas zaskoczony i nie mogąc powstrzymać śmiechu, wskazał ledwo widoczną ścieżkę. „W szybkim tempie – powiedział – może uda wam się tam dotrzeć za dwa tygodnie". Informacja była tak fatalna, że po prostu nie dopuściliśmy jej do świadomości. Nie mieliśmy już jedzenia, byliśmy wyczerpani psychicznie i fizycznie, amunicji niezbędnej do polowania starczyłoby nam najwyżej na dwa lub trzy dni. Musieliśmy jednak iść dalej, więc nie zamieniliśmy ze sobą ani jednego słowa i po prostu ruszyliśmy. Szedłem pierwszy, niosąc jedną ze strzelb, następnie Sebastian i wreszcie trzej Kunowie. Utrzymywaliśmy dość dobre tempo, dopóki las znów nas nie otoczył, dopóki nie zwabił nas na wąską, halucynogenną dróżkę. Przedzieraliśmy się nią kompletnie pozbawieni woli, pozbawieni pragnień. Nagle w ten otępiały trans wskoczył czarny jaguar. Przystanął niespełna dwadzieścia metrów ode mnie, po czym odwrócił się, zrobił kilka kroków w kierunku Santa Fe i niczym cień w mgnieniu oka zniknął w zaroślach. Nie widział go nikt oprócz mnie. Był dla mnie ucieleśnieniem życia i jak sądzę, dobrym omenem. Okazało się, że od Santa Fe dzieliły nas dwa dni drogi, nie dwa tygodnie. Wieczorem odnaleźliśmy ścieżkę, która poprowadziła nas ku

Drodze Panamerykańskiej. Wszystkie te długie dni wędrówki stanowiły nie lada sprawdzian naszej silnej woli i gdy wreszcie znaleźliśmy się w pełnym słońcu po tak długim czasie spędzonym w cieniu drzew, Sebastian spojrzał na mnie, położył dłonie na mojej bladej piersi i rzekł tylko, że Bóg działa w sposób niezbadany. Tamtego wieczoru rozbiliśmy obóz nad czystym strumieniem. Najpierw upiekliśmy dzikiego indyka, ustrzelonego przez jednego z Kunów, potem zasnęliśmy pod niebem pełnym gwiazd. Pierwszy raz od wymarszu z Yavizy nie padał deszcz.

Nazajutrz obudziłem się wcześnie, uznałem bowiem, że dotrę do Santa Fe jeszcze tego samego dnia. Skoro wreszcie udało mi się napełnić brzuch, brzemię niepewności zniknęło. Radowałem się swobodą, którą zapewniał marsz po otwartej drodze, czułem euforię, jakiej nigdy jeszcze nie zaznałem. Szedłem coraz szybciej i po jakimś czasie zostawiłem swoich towarzyszy w tyle. Z początku droga była zaledwie ścieżką, hipnotyzująco wijącą się po zboczu, lecz po kilku kilometrach zaczęła się pomału wznosić aż do grzbietu wzgórza. Nagle ujrzałem tereny Drogi Panamerykańskiej, wykarczowany, wyrównany korytarz szeroki na setki metrów, biegnący aż po horyzont. Niczym jeleń na skraju polany cofnąłem się odruchowo, bo przez moment ten ogrom otwartej przestrzeni wywołał u mnie zawrót głowy. Po chwili ruszyłem dalej, bardzo ostrożnie. Moje zmysły nigdy jeszcze nie były tak wyostrzone; czułem każdy swój ruch, każde uderzenie serca. Za mną nikogo, przede mną nikogo; las, który niedawno gęsto mnie otaczał, był teraz jak odległe ściany kanionu. Nigdy potem nie zaznałem podobnej wolności. Miałem dwadzieścia lat i znalazłem się w sercu wymarzonej krainy.

*

Tamtej wiosny przed wyjazdem z Bostonu na frontyspisie dziennika zanotowałem radę dla samego siebie: „Jeśli chcesz zrozumieć, musisz narazić się na trudy i samotność”. Wyglądało na to, że znalazłem się na właściwej drodze. Długo rozmyślałem o przypadkowym spotkaniu z jaguarem – potwierdziło ono, jak łaskawa bywa niekiedy natura. Po wędrówce przez przesmyk Darién zacząłem traktować zadania postawione mi przez profesora Schultesa jako koany, specyficzne, tajemnicze wyzwania, zdolne zaprowadzić mnie w krainy, których dawniej nie umiałbym sobie wyobrazić. Podejmowałem te wyzwania chętnie, niemal bez wahania, niczym roślina wchłaniająca wodę, więc z czasem pokonanie przesmyku Darién stało się po prostu jednym z wielu epizodów składających się na moją naukę rzemiosła etnobotanicznego. Zjeździłem kawał zachodniej

części Ameryki Południowej. W 1977 roku zrobiłem dyplom z antropologii, następne dwa lata spędziłem w północnej Kanadzie, z dala od tropików, po czym wróciłem na Harvard, by podjąć studia podyplomowe u profesora Schultesa.

Nie był on jednak wyłącznie inspiratorem przygód. Udzielał nam rad i wskazówek, świecił przykładem, dzięki czemu nasze wyprawy miały odpowiednią formę i treść, etnobiologia stanowiła zaś metaforę, za sprawą której prowadzone przez nas badania mogły się stać użyteczne. Schultes spędził trzynaście lat w Amazonii, ponieważ uważał, że wiedza Indian na temat roślin leczniczych przyczyni się do opracowania nowych, niezwykle cennych lekarstw dla całej ludzkości. Przed czterdziestoma pięcioma laty był jednym z nielicznych badaczy roślin, którzy zwrócili uwagę na szczególne właściwości kurary, trucizny wykorzystywanej do zatruwania strzał do łuków i dmuchawek. Kiedy małpa siedząca na wysokiej gałęzi drzewa zostaje trafiona zatrutą strzałą, natychmiast traci kontrolę nad mięśniami i osuwa się na ziemię – przyczyną śmierci często jest nie upadek, lecz toksyna. Analizy chemiczne indiańskich toksyn dały nam d-tubokurarynę, silny środek zwiotczający mięśnie. Przez pewien czas stosowano go w zasadzie przy każdej operacji razem z innymi lekami znieczulającymi. Ale opisanie kilku gatunków kulczyby, z których pozyskuje się kurarę, to zaledwie drobny ułamek osiągnięć Schultesa. W samej tylko Amazonii zidentyfikował on tysiąc osiemset roślin mających potencjał leczniczy. Wiedział, że istnieje ich o wiele więcej i że należy ich szukać również w innych częściach świata, wysyłał nas zatem na łowy. Właśnie dlatego trafiła mi się wyprawa najważniejsza w całej mojej karierze.

*

Pewnego poniedziałkowego popołudnia na początku 1982 roku odebrałem telefon i w słuchawce usłyszałem głos sekretarki Schultesa. W tamtym semestrze prowadziłem razem z profesorem zajęcia, sądziłem więc, że chce ze mną porozmawiać o postępach naszych studentów. Zaprosił mnie do swojego gabinetu. Gdy wszedłem, żaluzje były opuszczone. Schultes przywitał mnie, ani razu nie podniósłszy wzroku znad papierów leżących na biurku.

– Mam coś dla pana. Może być ciekawe – oznajmił i podał mi nowojorski adres doktora Nathana S. Kline’a, psychiatry, pioniera psychofarmakologii, czyli nauki badającej oddziaływanie leków na mózg.

To właśnie Kline wraz z garstką innych uczonych w latach pięćdziesiątych rzucił wyzwanie freudowskiej ortodoksji i ogłosił, że część zaburzeń umysłowych ma charakter biologiczny, toteż można im zaradzić za pomocą środków farmakologicznych, nie psychoanalizy. Jego badania przyczyniły się do odkrycia rezerpiny, ważnego leku uspokajającego, który pozyskiwano z rauwolfii żmijowej, rośliny od tysiącleci stosowanej w ajurwedzie. Dzięki Kline'owi liczba pacjentów w amerykańskich szpitalach psychiatrycznych spadła z pół miliona w latach pięćdziesiątych do obecnego poziomu, wynoszącego około stu dwudziestu tysięcy. Była jednak druga strona medalu: Kline w niektórych kręgach uchodził za postać bardzo kontrowersyjną. Pewien dziennikarz naukowy określił bezdomne kobiety żyjące na ulicach Nowego Jorku mianem „córek Kline'a".

Zadzwonił telefon i Schultes wstał, żeby odebrać. Gdy skończył rozmowę, spytał, czy dam radę w ciągu następnych dwóch tygodni wyruszyć na Haiti.

2

„Pogranicze śmierci”

Dwa wieczory później w progu mieszkania na East Side na Manhattanie powitała mnie wysoka, niezwykle piękna kobieta, która za sprawą długich włosów upiętych na czubku głowy przypominała dziewczęta z obrazów Renoira.

Podała mi rękę.

– Pan Davis? Jestem Marna Anderson, córka Nate’a Kline’a. Proszę wejść. – Odwróciła się dość gwałtownie i poprowadziła mnie nieskazitelnie białym korytarzem. Natomiast gdy otwarła drzwi dużego pokoju, ujrzałem rój kolorów.

Miałem przed sobą olbrzymi stół; siedzący u jego szczytu niski mężczyzna w białym lnianym garniturze i staroświeckiej kamizelce z brokatu wstał i ruszył w moją stronę.

– Zapewne pan Wade Davis. Jestem Nate Kline, cieszę się, że znalazł pan czas, by mnie odwiedzić.

W pokoju było łącznie dziewięć osób. Kline przedstawił mi każdą z nich, ale zrobił to pospiesznie i niedbale, by dać mi do zrozumienia, że nie muszę nikogo zapamiętywać. Wyjątek uczynił tylko dla starszawego pana, siedzącego sztywno w kącie.

– Chciałbym, żeby pan poznał jednego z moich najstarszych współpracowników, profesora Heinza Lehmanna. Heinz był dawniej szefem wydziału psychiatrii i psychofarmakologii na Uniwersytecie McGilla.

– Ach, pan Davis – powiedział Lehmann cichym głosem. – Bardzo się cieszę, że postanowił pan wziąć udział w naszym małym przedsięwzięciu.

– Jeszcze nie wiem, czy postanowiłem.

– Tak, słusznie, zaczekajmy, co się wydarzy.

Kline zaprosił mnie, żebym usiadł na sofie w towarzystwie trzech uprzejmych, lecz niezbyt interesujących kobiet, które sączyły koktajle i prowadziły żywą rozmowę, przeskakując z tematu na temat. Powymieniały się plotkami, po czym zaczęły mnie wypytywać, czym się zajmuję. Ich entuzjazm sprawił, że poczułem się dość niekomfortowo i przy pierwszej

nadarzającej się okazji uciekłem do baru, by zrobić sobie drinka. Pokój był pełen dzieł sztuki: podziwiałem haitańskie obrazy, kolekcję zabytkowych gier, pozłacaną perską skrzynię oraz wczesnoamerykańskie wiatrowskazy z motywami koni zastygłych w kłusie.

Potem światła wielkiego miasta zwabiły mnie na balkon. Niskie chmury sunęły przez korytarze ciemności, przesłaniając szczyty wieżowców, z dołu dolatywał szum opon toczących się po lśniącym asfalcie. Obejrzałem się za siebie i zobaczyłem, że Kline odprowadza gości do drzwi. Jego ruchy zdawały się ostentacyjnie dynamiczne i dziarskie; przywodziły na myśl pewien typ starszego pana, który w obecności innych domaga się, żeby położyć mu dłoń na piersi i poczuć, jak mocno bije jego serce. Nie pasował do roli lekarza, przejawiał próżność właściwą raczej poetom. Natomiast Lehmann, wysoki, chudy i wątły, był wręcz urodzonym psychiatrą i mimowolnie zacząłem się zastanawiać, czym mógłby się zajmować, gdyby przyszedł na świat w dawniejszej epoce, zanim jeszcze ludzie decydowali się poddawać analizie swoje myśli i uczucia.

Marna wzięła Kline'a pod rękę i razem z nim żegnała ostatnich gości. Łatwo było dostrzec silną więź łączącą ojca i córkę. Byli jak jedna osoba – wystarczyło szybkie spojrzenie Kline'a, by Marna przywołała mnie gestem.

O dziwo, gdy goście sobie poszli, pokój nabrał życia. Lehmann poczuł się teraz dużo swobodniej. Zasiadł za stołem i spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Nie będziemy dłużej trzymać pana w napięciu, panie Davis. Profesor Schultes zapewnia, że pociągają pana podróże w niezwykłe miejsca. Chcemy zatem wysłać pana na pogranicze śmierci. Otóż sądzimy, że istnieją ludzie, którzy funkcjonują wyłącznie w nieprzerwanym tu i teraz. Ich przeszłość umarła, przyszłość zaś to jedynie strach i niezaspokajalne pragnienia.

Spojrzałem na niego sceptycznie. Potem przeniosłem wzrok na Kline'a, który natychmiast podjął wątek.

– Niełatwo stwierdzić, czy martwy człowiek naprawdę jest martwy – oznajmił i zrobił pauzę, wpatrując się we mnie badawczo. – Stwierdzenie zgonu to odwieczny problem. Weźmy choćby Petrarkę; niewiele brakowało, a zostałby pochowany żywcem. Starożytni Rzymianie straszliwie bali się takiego losu. W pismach Pliniusza Starszego znajdziemy wiele wzmianek o ludziach, których w ostatniej chwili uratowano ze stosu pogrzebowego. Ostatecznie jeden z cesarzy postanowił zapobiec tego rodzaju błędom i zarządził, że od śmierci do pochówku musi upłynąć siedem dni.

– Może należałoby wrócić do tej zasady? – wtrącił Lehmann. – Pamiętasz

przypadek z Sheffield?

Kline pokiwał głową i wyjaśnił mi:

– Niecałe piętnaście lat temu angielscy lekarze postanowili poeksperymentować z przenośnym kardiografem na trupach w kostnicy w Sheffield i wykryli znaki życia u młodej kobiety, którą uznano za zmarłą z powodu przedawkowania.

Lehmann uśmiechnął się i dodał:

– Tu, w Nowym Jorku, doszło do jeszcze bardziej sensacyjnego zdarzenia. W kostnicy miejskiej przeprowadzano sekcję zwłok. Chirurg zrobił pierwsze nacięcie, a wtedy zmarły nagle się zerwał i chwycił go za gardło. Nieszczęsny lekarz umarł z powodu szoku.

Spojrzałem na nich obu, próbując ukryć lęk, który we mnie wzbierał. Miałem przed sobą dwóch starych ludzi, ich głosy były twarde i rzeczowe. Czyżby bliskość śmierci tak bardzo zaprzątała ich myśli, że teraz, u schyłku życia, zaczęła ich bawić? Musiałem powtórzyć sobie w duchu, że przecież rozmawiają ze mną wybitni specjaliści, laureaci najważniejszych amerykańskich nagród naukowych.

– Zgodnie z ogólnie przyjętą definicją śmierć to ustanie podstawowych czynności życiowych. – Kline oparł się na krześle, złączył dłonie i się uśmiechnął. – Ale które czynności życiowe należy uznać za podstawowe? Jak je badać?

– Zatrzymuje się oddech, zanika tętno, spada temperatura ciała… Mięśnie sztywnieją… Tego typu rzeczy – odpowiedziałem dość niezręcznie. Nadal nie miałem pojęcia, do czego zmierzają moi rozmówcy.

– Nie zawsze da się to stwierdzić. Czasami podczas oddychania ruchy przepony są tak nieznaczne, że wręcz niewykrywalne. Poza tym może po prostu nastąpiła przerwa w oddychaniu? Co do spadku temperatury, to musi pan pamiętać, że ratownicy często wyciągają żywych ludzi z zamarzniętych jezior lub z zasp.

– Oczy zmarłego nic panu nie powiedzą – dorzucił Lehmann. – Mięśnie tęczówki sztywnieją pomału przez wiele godzin po śmierci. Kolor skóry dostarcza nieco bardziej użytecznych informacji…

– Nie w przypadku, o którym mówimy – przerwał mu Kline. – Trupią bladość możemy przecież zaobserwować wyłącznie u osób o jasnej skórze. A bicie serca? Dowolny lek powodujący hipotensję może sprawić, że puls stanie się niewyczuwalny. Tak naprawdę, kiedy wprowadzamy człowieka w głęboką narkozę, mamy do czynienia ze wszystkimi objawami śmierci.

Płytki, niewyczuwalny oddech, słaby puls, drastyczny spadek temperatury ciała, kompletny bezruch… – Kline nalał sobie brandy. – „Ni dech, ni ciepło nie wskaże, że żyjesz". Tak mówi ojciec Laurenty do Julii, moi panowie. To bodaj najsłynniejsza wzmianka na temat anabiozy wywołanej farmakologicznie.

– Tak naprawdę istnieją tylko dwa sposoby stwierdzania zgonu – podsumował Lehmann. – Pierwszy jest mocno zawodny: trzeba zrobić skan mózgu i kardiogram, co wymaga użycia kosztownych urządzeń. Drugi polega na tym, że czekamy i patrzymy, czy zacznie się proces gnilny. Ale to oczywiście musi trochę potrwać.

Kline wyszedł na moment i wrócił, niosąc dokument, który wręczył mi bez słowa. Był to akt zgonu niejakiego Clairviusa Narcisse'a, sporządzony w języku francuskim. Pochodził z 1962 roku.

– Sęk w tym – wyjaśnił Kline – że Narcisse nadal żyje. Mieszka w wiosce w dolinie rzeki Artibonite w środkowym Haiti. On i jego rodzina twierdzą, że padł ofiarą kultu vodoun i że zaraz po pogrzebie został zabrany z grobu jako zombie.

– Zombie… – Przez głowę przeleciały mi dziesiątki typowych pytań, mimo to milczałem.

– Żywy trup – dodał Kline. – Wyznawcy vodoun wierzą, że czarownicy potrafią przywrócić życie niewinnej osobie i uczynić z niej niewolnika na sprzedaż. Aby zapobiec takiemu losowi, rodzina zmarłego często zabija jego ciało po raz wtóry. Na przykład zadają mu cios nożem w serce lub leżącemu w trumnie obcinają głowę.

Spojrzałem najpierw na Kline'a, a potem na Lehmanna i próbowałem wczytać się w wyraz twarzy każdego z nich. Wyglądało na to, że świetnie się uzupełniali. Kline z rozmachem prezentował idee sięgające granic rzeczywistości, Lehmann natomiast od czasu do czasu ściągał go na ziemię i był głosem rozsądku. Tym bardziej zaskoczyło mnie, gdy on również podjął temat zombifikacji.

– Sprawa Narcisse'a nie była pierwszą, na którą zwróciliśmy uwagę. Mój były student, doktor Lamarque Douyon, piastuje obecnie stanowisko dyrektora Centrum Psychiatrii i Neurologii w Port-au-Prince. Od 1961 roku we współpracy z Douyonem systematycznie analizowaliśmy wszelkie doniesienia na temat zombifikacji. Przez wiele lat nie zdołaliśmy potwierdzić ani jednego przypadku, lecz w 1979 roku nastąpił przełom. Dowiedzieliśmy się wówczas o całej serii tego typu zdarzeń. Narcisse nie był jedyny.

Według Lehmanna ostatni interesujący przypadek dotyczył około sześćdziesięcioletniej kobiety, Natagette Joseph. W 1966 roku została zamordowana w wyniku sporu o ziemię, lecz w 1980 roku widziano ją, jak błąka się po swojej rodzimej wiosce. Rozpoznał ją policjant, który czternaście lat wcześniej musiał stwierdzić jej zgon, bo nie udało się ściągnąć lekarza.

Była też Francina Illeus zwana Ti Femme. Zmarła 23 lutego 1976 roku w wieku trzydziestu lat; przed śmiercią cierpiała z powodu dolegliwości układu pokarmowego i trafiła do szpitala w Saint-Michel-de-l'Atalaye. Lekarze zdecydowali się ją wypisać – umarła kilka dni po powrocie do domu. Miejscowy sędzia podpisał akt zgonu. Mówiono, że winnym śmierci kobiety był jej zazdrosny mąż. Trzy lata później matka Francine ujrzała ją żywą i rozpoznała po bliźnie na skroni, powstałej jeszcze w dzieciństwie. Gdy rozkopano grób, okazało się, że w trumnie są tylko kamienie.

Pod koniec 1980 roku haitańskie radio doniosło, że na północnym wybrzeżu kraju zatrzymano dziwną grupę ludzi: błąkali się bez celu i zdawali się pogrążeni w psychozie. Miejscowi chłopi uznali, że to z pewnością zombie, i zaalarmowali lokalną administrację. Nieznajomych zabrano do Cap-Haïtien, drugiego pod względem znaczenia miasta na Haiti, i oddano pod nadzór dowódcy tamtejszych władz wojskowych. Ponieważ sprawa nabrała rozgłosu medialnego, armia zdołała ustalić, skąd pochodzą rzekomi zombie, i odstawić ich do domu – przy czym w wielu przypadkach rodzinne wioski tych nieszczęśników leżały bardzo daleko od miejsca, w którym ich zatrzymano.

– Te trzy przypadki – podkreślił Lehmann – są bardzo interesujące, ale nie były bardziej wiarygodne niż inne dawniejsze historie tego rodzaju, opisywane od czasu do czasu przez haitańską prasę.

– Natomiast przypadek Narcisse'a różni się od pozostałych, gdyż umarł on jako pacjent placówki medycznej kierowanej przez Amerykanów, która, tak się składa, gromadzi precyzyjne i wiarygodne informacje na temat pacjentów. – I tu Kline zaczął prezentować mi niezwykłą historię Clairviusa Narcisse'a.

Wiosną 1962 roku haitański rolnik, na oko czterdziestoletni, zjawił się na izbie przyjęć Szpitala imienia Alberta Schweitzera w Deschapelles w dolinie rzeki Artibonite. Przyjęto go 30 kwietnia o godzinie dwudziestej pierwszej czterdzieści pięć. Skarżył się na gorączkę, ból całego ciała i ogólne osłabienie. Wkrótce potem zaczął pluć krwią. Jego stan szybko się pogorszył

i 2 maja o godzinie trzynastej piętnaście dwie osoby z personelu medycznego, w tym jeden Amerykanin, stwierdziły zgon. Siostra pacjenta, Angelina Narcisse, była obecna przy jego śmierci i od razu zawiadomiła resztę rodziny. Zjawiła się starsza siostra zmarłego, Marie Claire, która zidentyfikowała ciało i złożyła podpis – a ściślej odcisk palca – na oficjalnym akcie zgonu. Ciało umieszczono w chłodni na dwadzieścia cztery godziny. 3 maja 1962 roku o dziesiątej rano Clairvius Narcisse został pochowany na niewielkim cmentarzu na północ od swojej rodzinnej wioski L'Estère. Dziesięć dni później rodzina umieściła na grobie ciężką betonową płytę.

W 1980 roku, czyli osiemnaście lat później, na targu w L'Estère pojawił się pewien człowiek. Podszedł do Angeliny Narcisse i przedstawił się przydomkiem, którym dawno temu w rodzinie nazywano Clairviusa. Przydomek ten znali tylko najbliżsi; nie używano go, odkąd Clairvius dorósł. Dziwny mężczyzna twierdził, że brat zmienił go w zombie z powodu sporu o ziemię. Na Haiti obowiązują zapisy Kodeksu Napoleona, zgodnie z którymi ziemia jest dzielona między męskich potomków. Narcisse twierdził, że nie chciał sprzedać swojej części spadku i brat w napadzie gniewu postanowił się zemścić.

Gdy tylko wyciągnięto Clairviusa z grobu, został pobity i związany. Następnie grupa ludzi wywiozła go na północ. Przez dwa lata wraz z innymi zombie wykonywał tam niewolniczą pracę. Potem ich pan został zamordowany, a uwolnieni spod jego władzy zombie rozpierzchli się po całym kraju. Clairvius błąkał się przez szesnaście lat, bo wciąż bał się zemsty brata. Dopiero gdy usłyszał o jego śmierci, odważył się wrócić do rodzinnej wioski.

Historia ta stała się niezwykle głośna, przyciągnęła nawet uwagę BBC. W 1981 roku brytyjska telewizja przysłała ekipę filmową, by nakręciła krótki film dokumentalny o Clairviusie. Douyon tymczasem rozważał, w jaki sposób można zbadać wiarygodność jego opowieści. Rozkopanie grobu niewiele by dało. Jeśli Clairvius był oszustem, on lub jego współpracownicy mogli przecież dawno usunąć kości. Z drugiej strony, jeżeli faktycznie został zmieniony w zombie, winowajcy mogli podrzucić inne zwłoki, niemożliwe obecnie do zidentyfikowania. Zamiast tego Douyon we współpracy z rodziną Clairviusa opracował serię pytań na temat jego dzieciństwa, tak szczegółowych, że nawet bliski przyjaciel nie mógłby na nie odpowiedzieć. Człowiek podający się za Clairviusa bez trudu poradził sobie z tym zadaniem. Przeszło dwustu mieszkańców L'Estère uważało, że Clairvius

wrócił do świata żywych. Ostatecznie Douyon również w to uwierzył. Dziennikarze z BBC pokazali kopię aktu zgonu śledczym ze Scotland Yardu, a ci potwierdzili, że odcisk palca należy do Marie Claire.

Minęło kilka chwil, nim w pełni pojąłem doniosłość tych wniosków. Wstałem i zacząłem chodzić po pokoju. Chciałem uciec od białych kłębów papierosowego dymu, uwolnić się od dziesiątek myśli i pytań.

– Skąd wiadomo, że wszystko to nie jest jednym wielkim oszustwem?

– Któż miałby go dokonać? I w jakim celu? – odparł Kline. – Na Haiti zombie to wyrzutek. Czy wyobraża pan sobie, że człowiek cierpiący na trąd stanąłby w londyńskim Hyde Parku i zaczął się chwalić swą chorobą?

– Twierdzicie zatem, że Narcisse został pogrzebany za życia?

– Tak, chyba że wierzy pan w czary.

– A co z dostępnością tlenu w trumnie?

– Szanse przeżycia zależą od tempa przemiany materii. Medycyna zna przypadek indyjskiego fakira, który potrafi obniżyć zapotrzebowanie swojego organizmu na tlen i przeżyć dziesięć godzin w całkowicie szczelnej skrzyni, niewiele większej od trumny.

– Warto dodać – wtrącił Lehmann – że uszkodzenia spowodowane brakiem tlenu miałyby charakter postępujący.

– W jakim sensie?

– Jeśli pewne komórki mózgowe nie otrzymują tlenu choćby przez parę sekund, umierają i odtąd mózg nie jest już w stanie poprawnie funkcjonować. Jego tkanka się nie regeneruje, o czym z pewnością pan wie. Ale bardziej prymitywne części mózgu, odpowiedzialne za kontrolowanie podstawowych procesów zachodzących w organizmie, są bardziej odporne. Może się zdarzyć, że człowiek zupełnie straci osobowość, zdolność myślenia lub świadomego poruszania się, zamieni się w warzywo, a mimo to przeżyje.

– Ciało pozbawione indywidualności, pozbawione woli. Właśnie tak Haitańczycy definiują zombie – zauważył Kline.

Odwróciłem się w jego stronę, nadal nie wierząc w to, co usłyszałem.

– Twierdzi pan, że zombifikacja to kwestia uszkodzenia mózgu?

– Ależ nie, w każdym razie nie bezpośrednio. Trzeba pamiętać, że Narcisse'a uznano za zmarłego. Skoro tak, musi istnieć jakiegoś rodzaju wyjaśnienie o charakterze chemicznym. Naszym zdaniem chodzi o toksynę.

Wreszcie zrozumiałem, dlaczego mnie tu zaproszono.

– Pogłoski na temat trucizny, która zmienia ludzi w zombie, usłyszałem

po raz pierwszy jakieś trzydzieści lat temu – powiedział Kline. – W początkowym okresie mojego pobytu na Haiti bez powodzenia starałem się uzyskać choćby niewielką próbkę. Rozmawiałem ze starym kapłanem vodoun, który zapewniał mnie, że truciznę rozsypuje się na progu domu upatrzonej ofiary. Toksyna rzekomo wchłania się przez skórę stóp. Podczas ceremonii ożywienia ciała ofiara otrzymuje inny środek, pełniący funkcję antidotum. Zarówno dziennikarze z BBC, jak i Douyon dotarli do podobnych informacji.

– Kilka miesięcy temu Douyon przekazał nam próbkę rzekomej toksyny – powiedział Lehmann. – Testowaliśmy tę substancję na szczurach, okazała się jednak zupełnie neutralna. Ciekawszy jest natomiast brązowy proszek, który dostaliśmy niedawno od jednego z korespondentów BBC. Przygotowaliśmy emulsję i wstrzyknęliśmy ją w brzuch kilku rezusom. Spowodowała wyraźny spadek ich aktywności. Nie mamy pojęcia, co to za proszek ani skąd pochodzi.

Ciemna, poważna twarz Lehmanna nagle się zmieniła. Stary lekarz promieniał, był podekscytowany. Jego podniecenie zaczęło mi się udzielać. „Przecież to całkiem możliwe – pomyślałem – że istnieje związek chemiczny, który w odpowiedniej dawce spowolni metabolizm ofiary do tego stopnia, że nawet doświadczony lekarz orzeknie zgon". Mogło też istnieć antidotum zdolne wskrzesić ofiarę, o ile poda się je we właściwym momencie. Z perspektywy medycyny taki związek miałby ogromny potencjał. Kline również to dostrzegł.

– Niech pan pomyśli o chirurgii – powiedział. – Pacjent szykuje się do operacji. Co najbardziej spędza mu sen z powiek? – Zanim zdążyłem odpowiedzieć, ciągnął: – Oczywiście zdolności i kwalifikacje chirurga, prawda? Ludzie chcą mieć pewność, że lekarz przeprowadzający zabieg jest odpowiednio wykwalifikowany. W rzeczywistości jednak większość operacji to czysta rutyna. Nikt nie zwraca uwagi na prawdziwe ryzyko, ukryte niebezpieczeństwo, przyczynę setek zgonów każdego roku.

Lehmann wyraźnie palił się, by dokończyć myśl Kline'a, ten jednak mu na to nie pozwolił.

– Znieczulenie – powiedział. – Za każdym razem, gdy usypia się pacjenta, mamy do czynienia z eksperymentem z zakresu farmakologii stosowanej. Anestezjolog ma swoje metody, dysponuje środkami zwiotczającymi i znieczulającymi, które stosuje na co dzień, ale dawki ustala dopiero podczas zabiegu, zależnie od rodzaju operacji i stanu pacjenta.

Każdy przypadek jest więc wyjątkowy.

– I wiąże się z dużym ryzykiem – dodał Lehmann.

Kline uniósł w górę pusty kieliszek do brandy.

– Ukrywamy niewygodne prawdy za zasłoną eufemizmów – powiedział i znów usiadł za stołem naprzeciwko mnie. – Znieczulenie ogólne jest niezwykle ważną procedurą medyczną, której często nie da się uniknąć, zawsze jednak oznacza poważne zagrożenie dla pacjenta. Nikt nie lubi o tym myśleć, zwłaszcza lekarze. Dlatego żartujemy na temat „głupiego Jasia" i udajemy przed sobą, że podanie komuś narkozy to bułka z masłem. W pewnym sensie to prawda. Wybudzenie pacjenta nastręcza jednak licznych trudności. – Znów przerwał na moment, po czym kontynuował. – Gdyby udało nam się odkryć nowy lek, dzięki któremu pacjent leżałby bez ruchu, całkowicie niewrażliwy na ból, oraz drugi lek, zdolny bez żadnych szkód przywrócić pacjentowi świadomość, w chirurgii nastąpiłaby prawdziwa rewolucja.

Tym razem to ja pozwoliłem sobie na mały wtręt.

– A przy tym ktoś zarobiłby sporo pieniędzy.

– Interesuje nas rozwój medycyny – oznajmił Lehmann. – Właśnie dlatego musimy badać wszelkie doniesienia na temat farmaceutyków mogących znaleźć zastosowanie w anestezjologii. Jeśli toksyna zmieniająca ludzi w zombie faktycznie istnieje, należy się jej uważnie przyjrzeć.

Kline zaczął chodzić po pokoju jak człowiek, który zmaga się z niezwykłym wyzwaniem.

– Narkoza to dopiero początek. NASA zwróciła się do mnie kiedyś z pytaniem o możliwe zastosowania substancji psychoaktywnych w programie kosmicznym. Oczywiście nie chcieli powiedzieć tego wprost, ale tak naprawdę szukają sposobu, by zapanować nad niespokojnymi astronautami podczas długich lotów międzyplanetarnych. Toksyna zombie mogłaby posłużyć do fascynujących eksperymentów ze sztuczną hibernacją.

Lehmann posłał Kline'owi zniecierpliwione spojrzenie.

– Panie Davis, chcemy, żeby odkrył pan, czym jest ta toksyna.

Jego bezceremonialność mnie zaskoczyła, choć oczywiście spodziewałem się, że właśnie o to im chodzi. Wstałem, odwróciłem się od nich plecami i podszedłem do drzwi balkonowych. Czułem jednak na sobie ich spojrzenia. Wiedziałem, że zostałem schwytany niczym mucha w pajęczą sieć. Spojrzałem na obu swoich rozmówców.

– Czy przekażą mi panowie jakieś kontakty?

– Odezwiemy się do Douyona. Powinien pan też zadzwonić do korespondenta BBC – poinstruował mnie Kline.

– To wszystko?

– Nie znamy żadnych innych osób, z którymi moglibyśmy pana skontaktować.

– A koszty podróży?

– Utworzyliśmy specjalny fundusz. Wystarczy, że będzie nam pan przysyłał rachunki.

Nie miałem innych pytań. Znów pomyślałem, jak różni wydają się ci dwaj ludzie. Kline był pełen zapału i energii, Lehmann zaś nieco bierny i spokojny, połączyli jednak siły, gdyż zależało im na rozwiązaniu zagadki. Misja, którą mi powierzyli, przedstawiała się prosto. Miałem pojechać na Haiti, odnaleźć czarowników zdolnych zmieniać ludzi w zombie, pozyskać próbki toksyny i antidotum, odkryć, jak przygotowuje się jedno i drugie, oraz, o ile to będzie możliwe, udokumentować przypadki stosowania obu związków.

Przy pożegnaniu Kline wręczył mi zaklejoną kopertę. Najwyraźniej on i Lehmann ani przez moment nie wątpili, że podejmę się zadania. Ruszyłem korytarzem bez oglądania się za siebie, choć nadal słyszałem za plecami ich głosy.

Po chwili dogoniła mnie Marna. Było późno, więc poprosiła, żebym odprowadził ją do jej mieszkania przy Sześćdziesiątej Szóstej ulicy. Słaba mżawka sprawiła, że na chodnikach rozlewały się kałuże żółtego światła. Wcześniej szalała burza, ale dawno minęła i dokoła znów słyszeliśmy wyłącznie odgłosy miasta. Szliśmy w milczeniu. Zapytałem o fotografię, którą zauważyłem w mieszkaniu jej ojca. Przedstawiała wątłego, siwowłosego mężczyznę siedzącego za biurkiem i trzymającego dłoń na dwóch rewolwerach z kolbami z kości słoniowej.

– To François Duvalier. Eugene Smith zrobił mu zdjęcie, kiedy towarzyszył mojemu ojcu podczas pobytu na Haiti.

– Pani ojciec znał Papę Doca?

Skinęła głową.

– Jak się poznali?

– To było wtedy, gdy założyli instytut, w którym Douyon bada zombie. Nazwali go na jego cześć.

– Na cześć Duvaliera?

– Nie – zaśmiała się. – Na cześć mojego ojca. Czyżby nie powiedział panu, że od dwudziestu pięciu lat jeździ na Haiti?

– Owszem, powiedział. Wybrała się tam pani kiedyś razem z nim?

– Tak, wiele razy, ale…

– Kraj się pani nie spodobał?

– Och, Haiti to cudowne miejsce. Chodzi mi o coś innego. Musi pan zrozumieć, że ojciec naprawdę wierzy w istnienie zombie.

– A pani nie wierzy?

– Nie o to mi chodzi.

Stanęliśmy pod jej domem. Zatrzymałem przejeżdżającą taksówkę i pożegnałem się z Marną. Ostatni samolot do Bostonu już odleciał, pojechałem więc na Grand Central Station, żeby złapać nocny pociąg. W przedziale otworzyłem kopertę otrzymaną od Kline'a i znalazłem tam trochę pieniędzy, bilet lotniczy na Haiti oraz bladą polaroidową fotografię przedstawiającą ubogiego czarnego chłopa. Był to Clairvius Narcisse. Egzotyczny świat, o którym opowiadali mi Kline i Lehmann, stał się naraz zdumiewająco realny. Odłożyłem fotografię, gdy pociąg ruszył, i dopiero wtedy przyjrzałem się biletom. Okazało się, że mam zaledwie tydzień, by sformułować hipotezę pasującą do nielicznych dostępnych na razie danych.

3

Hipoteza kalabarska

Lubię pociągi, w Ameryce Południowej podróżuję nimi przy każdej nadarzającej się okazji. Siadam na otwartym pomoście na końcu wagonu i delektuję się zniewalającą mieszanką tropikalnych woni. W porównaniu z tamtejszymi rozklekotanymi pociągami, pełnymi życia, przesiąkniętymi zapachem potu, mokrej wełny i najprzeróżniejszych kwiatów, pociągi w Stanach Zjednoczonych są niestety sterylne i duszne, powietrze wewnątrz nich smakuje jak używane. Mimo to zawsze daję się uwieść stukotowi kół, gdy pejzaż za oknem pędzi, pulsuje światłem i kolorem jak w najwspanialszych dziecięcych fantazjach.

Opuszczając Nowy Jork, czułem dziwną ulgę, aczkolwiek nie za sprawą pociągu. Przyjrzałem się własnemu odbiciu w szybie i zdumiało mnie, ile niewypowiedzianych myśli i emocji krąży w mojej głowie. „Pogranicze śmierci” – określenie użyte przez Lehmanna nie dawało mi spokoju, zawracało mnie z krawędzi snu. Tak właśnie upływała mi samotna podróż w pustym przedziale. Noc mijała, odmierzałem czas, wsłuchując się w szuranie stóp konduktora, który co jakiś czas przechodził korytarzem.

Kline i Lehmann. Analizowałem ich słowa, szukałem ukrytych podtekstów czy wskazówek, za każdym razem jednak wracałem do nagich faktów. Niewiele się dowiedziałem, ale miałem jakiś punkt wyjścia. Ponadto, na szczęście, dzięki otrzymanym informacjom mogłem utrzymać swoją wyobraźnię w ryzach.

Jeśli truciznę faktycznie rozsypywano na progu domu ofiary, oznaczałoby to, że najważniejsze związki chemiczne wchodzące w jej skład działają, gdy podaje się ją przez skórę – w tym przypadku przez skórę stóp. Opisy bezwolnych zombie sugerowały, że toksyna wywołuje długotrwały stan psychozy, pierwsza dawka może zaś spowodować całkowite zamroczenie, mylone ze śmiercią. Substancja najprawdopodobniej miała pochodzenie organiczne, więc pozyskiwano ją z rośliny lub ze zwierzęcia występującego obecnie na Haiti. Poza tym toksyna musiała być nieprawdopodobnie silna.

Niewiele wiedziałem na temat jadów zwierzęcych, zacząłem więc

myśleć o trujących i psychoaktywnych roślinach, które poznałem podczas sześcioletniej współpracy z Muzeum Botanicznym Harvardu. Wyliczałem w głowie rośliny zdolne zabić człowieka lub zaprowadzić go do krainy odmiennych stanów świadomości. Wkrótce wpadłem na potencjalny trop. Istniała pewna roślina, której ani razu nie odważyłem się spróbować podczas wszystkich swoich badań i podróży. Miała silne właściwości halucynogenne i uchodziła za tak niebezpieczną, że nawet Schultes, nieustraszony eksperymentator, nie przetestował jej na sobie. Teoretycznie spełniała kryteria i dawałoby się z niej pozyskać toksynę zamieniającą ludzi w zombie. Ponoć cieszyła się ogromną popularnością wśród trucicieli, przestępców i osób praktykujących czarną magię na całym świecie. Mówię tu o roślinach z rodzaju bielunia lub datury, nazywanych świętymi kwiatami Gwiazdy Polarnej.

Moje zmęczone myśli zaczęły się rozsypywać na kawałki, jedna z nich zaprowadziła mnie w odległą zimną noc spędzoną w wysokich Andach Peruwiańskich. Zakurzona ścieżka mijała napęczniałą kwitnącą agawę i biegła w górę ku otwartemu tarasowi, otoczonemu z trzech stron przez ceglane ściany wiejskiej zagrody. Pod jedną z tych ścian siedział pacjent, samotny, dziwnie poważny. Rok wcześniej był zamożnym rybakiem, potem jednak zmieniły się prądy morskie, napłynęły ciepłe wody tropikalne i ryby na całym wybrzeżu wymarły. Katastrofa naturalna okazała się wstępem do kolejnych życiowych tragedii rybaka, jak gdyby działało tu jakieś okrutne prawo fizyki. Dzieci zachorowały, żona uciekła z kochankiem. Pewnego dnia nieszczęśnik opuścił swoją wioskę. Gdy powrócił miesiąc później, nagi i zupełnie oszalały, wyglądał jak śmierć.

Przez dwa tygodnie *curandero* na próżno starał się ustalić przyczynę tego stanu. Ponieważ baczył na to, co święte, rozłożył przedmioty mocy ze swojego ołtarza: kryształy, zęby jaguara, muszle rozkolców, fiszbiny i *huacos*, sięgające punktu, w którym krzyżowały się dwa wbite w ziemię miecze konkwistadorów. Odprawił nocną ceremonię, podczas której wraz z pacjentem wdychał opary unoszące się z muszli przegrzebków wypełnionych wywarem z alkoholu i tytoniu. Intonował imiona Atahualpy i wszystkich starodawnych peruwiańskich władców, imiona duchów gór oraz nazwy świętych ziół. Spożywali też achumę, święty kaktus czterech wiatrów. Syn *curandero* wsadził szaleńca na muła i poprowadził go trudną drogą wysoko w góry, by mógł obmyć się w wodach jezior Las Huaringas. Nic nie działało. Wizje okazały się niezbyt intensywne i mało zrozumiałe. Nawet pielgrzymka do leczniczych jezior nie uwolniła oszalałego rybaka od

upartych nieszczęść.

Curandero musiał więc sam znaleźć rozwiązanie, sięgnąć po silniejsze środki, których należało szukać w sferach nadprzyrodzonych, choć wiązało się to z ogromnym niebezpieczeństwem. Nikt nie mógł towarzyszyć mu w tej misji. Zostawił zatem pacjenta i wyruszył, kuśtykając, odziany w znoszone ponczo i ogromny kapelusz, zasłaniający mu całą twarz. Przyszła pora zmierzyć się z innymi wizjami – trudnymi do zrozumienia, niejasnymi, nieprzyjemnymi. Zazwyczaj *curandero* polegał na swojej wiedzy, potrafił interpretować świat duchów i nim manipulować, tym razem jednak przyszło mu odegrać rolę pokornego ucznia, który spróbuje dotknąć szaleństwa wywołanego przez roślinę, by zyskać oświecenie. Czuł lęk na myśl o czekającej go całkowitej utracie kontroli, pamięci, poczucia czasu i przestrzeni, nie miał jednak wyboru, zabrał się więc do dzieła z fatalistycznym uporem, który upodabniał go do człowieka cierpiącego na nieuleczalną chorobę.

Zamknął się w kamiennej chatce z drzwiami z luźnych desek. Każdy jego ruch sprawiał, że światło i cień tańczyły w pionowych szparach. Przytknąłem oko do jednej z nich. *Curandero* chodził w kółko pewnym krokiem, zataczał coraz mniejsze kręgi niczym pies układający się do snu. Usiadł, zdjął kapelusz i odsłonił twarz o wydętych sinych wargach, wielkim zakrzywionym nosie i wklęsłych policzkach. Jego oczy niknęły w cieniu. Milczał i nie reagował na uwijającego się dokoła pomocnika, który tymczasem starannie naszykował łóżko, dużą misę z wodą i małą emaliowaną czarkę pełną ciemnego płynu. Wreszcie pomocnik wyszedł i po cichu usiadł za drzwiami. Przywołał mnie, więc zająłem miejsce u jego boku. Siedzieliśmy tak bez ruchu i wpatrywaliśmy się we wnętrze mrocznego pomieszczenia. Lekki wiatr muskający blaszany dach chaty zagłuszał nasze oddechy.

Po chwili *curandero* ujął czarkę w dłonie i uniósł ją stanowczym gestem pozbawionym gracji, co skojarzyło mi się z prowincjonalnym księdzem trzymającym kielich mszalny. Skłonił się na cztery strony i powoli, małymi łykami wypił zawartość czarki; na sam koniec odrobinę się skrzywił. Usiadł kompletnie nieruchomo, pełen spokoju, który zawsze towarzyszy nieodwracalnym czynom.

Napój zaczął działać bardzo szybko. Po pół godzinie *curandero* wpadł w zupełne otępienie. Wbił pusty wzrok w ziemię, zacisnął wargi, jego twarz nagle zrobiła się opuchnięta i poczerwieniała. Nozdrza się rozszerzyły.

Minęło jeszcze kilka minut, oczy *curandero* pobiegły w górę i między powiekami widoczne były jedynie białka, z ust toczyła się piana, całe ciało straszliwie się trzęsło. Zapadał się coraz głębiej w delirium, oddychał spazmatycznie, rozdrapywał ziemię długimi, kościstymi palcami, jakby liczył, że zdoła znaleźć jakąś szczelinę i wydostać się przez nią z krainy szaleństwa. Potworne krzyki przecinały nocną ciszę. *Curandero* spróbował wstać, ale runął na ziemię i młócił powietrze ramionami. Nagle rzucił się do misy z wodą niczym człowiek, którego skóra płonie, a gardło jest spieczone z pragnienia. Wreszcie, wydawszy ostatni gwałtowny jęk cierpienia, stracił przytomność.

Tak właśnie działała *cimora*, napój z drzewa złego orła, najbliższego botanicznego kuzyna bielunia.

Bladolawendowe światło poranka – miraż budzącego się życia – wpadało przez przyciemnione okno pociągu. Wkrótce znalazłem się na South Station; powłócząc nogami, wydostałem się na ulicę. Byłem z powrotem w Bostonie.

*

Miasto właśnie się budziło, podniecenie nie dawało mi jednak spać. Pojechałem do Muzeum Botanicznego, przedarłem się przez hordę dzieci przywleczonych przez nauczyciela na wystawę i wspiąłem po żelaznych schodach do biblioteki na górnym piętrze.

Wciągnąłem w nozdrza dobrze mi znane kojące, nieco zatęchłe powietrze. Minąłem dębową gablotę, w której znajdowały się stare foliały i pierwsze wydania Linneusza, po czym zdjąłem z odpowiedniej półki kilka monografii oprawionych w skórę. Niecierpliwie szukałem pierwszej wskazówki, która mogłaby potwierdzić moje przypuszczenia. Znalazłem ją w starym, pożółkłym katalogu wydanym przed czterdziestoma laty. Na Haiti można było spotkać trzy gatunki bielunia; wszystkie zostały tam przywiezione zza oceanu. Przejrzałem listę nazw zwyczajowych, wiedziałem bowiem, że często dostarcza ona wskazówek na temat popularnych zastosowań danej rośliny. Jeden z gatunków, *Datura stramonium*, znano na Haiti jako *concombre zombi* – ogórek zombie! Zadowolony rozsiadłem się w swoim ulubionym fotelu i po paru minutach pogrążyłem się w głębokim śnie.

*

Klucz zazgrzytał w zamku i w drzwiach stanął profesor Schultes, dzierżący pod ręką kilka książek.

– Czy zawsze sypia pan w pracy? – spytał drwiąco.

Przywitaliśmy się, po czym zrelacjonowałem mu swoje wstępne badania nad zombie.

Schultes uznał, że moje przeczucia na temat bielunia są trafne, i spędziliśmy cały poranek na szukaniu kolejnych poszlak.

Nie było żadnych wątpliwości, że rozmaite gatunki bielunia działają podawane przezskórnie. Czarownicy z indiańskiego plemienia Yaqui w północnym Meksyku nacierają sobie genitalia, nogi i stopy maścią ze zmiażdżonych liści bielunia, dzięki czemu doświadczają halucynacji, w których unoszą się nad ziemią i latają. Schultes uznał za prawdopodobne, że Yaqui przejęli tę praktykę od Hiszpanów – w średniowiecznej Europie czarownice latały, bo nacierały sobie ciała halucynogennymi maściami z wilczej jagody, mandragory albo lulka czarnego. Wszystkie te rośliny są spokrewnione z bieluniem. Skądinąd ich właściwości pozwalają też wyjaśnić inne praktyki kojarzone z czarownicami znacznie lepiej niż tradycyjna „hipoteza" mówiąca o paktowaniu z diabłem. Jeśli kobieta chciała zaaplikować sobie maść, szczególnie odpowiednim miejscem były wilgotne ścianki pochwy. Kij od miotły lub laska uchodziły za dobre aplikatory. Stąd właśnie popularne wyobrażenie wiedźmy jako staruchy na miotle; w średniowieczu wierzono, że czarownice odbywają nocne loty na sabat, czyli orgiastyczne spotkanie z demonami i magami. Prawdopodobnie podróże te odbywały się jedynie w halucynacjach.

Schultes i ja wiedzieliśmy również, że bieluń może wywołać otępienie. Świadczyło o tym nawet pochodzenie jego nazwy: słowo „datura" nawiązuje do dhaturiyów, gangów złodziei w starożytnych Indiach, którzy truli bieluniem upatrzone ofiary. W XVI wieku Cristóbal Acosta, portugalski odkrywca, przekonał się, że nieuczciwe indyjskie prostytutki są mistrzyniami w sztuce usypiania klientów za pomocą nasion tej rośliny. Precyzyjnie dobierały dawki i dokładnie wiedziały, ile godzin prześpi nieszczęśnik. Podróżnik Johann Albert de Mandelslo pisał w połowie XVII stulecia, że przybysze z Europy budzili w Induskach straszliwe pożądanie, niejedna kobieta zdecydowała się więc odurzyć czujnego męża bieluniem i „oddawać się rozkoszom [z białym przybyszem] nawet w jego obecności". Odurzony mąż przez cały czas siedział całkowicie nieruchomo, z otwartymi oczami. Bardziej drastyczna historia pochodzi z Nowego Świata: Indianie Czibcza,

żyjący na wyżynach Kolumbii, po śmierci władcy podawali roślinę spokrewnioną z bieluniem jego żonom i niewolnikom, po czym grzebali ich żywcem.

Dowody farmakologiczne wydawały się całkiem przekonujące. Bieluń działał, gdy aplikowało się go na skórę, i nawet w niewielkich ilościach powodował nie tylko halucynacje czy urojenia zdolne odebrać człowiekowi rozum, lecz także dezorientację i amnezję. Przedawkowanie mogło doprowadzić do całkowitego otępienia i zgonu.

Intuicja podpowiadała mi jeszcze jeden dodatkowy powód, by w badaniach nad zjawiskiem zombifikacji skupić się najpierw na bieluniu. W wielu społecznościach Indian panuje przekonanie, że życie dzieli się na etapy. Na początku jest dzieciństwo, następnie dojrzałość i małżeństwo, na końcu zaś śmierć. Pomiędzy tymi etapami odprawiane są zazwyczaj ważne rytuały. Gdy Kline i Lehmann opowiadali mi historię Clairviusa Narcisse'a, wyciągnięcie jego ciała z grobu skojarzyło mi się z rytuałami przejścia, z wypaczeniem naturalnego procesu życia i śmierci. A przecież substancje pozyskiwane z bielunia wyjątkowo często towarzyszą tego rodzaju momentom inicjacji, przemiany czy umierania. Indianie Luiseño z południowej Kalifornii uważali, że każdy młodzieniec musi zapaść w sen wywołany przez bieluń, by stać się mężczyzną. Algonkinowie i inne plemiona z północnego wschodu Ameryki Północnej również stosowali bieluń, który nazywali *wysoccan*. Chłopcy wchodzący w wiek dojrzewania musieli spędzić dwa lub trzy tygodnie w odosobnieniu w specjalnych długich domach. Przez cały ten czas spożywali wyłącznie narkotyk sporządzony z bielunia. W ten sposób mieli zapomnieć, co to znaczy być dzieckiem – mogli się uczyć męskości. Jiwaro, słynni łowcy głów ze wschodniego Ekwadoru, podają sześcioletnim chłopcom napój zwany *maiuka*, w tym wieku bowiem chłopiec musi odnaleźć swoją duszę. Jeśli ma szczęście, dusza ukaże mu się pod postacią pary potężnych istot, na przykład dwóch jaguarów albo anakond, następnie zaś wejdzie w jego ciało.

Wiele społeczności indiańskich kojarzy bieluń ze śmiercią. Na wyżynach Peru bieluń nosi czasem nazwę *huaca*. W języku Indian Keczua słowo to znaczy „grób", wierzą oni bowiem, że człowiek będący pod wpływem substancji pozyskanej z tej rośliny potrafi odnaleźć miejsce pochówku swych przodków. Zuni z południowego zachodu Ameryki Północnej żują bieluń podczas ceremonii mających na celu sprowadzenie deszczu. Często też kładą sobie na oczach sproszkowany korzeń bielunia i wzywają duchy umarłych,

by te wybłagały deszcz u bogów. Właśnie ze względu na te związki między bieluniem a siłami śmierci postanowiłem od tej rośliny zacząć badania nad toksyną zombie.

Schultes i ja skupiliśmy się, rzecz jasna, na *Datura stramonium*, gatunku bielunia, który – jak wspomniałem – na Haiti nazywano ogórkiem zombie. Roślina pochodzi co prawda z Azji, ma jednak ogromną wartość jako narkotyk, więc na długo przed Kolumbem rozprzestrzeniła się w Europie i Afryce. Ponieważ Schultes nie spotkał się z żadnymi doniesieniami, jakoby bieluń był wykorzystywany przez karaibskich Indian, i ponieważ większość Haitańczyków wywodzi się z Afryki, uznałem, że najpierw zrobię przegląd badań nad rolą odgrywaną przez bieluń w Afryce Zachodniej.

Nie zaskoczyło mnie, gdy jeszcze tego samego dnia przeczytałem, że wiele tamtejszych plemion dobrze zna *Datura stramonium*. Hausa z Nigerii stosują nasiona tej rośliny, by wzmocnić napoje wykorzystywane podczas rytualnych ceremonii. Młodzi Fulbe spożywają bieluń, by nabrać werwy przed udziałem w *sharo*, próbie męskości. Czarownicy z Togo podają napój z jego liści oraz silnie trującego korzenia rośliny *Lonchocarpus capassa* osobom, które chcą rozstrzygnąć jakiegoś rodzaju spór. W niektórych regionach Afryki Zachodniej *Datura stramonium* wykorzystywana jest w niezwykły sposób. Kobieta, która chce zabić swojego niewiernego kochanka, zaczyna hodować chrabąszcze i karmi je tą rośliną. Następnie z ich odchodów przygotowuje truciznę.

Jeśli toksyna zmieniająca ludzi w zombie faktycznie pochodziła z Afryki, należało przypuszczać, że znajdziemy tam również antidotum wspomniane przez Kline'a. Z niemałą satysfakcją dowiedziałem się, że nauka zna już antidotum na bieluń i co więcej, pozyskuje się je z pewnej zachodnioafrykańskiej rośliny. Antidotum nosiło nazwę fizostygmina, a rośliną okazała się *Physostigmine venenosum*, czyli bobotrutka kalabarska, pnącze występujące na przybrzeżnych bagnistych terenach Afryki Zachodniej od Sierra Leone aż po Kamerun. Jest dobrze znane zwłaszcza nad Zatoką Gwinejską, w Kalabarze i u ujścia Nigru. Właśnie z tamtych terenów uprowadzano niewolników, którzy trafiali na plantacje Nowego Świata i stali się przodkami dzisiejszych mieszkańców Haiti.

Krótki przegląd literatury etnograficznej wykazał, że w XVIII wieku francuscy właściciele plantacji z Saint-Domingue (tak wówczas nazywało się Haiti) byli bardzo wybredni, gdy przychodziło im kupować niewolników.

Praca na wyspie oznaczała niekończący się krwawy koszmar. Ze względu na wysoką śmiertelność „importowano” ogromną liczbę niewolników, przy czym kupowanie dorosłych opłacało się bardziej niż wychowywanie ich od małego. W ciągu zaledwie jedenastu lat – między rokiem 1779 a 1790 – statki kursujące z afrykańskiego wybrzeża między Sierra Leone a Mozambikiem dostarczyły na Saint-Domingue około czterystu tysięcy ludzi. Niewolnicy pochodzili z najprzeróżniejszych zakątków Afryki, ale właściciele plantacji mieli pewne preferencje. Cenili choćby Senegalczyków, którym przypisywali silny zmysł moralny i małomówność, natomiast ludzi z Sierra Leone, Złotego Wybrzeża i Wybrzeża Kości Słoniowej uważali za upartych, skłonnych do buntu lub ucieczki. Przedstawiciele grupy etnicznej Ibo z południowej części Wybrzeża Niewolniczego (czyli z terytorium dzisiejszej Nigerii) pracowali dobrze, lecz często popełniali samobójstwo. Właściciele cenili również niewolników z Konga i Angoli. Największą popularnością cieszyli się jednak ludzie z Wybrzeża Niewolniczego i dlatego właśnie tam koncentrował się europejski handel niewolnikami. W Dahomeju kondycja gospodarki zależała od corocznych wypraw przeciwko sąsiadom i liczby schwytanych ludzi. Ofiary – na przykład Nago, Mahi i mieszkańców Ardry – przewożono w dół Nigru. Następnie wpadały w ręce osławionego plemienia handlarzy: Efików z Kalabaru.

Efikowie pierwotnie zajmowali się rybołówstwem, ale ponieważ zamieszkiwali tereny u ujścia Nigru, zyskali przewagę w okrutnej rywalizacji o niewolników. Ze względu na dominujące prądy i wiatry wszystkie statki wracające do Europy lub Ameryk ze Złotego Wybrzeża i Wybrzeża Kości Słoniowej musiały udać się na Wybrzeże Niewolnicze. Tym samym trafiały na terytorium Efików. Wykazali się oni ogromną chciwością i wspierali Europejczyków, korzystając z dostarczanej przez nich broni, dzięki czemu zapewnili sobie kontrolę nad handlem niewolnikami. Nazwa tej grupy pochodzi zresztą od słowa z języka ibibio-efik, oznacza „uciskać” i została jej nadana przez sąsiednie ludy mieszkające w dole rzek Calabar i Krzyżowej, które z powodu poczynań Efików nie mogły nawiązać bezpośrednich kontaktów z białymi handlarzami.

Efikowie twardo negocjowali z Europejczykami. Domagali się pożyczek, regularnie otrzymywali od nich cenne towary: sól, tekstylia bawełniane, żelazo, mosiądz i miedź o wartości tysięcy funtów szterlingów. Europejczycy musieli też płacić specjalne cło za przywilej handlowania z wodzami ludu. Niektóre statki stały na kotwicy u wybrzeża prawie rok, lecz załodze zabraniano zejścia na ląd. Pozostawało tylko czekać, choćby i miesiącami, aż

Efikowie dostarczą żywy towar.

Na czele każdej większej osady Efików stał *obong*, czyli wódz, który egzekwował posłuszeństwo wobec prawa, pełnił funkcję mediatora w sporach i stawał na czele wojowników podczas wojny. Istniał też jednak drugi, bodaj bardziej wpływowy ośrodek władzy, czyli tajne stowarzyszenie Ekpe – Stowarzyszenie Lamparta. Miało ono hierarchiczną strukturę, w jego skład wchodzili wyłącznie mężczyźni, którzy zajmowali określone pozycje. Z każdą pozycją wiązał się inny strój. Ekpe i władze świeckie były instytucjonalnie rozdzielne, lecz w praktyce i tu, i tu spotykało się te same wpływowe osoby. Tajemnicze Ekpe budziło powszechny lęk. Jego członkowie chętnie to wykorzystywali.

Tajna rada, w której skład wchodziła starszyzna wioskowa, stanowiła najwyższą władzę sądowniczą. Dzięki swoim przedstawicielom w owej radzie Stowarzyszenie Lamparta mogło ustanawiać i egzekwować prawa, rozstrzygać co ważniejsze spory, ściągać długi i chronić dobytek członków. Wprowadzało też rozmaite sankcje: nakładało grzywny, zakazywało niektórym ludziom prowadzenia działalności handlowej, konfiskowało majątki, zasądzało aresztowania. Poważne zbrodnie karano śmiercią przez dekapitację lub przywiązanie ofiary do drzewa i obcięcie jej żuchwy.

Trybunał Stowarzyszenia orzekał o winie lub niewinności człowieka dzięki szczególnego rodzaju rytuałowi. Oskarżony musiał wypić toksyczny napój przyrządzony z ośmiu nasion bobotrutki kalabarskiej zmiażdżonych i wymieszanych z wodą. W takiej dawce fizostygmina poraża układ nerwowy i powoduje postępujący paraliż od stóp do pasa, a ostatecznie utratę kontroli nad mięśniami, co prowadzi do śmierci przez uduszenie. Po wypiciu trucizny oskarżony musiał stać prosto przed sędziami i czekać, aż toksyna zadziała. Następnie kazano mu podejść do linii nakreślonej na piasku kilka metrów od niego. Jeśli miał szczęście i zwymiotował truciznę, uznawano go za niewinnego i puszczano wolno. Jeśli nie zwymiotował, ale i tak zdołał dojść do linii, również znaczyło to, że jest niewinny. Wówczas szybko podawano mu napój sporządzony z ekskrementów wymieszanych z wodą, w której kobieta wcześniej obmyła swoje genitalia.

Ponieważ jednak bobotrutka kalabarska jest niezwykle toksyczna, w większości przypadków oskarżony umierał potworną śmiercią. Jego ciało wiło się w konwulsjach, z nosa wypływał śluz, szczęka trzęsła się boleśnie. Po wszystkim kat wyłupywał zmarłemu oczy i porzucał nagie zwłoki w lesie.

W późniejszych latach na terytoriach ludu Efik nieustannie przebywały

całe rzesze ludzi dopiero co wziętych do niewoli. Za utrzymanie porządku i dyscypliny odpowiadali między innymi członkowie Ekpe. Podczas długich tygodni, a nawet miesięcy oczekiwania na transport do Ameryki niewolnicy słyszeli zapewne o straszliwych torturach z użyciem bobotrutki kalabarskiej. Wielu z nich prawdopodobnie doświadczyło jej działania.

*

Hipoteza zdawała się bardzo ekscytująca. Z bielunia pozyskiwano niezwykle silną substancję psychoaktywną, znaną i powszechnie stosowaną w Afryce również przez ludy, których przedstawiciele trafili na Haiti. Bobotrutka kalabarska, antidotum na bieluń, pochodziła z tego samego regionu. Wiedza o jej działaniu niemal na pewno dotarła na drugą stronę Atlantyku. Afrykańskie gatunki bielunia występują dziś powszechnie na Haiti. Nie dysponowałem co prawda żadnymi informacjami, z których wynikałoby, że rośnie tam również bobotrutka kalabarska, lecz łupiny jej nasion są bardzo twarde, toteż mogły bez trudu przetrwać podróż morską. Żyzne ziemie Saint-Domingue z pewnością zapewniłyby im znakomite warunki rozwoju.

Po zaledwie jednym dniu w bibliotece miałem konkretny trop, ostrożną hipotezę, do której pasowały wszystkie, skądinąd nieliczne, znane mi fakty na temat zombie. Niewolnicy przynieśli na Saint-Domingue wiedzę o farmakologicznych właściwościach dwóch interesujących mnie afrykańskich roślin. Następnie używali tych roślin do nowych celów lub zaadaptowali stare praktyki magiczne. Powstały trucizny stanowiące fundament współczesnej wiary w zombie. Moja hipoteza kalabarska opierała się wyłącznie na domysłach, ale przynajmniej miałem od czego zacząć. Teraz należało zabrać się do szukania innych pomysłów i gromadzenia nowych informacji, by wreszcie wyjaśnić niezwykłą tajemnicę.

Prosta i elegancka hipoteza, od której zacząłem, okazała się nietrafna, lecz i tak miałem z niej pożytek. To właśnie dzięki niej zająłem się tajnymi stowarzyszeniami ludu Efik, co ostatecznie okazało się kluczem do rozwikłania zagadki zombie.

4

Biała ciemność i żywe trupy

Przyjechałem na Haiti w kwietniu 1982 roku, uzbrojony wyłącznie w swoją ostrożną hipotezę i namiary na Lamarque'a Doyouna, psychiatrę z Port-au-Prince, w którego klinice przebywał Clairvius Narcisse. Ponadto dziennikarze BBC poradzili mi, żebym porozmawiał z Maxem Beauvoirem, poważanym przedstawicielem haitańskiej elity i specjalistą w zakresie religii vodoun, oraz Marcelem Pierre'em, hounganem, czyli kapłanem vodoun, od którego dziennikarze otrzymali próbkę rzekomej toksyny. Jeden z korespondentów określił Pierre'a mianem „zła wcielonego".

Gdy mój samolot schodził do lądowania, zrozumiałem sens starej anegdoty o Kolumbie, któremu królowa Izabela kazała opisać Hispaniolę (tak wówczas nazywano Haiti). Odkrywca wziął kawałek papieru, zmiął go w dłoni i rzucił na stół. „Oto Hispaniola", powiedział.

Kolumb przypłynął na Haiti z San Salwadoru. Tamtejsi mieszkańcy karmili go nęcącymi opowieściami o górskiej wyspie, gdzie woda w rzekach jest żółta z powodu osobliwych miękkich kamyków. Odnalazł zatem upragnione złoto, przede wszystkim jednak zorientował się, że trafił do tropikalnego raju. Zachwycony pisał do swojej królowej, że nigdzie pod słońcem nie ma tak żyznych ziem, wolnych od wszelkiej zarazy. Rzeki były tu wręcz niezliczone, wysokie drzewa sięgały nieba. Chwalił miejscowych Arawaków, nazywał ich dobrymi i szczodrymi ludźmi, prosił więc władczynię, by zechciała objąć ich ochroną. Tak też uczyniła. Hiszpanie przynieśli na Haiti europejską cywilizację i w ciągu zaledwie piętnastu lat liczba rdzennych mieszkańców wyspy spadła z pół miliona do sześćdziesięciu tysięcy. Kolonialna pazerność spowodowała też intensywną wycinkę lasów. Znikały gwajakowce lekarskie, mahoniowce, sosny i drzewa należące do rodzaju dalbergia, delikatne tropikalne gleby zmieniły się w piasek, rzeki poczerniały. Gdy patrzyłem z samolotu na jałowe zbocza, na suchy, zniszczony krajobraz, przybycie Europejczyków na wyspę czterysta lat temu skojarzyło mi się z nadejściem plagi szarańczy.

Stolica, Port-au-Prince, leżała rozciągnięta na gorącej, tropikalnej równinie na krańcu zatoki, ponad którą z dwóch stron wznosiły się potężne góry. Za tymi górami rosły kolejne; rodziło to iluzję ogromnych, pustych

przestrzeni, lecz przeczyły jej statystyki dotyczące gęstości zaludnienia. W kraju o powierzchni zaledwie dwudziestu pięciu tysięcy kilometrów kwadratowych żyło sześć milionów ludzi. Port-au-Prince, rozległa plątanina domów i ulic, zdawało się z początku krainą wiecznego, chaotycznego karnawału. Widziałem wszechobecne sznury z rozwieszonym praniem w nabrzeżnych slumsach, niedokończone, trędowate pomniki, wianowłostki rosnące wzdłuż ulic, czułem smród ryb, potu, ekskrementów i popiołu. Budynki rządowe były okazałe i imponujące, pałac prezydencki lśnił bielą tak jasną, że wydawał się wręcz nie z tego świata. I jeszcze krzyki i jęki dobiegające z targowisk, hałaśliwy warkot rozklekotanych silników, gryzący zapach dieslowskich spalin. Tego rodzaju nędzę i wspaniałość spotkać można w każdej stolicy w krajach rozwijających się. Jednak wjeżdżając pierwszy raz do Port-au-Prince, dostrzegłem coś jeszcze. Ludzie na ulicach dumnie płynęli, zamiast iść. Byli piękni. Zdawali się weseli, beztroscy, dziarscy. Popołudniowy deszcz dopiero co obmył miasto i nabrało ono teraz łobuzerskiego uroku. W powietrzu krążyła naga, pierwotna energia. Nigdy dotąd podczas podróży po obu Amerykach nie poczułem niczego podobnego. Choć potem, w trakcie długich miesięcy pobytu na Haiti, odbierałem ją jakimiś tajemniczymi zmysłami, potrzebowałem wiele czasu, by ją zrozumieć. Tamtego dnia w drodze z lotniska zyskałem zaledwie drobną wskazówkę. Oto w słońcu późnego popołudnia zobaczyłem człowieka, najzupełniej zdrowego na umyśle i niezmiernie szczęśliwego, który na ulicy tańczył ze swoim własnym cieniem. Podobne sceny widziałem później nie raz.

*

Zameldowałem się w hotelu Ollofson, filigranowej rezydencji oplecionej bugenwillą, gdzie czuło się atmosferę tej dawno zapomnianej epoki, kiedy Stany Zjednoczone okupowały Haiti. Zostawiłem bagaż w recepcji i od razu wyruszyłem w odwiedziny do Maxa Beauvoira, mieszkającego w Mariani, na południe od stolicy. Czekała mnie podróż szaleńczo rojną szosą Carrefour. Szedł tędy cały ruch na prowincję i tak naprawdę nie była to droga, ale gromadne wydarzenie rozciągnięte na kilkukilometrowym odcinku: całe życie miasta i wszystkie jego dramaty skupiały się tu jak w soczewce. Mój kierowca okazał się wyznawcą wolnoamerykanki i gnał na złamanie karku, wymijając dokerów zgiętych wpół pod ciężarem brył lodu, worków z węglem, ryb, mebli. Ze wszystkich stron pędziły ku nam kolorowe tap tapy, haitańskie autobusy wypełnione po brzegi rozgadanymi pasażerami oraz ich

dobytkiem, które co chwila zjeżdżały na pobocze, by zabrać kogoś jeszcze. Władcze *marchandes* zachwalały swój towar przed sklepami, rzemieślnicy wycinali klapki ze starych opon lub kuli żelazne pręty, by przerobić je na kawałek zawieszenia samochodowego. Na każdym kroku widziałem dominikańskie dziewczyny w obcisłych ubraniach z wiskozy wystające w drzwiach obrośniętych kaladium. Była to brudna, pełna życia, hałaśliwa ulica. Stojące przy niej domy zdawały się wspinać jeden na drugi, by przyciągnąć uwagę przejezdnych.

Za cmentarzem pełnym pobielanych grobów zaczynał się otwarty teren, więc pierwszy raz poczułem pobliskie morze. Przejechaliśmy jeszcze trzy kilometry i w miejscu, gdzie góry dotykały wody, mój kierowca skręcił w niewielki gaj.

Przy bramie powitał mnie służący i poprowadził przez urzekająco piękny ogród ku niewielkiemu budynkowi z dala od głównego domu. Max Beauvoir już tam na mnie czekał. W budyneczku znajdowała się nieco przykurzona kolekcja amuletów i dzieł sztuki afrykańskiej. Beauvoir od razu zrobił na mnie wrażenie. Był wysoki, wytworny i przystojny, władał kilkoma językami, zaczął od przepytania mnie na temat mojej dotychczasowej pracy, badań naukowych, które przeprowadziłem, i planów dotyczących pobytu na Haiti. Przedstawiłem mu swoją wstępną hipotezę na temat toksyn służących do zmieniania ludzi w zombie.

– Załóżmy, że uda się panu spotkać jakichś zombie – powiedział Beauvoir. – Czy nie będzie się pan z nich śmiał?

– Sam nie wiem. Być może tak jak śmieję się z własnego nieszczęścia.

– Słowa godne prawdziwego Haitańczyka. – Beauvoir pokiwał głową. – O tak, śmiejemy się z własnych nieszczęść, ale innym na to nie pozwalamy. – Zawahał się przez moment i zaciągnął papierosem. – Obawiam się, że długo będzie pan szukał trucizny, panie Davis. To nie toksyna zmienia człowieka w zombie, ale bokor.

– Bokor?

– Kapłan, który pracuje lewą ręką – odparł enigmatycznie. – Ale to fałszywe rozróżnienie. Na swój sposób każdy z nas, hounganów, jest bokorem. Houngan musi poznać zło, by z nim walczyć. Natomiast bokor musi otworzyć się na dobro, gdyż w przeciwnym razie nie zdoła go zmącić. Wszystko się ze sobą wiąże. Bokor, który zna magię, zdoła zmienić w zombie każdego, nawet cudzoziemca lub Haitańczyka przebywającego za granicą. Ja zaś potrafię uleczyć ofiarę, jeśli tylko zechcę. To nasza siła, nasza najważniejsza obrona. Moje słowa są jednak daremne. Tu, na tej ziemi, nic

nie jest takie, jakie się wydaje.

Odprowadził mnie do samochodu. Wymieniliśmy trochę uprzejmości, lecz Beauvoir nie podzielił się ze mną żadną wiedzą, która mogłaby mi pomóc. Skoro jednak ujawnił, że jest hounganem, kapłanem vodoun, zaprosił mnie, bym wrócił wieczorem i obserwował ceremonię, którą zamierzał odprawić. Na terenie posiadłości miał bowiem *hounfour* – świątynię, sanktuarium, kaplicę.

Max Beauvoir co wieczór odprawiał komercyjną ceremonię vodoun. Każdy mógł przyjść; turyści płacili za wstęp po dziesięć dolarów od osoby. Pieniądze szły na utrzymanie rodziny Beauvoira i świty trzydziestu osób, które dla niego pracowały. Zjawiłem się na miejscu koło godziny dwudziestej drugiej. Zaprowadzono mnie na *peristyle*[2], gdzie zobaczyłem stoliki rozstawione w półkole. Beauvoir zaprosił mnie, bym się do niego dosiadł. Kelner przyniósł mi drinka. Zachęcony przez gospodarza, przyglądałem się zebranym osobom tworzącym bardzo różnorodną mieszankę: francuskim marynarzom, rozmaitym Haitańczykom, profesorowi antropologii z Mediolanu, dwóm dziennikarzom oraz grupie misjonarzy z Ameryki. Rozległ się dźwięk grzechotki i Beauvoir polecił mi skupić uwagę na świątyni.

Dziewczyna w białej szacie – *hounsi*, czyli nowicjuszka w świątyni – wyłoniła się z ciemności i weszła do *peristyle*, zrobiła piruet najpierw w jedną, potem w drugą stronę, następnie postawiła na ziemi świecę i ją zapaliła. Potem pojawiła się *mambo*, kapłanka vodoun, która powtórzyła te same gesty. Z trzymanego w dłoniach glinianego dzbana wyjęła nieco kaszy kukurydzianej i użyła jej do narysowania na ziemi świętego symbolu. Beauvoir wyjaśnił mi, że to *vévé*, znak jednego z *loa*, czyli ducha, którego zamierzała wezwać kapłanka. *Mambo* wzięła naczynie z wodą, najpierw obeszła z nim *peristyle*, zwracając się w cztery strony świata, a następnie wylała wodę na słup stojący w centrum – *poteau mitan*. Wyznaczał on oś, wzdłuż której miały tu przyjść duchy. Libację uczyniono też przy wejściu do świątyni i przy każdym z trzech bębnów. Wtedy *mambo* z werwą wprowadziła wszystkie nowicjuszki do *peristyle*, powiodła je wokół centralnego słupa w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Wszystkie klęknęły przed Beauvoirem. Houngan wziął *asson*, czyli grzechotkę, i odmówił modły, wyrecytował litanię, wymieniając w hierarchicznym porządku duchy z panteonu vodoun. Przemawiał w starym języku używanym podczas rytuałów i poczułem, że oto mam kontakt

z tajemniczą, odwieczną tradycją.

Rozbrzmiały bębny. Najpierw usłyszałem przenikliwe staccato *cata*, najmniejszego z nich, w który bito dwiema długimi, cienkimi pałeczkami. Wkrótce potem dołączył *seconde* i wreszcie rozległo się dudnienie grzmotu, jak gdyby brzuch ziemi miał za chwilę pęknąć. Był to *maman*, największy z trzech bębnów. Każdy instrument miał swój własny rytm i własny rejestr, ale razem tworzyły zdumiewająco spójną muzykę zdolną owładnąć zmysłami. Głos *mambo* rozdarł noc, coraz donośniej przyzywał duchy, tymczasem bębniarze bez ustanku wybijali potężne dźwięki. Palmy w górze zdawały się kołysać w ich rytm.

Nowicjusze tańczyli na dziedzińcu jak jedna istota. Każdy *hounsi* pozostawał anonimowy, zamknięty w sobie, odwrócony od widowni i od bębniarzy. Taniec nie miał charakteru alegorycznego, nie był też wystudiowany ani elegancki, stanowił raczej frontalny atak przeciwko wszystkim siłom natury. Ów taniec potrząsanych ramion i rąk, płasko stawianych stóp powtarzających raz po raz zwodniczo proste kroki wyrażał zdecydowanie, celowość i trwałość. Trwał czterdzieści minut. Nagle bęben *maman* wyrwał się ze wspólnego rytmu, zaczął wygrywać synkopowany, nierówny kontrapunkt. Dawało to wrażenie okrutnej pustki, straszliwej bezbronności. Jedna z nowicjuszek zastygła. Bęben bił nieubłaganie, wymierzał jej potężne ciosy, wprawiając kręgosłup w rezonans. Z każdym uderzeniem kobieta się wzdrygała. Nie odrywając jednej stopy od ziemi, jak gdyby wrosła w nią korzeniami, wirowała, kręciła spazmatyczne piruety i zaraz zaczęła miotać się po całym *peristyle*, potykała się, upadała, próbowała chwytać się rękami czego popadnie, młóciła powietrze ramionami, chwilami odzyskiwała panowanie nad sobą, lecz nieprzerwany rytm natychmiast ponownie ją opętywał. Z tą falą dźwięków przybył duch. Gwałtowne ruchy kobiety ustały. Pomału uniosła twarz ku niebu. Dosiadł jej boski jeździec, zawładnął nią jeden z *loa*, których przywołaniu służyła ta ceremonia.

Zjeździłem kawał Amazonii, ale nie widziałem tam obrzędu o tak ogromnej surowej sile. Nic nie mogło równać się z opętaniem vodoun. Nowicjuszka, drobna kobieta, biegła po dziedzińcu, bez trudu podnosiła do góry potężnych mężczyzn i potrafiła zakręcić nimi, jakby byli małymi dziećmi. Chwyciła kieliszek i wgryzła się w niego, połykała kawałki szkła, resztę wypluła. *Mambo* podała jej żywego gołębia. Wtedy *hounsi* złamała mu skrzydła i rozerwała jego szyję zębami, by złożyć go w ofierze. Duchy

najwyraźniej były chciwe, bo wkrótce potem kolejna para *hounsis* została opętana i przez pół godziny na dziedzińcu panowało istne pandemonium. *Mambo* biegała w tę i we w tę, rozlewała rum, czyniła libacje z wody i clairinu, prowadziła duchy, potrząsając *asson*. Bębny biły i biły. Aż wreszcie duchy odeszły – równie nagle, jak się pojawiły. Opętane *hounsis* jedna po drugiej zapadły się w siebie. Ich wycieńczone ciała zaniesiono z powrotem do świątyni. Zerknąłem na Beauvoira i na gości. Niektórzy zaczęli nerwowo bić brawo, inni wyglądali na kompletnie zdezorientowanych i niepewnych, jak się zachować.

Wkrótce się okazało, że to dopiero początek niezwykłej nocy. Beauvoir wyjaśnił nam, że czekają nas kolejne ceremonie. Na razie ujrzeliśmy rytuały ku czci Rada wywodzące się bezpośrednio z kultu bóstw Dahomeju. Na Haiti bóstwa z grupy Rada symbolizowały trwałą więź emocjonalną z Afryką i z nowym krajem. W rejonie Port-au-Prince oddawano również cześć Petro, nowemu panteonowi bóstw zrodzonych tu, na Haiti, w epoce kolonialnej, w czasach krwi i stali. Wyrażają one wściekłość, przemoc i szaleństwo, dzięki którym tutejszemu ludowi udało się zrzucić kajdany niewolnictwa. Rytm bębnów i rytm tańca są zupełnie odmienne. O ile podczas przywoływania bóstw Rada bębny biją równo, o tyle kiedy przywołuje się Petro, pojawia się rytm ostry, zaburzony, bezlitosny, przywodzący na myśl trzaskanie z bicza.

Duchy znów przybyły, tym razem wyłoniły się z ognia płonącego u podstawy *poteau mitan*. Jeden z *loa* okrutnie dosiadł *hounsi*. Jej ciało się trzęsło, mięśnie spinały, nagły spazm wygiął cały jej kręgosłup. Padła na kolana przed ogniem, wydała z siebie okrzyk w prastarym języku, potem zaczęła wirować, zataczała coraz mniejsze kręgi dokoła *poteau mitan* i upadła prosto w ogień. Leżała w płomieniach przez niewyobrażalnie długą chwilę i naraz odskoczyła, rozrzucając po całym *peristyle* popiół i rozżarzone węgielki. Spojrzała w ogień i zaskrzeczała niczym kruk. Złapała w każdą dłoń kawałek płonącego węgla i mocno uderzyła nimi o siebie. Jeden odrzuciła, drugi zaczęła lizać łapczywym językiem, łykała ogień, wreszcie chwyciła zębami rozżarzony kawałek węgla wielkości jabłka. Znów zaczęła wirować, trzykrotnie okrążyła *poteau mitan* i padła w ramiona *mambo*. Nadal trzymała w ustach gorący węgiel.

Ceremonia dobiegła końca, część widzów stłoczyła się wokół Beauvoira, by zadawać mu pytania. Podszedłem do ognia, który palił się u stóp *poteau mitan*, i poczułem jego żar. Za pomocą dwóch kawałków drewna uniosłem

płonący kawałek węgla.

– Jest pan zaskoczony.

Odwróciłem się. Stała przede mną jedna z *hounsis*, jej biała sukienka nadal była mokra od potu.

– Tak, to doprawdy zdumiewające.

– *Loa* są silne. Ogień nie może ich skrzywdzić.

Odeszła do stolika Beauvoira, poruszała się tak, jak gdyby nadal nie przestała tańczyć. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że mówiła doskonałą angielszczyzną. Była to Rachel Beauvoir, szesnastoletnia córka Beauvoira.

*

Po powrocie do hotelu miałem wrażenie, że nie było mnie tu przez wiele dni. Panowała teraz zupełnie inna atmosfera. Za dnia hotel Ollofson z wieżyczkami, kopułami i koronkowymi balustradami wyglądał jak fantazja cukiernika, jak biały pałac, piękny i delikatny, choć zarazem był tak wiekowy i zaniedbany, że cała konstrukcja nie rozlatywała się chyba wyłącznie dzięki grubym warstwom farby. Z kolei późnym popołudniem wydawał się opuszczony. Belki stropowe spęczniały od wilgotnego, gorącego powietrza, z powodu nadciągającej burzy panowała duchota. Nieco wcześniej spadł potężny deszcz – codziennie przetaczał się on przez tropikalną równinę, na której leżało Port-au-Prince – i obmyta fasada hotelu lśniła ciepłem i pięknem pośród delikatnego zmierzchu. Teraz, w nocy, w słabym świetle księżyca owiniętego całunem chmur, hotel był ponurą ruiną, porzuconą, zarośniętą. Gapił się w miasto oknami pozbawionymi szyb, jego bramę oplotły pnącza, zapuszczony ogród zupełnie zdziczał.

Usiadłem na werandzie, zbyt podniecony, by zasnąć. Próbowałem poukładać sobie w głowie to, co właśnie widziałem. Mój wzrok nie kłamał: kobieta w stanie transu przez trzy minuty trzymała w ustach bryłkę rozżarzonego węgla. Ba, robiła to każdego wieczoru. W jakich jeszcze religiach wyznawcy dowodzą swojej wiary, wystawiając się na działanie ognia? W São Paulo w Brazylii setki Japończyków świętują urodziny Buddy, stąpając po gorących węglach, których temperatura przekracza trzysta pięćdziesiąt stopni Celsjusza. Turyści odwiedzający Grecję chętnie podziwiają ludzi z wioski Ayía Eléni, którzy chodzą po rozżarzonych węglach, gdyż wierzą, że święty Konstantyn zapewnia im ochronę. Podobne rytuały odprawia się w Singapurze i w wielu innych miejscach na Dalekim Wschodzie. Naukowcy starali się wytłumaczyć, jak to możliwe, że ludzie

unikają potwornego bólu, przy czym niektóre z tych wyjaśnień brzmią dość rozpaczliwie. Najczęściej przywołuje się tak zwane zjawisko Leidenfrosta. To właśnie za jego sprawą krople wody tańczą na rozgrzanej patelni. Według tej hipotezy między gorącym węglem a stopami człowieka, który po nim stąpa, tworzy się cienka ochronna warstwa pary. Owo wyjaśnienie raczej mnie śmieszy. Co innego kropla wody na patelni, a co innego kawałek węgla w ustach. Gdybym przyłożył sobie do języka rozżarzony koniec papierosa, na pewno bym się poparzył. Zdarzyło mi się przebywać w indiańskich szałasach potu, gdzie temperatura sięga stu stopni Celsjusza. Nauczyłem się wówczas, że tego rodzaju próbę można wytrzymać tylko dzięki skupieniu oraz dzięki podążaniu za wskazówkami szamana. Po tym, co zobaczyłem u Beauvoira, wszelkie hipotezy, które nie uwzględniały takich czynników jak umysł, świadomość i wiara, wydały mi się zupełnie bezsensowne. *Hounsi* bez wątpienia przeniosła się do świata duchów. Najbardziej zdumiewała mnie łatwość, z jaką jej to przyszło. Zgromadzona wiedza i moje dotychczasowe doświadczenia nie pozwalały mi zracjonalizować tego, co właśnie ujrzałem, ani o tym zapomnieć.

– A ty, *mon cher*, po co tu przyjechałeś?

Zaskoczony, odwróciłem się i ujrzałem chudego człowieka odzianego w lnianą szatę dobrej jakości, który przycupnął na skraju werandy niczym ptak. W prawej ręce trzymał laskę z kości słoniowej ozdobioną srebrem.

– Pewnie dziennikarz, prawda? Którą z wielu twarzy tej ziemi zobaczysz? Czy zobaczysz nędzę i cierpienie? Czy nazwiesz je prawdą?

Powoli przeszedł przez werandę i z gracją rozsiadł się w wiklinowym fotelu, po czym założył nogę na nogę. Drewniany wiatrak obracał się pomału pod sufitem, podkładając rytm pod słowa nieznajomego. Dziwny człowiek sprawiał wrażenie cokolwiek szemranego, a zarazem był całkiem interesujący, tak jak interesująca bywa karykatura. Gdy znów się odezwał, w jego głosie brzmiał smutek.

– Moim krajem, moją piękną ojczyzną, rządzą głupcy. Patrz, jak zjeżdżają tu z gór w swoich srebrnych samochodach, jak kurczowo trzymają tekowe kierownice. *Mon cher*, każdy z nich ma uśmiech satyra, który zdeflorował cały naród.

Słowa te sugerowały, że nieznajomy jest pijany, ale w jego oczach nie dostrzegłem alkoholowej mgły.

– Może poznasz inne Haiti, jeśli tylko wytrzymasz i nie odwrócisz wzroku. Jesteśmy narodem trojga. Żyją tu bogaci, biedni i żyję ja. Wszyscy zapomnieliśmy, co to znaczy płakać. Nasza okropna przeszłość została

zapomniana niby zły sen, nieprzyjemny epizod.

Wstałem i ruszyłem w stronę swojego pokoju.

– Widzę, że cię nastraszyłem. Najmocniej przepraszam – powiedział nieznajomy.

Pożegnałem się z nim i opuściłem werandę. Nieznajomy przyglądał mi się w wyblakłym lustrze.

*

Następnego dnia obudziłem się dość wcześnie i postanowiłem pojechać na północ do miasta Saint Marc, by odszukać Marcela Pierre'a, houngana, który dostarczył dziennikarzom BBC próbkę rzekomej toksyny zombie. Zanim wyruszyłem, zatelefonował do mnie Beauvoir. Opowiedziałem mu o swoich planach i wtedy zaproponował, że wyśle ze mną Rachel, by tłumaczyła moje rozmowy.

Spotkaliśmy się na werandzie hotelu. Rachel miała na sobie bawełnianą sukienkę, której kolorowe wzory zlewały się niczym akwarele, kiedy wchodziła po alabastrowych schodach.

Miałem trochę doświadczenia w jeżdżeniu po Ameryce Środkowej i Południowej, ale podróż wzdłuż wybrzeża Haiti dostarczyła mi zupełnie nowych wrażeń. Najpierw mijaliśmy doki i tamtejsze ciemne slumsy. W oddali widziałem statki wycieczkowe. Mężczyźni z nogami jak kowadła ciągnęli rozklekotane wózki wyładowane zakrwawionymi skórami wołowymi. Za miastem droga biegła pośród bujnych pól trzciny cukrowej przez nizinę Cul de Sac, docierała do łańcucha górskiego Matheux i skręcała ku morzu. Nieco dalej, wśród domów z gliny krytych liśćmi palmowymi i betonowych grobowców, wśród ludzi o smukłych ciałach i rowerzystów jadących poboczem, poczułem się nieco jak w Afryce. Rozmaite płody tej zaskakująco żyznej ziemi noszono na głowie: widziałem transportowane w ten sposób koszyki pełne bakłażanów i zielonych warzyw, pęczki drewna na opał i trzciny, stoły, trumny, worki węgla, wiadra z wodą oraz najprzeróżniejsze szare zawiniątka o nieokreślonej zawartości. Wynikało to z nawyku i z konieczności. Haitańczycy dumnie, z pewnym zadowoleniem rzucali wyzwanie prawom grawitacji. Przy drodze, w cieniu miodli, można było podziwiać bieg wiejskiego życia.

Cieszyłem się, że towarzyszy mi Rachel. Zachowywała się jak dziecko puszczone wolno w wesołym miasteczku i z entuzjazmem zwracała moją uwagę na rozmaite rzeczy, których sam bym nie dostrzegł, a już na pewno

bym nie zrozumiał. Różne przygodne drobiazgi składała w całość. Sama zresztą wydawała mi się mieszanką różnych osób. Poprzedniego wieczoru siedziałem na dziedzińcu oszołomiony magią, którą odprawiała wraz z innymi *hounsis*. Teraz, kiedy zaczęliśmy rozmawiać – oboje natychmiast się rozgadaliśmy – dowiedziałem się, że była również uczennicą anglojęzycznej szkoły średniej. Urodziła się w Stanach Zjednoczonych i dziesięć lat życia spędziła w Massachusetts. Po powrocie na Haiti rodzina postanowiła zapewnić jej szansę dostania się na dobry uniwersytet, więc posłano ją do prywatnej szkoły dla dzieci dyplomatów.

Jechaliśmy na północ, żeby zdobyć nieco trucizny od Marcela Pierre'a, a nasza rozmowa przeskakiwała z tematu na temat: najpierw trochę o zombie, potem o albumach pamiątkowych na zakończenie roku szkolnego, o uczniowskich balach, rekrutacji na studia i o *loa*. Nie wiem, czy Rachel zdawała sobie sprawę, jak dziwne było dla mnie to wszystko. Może miała podobne wrażenia?

– Czym się zajmujesz? – spytała w pewnym momencie.

– Głównie etnobotaniką.

– Co to takiego?

– Coś pomiędzy antropologią a biologią. Próbujemy odkrywać rośliny, które mogą mieć zastosowanie medyczne.

– Udało ci się jakąś znaleźć?

– Nie – zaśmiałem się.

– Chciałabym studiować antropologię. Albo literaturę. Ale antropologia bardziej mi pasuje.

– Mnie też. Człowiek prędzej czy później się męczy, jeśli nie robi nic oprócz czytania książek.

– No, ja już się tym zmęczyłam. – Patrzyła przez szybę na zbocza gór majaczących ponad nabrzeżną drogą. – Gdzieś tu w tej okolicy przyjaciel mojego ojca zobaczył ognistą kulę wylatującą z jaskini – powiedziała.

*

W Saint Marc panował bezruch. Biały żar południowego słońca sprawiał, że nawet psy nie miały ochoty wałęsać się między domami. Nad każdą z długich, zakurzonych ulic unosiła się bezbarwna, jaśniejąca mgiełka. Budynki z cegły i drewna, nadgryzione zębem czasu, opierały się o okoliczne wzgórza, szorstkie, pozbawione roślinności i jakiegokolwiek wyrazu, ciągnące się kilometrami aż do odległych gór uwięzionych na

horyzoncie.

Tak się składało, że burmistrzynią Saint Marc była ciotka Rachel, nie potrzebowaliśmy jednak jej pomocy, by odszukać Marcela Pierre'a – wszyscy dobrze go tu znali. Mechanik pokierował nas do baru i sklepu z tekstyliami i artykułami gospodarstwa domowego na północy miasta, w dzielnicy zwanej Bramą Os. Bar nosił nazwę Orzeł, Marcel Pierre był jego właścicielem. Na tyłach lokalu znajdował się zbudowany przez Pierre'a *hounfour*.

W ciemnym wejściu do baru stała Dominikanka, oparta o szafę grającą, najwyraźniej obojętna na dźwięki wydawane przez to urządzenie. Rachel przywitała się z nią i kobieta zaprowadziła nas do stolika na tarasie. Potem odwróciła się i odeszła, roztaczając kwaśny zapach tanich perfum. Oboje uznaliśmy, że muzyka jest nieznośna, więc przenieśliśmy się do środka. Na tyłach pomieszczenia znajdowały się ciemne, obskurne kabiny ze słomianą matą na podłodze i z numerem na drzwiach wypisanym koślawymi cyframi. Z sufitu zwisała naga żarówka. Wyobraziłem sobie to miejsce w nocy: labirynt ciasnych cel, w każdej z nich miękkie, posłuszne ciało.

Pojawił się mały chłopiec i po krótkiej wymianie zdań z Rachel wyprowadził nas tylnymi drzwiami. Minęliśmy kilka niewielkich domków i bramę z pordzewiałej blachy prowadzącą do *hounfour*. Chłopiec zastukał trzykrotnie, po chwili Marcel Pierre wyłonił się ze swojej świątyni. Towarzyszyła mu kobieta, niska i ospała, on zaś był wysoki, miał sprężyste mięśnie, płaską twarz ukrytą za czarnymi okularami. Ubrał się na czerwono, włożył czapkę z daszkiem, na której widniało logo producenta środków owadobójczych.

Zgodnie z tym, co ustaliliśmy podczas podróży, Rachel przedstawiła mnie jako wysłannika pewnej wpływowej grupy z Nowego Jorku, która gotowa jest szczodrze zapłacić za usługi Pierre'a, pod warunkiem że wypełni on wszystkie moje polecenia i nie będzie zadawał żadnych zbędnych pytań. Nie zrobiło to na nim wrażenia. Przyglądał się nam długo, aż poczułem niepokój. Wreszcie się odezwał, trzymając głowę sztywno, jak gdyby zwracał się do nas przez jakiegoś niewidzialnego pośrednika. Wydawał się nienaturalnie spokojny. Po chwili zrozumiałem, że interesuje go wyłącznie temat pieniędzy, a konkretnie to, ile i kiedy mu zapłacę.

Poprosiłem, żeby pokazał mi próbkę rzekomej trucizny zombie; wtedy zaprowadził nas do *bagi*, wewnętrznego sanktuarium świątyni. Większość pomieszczenia zajmował ołtarz uginający się od rozmaitych przedmiotów. Wśród kolorowych proszków, butelek rumu i wina, kart, piór i katolickich

obrazków zobaczyłem głowę lalki oraz trzy czaszki: jedną psią i dwie ludzkie. Na ścianie wisiały napęczniałe truchło rozdymki, bicz z sizalu i laska ozdobiona poziomymi listewkami z jasnego i ciemnego drewna. Marcel grzebał przez moment wśród rzeczy rozłożonych na ołtarzu, w końcu wyciągnął plastikową siatkę z fiolką po aspirynie. Następnie z butelki po keczupie wylał sobie na dłonie nieco oleistego płynu, pachnącego amoniakiem i formaldehydem, natarł nim wszystkie odsłonięte fragmenty ciała i polecił nam, abyśmy zrobili to samo. Zasłonił sobie nos i usta czerwonym płótnem, po czym ostrożnie otworzył fiolkę. Wewnątrz ujrzałem gruby jasnobrązowy proszek. Marcel odsunął się od ołtarza i spokojnym gestem odsłonił lewą część twarzy, ukazując nam plamiastą bliznę. Oznajmił, że dowodzi ona skuteczności brązowego proszku – poznał jego działanie na własnej skórze.

Zaczęły się negocjacje. Przedstawiono mi coś w rodzaju katalogu: dowiedziałem się, jaką kwotę będę musiał zapłacić za zombie, jaką za truciznę, jaką za wykopanie niezbędnych kości z cmentarza, a jaką za wszystkie te trzy rzeczy w pakiecie. Ta beznamiętna oferta nie obudziła we mnie ani podniecenia, ani nadziei, ani podejrzliwości. Co prawda spędziłem na Haiti zaledwie czterdzieści osiem godzin, ale zaczynałem sobie zdawać sprawę, że w tym surrealistycznym kraju wszystko jest możliwe. Postawiłem Marcelowi pewne warunki. Obiecałem, że zapłacę za truciznę tyle, ile sobie zażyczy, pod warunkiem że będę mógł obserwować cały proces zbierania roślin wchodzących w jej skład. Przez chwilę się zawahał, ale ostatecznie się zgodził. Dodałem jeszcze, że w ciągu dwudziestu czterech godzin dam mu znać, czy potrzebuję od niego czegoś więcej.

Wieczorem szczegółowo omówiłem wszystkie propozycje Marcela z Beauvoirem. Zapewniał on, że houngan potrafi uleczyć osobę zmienioną w zombie. Ta niezmącona pewność w połączeniu z moim sceptycyzmem co do tego, czy zombie w ogóle istnieją, przekonała mnie, że należy dowiedzieć się jak najwięcej na temat proszku Marcela Pierre’a. Jeśli ta trucizna okaże się interesująca, może będzie stanowiła dobry punkt wyjścia do dalszych badań.

*

Wróciliśmy do Marcela Pierre’a następnego ranka o wczesnej godzinie. Zabrał nas na miejscowy posterunek wojska, żeby wystąpić o zgodę na wykopanie kości z cmentarza. Odmówiono mu, lecz nie z powodów etycznych – okazało się, że musiałbym przedstawić odpowiednie papiery

wystawione w stolicy. Marcel zaproponował więc, żebyśmy zapomnieli o świeżych kościach i zamiast tego wykorzystali te, które miał w swojej świątyni. Zgodziłem się i spędziliśmy resztę przedpołudnia na gromadzeniu składników rzekomej trucizny. Od starego aptekarza kupiliśmy kilka paczuszek pełnych jasnokolorowych proszków. Były to magiczne substancje o dziwnych, egzotycznych nazwach: „Złamane skrzydła", „Przetnij wodę", „Szanuj rozstaje". Potem pojechaliśmy na północ, by zbierać liście z rosnących tam krzewów. Po południu wróciliśmy do *hounfour*. Na krytym strzechą dziedzińcu swojego *peristyle* Marcel Pierre przygotował truciznę zmieniającą ludzi w zombie. Najpierw utłukł w moździerzu nieco liści, potem dodał wióry ze startej ludzkiej czaszki oraz proszki z paczuszek od aptekarza. Wszystko to sprawiało wrażenie rutynowej, banalnej procedury. Marcel chodził powoli, nieco przygarbiony. Późnym popołudniem wręczył mi wreszcie słoik ciemnozielonego proszku.

Rachel otworzyła butelkę rumu i trzykrotnie ulała trochę na ziemię, by napoić *loa*. Marcel skinął głową z aprobatą. Popijając rum, wyjaśniłem mu, że zamierzam wykorzystać truciznę przeciwko swojemu wrogowi, białemu cudzoziemcowi mieszkającemu w stolicy. Obiecałem też zdać Marcelowi relację, jak mi poszło. Podziękowałem mu wylewnie, zapłaciłem niemałą kwotę i dorzuciłem napiwek. Opuszczałem świątynię pewny, że Marcel Pierre potrafi przygotować truciznę zombie. Wiedziałem też, że zielony proszek, który od niego dostałem, jest kompletnie bezwartościowy.

*

Wieczorem znowu odwiedziłem Beauvoira. Zastałem u niego czterech nieznanych mi mężczyzn. Beauvoir powiedział im, kim jestem, ale nas sobie nie przedstawił. Wyjaśnił tylko, że mężczyźni chcą wiedzieć, co robię na Haiti. Wysypałem na stół nieco proszku przygotowanego przez Marcela Pierre'a. Jeden z nieznajomych, najwyraźniej przywódca całej grupy, niski, burkliwy gość z olbrzymim brzuchem, wziął szczyptę i zaczął ją rozcierać palcem wskazującym na wnętrzu dłoni.

– To jest zbyt lekkie, by mogło cokolwiek zdziałać – powiedział Beauvoirowi.

Max się zaśmiał, tamci zaraz do niego dołączyli. Zostali na drinka, potem wyszli, nie czekając, aż zacznie się ceremonia.

– Kim byli ci ludzie? – spytałem Maxa, gdy tylko się oddalili.

– To bardzo ważne osoby.

– Houngani?

Pokiwał głową.

*

Kilka następnych dni spędziłem na południu, szukając bielunia i bobotrutki kalabarskiej. Wszystkie okazy pierwszej z tych roślin spotykane na Haiti były dzikie, rachityczne. Spodziewałem się, że w dowolnym niemal miejscu mogę natrafić na jakieś ich skupisko, zapewne eksploatowane przez człowieka. Chodziłem po wzgórzach wzdłuż drogi biegnącej ku portowi Jacmel na południu, przemierzałem jałowe pola i dotarłem aż do Anse-à-Veau, znalazłem jednak tylko jeden okaz: pnący się krzak *Datura metel* obok domu w małej nabrzeżnej wiosce. Powiedziano mi, że roślinę posadzono tam, aby pozyskiwać lekarstwo na astmę. Co do bobotrutki kalabarskiej, czekało mnie równie gorzkie rozczarowanie. Przeczesałem rozmaite nisko położone tereny bagienne, zapoznałem się z zakurzonym herbarium w Ministerstwie Rolnictwa, ale nie znalazłem żadnych dowodów świadczących, że roślina ta występuje na Haiti.

Później, podczas wędrówki z Maxem Beauvoirem po górach w pobliżu Port-au-Prince, natknąłem się na drzewo z rodzaju *Brugmansia*, spokrewnione z bieluniem. Zasadzono je jako roślinę ozdobną, było niskie, sękate, zwisały z niego duże kwiaty, kształtem przypominające trąbki. Tego rodzaju drzewa różnią się wyglądem od patykowatych krzaków bielunia, można z nich jednak pozyskać te same silnie trujące związki chemiczne. W północnym Peru *curanderos* robili cimorę właśnie z takich drzew. Wiedziałem, że rośliny spokrewnione z bieluniem rosną w Ameryce Południowej i że względnie niedawno dotarły na Haiti, lecz nie byłem pewien, czy tutejsi wieśniacy zdali już sobie sprawę z ich szczególnych właściwości. Najwyraźniej jednak musieli się w tym orientować, bo kiedy tylko zacząłem zbierać próbki, zjawiła się grupa rozgniewanych chłopów, którzy zażądali, żebym wyjaśnił im, dlaczego niszczę ich drzewo. Beauvoir rzucił kilka zdań i ich nastawienie natychmiast się zmieniło. Skupili się wokół mnie wyczekująco, kilku chłopców wspięło się na brugmansję, by zerwać dla mnie kwiaty. Posłałem Beauvoirowi zdziwione spojrzenie.

– Powiedziałem im, że jesteś Grans Bwa, duchem lasu. – Wskazał starowinkę, która stała obok i pykała niewielką fajkę. – Poprosiła, żebyś obmył ich w kąpieli ziołowej, ale wyjaśniłem, że nie mamy czasu. Twierdzi, że musisz obmyć przynajmniej dzieci. Nie martw się, powiedziałem jej, że

może tu wrócimy.

Zebrałem próbki i ruszyłem w dół zbocza, w stronę drogi. Ziemia u stóp drzewa była usłana kwiatami, a ludzie zaczęli śpiewać:

Liście w lesie, przyzwijcie mnie.
O, liście w lesie, przyzwijcie mnie.
Liście w lesie, przyzwijcie mnie.
Tańczę, odkąd byłem małym dzieckiem.

*

Nadal intrygował mnie zupełnie niespodziewany brak bielunia na południu wyspy. Uznałem, że pora podążyć trzecim tropem, na który naprowadzono mnie, gdy podejmowałem się swojej coraz bardziej enigmatycznej misji. W parne popołudnie, gdy stolica pachniała przyprawami, skontaktowałem się z Lamarkiem Douyonem, lekarzem Clairviusa Narcisse'a.

Sekretarka wprowadziła mnie do surowo urządzonego gabinetu. Dominowało w nim wielkie mahoniowe biurko, moją uwagę przykuły też dwie ogromne fotografie wiszące na turkusowej ścianie: oficjalny portret byłego prezydenta, doktora François Duvaliera, którego podobizny dawno zniknęły już z większości urzędów na Haiti, bo władzę sprawował teraz jego syn, oraz nieco mniejsze zdjęcie przedstawiające młodego Nathana Kline'a. Był wręcz nie do poznania, miał fryzurę na jeża i okulary w rogowych oprawkach. Na drugiej ścianie ujrzałem dwie tabliczki. Pierwsza upamiętniała amerykańskie instytucje badawcze, które w 1959 roku pomogły sfinansować budowę kliniki. Druga z kolei wyrażała podziękowania dla zagranicznych koncernów farmaceutycznych za to, że przez pierwsze dwa lata dostarczały tu za darmo leki. Pod zakratowanym oknem stał aparat do elektrowstrząsów, tak staroświecki, że wywołał u mnie mimowolną, niezdrową tęsknotę. Całe to wnętrze najwyraźniej utknęło w latach pięćdziesiątych, a więc w epoce, gdy do kliniki napływały jeszcze fundusze na badania. Od tego czasu nic się tu nie zmieniło, nawet meble.

Lamarque Douyon wydał mi się łagodnym, spokojnym człowiekiem, który nie tylko borykał się z brakiem pieniędzy, lecz także nie umiał pogodzić swojego zachodniego wykształcenia z wyjątkowym rytmem kultury Haiti i jej afrykańskimi fundamentami. Jako lekarz musiał łączyć dwa zupełnie różne światy. Był najważniejszym psychiatrą na wyspie, kierownikiem jedynego instytutu zajmującego się chorobami umysłowymi, co oznaczało konieczność współpracy z naukowcami z zagranicy i spełniania ich standardów. Zarazem pacjenci, którzy odwiedzali klinikę, posługiwali się

specyficznymi, niezachodnimi kategoriami. Europejskie koncepcje choroby psychicznej traciły tu wszelki sens.

Douyon po raz pierwszy zainteresował się zjawiskiem zombie za sprawą serii eksperymentów, które przeprowadził pod koniec lat pięćdziesiątych, gdy kończył staż na Uniwersytecie McGilla. Psychofarmakologia rozwijała się wówczas bardzo prężnie. Naukowcy odkryli, że z częścią zaburzeń umysłowych można sobie poradzić, jeśli poda się pacjentowi odpowiednie leki, prowadzono więc doświadczenia na ludziach i w kontrolowanych warunkach testowano rozmaite silnie działające związki i substancje. To, czego naoglądał się wówczas Douyon, skojarzyło mu się z opowieściami o zombie, które słyszał w dzieciństwie. Znał też krążącą wśród Haitańczyków teorię, że za zombifikację odpowiada toksyna wprowadzająca człowieka w stan łudząco podobny do śmierci, lecz odwracalny. Zanim w 1961 roku wrócił na Haiti i został kierownikiem Centrum Psychiatrii i Neurologii, nabrał przekonania, że toksyna taka z pewnością istnieje.

– Zombie to nie żadne żywe trupy – oznajmił mi. – Śmierć przecież nie sprowadza się wyłącznie do ustania procesów życiowych. Oznacza również rozkład komórek i tkanek. Ze śmierci nie można się obudzić. Natomiast ludzie, którym podano truciznę, niekiedy odzyskują świadomość.

– Jak pan sądzi, doktorze Douyon, co wchodzi w skład mikstury zmieniającej człowieka w zombie?

– Zapewne jad węża, tarantuli, może jakiegoś innego pełzającego stworzenia. Albo skaczącego. Podobno zawsze wykorzystuje się wielką ropuchę. I jeszcze ludzkie kości, ale one dodawane są tu do wszystkiego.

– Wie pan może, o który gatunek ropuchy chodzi?

– Nie, ale nie wydaje mi się… Jest też taka haitańska roślina. Nazywamy ją *concombre zombi*, ogórek zombie.

– Tak, oczywiście, bieluń.

Podzieliłem się z nim swoją hipotezą, wspomniałem też o bobotrutce kalabarskiej. Douyon odparł, że nic mu nie wiadomo, jakoby ta druga roślina rosła na Haiti, podjął natomiast wątek bielunia.

– Kiedy pracowałem na Uniwersytecie McGilla – powiedział – mój tutor doradził, abym zbadał działanie rozmaitych roślin kojarzonych z ludowymi opowieściami o zombie. Podaliśmy myszom roztwór z bielunia i wywołaliśmy w ten sposób stan katatonii trwający trzy godziny. Niestety, przerwaliśmy eksperymenty, gdy profesor Cameron opuścił instytut.

– Czy chodzi może o Donalda Ewena Camerona?

– Owszem, zna go pan?

– Słyszałem o nim.

Nie miałem pojęcia, że był związany z Douyonem. Nieżyjący już Cameron kierował montrealskim Instytutem Allana w epoce, którą Nathan Kline zwykł określać mianem „wieków ciemnych psychiatrii". W latach 1957–1960 prowadził eksperymenty z psychicznym kierowaniem i z praniem mózgu finansowane po części przez CIA. Słynął też z prób leczenia osób cierpiących na schizofrenię za pomocą LSD i niezwykle silnej terapii elektrowstrząsowej. Po odejściu Camerona z instytutu nowy dyrektor natychmiast zakazał stosowania wszystkich metod swojego poprzednika.

– Bieluń z pewnością jest głównym składnikiem trucizny – ciągnął Douyon. – Owa trucizna to proszek, który rozsypywany jest tak, by tworzył kształt krzyża na ziemi lub na progu domu. Wieśniacy mówią, że jeśli ofiara nadepnie na ten krzyż, zamieni się w zombie.

– Ile proszku potrzeba?

– Niewiele, wystarczy łyżka.

– Rozsypuje się go na ziemi, prawda?

– Najwyraźniej toksyna wchłania się przez skórę stóp – podsumował Douyon.

Dostrzegałem tu pewien problem. Członkowie niektórych plemion z Afryki Wschodniej nacierają truciznami kolczaste owoce, które następnie należy rozłożyć na ścieżce, licząc, że ofiara przypadkiem je rozdepcze i się skaleczy. Bieluń może być podawany przezskórnie, ale nie mogłem uwierzyć, że bez tego rodzaju mechanicznej pomocy zdoła przeniknąć stwardniałe podeszwy stóp wieśniaka. Rozsypanie proszku na progu chaty nie gwarantowało ponadto, że toksyna trafi do ciała upatrzonej ofiary. Ciekawiło mnie, czy Douyon próbował kontaktować się z osobami przygotowującymi truciznę.

– Znam bokora w Saint Marc – powiedział, gdy go o to zapytałem. – Dostarczył mi fiolkę białego proszku.

– Ma pan na myśli Marcela Pierre'a?

– Tak, zna go pan?

– Korespondenci BBC przekazali mi namiar na niego. Kilka dni temu go odwiedziłem. Czy to ten sam biały proszek, który przesłał pan Kline'owi?

– Zgadza się. Na wyspie nie ma odpowiednich laboratoriów, by przeprowadzić testy. Kline nigdy nie odesłał mi wyników.

– Nie było czego odsyłać. Proszek nie działał.

Douyon był rozczarowany, ale ożywił się, gdy wspomniałem, że trucizna pozyskana przez dziennikarzy BBC wykazywała pewną aktywność biologiczną.

– Czy ona również pochodziła od Marcela Pierre'a? – spytał.

Pokiwałem głową, a Douyon odwrócił wzrok.

– Ten Pierre to dziwny człowiek. Czy powiedział panu, ilu ludzi zamordował?

– Nie.

– Mamy do czynienia z przestępcami – stwierdził, zmarszczywszy brwi. – Zajmowanie się tym tematem jest bardzo niebezpieczne.

Opowiedział mi, jak pewnego razu zabrał ekipę zagranicznych dokumentalistów na cmentarz w mieście Desdunnes, by mogli nakręcić ceremonię wyciągania zombie z grobu. Przy wejściu czekała grupa uzbrojonych chłopów, którzy zniszczyli filmowcom kamery i na całą noc wsadzili ich do więzienia. Od tej pory Douyon nie próbował uczestniczyć w rytuałach związanych z zombie.

Zadzwonił telefon i Douyon wyszedł na chwilę z gabinetu, wcześniej jednak wręczył mi dokument, który wyjął z teczki leżącej na biurku. Była to kopia Artykułu 249 haitańskiego kodeksu karnego. Przepis głosił, że zakazane jest stosowanie jakichkolwiek substancji powodujących śpiączkę nieodróżnialną od śmierci. Ponadto jeśli ofierze urządzono później pochówek, podanie toksyny było automatycznie uznawane za morderstwo, choćby nawet otrutego udało się uratować. Najwyraźniej rząd Haiti wierzył w istnienie trucizny. Przejrzałem pozostałe dokumenty umieszczone w teczce, między innymi akta medyczne Clairviusa Narcisse'a z czasu jego pobytu w Szpitalu imienia Alberta Schweitzera, gdzie stwierdzono zgon. Wśród objawów wymieniono obrzęk płuc powodujący poważne zaburzenia oddechu, szybką utratę masy ciała, hipotermię, uremię i wysokie ciśnienie.

Douyon pozostawał dla mnie zagadką. Z jednej strony podziwiałem jego uparte starania, dzięki którym po niemal dwudziestu latach ciągłej frustracji natrafił wreszcie na frapujące przypadki Narcisse'a i Franciny Illeus. Z drugiej strony jego poszukiwania trucizny rzekomo zmieniającej ludzi w zombie zakończyły się niepowodzeniem. Nie mógł być pewien, czy kiedykolwiek uda mu się odkryć skład chemiczny toksyny. Żywił przekonanie, że aktywnym składnikiem jest bieluń; wyciągnął te same logiczne wnioski co ja, kiedy sformułowałem hipotezę kalabarską, ale mimo wieloletniej pracy znalazł tylko jedną poszlakę: ustalił mianowicie, że jeden z tutejszych gatunków bielunia nosi nazwę „ogórek zombie". Eksperymenty,

które dawno temu przeprowadził na Uniwersytecie McGilla, nie miały większego znaczenia, istniało bowiem wiele ekstraktów roślinnych zdolnych wywołać katatoniczny stupor u myszy. Bieluń pozostawał głównym kandydatem, lecz przez ponad dwie dekady Douyon nie zdołał przetestować swojej hipotezy ani nie udokumentował procesu przygotowywania trucizny.

Nie mogłem też pominąć innego problemu. Douyon, stosując podejście typowe dla zachodniej psychiatrii, zredefiniował zombie jako osobę, która została otruta, pochowana żywcem, a następnie poddana reanimacji. W rezultacie skupiał się na zestawie określonych objawów. Tylko że ocena stanu psychicznego ofiary nie mogła wyjaśnić, dlaczego ktoś zdecydował się poddać ją zombifikacji. Weźmy prosty przykład: psychiatra mógłby uznać, że zombie to osoba cierpiąca na schizofrenię katatoniczną. W obu przypadkach do objawów zaliczają się poważna dezorganizacja myślenia i katalepsja oraz występujące naprzemiennie okresy ożywienia i stuporu. Jednak schizofrenia katatoniczna występuje na całym świecie i ma wiele rozmaitych przyczyn. Kto wie, być może zalicza się do nich też zombifikacja. Jeśli wierzyć relacji Narcisse'a, mieliśmy jednak do czynienia z zupełnie niezwykłym zjawiskiem, z doprowadzeniem człowieka do takiego stanu, że uznani specjaliści orzekają jego zgon, ciało – chociaż żywe – zostaje złożone w grobie. Bez wątpienia wiązałaby się z tym trauma zdolna doprowadzić ofiarę do szaleństwa. Nie należało jednak ograniczać się wyłącznie do objawów, czyli skutków. Jeśli zombifikacja naprawdę istniała, była procesem społecznym zakorzenionym w konkretnej rzeczywistości kulturowej. Ktoś wytwarzał truciznę, ktoś decydował, kiedy i komu zostanie ona podana, ktoś musiał się zajmować ofiarami. Cała praktyka musiała też mieć przyczynę, pełnić określoną funkcję w ramach systemu wierzeń panującego na haitańskiej wsi.

Douyon nie zajmował się takimi zagadnieniami. Uważał, że ludzie poddani zombifikacji padali ofiarą przypadkowych przestępstw, ograniczał się do prowadzenia badań i łagodzenia skutków u pojedynczych pacjentów. Zaciekawiła mnie jednak pewna uwaga, którą poczynił na temat Franciny Illeus. Otóż gdy przywiózł ją do rodzinnej wioski, krewni oznajmili, że nie przyjmą jej z powrotem. Znalazł proste wytłumaczenie: zapewne nie było ich stać na wykarmienie dodatkowej osoby niezdolnej do pracy. Brzmiało to niezbyt wiarygodnie – choć spędziłem na Haiti bardzo niewiele czasu, zdążyłem wielokrotnie się przekonać, że ludzie chorzy i niepełnosprawni mogli liczyć na opiekę bliskich. Instynkt podpowiadał mi, że Francina miała w swej wiosce jakiś specyficzny status, była kimś więcej niż tylko kolejną

osobą, którą byłoby trzeba się zajmować.

Za moimi plecami otworzyły się stalowe drzwi i usłyszałem szuranie bosych stóp po betonie. Douyon wrócił, prowadząc pielęgniarza i dwoje pacjentów, mężczyznę i kobietę. Tego pierwszego natychmiast rozpoznałem.

Gdy dochodzi do spotkania osób z dwóch różnych rzeczywistości, znaczenie słów takich jak „normalny" staje się względne. Nie potrafiłem ocenić, czy Clairvius Narcisse trwale zmienił się pod wpływem swoich przeżyć. Wydawał się w pełni sprawny fizycznie, mówił powoli, ale wyraźnie. Zapytany przeze mnie o swoje doświadczenia, opowiedział w zasadzie to samo, co usłyszałem od Nathana Kline'a. Dorzucił jednak trochę zdumiewających szczegółów. Blizna na prawym policzku, tuż koło ust, powstała za sprawą gwoździa wbitego w trumnę. Narcisse twierdził, że podczas zombifikacji zachował świadomość. Nie mógł się ruszyć, ale słyszał siostrę płaczącą przy jego szpitalnym łóżku. Pamiętał, jak lekarz stwierdził zgon. Podczas pogrzebu i później wydawało mu się, że unosi się ponad swoim grobem. To była jego dusza, twierdził, gotowa wyruszyć w podróż, którą przerwało przybycie bokora i jego pomocników. Nie umiał ocenić, ile czasu leżał w grobie. Może trzy dni. Zawołali jego imię, wówczas ziemia się otworzyła. Słyszał bębny, dudnienie, czuł wibrację. Potem rozległ się śpiew bokora. Narcisse prawie nic nie widział. Pochwycili go, zaczęli okładać sizalowym biczem, związali sznurem i owinęli czarnym płótnem. Jacyś dwaj mężczyźni prowadzili go pieszo, skrępowanego i zakneblowanego. Pod osłoną ciemności wędrowali na północ. Następnie spotkali się z kolejną grupą, która go przejęła. I tak to trwało: Narcisse oraz jego eskorta ukrywali się za dnia, podróżowali nocami. Skład eskorty często się zmieniał. Wreszcie dotarli na plantację trzciny cukrowej, która na kolejne dwa lata stała się jego domem.

Douyon zapalił mentolowego papierosa i podał go pacjentce. Ta trzymała papierosa obojętnie w palcach i pozwoliła, by popiół spadał jej na kolana. Miałem przed sobą Francinę Illeus, znaną jako Ti Femme. W kwietniu 1979 roku chłopi z misji baptystów w Passereine zauważyli ją błąkającą się na targowisku w Ennery. Zorientowali się, że to zombie, i powiadomili Jay Ausherman, Amerykankę zarządzającą misją. Ausherman przyjechała do Ennery i odszukała straszliwie wychudzoną Francinę, która siedziała przykucnięta, zasłaniając twarz dłońmi. Trzy lata wcześniej po krótkiej chorobie uznano ją za zmarłą. Sędzia w Ennery nie wiedział, co zrobić z kobietą, która z punktu widzenia prawa od dawna nie żyła. Pieczę nad nią chętnie powierzył Ausherman, ta zaś umieściła ją w szpitalu Douyona.

Trafiła tam niedożywiona, niema i bierna. Lekarz przez trzy lata próbował jej pomóc, stosował hipnozę i narkozę. Twierdził, że nastąpiła pewna poprawa, ale umysł Franciny nadal nie funkcjonował prawidłowo. Miała puste oczy, każdy gest wymagał od niej wysiłku. Mówiła bardzo cicho, wysokim głosem, przy czym nie odzywała się z własnej inicjatywy, co najwyżej reagowała na łagodne zachęty Douyona. Zdawała się prawie całkowicie niezdolna do przejawiania spontanicznych emocji. Przyglądałem się jej, kiedy wychodziła z pokoju. Wyglądała, jakby stąpała po dnie morza, przytłoczona ciężarem wszystkich oceanów świata.

5

Lekcja historii

Byłem na Haiti od ponad tygodnia. Rankami często krążyłem niespokojnie między swoim pokojem a hotelową werandą, czasem brałem do ręki długopis i zaraz go odkładałem, próbowałem czytać książkę, lecz po chwili lądowała ona otwarta na stoliku. Kłamałem turystom, którzy pytali mnie, czym się zajmuję. Minęło dwanaście dni, a ja wciąż nie zdołałem poczynić żadnych ważnych ustaleń. Proszek Marcela Pierre'a był ewidentnie lipny, w klinice Douyona nie mogłem na razie dowiedzieć się niczego więcej, nie rozumiałem kraju, w którym się znalazłem. Wędrowałem oszołomiony wielością wrażeń, zagubiony wśród wszystkich tutejszych sprzeczności, czułem lęk i podniecenie na myśl o otaczających mnie tajemnicach. Tylko rankami zwyczajne zmęczenie lub zachwyt widokiem miasta skąpanego w delikatnym świetle sprawiały, że się uspokajałem. Czasami zamykałem oczy w ciszy, którą mącił jedynie przelotny śpiew ptaka, i słyszałem szeptane sekrety tej ziemi. Przez moment zdawało mi się, że je rozumiem, lecz owo wrażenie zaraz mijało. W końcu zacząłem błogosławić w duchu te chwile, bo jedynie one dawały mi poczucie, że posuwam się naprzód, skoro logiczne rozmyślania donikąd nie prowadziły.

Właśnie dlatego z radością przyjąłem propozycję Maxa Beauvoira, abym na jakiś czas zapomniał o zombie i wybrał się z nim zbierać liście, które wykorzystywał do leczenia wyznawców vodoun. Trudno jest mi oddać atmosferę tych wypraw, bo przesłania je mgła nostalgii – zresztą może nie są one tak ważne w tej opowieści. Poznawałem haitańską krainę, przemierzając ją z Maxem ze wschodu na zachód, rozmawialiśmy nieustannie o jej wspaniałych i złych obliczach, o jej historii. Gubiliśmy się w myślach, zdarzało się nam zapomnieć o celu wędrówki. Max Beauvoir otworzył przede mną Haiti, złożył mi je w darze. W mojej głowie przetrwały rozmaite obrazy: uliczni sprzedawcy ziół chroniący się przed słońcem w cieniu postrzępionych markiz, nadzy ludzie na polach ryżowych, chłopi wędrujący gęsiego szlakami górskimi, anielskie buzie ich dzieci, czarnych niczym cienie. Dni były ulotne, lubiły niepostrzeżenie przechodzić w noc. Czasem śpiew nie ustawał, a bębny dudniły boleśnie, i nie umiałem powiedzieć, co będzie gorsze: słuchanie ich przez choćby jeszcze jedną sekundę czy nagła

cisza. Podróżom tym zawdzięczam też lekcję historii. Pozwoliła mi ona zrozumieć symbole haitańskiej ziemi.

*

W ostatnich dekadach XVIII stulecia cała Europa zazdrościła Francuzom ich kolonii Saint-Domingue. Zaledwie trzydzieści sześć tysięcy białych i drugie tyle osób o mieszanym pochodzeniu rasowym rządziło tu blisko pół milionem niewolników. Wartość wytwarzanych rocznie produktów odpowiadała dwóm trzecim wartości francuskiego handlu zagranicznego. Wydajność była znacznie wyższa niż w nowo powstałych Stanach Zjednoczonych lub w Hiszpańskich Indiach Wschodnich i Zachodnich razem wziętych. Bawełna, indygo, kawa, kakao, tytoń, skóry i cukier wyprodukowane w 1789 roku wypełniły ładownie ponad czterech tysięcy statków. Co najmniej pięć milionów Francuzów epoki ancien régime'u – a kraj liczył wówczas dwadzieścia siedem milionów mieszkańców – utrzymywało się dzięki pracy niewolników z Haiti. Saint-Domingue uchodziła za klejnot francuskiego imperium, była najbardziej pożądaną kolonią tamtej epoki.

A potem przyszedł rok 1791. Dwa lata po wybuchu rewolucji francuskiej kolonia doznała wstrząsu i upadła za sprawą jedynego w dziejach udanego buntu niewolników. Wybuchła wojna, która trwała dwanaście lat. Byli niewolnicy musieli pokonać jedną z największych europejskich potęg. Najpierw stawili czoła siłom posłusznym francuskiej monarchii, potem republice, następnie zaś odparli inwazje Hiszpanów i Brytyjczyków. W grudniu 1801 roku, dwa lata przed sprzedaniem Stanom Zjednoczonym Luizjany, Napoleon, będący wówczas u szczytu władzy, zorganizował największą ekspedycję w dziejach swojego kraju. Zamierzał przejąć kontrolę nad Missisipi, powstrzymać ekspansję nowego państwa w Ameryce Północnej i doprowadzić do odrodzenia francuskiego imperium w tamtej części świata. Po drodze polecił wojskom zatrzymać się na Saint-Domingue i zdusić rewoltę. Pierwszą falę inwazji miało przeprowadzić dwadzieścia tysięcy doświadczonych żołnierzy pod dowództwem Charles'a Leclerca, wyśmienitego oficera, skądinąd męża Pauliny, siostry Napoleona. Gdy nowi władcy kraju ujrzeli potężną flotyllę na haitańskich wodach, wpadli w rozpacz. Sądzili, że tym razem nie uda im się pokonać najeźdźcy.

Leclerc nigdy nie dotarł do Luizjany: umarł rok po przybyciu na wyspę. Z trzydziestu czterech tysięcy żołnierzy, których łącznie tam ściągnął, pozostały tylko dwa tysiące. Po śmierci Leclerca dowództwo przejął

niesławny generał Jean-Baptiste de Rochambeau. Natychmiast ogłosił, że od tej pory celem wojny jest eksterminacja nieprzyjaciela. Zwykłych więźniów palono żywcem, ich dowódców przykuwano łańcuchami do skał, by umarli z głodu. Żonę i dzieci jednego z ważniejszych rebeliantów utopiono na jego oczach. Potem francuscy marynarze wzięli gwoździe i przybili mu epolety do nagich ramion. Z Jamajki sprowadzono tysiąc pięćset psów, które nauczono rozrywać na strzępy i pożerać czarnych więźniów – odbywało się to podczas odrażających publicznych egzekucji, urządzanych w pospiesznie zbudowanych amfiteatrach w Port-au-Prince. Mimo tortur i morderstw Rochambeau poniósł porażkę. Francja przysłała kolejnych dwadzieścia tysięcy żołnierzy, ci jednak niewiele wskórali i także ich nazwiska trzeba było dodać do listy ofiar. Pod koniec listopada 1803 roku Francuzi, straciwszy ponad sześćdziesiąt tysięcy doświadczonych żołnierzy, opuścili wreszcie Saint-Domingue.

Zbuntowani niewolnicy pokonali jedną z najznakomitszych armii ówczesnej Europy. To niekwestionowany, choć cokolwiek zapomniany fakt. Przyczyny ich sukcesu bywają przy tym błędnie interpretowane. Istnieją dwa najczęściej podawane wyjaśnienia. Pierwsze dotyczy żółtej febry; powiada się, że francuscy żołnierze nie tyle zostali zabici przez czarnych nieprzyjaciół, ile nie wytrzymali w okrutnych warunkach panujących na tropikalnej wyspie. Nie ulega wątpliwości, że część z nich poniosła śmierć z powodu febry, ale trzeba też poczynić dwa ważne zastrzeżenia.
Po pierwsze, europejskie wojska wielokrotnie odnosiły triumfy w rozmaitych częściach świata, w których ludzie często zapadają na różne choroby.
Po drugie, na Haiti febra ma charakter sezonowy i nadchodzi dopiero w kwietniu wraz z porą deszczową, tymczasem wojska Leclerca wylądowały na wyspie w lutym 1802 roku. Generał stracił dziesięć tysięcy ludzi, zanim zaczął się sezon febry.

Istnieje też inny mit na temat europejskiej porażki. Rzekomo doszło do niej dlatego, że fanatyczne, krwiożercze hordy czarnych zlały się w jedno potężne ciało i runęły na Francuzów, co uniemożliwiło im zastosowanie bardziej „racjonalnej” taktyki. Jest prawdą, że w początkowym okresie rewolty niewolnicy dysponowali ograniczonymi środkami i wykazywali się nieprawdopodobną wręcz odwagą. Źródła mówią, że szli do bitwy uzbrojeni jedynie w noże, kilofy lub pałki z żelaznymi głowicami, rzucali się na bagnety i lekceważyli ostrzał artyleryjski, wierzyli bowiem, że duchy zapewnią im ochronę, jeśli zaś spotka ich śmierć, powrócą do Gwinei, swojej afrykańskiej ojczyzny. Ich zaciekłość nie wynikała jednak wyłącznie

z przekonań religijnych, ale też z bardzo rzeczowej oceny własnego położenia. Musieli zwyciężyć, by zachować wolność. Wpadnięcie w ręce wroga oznaczało tortury, klęska oznaczała śmierć. Ponadto, jeśli pominąć pierwotny zwycięski bunt przeciwko władzom kolonii, liczba niewolników biorących udział w walkach była dość niewielka. W skład największej rebelianckiej armii wchodziło niespełna osiemnaście tysięcy żołnierzy. Tak to jest z rewolucjami: ich uczestnikami wcale nie są ci, którzy najwięcej wycierpieli z rąk tyranów. Europejskie wojska bez wątpienia borykały się z febrą, lecz ostatecznie zostały pokonane przez ludzi, i to nie przez żadne „dzikie hordy czarnych", a przez niewielkie, zdyscyplinowane jednostki wojskowe, którym nie brakowało motywacji do walki i którym przewodzili prawdziwie genialni stratedzy.

Słowem, w relacjach historyków często znajdziemy nieco wypaczony obraz tamtej wojny. Błąd popełniają także ci, którzy przesadnie idealizują przywódców rewolucji, zwłaszcza Toussainta L'Ouverture'a, Henriego Christophe'a i Jean-Jacques'a Dessalines'a. Tym ambitnym politykom przypisuje się wiarę we wzniosłe ideały wolnościowe, której wcale nie żywili. Gdy niewolnicy przeprowadzili zwycięskie powstanie, Francuzi pragnęli przede wszystkim utrzymać produkcję rolniczą i eksport na dotychczasowym poziomie. Nie obchodziło ich, za pomocą jakich środków osiągną ten cel. Szybko zdali sobie sprawę, że przywrócenie niewolnictwa nie będzie możliwe, więc zanim jeszcze Napoleon podjął próbę odbicia wyspy siłą, francuscy ministrowie wpadli na inny pomysł. Dawni niewolnicy mieli stać się połownikami; oznaczałoby to wprowadzenie na wyspie nowego systemu niewoli kontraktowej. Plantacje przetrwałyby w niezmienionej formie. Ponieważ w tamtym okresie Francuzi nie mogli użyć wojska do narzucenia tych rozwiązań, przeciągnęli na swoją stronę przywódców rebelianckich armii, a jednym z tych, którzy chętnie podjęli kolaborację, okazał się L'Ouverture. W ogromnym stopniu przyczynił się on do restauracji francuskiej władzy na wyspie. Zarazem Francuzi popełnili zasadniczy błąd, założywszy, że kolaboranci potulnie podporządkują się woli Paryża, czarni przywódcy wyspy zrobili bowiem to, co od zawsze planowali: zapewnili sobie najważniejsze stanowiska w nowym ustroju.

L'Ouverture wcale nie zamierzał likwidować plantacji. Co prawda, zasadniczo chciał wyzwolić swój lud, wierzył jednak, że aby do tego doszło i aby kraj mógł prosperować, trzeba utrzymać produkcję rolniczą. Wśród licznych uparcie rozpowszechnianych mitów na temat haitańskiej rewolucji znajdziemy i ten, że plantacje zostały zniszczone podczas pierwszej fali

buntu i nigdy już nie odzyskały dawnej świetności. Kryje się za tym niewypowiedziana myśl, że czarni, którzy przejęli władzę, byli nieudolni i źle rządzili wyspą. To zupełna historyczna nieprawda. W ciągu półtora roku po dojściu do władzy L'Ouverture sprawił, że produkcja rolnicza osiągnęła poziom dwóch trzecich tego, co notowano w okresie szczytowego rozwoju kolonii francuskiej. Gdyby francuska burżuazja przystała na podzielenie się władzą z nową elitą rewolucjonistów, prawdopodobnie dałoby się przez pewien czas utrzymać gospodarkę opartą na eksporcie. Na dłuższą metę jej upadek był jednak nieuchronny, wcale nie za sprawą rzekomej nieudolności czarnych rządzących wyspą ani nawet chaosu, który zapanował po inwazji Leclerca. Ziarno porażki zostało zasiane znacznie wcześniej, na długo przed rewolucją z 1791 roku, bo Francuzi zdecydowali się na pewien środek doraźny o zaskakująco dalekosiężnych konsekwencjach.

W okresie przed rewolucją francuscy właściciele plantacji musieli wykarmić prawie pół miliona niewolników, postanowili więc przydzielić im niewielkie poletka, by mogli oni produkować jedzenie na własny użytek. Wolno było im sprzedawać nadwyżki, więc jeszcze w czasach istnienia kolonii na wyspie rozwinął się spory rynek produktów rolnych. Tym samym właściciele plantacji nieświadomie doprowadzili do powstania zalążka klasy chłopskiej. Należy tu obalić kolejny mit na temat rewolucji – jakoby po wyzwoleniu niewolnicy nie chcieli wracać do pracy na roli. Było dokładnie na odwrót. Po udanym buncie większość byłych niewolników zajęła się produkcją rolną i wytwarzaniem niezbędnych produktów spożywczych, które trafiały na rynek wewnętrzny. Czytając niektóre relacje na temat trwającej dwanaście lat wojny o wyzwolenie kraju, można odnieść wrażenie, że przez cały ten czas mieszkańcy wyspy przymierali głodem. W rzeczywistości jedli jamsy, fasolę i banany hodowane i sprzedawane przez dawnych niewolników, którzy stali się wolnymi chłopami. Wyzwanie stojące przed elitą polegało nie na tym, by skłonić ich do pracy na roli, ale na tym, by zaciągnąć ich z powrotem na plantacje.

Istnienie niezależnego chłopstwa było bardzo nie na rękę czarnym przywódcom. Dessalines aż do śmierci w zamachu w 1806 roku marzył o powrocie do gospodarki opartej na pracy przymusowej i eksporcie. Christophe, do 1820 roku rządzący północną częścią kraju, odniósł w tym zakresie krótkotrwały sukces. Stosował tak okrutne metody, że dorównywał nawet kolonialnym władcom. Przez dziesięć lat pod jego zarządem na Haiti wytwarzano rozmaite produkty rolnicze przeznaczone na eksport, dzięki czemu zbudował sobie okazały pałac i utrzymywał wielki dwór. W końcu

poddani się zbuntowali. Wraz ze śmiercią Christophe'a w 1820 roku ostatecznie zrezygnowano z dążeń do przywrócenia na wyspie systemu plantacji.

W pierwszych latach po uzyskaniu niepodległości kraj tętnił życiem, lecz przestał odgrywać istotną rolę w globalnej gospodarce. Produkcja na eksport mocno zmalała. Dawniej, w okresie najintensywniejszego rozwoju kolonii, z wyspy wysyłano w świat prawie siedemdziesiąt cztery miliony kilogramów cukru rocznie – ale w roku 1825 eksport wyniósł zaledwie około tysiąca kilogramów. Co więcej, importowano cukier z Kuby. Cudzoziemcy uznali, że wyspa to gospodarczy trup, i jak zwykle winą obarczyli czarnych, rzekomo niezdolnych do właściwego zarządzania i samoorganizacji. Tak naprawdę przytaczane liczby świadczą, że wolni chłopi nie chcieli systemu, w którym to, co wypracują, pójdzie na eksport i przyniesie zysk wyłącznie elicie. Haitańska gospodarka wcale nie upadła, lecz najzwyczajniej zmieniła charakter. Skoro dochody z eksportu stały się znikome, rząd centralny szybko zbankrutował. Już w 1820 roku ówczesny prezydent, Jean-Pierre Boyer, musiał wypłacać żołnierzom żołd w postaci praw do ziemi. Tym samym żołnierze również stawali się chłopami. Należało porzucić marzenia o ponownym utworzeniu plantacji. Kiedy Boyer pojął, że nie da się dłużej pozyskiwać dochodów z eksportu, zaczął wprowadzać podatki pasujące do rodzącej się gospodarki rolniczej. Opodatkował na przykład wiejskie targowiska. W ten sposób sprawił, że do państwowej kasy trafiło nieco pieniędzy, przede wszystkim zaś zalegitymizował samą instytucję targowisk. Nie mógł zażądać danin od ziemi, którą chłopi już zajęli, pozostało mu zatem tylko jedno: zaczął sprzedawać kolejne działki. Rząd centralny jednoznacznie przyznał, że postępowanie chłopów przesądziło sprawę. Byli niewolnicy zajęli się uprawą ziemi i nic nie mogło ich od niej oderwać. Władza przystała na ten stan rzeczy i pogodziwszy się z utratą kontroli nad sytuacją, próbowała mimo to uzyskiwać jakiekolwiek wpływy do kasy państwowej.

Kim byli owi chłopi, którzy tak zdecydowanie opowiedzieli się za pracą na roli? Część z nich stanowili zapewne potomkowie pierwszych niewolników przybyłych wraz z Hiszpanami w 1510 roku, większość jednak przyszła na świat w Afryce. W latach 1775–1791, czyli w okresie poprzedzającym rewolucję, kolonia zaznała bezprecedensowego rozwoju. Produkcja kawy i bawełny wzrosła o pięćdziesiąt procent w ciągu zaledwie sześciu lat, nic zatem dziwnego, że populacja niewolników się podwoiła. Jednocześnie z powodu fatalnych warunków na plantacjach rocznie umierało

tam co najmniej siedemnaście tysięcy ludzi, a stopa urodzeń była niewielka. Przez ostatnie czternaście lat francuskich rządów władze ściągnęły na Haiti co najmniej trzysta siedemdziesiąt pięć tysięcy Afrykanów. Współczesne haitańskie chłopstwo wywodzi się wprost z Afryki.

Zbuntowani niewolnicy, którzy z mozołem prowadzili życie osadników na górzystej wyspie, pochodzili z najróżniejszych części kontynentu afrykańskiego i przynieśli ze sobą wiele różnych tradycji kulturowych. Byli wśród nich rzemieślnicy i muzycy, zielarze, rzeźbiarze, kowale, budowniczowie łodzi, rolnicy, wytwórcy bębnów, wojownicy i magowie. Trafiali się ludzie, w których żyłach płynęła królewska krew, i tacy, którzy urodzili się w Afryce w niewoli. Łączyło ich to, że każdy padł ofiarą odrażającego systemu gospodarczego i został wyrwany ze swojego świata. Równie mocno łączyły ich także ustne tradycje: skarbiec wierzeń religijnych, wiedza na temat muzyki, tańca, lekarstw, rolnictwa, wzorców organizacji społecznej. Wszystko to zabierali ze sobą do najbardziej odległych haitańskich dolin. Tradycje te ewoluowały, splatały się ze sobą i podlegały przemianom, zwłaszcza gdy na początku XIX wieku kraj znalazł się w izolacji od reszty świata.

Haiti, które wyłoniło się po rewolucji, uznano na arenie międzynarodowej za pariasa. Przez ponad sto lat pozostawało ono jedyną niepodległą czarną republiką oprócz Liberii, słabowitego dziecka Stanów Zjednoczonych. Było solą w oku beneficjentów ówczesnego imperializmu. Haitański rząd wspierał rewolucjonistów walczących o zniesienie niewolnictwa, czym drażnił europejskie potęgi. Simon Bolívar ukrywał się na Haiti i otrzymywał tam wsparcie finansowe, zanim wyzwolił Wenezuelę i inne hiszpańskie kolonie. Rząd zdobywał się też na symboliczne gesty: kupował niewolników przewożonych do Stanów Zjednoczonych, by zwrócić im wolność. Polityka Haiti kłóciła się z interesami zagranicznych kupców również dlatego, że cudzoziemcom nie wolno było nabywać ziemi ani posiadłości na wyspie. Chociaż nie zahamowało to handlu, jego charakter musiał się zmienić. W stuleciu, gdy europejski kapitał swobodnie krążył po świecie, Haiti umiało stawić mu opór. Udało się nawet ograniczyć hegemonię Kościoła katolickiego. W czasach kolonialnych na wyspie nie było zbyt wielu duchownych. Po rewolucji stracili oni niemal wszelkie wpływy. Przez pierwsze pół wieku niepodległości Haiti nie utrzymywało stosunków z Watykanem. Katolicyzm pozostawał oficjalną religią rodzącej się elity politycznej i gospodarczej, lecz w okresie kształtowania się nowego kraju nie dotarł na prowincję.

Mieszkańcy Haiti borykali się też z izolacją wewnętrzną. Przez cały XIX wiek pokolonialna infrastruktura drogowa marniała i nie dokonywano żadnych napraw, pogłębiała się więc przepaść między prowincją a miastami. Na skutek tego dwa rodzące się segmenty haitańskiego społeczeństwa – chłopi i elity miejskie – jeszcze bardziej oddalały się kulturowo od siebie. Wśród chłopów dominowali, rzecz jasna, byli niewolnicy, natomiast przedstawiciele elity wywodzili się w większości z grupy wolnych ludzi o mieszanym pochodzeniu rasowym, którzy w epoce kolonialnej cieszyli się takimi samymi przywilejami, jakie mieli biali Francuzi (w tym niechlubnym przywilejem posiadania niewolników), i zgromadzili wielkie majątki. We wczesnym okresie istnienia niepodległego Haiti oczywiste różnice między obiema tymi grupami wyraźnie się pogłębiły. Nie sprowadzały się one wyłącznie do podziału klasowego: tak naprawdę Haiti rozpadło się na dwa osobne, współistniejące światy.

Elity miejskie były dumne ze swojej haitańskiej tożsamości, ale zarazem zwracały się ku Europie w poszukiwaniu inspiracji duchowych i kulturowych. Przedstawiciele elit mówili po francusku, wyznawali katolicyzm, odbierali dobre wykształcenie. Kobiety ubierały się zgodnie z najnowszą paryską modą, mężczyźni pośredniczyli w najrozmaitszych interesach i tym samym pomagali Amerykanom i Europejczykom wyprowadzać z kraju majątek. Młodzieńcy często jeździli za granicę w poszukiwaniu edukacji i rozrywki. Po powrocie zajmowali prominentne stanowiska rządowe, wojskowe, tworzyli klasę przedsiębiorców i profesjonalistów. Ustanawiali oficjalne prawa, oparte na francuskich precedensach i Kodeksie Napoleona. Niewielka grupka krewnych i przyjaciół – liczebność elity nigdy nie przekraczała pięciu procent populacji – skupiła w swoich rękach niemal całą władzę polityczną i gospodarczą na wyspie.

Tymczasem na prowincji dawni niewolnicy stworzyli zupełnie inne społeczeństwo. Opierało się ono nie na modelu europejskim, lecz na tradycjach odziedziczonych po przodkach. Zarazem nie można powiedzieć, że było to społeczeństwo ściśle afrykańskie. Pewnych europejskich wpływów nie dało się uniknąć, ponadto tylko w naprawdę nielicznych przypadkach pierwotne szczepy konkretnych afrykańskich kultur zdołały przetrwać w niezmienionej formie. Na drodze ewolucji kulturowej wyłoniła się zatem zupełnie nowa, wyjątkowa haitańska mieszanka, w której skład wchodziły rozmaite elementy pochodzące z najróżniejszych części Afryki. Mieszkańcy prowincji nie postrzegali siebie jako potomków określonych

plemion czy królestw – uważali się raczej za *ti guinin*, dzieci Gwinei, pradawnej ojczyzny, która miała coraz mniej wspólnego z określonym miejscem lub określoną historią i nabierała statusu mitycznej krainy. Z czasem zbiorowe wspomnienia uciskanej grupy przekształciły się w etos nowych pokoleń i fundament odrębnej, trwałej kultury.

Dziś ten, kto znajdzie się na haitańskiej prowincji, na każdym kroku dostrzeże ślady afrykańskiego dziedzictwa. Na polach zobaczy długie szeregi rolników, którzy raz po raz wbijają motyki w ziemię w rytm niewielkich bębnów. Obok czekają już kociołki pełne gorącej kaszy i jamsów – podaje się je na uczcie z okazji zbiorów. Gospodarstwa buduje się wokół centralnego podwórza. Noszą one nazwę *lakou*. Na środku podwórza zasiada starzec mający największy autorytet w całej rodzinie. Gdy przy skrzyżowaniu dróg wyrośnie targowisko, procesja kobiet ze wzgórz zmierza tam wąskimi ścieżkami. Młode dziewczyny idą rozkołysanym krokiem i niosą na głowach koszyki pełne ryżu. Uparta matrona ciągnie pół tuzina osiołków objuczonych bakłażanami. I jeszcze dźwięki: echo odległej pieśni, zgiełk targowiska, melodia języka kreolskiego, w którym obcina się końcówki słów, by dopasować je do rytmu mowy powszechnego w Afryce Zachodniej. Wszystko to, rzecz jasna, łączy się w pewną całość. Owe obrazy i dźwięki mówią, jak wielką wagę przywiązuje się tu do pracy kolektywnej i współwłasności ziemi, mówią o władzy, którą dysponuje patriarcha rodu, i o dominującej roli kobiet w gospodarce targowiskowej. Wszystko to z kolei daje pewne wskazówki na temat skomplikowanego świata społecznego haitańskiej wsi.

Garść obrazów nie pozwoli wyrazić, jak spójny jest ów świat. Są jeszcze symbole, niewidzialne tony, nie tyle dostrzegalne, ile raczej wyczuwalne. Tu, w kraju ocaleńców i duchów, żywych i martwych, religia odpowiada za najważniejszy wymiar więzi społecznych. Vodoun nie jest żadną sektą. Mówimy o skomplikowanym światopoglądzie mistycznym, systemie wierzeń obejmującym relacje między człowiekiem, naturą a siłami nadprzyrodzonymi. Splata on znane z nieznanym, wydobywa porządek z chaosu, czyni zrozumiałym to, co tajemnicze. Nie można rozpatrywać vodoun w oderwaniu od codziennego życia wyznawców. Na Haiti, podobnie jak w Afryce, nie istnieje ścisły podział na sferę świętą i świecką, materialną i duchową. Każdy taniec, każda pieśń, każdy czyn to tylko drobna cząstka wielkiej całości, każdy gest jest modlitwą o przetrwanie wspólnoty.

Podporą owej wspólnoty jest houngan. W przeciwieństwie do katolickich księży nie kontroluje on dostępu do sfery sacrum, vodoun ma bowiem

charakter demokratyczny. Zwykły wyznawca nie tylko nawiązuje kontakt z duchami, ale też pozwala, by wstąpiły w jego ciało. Haitańczycy mawiają, że katolik idzie do kościoła, by mówić o Bogu, natomiast wyznawca vodoun tańczy w *hounfour*, aby stać się bóstwem. Mimo to houngan odgrywa arcyważną rolę, gdyż dzięki swej wiedzy teologicznej interpretuje skomplikowane wierzenia, dostrzega moce ukryte w liściach i odczytuje znaczenie w kamieniach. Vodoun nie sprowadza się wyłącznie do spraw duchowych. Mówi również, jak żyć, wyznacza kodeks etyczny i społeczne normy postępowania. O ile w innych krajach istnieją społeczeństwa buddyjskie albo chrześcijańskie, o tyle na Haiti mamy do czynienia ze społeczeństwem vodoun, co wyraża się w sztuce i muzyce, w socjalizacji opartej na ustnym przekazywaniu pieśni i folkloru, skomplikowanym systemie medycyny ludowej i systemie sprawiedliwości, którego podstawą są tradycyjne reguły zachowania. Houngan – psycholog, lekarz, wróżbita, muzyk i duchowy uzdrowiciel – jest de facto przywódcą tego społeczeństwa, musi więc zręcznie równoważyć siły wszechświata i kierować grą wiatrów.

W społeczeństwie vodoun nic nie dzieje się za sprawą przypadku. Wszystko należy do zamkniętego systemu przekonań, każde zdarzenie ma określony sens. Właśnie tak wygląda świat społeczny, w którym Clairvius Narcisse i Ti Femme zostali przemienieni w zombie.

*

– Co widzisz, kiedy patrzysz w niebo? – spytała Rachel, wbijając wzrok w ciemność.

Siedzieliśmy po przeciwnych stronach niewielkiego paleniska i w świetle ognia jej twarz złagodniała, skóra zaś nabrała miedzianego blasku.

– Gwiazdy, przynajmniej czasami.

– Kiedy byłam mała, ojciec zabrał mnie do planetarium w Nowym Jorku. Widzicie miliony gwiazd, a wasi astronomowie potrafią wypatrzyć znacznie więcej. – Wstała i pomału weszła w cień, jej słowa gasły, podobne do iskier pośród nocy. – Spójrz w niebo nad nami. Zobaczysz tu niewiele gwiazd. W pochmurną noc jest ich jeszcze mniej. Ale my za naszymi gwiazdami widzimy Boga. Wy widzicie jedynie kolejne gwiazdy.

Te słowa wywołały niespodziewany smutek, przypomniały mi o przepaści, która rozciągała się między mną a rodakami Rachel. Spojrzałem w dół, omiotłem wzrokiem ludną dolinę, pełną życia za sprawą migocących ognisk. Potem przez chwilę śledziłem rozkołysane światło latarki wspinające

się ku krawędzi wąwozu. Nagle wróciło świeże wspomnienie. Niewiele wcześniej wędrowałem w towarzystwie Maxa. Znaleźliśmy się na szczycie wzniesienia i rozciągnęła się przed nami spalona słońcem jałowa dolina. Mimo drżenia powietrza dostrzegałem białe, gorące kamienie, nieliczne sękate drzewa, wszechobecne ostre krzewy i miodle. Max wziął głęboki wdech. Zdawało się, że taki widok wyciśnie mu łzy z oczu. Z niezwykłą elokwencją zaczął opiewać tę nędzną, od dawna zaniedbywaną ziemię, jakby same słowa były w stanie uczynić ją piękną. Zrobiło to na mnie niezwykłe wrażenie. Podczas gdy ja mogłem myśleć jedynie o szarańczy, on myślał o aniołach. Który z nas był mądrzejszy?

Max Beauvoir, jak wszyscy ludzie zadowoleni z życia, zdołał odnaleźć spokój, zanim wkroczył w wiek średni. Nie przyszło mu to łatwo. Był synem zamożnego lekarza, w młodości wyjechał z Haiti i rozpoczął niezwykłą odyseję. Przemierzał ulice Nowego Jorku i korytarze paryskiej Sorbony, aż wreszcie trafił na dwór króla Dahomeju. Po piętnastu latach za granicą wrócił na wyspę z dyplomem inżyniera chemika. Zamierzał hodować agawę sizalową i pozyskiwać z niej kortyzon. Ledwo zasadził pierwsze rośliny, gdy przyszło mu przerwać pracę: jego dziadek, houngan, leżąc na łożu śmierci, polecił mu zająć się kapłaństwem. Tak oto Max porzucił swój biznes i ruszył w kolejną podróż. Przemierzył całe Haiti, co zajęło mu pięć lat, studiował tradycyjne rytuały, uczestniczył w pielgrzymkach, słuchał innych hounganów. Na swego ojca duchowego wybrał starego człowieka z południa i przystąpił do wspólnoty skupionej wokół jego *hounfour*. Wreszcie został hounganem. Do tego świata wprowadził swoją żonę, uroczą francuską malarkę, i obie córki, choć te ostatnie z początku stawiały pewien opór, a rówieśnicy w szkole wyśmiewali je z powodu wierzeń ojca. Dziewczynki przełamały wstyd; z czasem wiara stała się źródłem ich dumy.

– Pradziadek mojego ojca miał zielone oczy i złoty zegarek – powiedziała Rachel, powróciwszy do ogniska. – Przybył konno ze wschodu, wszystko, co miał, umieścił w tykwie, którą zawiesił sobie na szyi. Zegarek był zamykany, z lusterkiem w środku. Gdy pradziadek w nie spoglądał, znikał. – Zerknęła na mnie, niepewna, czy jej uwierzę. – Przewędrował cały kraj i w końcu osiedlił się w Petite Rivière de l’Artibonite. Stał się bardzo ważnym człowiekiem.

– Zapewne po części dzięki zegarkowi – rzuciłem żartobliwie.

– Niewykluczone – uśmiechnęła się. – Był wielkim hounganem. Żył wiele lat i znał datę swojej śmierci. Zanim umarł, rozdał wszystko i zebrał całą rodzinę. Znaleźli go pod wielkim drzewem *mapou*. Przyzywał do siebie

wszystkich wnuków, jednego po drugim, w tym ojca Maxa. Powiedział po kilka zdań do każdego z nich, a potem zwyczajnie odszedł.

– Dokąd?

– Nikt nie wie. Włożył kilka rzeczy do torby, którą umocował przy siodle, i odjechał. Ponoć w kierunku Dominikany.

– I tak wyglądał jego koniec?

– Tak. Czy potrafisz sobie to wyobrazić? Nikt nie wie, gdzie się urodził ani gdzie umarł.

Spojrzałem na nią, ale nic nie powiedziałem. Od kilku tygodni byliśmy parą ślepych wspólników. Przypadkowo znaleźliśmy się na tym samym szlaku, choć każde z nas miało zupełnie inny cel. Ja szukałem dziwnej, nieuchwytnej prawdy na temat zjawiska, w które ledwo wierzyłem, Rachel natomiast pragnęła poznać otaczającą ją krainę. Była młoda i choć może nie zdawała sobie z tego sprawy, rozdarta między dwoma światami: światem rodziny, ciążącym jej niczym kamień, i światem, który czekał daleko za oceanem. Wystarczyło na nią spojrzeć, by zrozumieć, że przyjdzie jej odbyć daleką podróż. W jej głowie kryło się sto przedwcześnie pozyskanych przekonań i choć niektóre były dobre i szczere, nie mogła ich uważać za naprawdę swoje, zanim sama nie odnajdzie ich na nowo, bo przecież przekonania to tylko słowa, dopóki nie zostaną zasiane w glebie doświadczenia. Czasem chciałem ją ostrzec, albowiem przeczuwałem, że piękno takie jak jej może stać się celem niszczycielskich sił. Nie wolno mi było jednak współczuć Rachel: zabraniała tego jej duma. Zresztą na razie żadne zło jej nie spotkało, o czym świadczyła jej bezczelna pewność siebie, charakterystyczna wyłącznie dla ludzi, którzy nigdy nie zaznali straty.

*

Zakurzona droga do Savane Carée wiodła przez stary brukowany rynek w centrum Ennery. Minęliśmy koszary o grubych ścianach oraz smętny pomnik Toussainta L’Ouverture’a i ruszyliśmy dalej wzdłuż Rivière Sorcier, przecięliśmy liczne strumienie i zaczęliśmy piąć się w górę po wzgórzach, na których gdzieniegdzie rosły mangowce. Ziemia była tu żyzna, gałęzie drzew w sadach uginały się pod ciężarem napęczniałych owoców, pola na zboczach leżały odłogiem, ukryte pod gęstą trawą. Od czasu do czasu moim oczom ukazywały się niewielkie skupiska białych domów. Na skraju, tam gdzie pola traciły regularny kształt, rosło proso. Dalej wznosiły się strzeliste, niemal pionowe górskie ściany, udekorowane opadającą kaskadowo roślinnością.

W żywopłotach mieszkały dzikie zwierzęta, pod niebem przelatywały czasem ptaki drapieżne. Po wędrówkach przez jałowe ziemie na zachód od Gonaïves ta wszechobecna obfitość zdawała się wręcz niewinna. Ale przecież to tu, w tej malowniczej dolinie, Ti Femme została poddana zombifikacji.

Za skrzyżowaniem, przy którym jeszcze tego ranka działał targ, Rachel i ja spostrzegliśmy drobnego chłopaka leżącego na ziemi, odprężonego jak jaszczurka. On też nas zauważył i zaraz się zerwał. Natychmiast dołączył do niego kolega. Podeszliśmy bliżej. Pierwszy chłopak miał niezwykle intensywne spojrzenie, dużą głowę i długie kończyny, typowe dla wiejskich dzieciaków. Nazywał się Oris. Jego przyjaciel, René, młodszy od niego, ewidentnie grał w tej parze drugie skrzypce. Od tej pory było nas czworo.

– No jasne, że ją znam. To ta, co była pod ziemią – mówił Oris, gdy wędrowaliśmy wąską ścieżką. – Umarła, ale tchnienie życia jej nie opuściło, zostało tutaj – dodał i wskazał swoją pachę.

– Pochowali ją?

– Jasne. Potem w nocy człowiek, który ją zabił, przyszedł po nią. – René podbiegał trochę przed siebie i zaraz się cofał, jak królik przestraszony, że coś przegapi. Chwilami był tak rozradowany, że nie wytrzymywał i wybuchał wesołym, perlistym śmiechem.

– Kto jej to zrobił?

– Nie wiemy – powiedział René i zerknął na przyjaciela.

– Jej ciotka – stwierdził Oris rzeczowo. – Potem zaprzęgli ją do pracy przy oczyszczaniu kaszy kukurydzianej. Tylko do tego się nadawała.

– A bokor?

– Żeby się tego dowiedzieć, musiałbyś odkryć, kto ją zabił.

– Przecież właśnie powiedziałeś, że zrobiła to jej ciotka.

– Ona miała wiele ciotek, niektóre już umarły. Poza tym i tak nikogo to nie obchodziło.

– Co masz na myśli? – Rachel przystanęła i kucnęła na skraju ścieżki, jej spódnica rozlała się po ziemi. Oris ominął ją i szedł dalej zamaszystym krokiem. Ścieżką ku nam stąpała kobieta z targu, korpulentna i dość ponura. Chłopak najwyraźniej wolał milczeć, dopóki pozostawał w zasięgu jej słuchu.

– Ti Femme była wstrętna – wyjaśnił wreszcie. – Robiła rzeczy, których nie powinna robić. I nie lubiła ludzi.

– Dlaczego? Możesz powiedzieć coś więcej? – wypytywała Rachel.

– Na przykład: siedzisz sobie, nikomu nie przeszkadzasz, a ona nagle wstaje i zaczyna cię przeklinać. Obrzucała ludzi wyzwiskami bez powodu. Ale tu czasami zabijają ludzi za byle co – powiedział Oris swobodnym tonem. – To jak z tą kobietą podczas wyborów – dorzucił, mając na myśli niedawne wybory do Zgromadzenia Narodowego. – Nie lubiliśmy jej. Źle się zachowywała, na spotkaniach krzyczała na dzieci. Więc się zemściliśmy. Ja na przykład pięć razy zagłosowałem na doktora. Obiecał, że ściągnie żonę prezydenta do naszego *lakou*.

Podążaliśmy za naszymi niefrasobliwymi przewodnikami przez gęste trawy, przedzieraliśmy się przez nie powoli, aż wreszcie dotarliśmy do wąskiej ścieżki biegnącej ku niewielkiemu domowi na pagórku. W cieniu na ganku dwóch mężczyzn rozdrabniało w moździerzu nasiona rytmicznymi, płynnymi, mocnymi ruchami. Oris skinął Rachel głową, po czym wraz ze swym przyjacielem zawrócili i zniknęli wśród traw.

– *Honneur!* – zawołała Rachel, gdy podeszliśmy bliżej.

Mężczyźni spojrzeli na nas, po czym jeden z nich zawołał coś do dziecka bawiącego się przed domem i kazał mu schować się do środka. Przyglądali się nam jeszcze przez chwilę, po czym wrócili do pracy. Było to wyjątkowo nieuprzejme powitanie, zdecydowanie niezgodne z normami chłopskiej etykiety. Czekaliśmy pod drzewem ciężkim od zielonych pomarańczy, dopóki nie wyszła ku nam stara, wątła kobieta, matka Ti Femme. Nazywała się Mercilia. Przedstawiliśmy się i zaprosiła nas do frontowej izby, gdzie uraczyliśmy się papierosami i kawą. Po kilku minutach swobodnej rozmowy przeszliśmy do rzeczy i ujawniliśmy cel naszej wizyty.

– Dziewczyna umarła z woli Boga – oznajmiła Mercilia. – I z jego woli jej ciało zostało ożywione. My nic nie wiemy o tych sprawach. I nie mają racji ci, co powtarzają, że ktoś ją zabił. Ona umarła, po prostu umarła.

– Tak, właśnie tak nam mówiono. Pewnie ciężko chorowała.

– Och, przez wiele miesięcy. Miała gorączkę, coś cisnęło ją pod sercem. Dobra z niej była dziewczyna, wszyscy ją lubili. Wszyscy przyszli na pogrzeb. Odbyły się dwa czuwania. – Popatrzyła na Rachel i poufale pokiwała głową. – Najpierw trumna nie dotarła na miejsce, potem padało.

Rachel posłała mi zdziwione spojrzenie i zaraz odwróciła się do Mercilii.

– Gdzie umarła?

– Tu, w domu, w którym przyszła na świat. Nocą. Pochowali ją o świcie. Trzy dni później poszłam na grób. – Kobieta kołysała się łagodnie na krawędzi krzesła. – Ti Femme nigdy nie mówiła nic o tym, co się z nią działo

pod ziemią. Słyszała tylko ludzi mówiących, że umarła. Była jak we śnie, nie mogła nic zrobić. Kiedy poszłam na grób, nie wiedziałam, że jej tam nie ma.

– A gdzie jest teraz?

– W szpitalu, rząd się nią zajmuje. Gdybym mogła, sprowadziłabym ją tu, ale mój mąż nie żyje, a Ti Femme nikogo nie ma i jest jak dziecko. Kiedy ją znaleźli, nie potrafiła się nawet umyć ani uczesać.

Drzwi skrzypnęły i ukazała się nam grupka podsłuchujących dzieci. Mercilia je odpędziła, a wtedy między jej nogami przecisnęły się dwie kury. Wtargnęły do środka i zaczęły łazić po pokoju, gdakać, odruchowo dziobać betonową podłogę. Wstaliśmy z Rachel, gotowi do wyjścia.

– Nie było takiego, co by jej nie lubił – zapewniła Mercilia, chowając trochę pieniędzy, które jej wręczyłem. – Nigdy się z nikim nie kłóciła.

Tak jak przypuszczałem, nasi gadatliwi przewodnicy czekali na nas po drugiej stronie trawiastych zarośli. Oris leżał oparty na łokciu w cieniu drzewa *Spondias mombin* i żuł trzcinę cukrową.

– I? – spytał z szelmowską pewnością siebie.

– I co? – odparowała Rachel, śmiejąc się w głos.

Droga powrotna do naszego jeepa nie obfitowała w szczególnie ciekawe wydarzenia, ale kiedy pozbyliśmy się chłopaków na targu, Rachel zwróciła się do mnie.

– Wiesz, to trochę dziwne. Czuwanie zawsze odbywa się w nocy. Skoro tym razem były dwa czuwania, ciało musiało leżeć w domu przez trzydzieści sześć godzin, prawda?

– Co najmniej.

– Dlaczego więc rodzina nie zauważyła, że zwłoki nie zaczęły się rozkładać?

– Faktycznie, powinni byli to dostrzec. – Zadumałem się przez chwilę. – Co sądzisz o historyjce, którą opowiedział nam chłopak?

– Nie jestem pewna. Wiesz, na wybrzeżu mieszka przyjaciółka mojego ojca, która przyjeżdża tu na targ. Ona będzie wiedziała coś więcej.

*

Słońce już zachodziło, gdy dotarliśmy na obrzeża Gonaïves i zatrzymaliśmy się przed niewielkim skupiskiem przykurzonych domów za zielono-niebieskim ogrodzeniem, na którym widniała syrenka namalowana przez ludowego artystę.

– Czasami działa tu klub nocny – wyjaśniła mi Rachel. – Clermezine to

syrena, jeden z duchów przyjaciółki ojca, wspaniałej *serviteur*.

Zamieniła kilka słów z chłopakiem, który wraz z gromadką kumpli lenił się przy wejściu. Chłopak zaraz zniknął w środku i wrócił z jakąś dziewczyną. Rachel ucałowała ją łagodnie w oba policzki i ruszyliśmy za nią po betonowym parkiecie tanecznym. Minęliśmy zdewastowaną estradę i weszliśmy na wewnętrzny dziedziniec, gdzie trwało właśnie jakieś głośne zebranie. Przewodniczyła mu zupełnie niezwykła kobieta, która wstała, by nas powitać. Wydała mi się dostojna i imponująca niczym królowa. Rachel zniknęła w jej czułych objęciach. Zanim zdążyliśmy znaleźć sobie miejsce na jednym z krzeseł ustawionych w niewielkie koło, przyniesiono nam na tacy kubki z gęstą, gorącą kawą.

Po paru chwilach rozpętał się huragan głosów. Nie miałem pojęcia, co się dzieje. Kobieta, która dzierżyła tu władzę, zachowywała śmiertelną powagę, jeden z mężczyzn robił się coraz bardziej zagniewany, ale Rachel śmiała się do rozpuku. Później się dowiedziałem, czego dotyczyła rozmowa. Gniewny mężczyzna nie wywiązał się z powierzonego mu zadania, kobieta oznajmiła więc, że jeśli kiedykolwiek się to powtórzy, zostanie posiekany na maleńkie kawałki i „żadną łopatą nie uda się ich pozbierać". W odpowiedzi mężczyzna zagroził, że naśle na nią *loup garou*, czyli wilkołaczycę. Kobieta nic sobie nie robiła z tej groźby. Odparowała, że potrafi latać szybciej niż wszelkie złe istoty, które mógłby na nią napuścić, zwłaszcza jeśli „będzie im przeszkadzało takie coś jak to, co masz między nogami". Te cokolwiek nieprzyzwoite dowcipne przekomarzanki trwały przez dłuższy czas, aż wreszcie kobieta wykrzyczała kilka ostrych słów, po których mężczyzna natychmiast zamilkł.

Gdy zapytaliśmy o Ti Femme, kobieta ponownie się ożywiła. Opowiedziała, że Ti Femme przyjeżdżała do Gonaïves, żeby kupować kaszę kukurydzianą, którą później odsprzedawała z zyskiem w Ennery i Savanne Carée. Była *maloktcho* – to kreolskie wyzwisko da się zgrubnie przetłumaczyć jako „nieokrzesana, niecywilizowana, grubiańska". Nasza rozmówczyni wtórowała małemu Orisowi. Według niej Ti Femme zachowywała się nieuprzejmie, bez przerwy wszystkim wymyślała, była też nieuczciwa.

– Jak się od niej coś kupowało i to coś było warte pięć gourde, ona chciała, żeby zapłacić siedem. Potem schodziła do sześciu. Jeśli powiedziałeś, że zapłacisz pięć, dobijała targu. Na koniec odmierzała towar, wręczała ci i mówiła: „Płacisz sześć". Dlatego ją zabili.

– Niektórzy mówią, że za tym zabójstwem stała jej rodzina.

– A ja mówię, że to sprawa z targowiska. Wszyscy jej nienawidzili. Starczyło na moment spuścić oko z pieniędzy i zaraz je zabierała. Była złodziejką.

– Czyli za zabójstwem mógł stać ktokolwiek z targowiska?

– Nie ktokolwiek: wszyscy! Pojedynczej osoby nie byłoby stać na to, żeby ją zabić.

*

Nazajutrz odwiedziliśmy misję baptystów w Passereine. Chciałem porozmawiać z Jay Ausherman, Amerykanką, która opiekowała się Ti Femme, gdy ta odnalazła się na targowisku w Ennery w 1979 roku. Niestety, misjonarka wyjechała z kraju. Ruszyliśmy w dalszą drogę, gdy naraz zobaczyłem solidnie zbudowanego, łysiejącego mężczyznę, który siedział na schodach drewnianego kościoła. Od razu rozpoznałem jego twarz – wszak bardzo zapadała w pamięć. Był to Clairvius Narcisse. Pomieszkiwał tu, odkąd wypisano go z instytutu psychiatrii.

Tak oto odbyłem pierwszą z kilku nieformalnych rozmów z Narcisse'em poza murami kliniki Douyona. Tym razem nieco swobodniej opowiadał o swoich trudnych przeżyciach. Był niezwykle silnym człowiekiem, prawie nigdy nie chorował, w ogóle nie spodziewał się, że ktoś postanowi wyrządzić mu krzywdę. Wszedł jednak w spór z jednym ze swych braci, bokorem, ten bowiem zapragnął przejąć ziemię, którą uprawiał Narcisse. Pewnej niedzieli bokor odprawił czary. Dwa dni później, we wtorek, Narcisse, który akurat przebywał w Gonaïves, poczuł osłabienie i mdłości. Jeszcze tego samego dnia poszedł do szpitala. Kaszlał, miał trudności z oddychaniem. Nazajutrz w południe był umierający.

– Jaką truciznę ci podano? – przerwała mu Rachel.

– Nie było żadnej trucizny. W przeciwnym razie moje kości zgniłyby pod ziemią. Bokor posłał po moją duszę. Na tym to polega.

– Użył misy? – spytała dziewczyna.

– Tak, misy wypełnionej wodą. Nakłuwają ci skórę i wzywają ducha, wtedy woda zmienia się w krew.

Objaśniał, że po wyciągnięciu z grobu został sprzedany bokorowi nazwiskiem Joseph Jean, który trzymał go w niewoli na plantacji w pobliżu Ravine-Trompette, małej wioski na północy koło Pilate, niedaleko Cap-Haïtien. Razem z wieloma innymi zombie Narcisse harował w polu od świtu do zmierzchu. Przerwę mogli sobie zrobić tylko raz dziennie, spożywali

wówczas posiłek, zwyczajne chłopskie jadło, tyle że niesolone. Sól była absolutnie zakazana. Narcisse twierdził, że zdawał sobie sprawę ze swojego położenia. Tęsknił za rodziną, przyjaciółmi i własną ziemią. Pragnął wrócić do siebie, jego życie przypominało jednak dziwaczny sen. Wydarzenia i myśli przeplatały się w zwolnionym tempie. Nie miał nad tym wszystkim kontroli – był zupełnie bezwolny, o niczym nie decydował, świadome przejęcie inicjatywy nie wchodziło w grę.

Wolność odzyskał przypadkiem. Jeden z niewolników przez kilka dni odmawiał jedzenia, więc regularnie bito go za niesubordynację – aż wreszcie chwycił motykę i w ataku szału zabił bokora. Po śmierci pana zombie rozpierzchli się po kraju i z czasem wrócili do swoich wiosek na północy. Oprócz Narcisse'a tylko jeden niewolnik pochodził z centralnej części Haiti, co ciekawe – z Ennery. Choć Narcisse był teraz wolny, spędził na północy kilka lat. Potem na osiem lat osiadł w Saint Michel de l'Attalaye na południu. Nie chciał wracać w rodzinne strony, gdyż bał się brata, mimo to spróbował nawiązać kontakt z rodziną. Wysłał wiele listów, pozostały one jednak bez odpowiedzi. Dopiero gdy usłyszał, że brat odpowiedzialny za jego cierpienia umarł, odważył się przybyć do l'Estère. Na jego widok miejscowi przeżyli szok. Nie został ciepło przyjęty. Mieszkańcy wioski potraktowali go wrogo i lokalne władze, przekonane, że życiu Narcisse'a grozi niebezpieczeństwo, umieściły go dla jego własnego dobra w więzieniu. Zaraz potem znalazł się pod opieką doktora Douyona. Od tego czasu przyjeżdżał czasami do l'Estère, za każdym razem na krótko. Mieszkał albo w prywatnej klinice Douyona w stolicy kraju, albo w bezpiecznej misji baptystów.

– Trzykrotnie zawołali moje imię – opowiadał nam Narcisse po południu tamtego dnia. Siedzieliśmy na cmentarzu w Benetier. Gdy tam dotarliśmy, potrzebował ładnych kilku minut, by przypomnieć sobie dalszą drogę. W końcu z wahaniem ruszył przed siebie i krążąc pośród ciasno rozstawionych nagrobków z popękanego betonu, zaprowadził nas do swojego grobu. Na płycie widniał ledwo widoczny napis wyryty jakieś dwadzieścia lat wcześniej: „Ici Repose Clairvius Narcisse".

– Kiedy rzucili ziemię na moją trumnę, mnie w niej nie było. Tam – wskazał na ziemię – znajdowało się tylko moje ciało. Tymczasem ja unosiłem się w powietrzu, wędrowałem to tu, to tam. Wszystko słyszałem. Po jakimś czasie przyszli tamci. Mieli moją duszę, wezwali mnie, posłali ją do ziemi. – Narcisse uniósł wzrok.

Na skraju cmentarza zobaczyliśmy dwóch chudych grabarzy. Stali bez

ruchu, czujni jak gazele. Rozpoznali Narcisse'a; poczuł na sobie ciężar ich spojrzeń.

– Boją się ciebie? – spytała Rachel.

– Nie – odpowiedział. – Ale gdybym zaczął sprawiać kłopoty, zrobiłoby się niewesoło. – Przez kilka minut milczał. Późnopopołudniowe słońce oświetlało mu twarz, lecz głęboka blizna na prawym policzku – pozostałość po gwoździu wbitym w trumnę – pozostawała w cieniu.

– Myśleli, że jestem *bourreau*, katem, więc przywiązali mi ręce do tułowia.

– Miałeś siłę, żeby stawiać opór?

Narcisse zignorował moje pytanie i ciągnął:

– Potem stanąłem przed sądem, co trwało osiem dni.

– Kto cię sądził? – spytała Rachel z podnieceniem. – Gdzie to się działo?

Narcisse znów nie odpowiedział, wstał i ruszył przez cmentarz. Zatrzymał się na moment przy potężnym, wysokim nagrobku, po czym podreptał w kierunku drogi. Dotarliśmy do naszego jeepa, wówczas odwrócił się do nas i powiedział szeptem:

– To oni są panami tego kraju. Mogą robić, co im się podoba.

*

– Jedynym sądem, jaki znał mój brat, był cmentarz.

Angelina Narcisse rozsiadła się na krześle i szeroko rozłożyła nogi. Tego ranka słońce zdołało pokonać chmury i zmusiło nas do schronienia się w cienistym wnętrzu chaty krytej strzechą. Między cienkimi belkami stropowymi ciągnęły się długie sznurki, z których zwisały dziesiątki fotografii prezydenta Jean-Claude'a Duvaliera i jego małżonki. Zadbana i ładna twarz Michelle Duvalier od razu rzucała się w oczy. Pomiędzy zdjęciami wisiały haitańskie flagi – czerwono-czarne[3], tak samo jak długa sukienka Angeliny. Wszystkie domy w tym *lakou* łączyły się ze sobą niczym kamienie osadzone w wysuszonej glinie. W jednym z kątów zatknięto w ziemię żelazne pręty tworzące coś w rodzaju prowizorycznego koksownika. Między nimi leżał stosik czarnego węgla. Pewnego razu, gdy towarzyszyłem Beauvoirowi, widziałem, jak człowiek opętany przez *loa* wbił podobny pręt w ziemię gołymi rękami, nie bacząc na to, że końcówka jest rozgrzana do czerwoności.

– No, chyba że mówimy o nocnym sądzie. Ale o tym nikt nie powinien wiedzieć. Więc my też nic na ten temat nie wiemy.

Oschłym tonem Angelina wyjaśniła, co jej zdaniem spotkało Clairviusa. Otóż toczył on najrozmaitsze spory ze swoimi braćmi jeszcze za życia rodziców. Często chodziło o ziemię, choć nie zawsze. Clairvius był w miarę zamożny, lecz nie chciał dzielić się z krewnymi tym, co miał. Na przykład pewnego razu jego brat Magrim zwrócił się do niego z prośbą o pożyczkę w wysokości dwudziestu dolarów i spotkał się z kategoryczną odmową. Zrobiła się z tego duża awantura: Magrim uderzył Clairviusa w nogę kawałkiem drewna, zaatakowany w odpowiedzi obrzucił go kamieniami. Obaj wylądowali w więzieniu.

Według Angeliny Clairvius narobił sobie też wrogów poza rodziną. Naruszył cześć wielu kobiet, miał nieślubne dzieci w najrozmaitszych zakątkach doliny Artibonite, mimo to ani nie przyznawał się do ojcostwa, ani nie zbudował matkom domów. Słowem, wykręcał się od zobowiązań finansowych, więc kiedy wkraczał w wiek średni, był w lepszej sytuacji materialnej niż wielu jego rówieśników, co pozwalało mu żyć na wyższej stopie. Jako pierwszy w swoim *lakou* pokrył dom blaszanym dachem. „Bogacił się kosztem swojej wspólnoty", mówiła Angelina. Najprawdopodobniej któraś z miejscowych ofiar Clairviusa – pewnie dawna kochanka – sprzedała go bokorowi.

– Ale nasza rodzina nie wie nic o żadnych truciznach – oznajmiła na koniec Angelina. – Brat chorował przez rok. Nikt go nie otruł. I nie była to choroba zesłana przez Boga. W przeciwnym razie nadal leżałby w grobie.

W każdym razie Clairvius umarł, a rodzina natychmiast rozdzieliła między siebie jego pola. Angelina i jej siostra po dziś dzień uprawiały odziedziczony wówczas kawałek. Clairvius wystąpił na drogę sądową, by odzyskać swoją własność, lecz rodzeństwo nie miało zamiaru niczego mu zwracać. Według sióstr Clairvius nie żył. Był po prostu duchem, który niepotrzebnie powrócił do rodzinnej wioski. Gdy w 1980 roku pierwszy raz pojawił się na targu w l'Estère, jeden z krewnych rozpoznał go i kazał mu się wynosić. Potem na targ przyszła siostra. Porozmawiała z Clairviusem, zaproponowała mu pieniądze i zażądała, by w zamian opuścił wieś. W międzyczasie zebrał się potężny tłum, zrobiło się nieprzyjemnie, więc policja zabrała Clairviusa do więzienia, by zapewnić mu bezpieczeństwo.

Śmierć w rodzinie jest jak kamień wrzucony do jeziora: tafla wody na moment zostaje gwałtownie zmącona, potem zaś fale smutku rozchodzą się, sięgając nawet najdalszych krewnych. W przypadku Clairviusa kamień po prostu wpadł w wodę i nie wywołał najlżejszego jej poruszenia. Dlaczego? Traf sprawił, że dowiedzieliśmy się tego zaraz po wyjeździe z jego

rodzinnego *lakou*. Słońce wisiało wysoko na niebie i panował straszny skwar, więc gdy zobaczyliśmy przy drodze samotnego chłopa dźwigającego potężny ciężar, postanowiliśmy zaoferować mu podwózkę. Okazało się, że to kuzyn Clairviusa. Zaczęliśmy rozmawiać. Rachel zręcznie zablefowała, dzięki czemu kuzyn nabrał przekonania, że wiemy więcej, niż naprawdę wiedzieliśmy.

– Oczywiście stał za tym ktoś z rodziny. To nie ulega wątpliwości – powiedział nam. – Nigdy nie dowiecie się, kto to był, chyba że dotrzecie do człowieka, który osądził Clairviusa.

– Jak to? Houngan powiedział nam, że sąd nie został zwołany – odparła Rachel, umyślnie zwodząc naszego rozmówcę.

– W tego rodzaju przypadkach zawsze zwołuje się sąd – upierał się kuzyn. – Muszą wezwać umarłego. W przeciwnym razie nie zdołają zastawić pułapki.

– Żeby zabrać jego duszę? – spytałem, przypomniawszy sobie, co Clairvius opowiadał nam podczas rozmowy w misji.

– Muszą wezwać umarłego.

– Jego siostra mówiła, że bokor rzucił *coup l'aire* – powiedziała Rachel.

– Nie, nie. Potrzebowali ciała, chcieli je zaprząc do pracy. Tylko *coup poudre* mógł im to zapewnić.

– *Coup poudre*? – spojrzałem pytająco na Rachel.

– Magiczny proszek.

Kuzyn Clairviusa nie był pewien, co wchodziło w skład tego proszku. Zapewne duża jaszczurka zwana *agamont* i może jeszcze dwie ropuchy, *crapaud bouga* i *crapaud de mer*.

– Gdzie umieszcza się truciznę?

– Nie ma żadnej trucizny – usłyszałem w odpowiedzi. – Narcisse wyszedł z grobu. Gdyby mu dali truciznę, zostałby pod ziemią. – Kuzyn spojrzał na mnie zdziwiony.

Nagle pojąłem, jakim byłem idiotą. Pytałem wszystkich o truciznę, ale to, co nazywałem trucizną, oni nazywali pułapką lub *coup poudre*. Według miejscowych zombifikacja dokonywała się nie za sprawą substancji chemicznej, lecz za sprawą czarów.

*

Zanim pozostali goście opuścili Peristyle de Mariani, wybiła druga w nocy.

Rachel weszła do środka, na tarasie zostaliśmy tylko jej ojciec i ja. Po wieczornych ceremoniach zawsze panowało wielkie ożywienie, ludzie prowadzili hałaśliwe rozmowy. Teraz wreszcie zapadła przyjemna cisza, dzięki czemu mogłem uważniej studiować otoczenie, chłonąć zapach drzew cytrusowych i wsłuchiwać się w popiskiwanie nietoperzy.

– Jesteś dziś nie w sosie – zauważył Max.

Nietoperz przefrunął pod dachem *peristyle* i zaraz zniknął.

– Może masz rację – rzuciłem.

– Napijesz się czegoś?

– Tylko jeśli mi potowarzyszysz. Rum na lodzie poproszę.

– Jak idzie praca?

– Jakoś. Rachel ci nie opowiadała?

– Trochę opowiadała. Niezła z nich para.

– Masz na myśli Ti Femme?

– I tego drugiego.

– Słuchaj, Max, ktoś w tej sprawie się zupełnie myli.

– Co masz na myśli?

– Ti Femme wcale nie była niewiniątkiem. Ludzie jej nienawidzili. Z kolei Narcisse wrócił do swojej wioski po osiemnastu latach i jego własna siostra próbowała go przepędzić.

– Pewnie się go bała.

– Jak można się bać całkowicie bezwolnej istoty?

Beauvoir zaczął się śmiać, lecz gdy usłyszał moje następne pytanie, natychmiast umilkł. Jego twarz zastygła niczym maska.

– I w jaki niby sposób całkowicie bezwolna istota może umyślnie kogoś zabić? – spytałem. – Według Narcisse'a właśnie dzięki zabójstwu on i pozostali zombie z tamtej plantacji odzyskali wolność. Ta historia nie ma sensu.

– Nie wierzysz mu?

– Nie wierzę, że był niewinną ofiarą. To samo dotyczy Ti Femme. Narcisse opowiedział mi, że stanął przed sądem. Jego kuzyn potwierdził tę wersję.

Beauvoir milczał przez dłuższą chwilę. Gdy wreszcie się odezwał, w jego głosie po raz pierwszy usłyszałem niepokój.

– Rozmawiałeś z jego siostrami?

– Tylko z tą wysoką, Angeliną. Jakiś czas wcześniej widzieliśmy

pozostałe.

– Jakie wrażenie zrobiła na tobie Angelina?

– Potężna kobieta, ma pełnię władzy. I na pewno nie płakała po bracie.

– Nie rzuciło ci się w oczy nic szczególnego? Zastanów się.

– Nie… – Myślałem dłuższą chwilę. – Aczkolwiek był jeden dziwny moment. Zapytałem, czy mogę zrobić zdjęcie całej rodzinie.

– I?

– I wtedy Angelina jako jedyna poszła się przebrać.

– A więc zauważyłeś.

– Tak, tylko nie wiem, co…

– Angelina jest królową. A ty ją zaskoczyłeś.

Próbowałem mu przerwać, ale mi nie pozwolił. Uniósł szklankę, jej brzeg zabłysł odbitym światłem.

– Haiti jest jak szklanka wody – powiedział Beauvoir. – Sama szklanka jest tylko naczyniem. Potrzebujesz wody, żeby ugasić pragnienie. To woda, nie szklanka, trzyma cię przy życiu. Na Haiti szklanka to Kościół katolicki, rząd, policja, armia, język francuski, rozmaite prawa i przepisy przywiezione tu z Paryża. Ale przecież ponad dziewięćdziesiąt procent mieszkańców nie rozumie francuskiego, a już na pewno nie czyta w tym języku. Katolicyzm jest oficjalną religią, często jednak mawia się, że nasz kraj jest w osiemdziesięciu pięciu procentach katolicki i w stu dziesięciu procentach vodoun. Praktykuje się u nas zachodnią medycynę, lecz na sześć milionów ludzi przypada tu pięciuset lekarzy. Większość zresztą pracuje w stolicy. Ludziom z zewnątrz wydaje się, że Haiti to typowe nieszczęsne dziecię Trzeciego Świata, kraj, który rozpaczliwie marzy, by doścignąć nowoczesny Zachód. Na pewno zdążyłeś się już przekonać, że to tylko fasada. W trzewiach naszego narodu dzieją się zupełnie inne rzeczy. Clairvius Narcisse nie padł ofiarą zwykłego, przypadkowego przestępstwa. Przecież sam powiedział ci, że został osądzony. Mówił o prawdziwych władcach tego kraju. Nie kłamał. Oni naprawdę istnieją. Musisz do nich dotrzeć, jeśli chcesz znaleźć odpowiedzi na swoje pytania. Prawdę znajdziesz tylko w tajnych stowarzyszeniach.

6

Wszystko jest trucizną, nic nie jest trucizną

Widziałem horyzont zabarwiony przez morze i pierwsze promienie światła na wschodzie. Powietrze było chłodne i spokojne. Nadeszła jedna z tych wyjątkowych chwil, gdy nastrój miasta się zmieniał. Nocne anioły już pouciekały, na ulicach pojawili się pierwsi ludzie. Budynki rumieniły się w słońcu poranka.

Nadal nie znałem jego imienia, zresztą wcale nie chciałem go znać. Pojawiał się w najdziwniejszych momentach, zawsze odziany w lnianą szatę. W ręku trzymał czarną laskę, która przywodziła na myśl cep błazna. Postukiwał nią w alabastrowe schody hotelu.

– Och, mój młody przyjacielu, widzę, że nie śpisz.

– Jeszcze nie. Dopiero wróciłem.

– Jak tam twoje łowy? – Nigdy nie zdradziłem mu, czym się zajmuję. – Nie musisz mi odpowiadać. Twoja mina mówi sama za siebie. Szkoda, szkoda… Moja praca też, niestety, idzie kiepsko. Dolary w zamian za marzenia, okropny rodzaj handlu. Lepiej chyba byłoby ci spróbować z kobietami z Carrefour Road.

Cienkimi palcami wyjął z klapy przywiędłą różę i rzucił ją na mój stolik. Pewnego razu widziałem go w hotelowym barze, jak rozdawał klientom kopie artykułu na swój temat, opublikowanego w jakiejś amerykańskiej gazecie ze Środkowego Zachodu. Cóż za ironia losu: człowiek, który pozował na niezwykle ważną osobistość, musiał lansować się w tak prymitywny sposób. Ale to właśnie on pewnego popołudnia w upale napierającym na werandę powiedział mi:

– Wielu z nas sądzi, że świat zawziął się na Haiti, lecz to nieprawda. Świat się nami nie interesuje. Oto brutalny fakt. Haitańczyk nie może znieść myśli, że nic nie znaczy. Nieważne, co o tobie mówią, byleby mówili. Może czasem na jakimś przyjęciu gdzieś za granicą rozmowa zejdzie na temat Haiti, ale bardzo w to wątpię.

Z jednej strony wolałem go unikać, z drugiej strony – w kraju, w którym tak swobodnie i luźno podchodzono do prawdy, był nieodparcie atrakcyjnym rozmówcą.

Gdy sobie poszedł, oparłem się o balustradę i popatrzyłem na miasto. Trudno było uwierzyć, że już za kilka godzin upał i oślepiająco jasne światło słońca staną się nie do zniesienia.

*

Marcel Pierre był jedyną znaną mi osobą, która potrafiła przyrządzić toksynę zmieniającą ludzi w zombie. Gdy trzy tygodnie wcześniej żegnałem się z nim w jego *hounfour*, oznajmiłem, że zamierzam wykorzystać otrzymany od niego proszek przeciwko wrogowi. Rzecz jasna, nie była to prawda, dowiedziałem się natomiast co nieco na temat samego Pierre'a. Wielu dobrze poinformowanych ludzi powiedziało mi, że należał do grona pierwszych i wyjątkowo lojalnych zwolenników François Duvaliera. Wsławił się też jako członek Tonton Macoute, służby bezpieczeństwa, którą Duvalier utworzył, by wzmocnić swój reżim.

Mówiono, że na początku lat sześćdziesiątych, gdy prezydent mordował ludzi o mieszanym pochodzeniu należących do elity miejskiej, Marcel Pierre wykorzystywał swoją nową pozycję i zmuszał hounganów, by dzielili się z nim wiedzą na temat tradycyjnych praktyk religijnych. Skądinąd niejeden haitański houngan należał do Tonton Macoute, ale Pierre wykazywał się szczególnym okrucieństwem. Kapłani woleli mieć Pierre'a i jego gang po swojej stronie, więc niechętnie zdradzali mu rozmaite tajemnice. Ostatecznie jednak przesadził z brutalnością i jego wrogowie wzięli odwet. Pierre został otruty; ledwo uszedł z życiem, po tamtych wydarzeniach zostały mu blizny na twarzy. Teraz, prawie dwadzieścia lat później, Pierre budził skrajne emocje. Jedni twierdzili, że wstąpił na słuszną drogę, przeszedł inicjację i stał się prawdziwym hounganem, drudzy określali go mianem houngana macoute, szarlatana, który tak naprawdę nic nie wie o sprawach duchowych. Większość ludzi – w tym ekipa dziennikarzy BBC – uważała Pierre'a za zwyczajnego, mało istotnego bandytę, *malfacteur*.

Słynął on z handlowania rozmaitymi proszkami, od razu jednak domyśliłem się, że mieszanka, którą dla mnie sporządził, była zupełnie bezwartościowa. Wykorzystał rośliny należące do botanicznych rodzin o niewielkim znaczeniu fitochemicznym. Jego zachowanie również było bardzo wymowne. Rzekomą truciznę przygotowywał, nie bacząc na to, że jego pracę obserwują inni, w tym dzieci; co więcej, zajmował się tym w pobliżu swojego domu. Musiało to budzić podejrzenia. Roślinne preparaty o właściwościach biodynamicznych – trucizny lub środki halucynogenne – są niezwykle podstępne. Trucizna potrafi niepostrzeżenie zabić tego, kto ją

sporządził; środki halucynogenne ujawniają niekiedy, jak krucha jest moc kapłana, który żyje pomiędzy światem natury, społeczeństwem a światem duchów. Właśnie dlatego, ilekroć szamani z Amazonii zamierzają spożywać silne substancje zmieniające świadomość, robią to poza granicami swojej wioski, z dala od ludzkich spojrzeń. Kurarę i inne trucizny służące do zatruwania strzał przygotowuje się z reguły w lesie. Haiti to nie Amazonia, byłem jednak pewien, że Marcel Pierre nie sporządziłby tak śmiertelnie groźnej trucizny działającej przezskórnie tam, gdzie mieszkał i gdzie miał swoją świątynię. Możliwe jednak, że znał prawdziwą recepturę. Jak mogłem go przekonać, by mi ją zdradził?

Miałem pewien atut. Inni badacze zakładali, że receptura trucizny zmieniającej ludzi w zombie to na pewno wielki sekret, dostępny tylko wtajemniczonym. Ja natomiast wcale nie byłem tego taki pewien, zresztą dawno przestałem wierzyć w sekrety. Przez wiele lat pracy w Amazonii nie raz próbowałem pozyskać informacje, którymi indiańskie społeczności niechętnie się dzieliły. Doświadczenie nauczyło mnie, że sukces zależy nie tyle od charakteru owych informacji, ile raczej od tego, czy uda mi się zbudować odpowiednią relację z odpowiednią osobą. W każdym społeczeństwie obowiązują określone reguły utrzymywania sekretów, ale zawsze znajdą się ludzie gotowi je nagiąć. Oficjalnie wszyscy próbują dochować tajemnicy, tak naprawdę jednak plotkarstwo to powszechne zjawisko.

Sekret służy ochronie interesu społecznego przed zagrożeniem z zewnątrz. Jeżeli grupa uzna, że jej nie zagrażasz, tajemniczość przestanie być potrzebna. Czasami stworzenie więzi zajmuje wiele miesięcy. Przez dwa sezony odwiedzałem pewnego starego Indianina z grupy Tsimshian w północnej Kanadzie, próbując skłonić go, by opowiedział mi o mitach plemiennych. Starzec utrzymywał, że dawno uległy one zapomnieniu, i w końcu mu uwierzyłem. Sądziłem, że wszystko stracone. Pewnego dnia postanowiłem, ot tak, wyświadczyć mu przysługę, więc by nie zabrakło mu mięsa na zimę, upolowałem i poćwiartowałem łosia. Obdarowywanie starców zwierzyną to tradycyjna oznaka szacunku. Mój uczynek przydał mi wiarygodności. Jeszcze tego samego wieczoru starzec postanowił otworzyć się przede mną i wreszcie mogłem zabrać się do spisywania mitów, które od dawna chciałem poznać.

Zaufanie rodzi się powoli i często w tym procesie następuje moment przełomowy. Wówczas trzeba wykazać się instynktem lub liczyć na natchnienie. Etnobotanik Andrew Weil opowiedział mi historię z czasu, gdy

przebywał wśród Yaqui, wojowniczych plemion z północnego Meksyku. Ich rytuały bywają doprawdy straszliwe: siłę i wytrzymałość uczestników poddaje się ciężkiej próbie w postaci tańca trwającego cały tydzień. Andrew to jeden z nielicznych białych, którzy zostali zaproszeni do udziału w owym rytuale. Gdy za pierwszym razem w nim uczestniczył, podszedł do niego pewien Yaqui, hardy i nieprzychylnie nastawiony. Zaczęli mierzyć się wzrokiem. Indianin wypiął swoją ogromną pierś i krzyknął: „Soy Indio". Po hiszpańsku „Indio" ma wydźwięk pejoratywny, więc te dwa słowa składały się na wyzywający komunikat: „Jestem Indiańcem – i co mi zrobisz?". Andrew, który ma żydowskie pochodzenie, uderzył się w pierś i zawołał: „Soy Judeo". Na to Yaqui oznajmił: „Jestem brudnym Indiańcem". „Jestem chciwym Żydem", zaripostował Andrew. Trwało to i trwało, aż wreszcie zabrakło im obraźliwych wyrazów. Wtedy nagle obaj wybuchnęli śmiechem. Odtąd Yaqui stał się towarzyszem i mentorem Andrew. Całe zdarzenie wzięło się stąd, że Indianin musiał w jakiś sposób zademonstrować swoją tożsamość obcemu białemu, ten zaś podjął grę i pokazał rozmówcy, że tego rodzaju chojractwo jest zwyczajnie głupie. Andrew w inteligentny sposób rozładował nieprzyjemną sytuację i stworzył nową, silną więź z jednym z członków plemienia.

Musiałem, rzecz jasna, zbudować podobną relację z Marcelem Pierre'em.

*

W barze było pusto, ale gdy Beauvoir i ja przeszliśmy do *hounfour*, zastaliśmy tam trzy osoby siedzące pod ochrową ścianą bagi. Marcel znów miał przesłoniętą większą część twarzy, nie odezwał się na nasz widok, poprzestając na obrzuceniu nas chłodnym, plastikowym spojrzeniem. Przywitałem się z nim, zrobił mi miejsce, bym mógł się do niego dosiąść.

– I? – spytał.

– Nie zadziałało. – Beauvoir zapalił papierosa i cichym głosem przetłumaczył moją odpowiedź. – Czekałem dziesięć dni. Na próżno.

Marcel udawał, że mi nie wierzy.

– Twoja trucizna okazała się bezużyteczna – oznajmiłem. Popatrzyłem na jego towarzyszy i dodałem, że nie wiem, czemu zadają się z szarlatanem. Jeden z nich od razu wstał i ruszył w moją stronę, lecz Beauvoir kazał mu usiąść.

Marcel zarumienił się i język wreszcie mu się rozwiązał. Na kilkanaście różnych sposobów zarzucił mi kłamstwo, po czym urażony zamknął się

w bagi. Beauvoir polecił pozostałym, by sobie poszli. Po chwili Marcel wrócił z fiolką po aspirynie, którą pokazał mi za pierwszym razem. Wyrwałem mu fiolkę, otworzyłem, uniosłem ręce w górę i udałem, że wysypuję sobie brązowy proszek na dłoń. Tak naprawdę proszek nie dotknął mojej skóry, ale Marcel o tym nie wiedział. Udałem, że analizuję truciznę, potem na niby przesypałem ją z powrotem. Zamknąłem fiolkę, oddałem ją Marcelowi i wytarłem dłoń w spodnie.

– Trociny – rzuciłem pogardliwie.

Marcel cofnął się i na chwilę zamilkł. Przed jego twarzą wirowały muchy, tańczące niczym ogromne drobiny kurzu. Spojrzał na mnie, potem na Beauvoira i oznajmił krótko:

– On jest już trupem.

Wstałem pomału.

– Powiedz mi, kiedy umrę.

Wyczuł, że zyskał przewagę.

– Jutro, może za tydzień, za miesiąc albo za rok. Umrzesz, bo dotknąłeś tego proszku.

Wziąłem wdech i gorące powietrze wypełniło mi płuca. Musiałem kontynuować grę.

– Też mi nowina. Przecież każdy kiedyś umrze.

Po raz pierwszy Marcel się zaśmiał, odsłaniając idealnie równe zęby. Popatrzył na Beauvoira i powiedział:

– Ten twój biały to dzielny facet. I bardzo głupi – dodał po chwili.

Znacznie później dowiedziałem się, że w fiolce była prawdziwa trucizna.

Oznajmiłem, że chcę z powrotem swoje pieniądze, i Marcel znów wpadł w gniew. Nie dość, że zakwestionowałem jakość jego mieszanki, to jeszcze śmiałem domagać się forsy, którą zdążył już wydać. Do *hounfour* wślizgnęło się kilka kobiet Marcela. Ten znów pobiegł do bagi i przyniósł małą czarną fiolkę. Położył ją na stoliku ostrożnie, niemal z nabożnym skupieniem. Na jego twarzy wciąż malowała się wściekłość, z czoła pozbawionego brwi spływały strużki potu.

– *Blanc* – krzyknął – ty i twoi rodacy przemierzacie tysiące mil, żeby zdobyć moją truciznę. A teraz mnie obrażasz, mówisz, że nie jest dobra. Czemu marnujesz mój czas? Czemu mnie szkalujesz? – Chodził tam i z powrotem, młócił powietrze rękami. Jego kobiety otoczyły go kordonem. Wreszcie się zatrzymał. – Jeśli uważasz, że nie potrafię przyrządzić porządnej trucizny, wypij to. – Wskazał gestem fiolkę na stoliku. – Obiecuję

ci, że nie wyjdziesz stąd żywy.

Otaczające mnie oczy wpatrywały się we mnie wyzywająco. Beauvoir nie mógł mi teraz pomóc. Marcel podszedł tak blisko, że czułem jego oddech. Cisza była nieznośna i tylko ja mogłem ją przerwać.

– Słuchaj, Marcel – powiedziałem w końcu pojednawczo – nie twierdzę, że nie umiesz przyrządzić dobrej trucizny. Oczywiście, że umiesz. Właśnie dlatego przejechałem tysiąc mil, żeby się z tobą spotkać. Mówię tylko, że to, co od ciebie dostałem, to bezwartościowy proszek. – Wstałem i odszedłem na kilka kroków, pocierając twarz dłonią. – Wydaje ci się pewnie, że zapłaciłem ci mnóstwo pieniędzy. Dla mnie to drobna kwota. Zresztą pieniądze nie pochodzą z mojej kieszeni. Ludzie, którzy mnie finansują, nawet nie zauważą takiego wydatku. Ale jeżeli wyślesz mnie z powrotem do Nowego Jorku z tym bezużytecznym proszkiem, stracisz szansę zarobienia w przyszłości tysięcy dolarów.

Moje słowa wywołały szok. Parę osób zadrżało. Potem wszyscy stanęli sztywno i na chwilę wstrzymali oddech. Panowała cisza. Jedni myśleli pewnie o pieniądzach, inni o bezczelnych obelgach, którymi obrzuciłem Marcela. Ten zaś nadal się nie odzywał.

– Przemyśl to sobie – powiedziałem. – Wrócę jutro rano. – Beauvoir dołączył do mnie i powoli ruszyliśmy do wyjścia, przeciskając się między kobietami Marcela jak podróżnicy przeprawiający się brodem przez rzekę.

*

Nazajutrz Marcel powitał Rachel i mnie przy wejściu do swojego *hounfour*, po czym zaprosił nas do bagi. Pomieszczenie było bardzo małe; gdybym wyciągnął ręce, mógłbym dotknąć przeciwległych ścian. Pachniało starymi gazetami, ziemią i dymem świec. Marcel otworzył okiennicę jedynego okna i do środka wpadł snop jasnego światła, wydobywając z mroku ołtarz. Kolorowe butelki zmieniły się nagle w połyskujące klejnoty. Po chwili Marcel klęknął, żując wykałaczkę, zza ołtarza wyciągnął butelkę rumu i uniósł ją do światła. Podał mi ją i tym samym rzucił mi wyzwanie. Zobaczyłem, że w butelce pływają rozmaite nasiona, kawałki drewna i inne organiczne drobiny. Płyn miał drażniący zapach, śmierdział zgniłym czosnkiem. Na Haiti mawiają, że nigdy nie należy pić z otwartej butelki w nieznanej świątyni, mimo to pociągnąłem łyk.

Marcel zaśmiał się i z niedowierzaniem spojrzał na Rachel.

– Skąd on wiedział, że to nic groźnego?

– Nie wiedział – odparła.

Jej słowa wprawiły Marcela w osłupienie.

– Dlaczego ten *blanc* się mnie nie boi?

– Bo on nie boi się żadnego człowieka – powiedziała spokojnym tonem.

Spojrzałem na nią. Było to kłamstwo, a zarazem idealna riposta.

W tamtej chwili moja relacja z Marcelem Pierre'em nabrała zupełnie nowego charakteru. Gdy wychodziliśmy ze świątyni, zobaczyłem parę dziwnych przedmiotów suszących się na sznurze od bielizny. Potem miało się okazać, że to składniki prawdziwej trucizny zombie.

Zanim wróciliśmy do jeepa, Marcel powiedział coś Rachel. Odwróciła się do mnie trochę zaniepokojona.

– Powiedział, żebyś przyjechał tu wieczorem, sam. Tym razem dostaniesz prawdziwą truciznę.

*

Nie było księżyca, gwiazdy ukryły się za chmurami. Parę godzin wcześniej potężna burza rozszczepiła wieczorne niebo. Teraz, krótko po północy, stałem przy drodze na północ od Saint Marc. Ciemne chmury wciąż majaczyły złowrogo na horyzoncie.

Było nas pięcioro: Marcel, ja, jego dwie kobiety i asystent Jean. Zeszliśmy z głównej drogi i posuwaliśmy się wąską ścieżką, która biegła dnem płytkiego, wyschniętego kanału wśród patykowatych, łamliwych roślin. Panowała całkowita ciemność. Mieliśmy jedną latarkę – niósł ją Marcel, który szedł z przodu, ostro zaprawiony rumem, potykając się i śmiejąc z jakąś makabryczną radością – lecz jej słabe światło było w zasadzie zupełnie bezużyteczne. Za Marcelem maszerowała Matilde. Długa biała sukienka falowała w rytm jej kroków. Marie, druga z kobiet, wzięła mnie za rękę. Nie było to szczególnie pomocne, gdyż w ciemności radziła sobie równie kiepsko jak ja, ale w tym momencie doceniałem kontakt z drugim człowiekiem. Jean, który zamykał nasz pochód, zdawał się mieć w oczach noktowizor, bo posuwał się pomału, miarowo, a jego wyostrzone zmysły wyłapywały każdy dźwięk i ruch. Na ramieniu niósł łopatę i kilof.

Znaleźliśmy się na suchym pagórku. Okoliczne wzgórza skojarzyły mi się nagle ze zwłokami okrytymi całunem, powietrze smakowało tu wilgocią i rozkładem. Nadciągał deszcz; w oddali błyskawice rozświetlały co chwila niebo, rzucając cienie na twarz Marcela. W czarnych okularach, które nawet teraz miał na nosie, dostrzegłem odbicie obu kobiet: Marie odzianej

w czerwoną suknię i Matilde odzianej w biel. Jej ciemna skóra zdawała się lśnić. Światła samochodów i ciężarówek jadących szosą prześlizgiwały się po dachach pobliskiej wioski. Tamtejsi mieszkańcy spali, a tymczasem my zamierzaliśmy ukraść jednego z ich umarłych.

Grób był nieoznakowany – ot, niewielki kopiec ziemi. Jean zniknął, musiał porozmawiać ze swoim wspólnikiem mieszkającym we wsi. Czekaliśmy; usiedliśmy i złączyliśmy ramiona. Cisza sprawiała, że niemal bolały mnie uszy. Dopadła mnie gorączka, musiałem powstrzymywać drżenie. Po dwudziestu minutach Jean wrócił, ciężko posapując. Jego oczy błyszczały, milczał jak zaklęty. Przyprowadził swojego wspólnika, który krył się w ciemności parę kroków od nas. Marcel wręczył Jeanowi kilka papierosów, ten zaniósł je wspólnikowi. Zapalił zapałkę i mocne światło na moment wydobyło z mroku obydwie twarze.

Łopata nie posłużyła do kopania, jedynie do odgarniania ubitej ziemi z grobu. Kilof rozdrabniał ziemię na małe grudki. Posuwaliśmy się głębiej i głębiej, za plecami słyszeliśmy przytłumiony śmiech kobiet, przypominający odległy rechot kruków, które obsiadły nabrzeże u schyłku dnia. Z grobu dolatywał silny, charakterystyczny zapach wilgotnej ziemi.

Trzymałem latarkę i śledziłem postępy prac. Po odgarnięciu niespełna półtora metra ziemi ostrze łopaty natrafiło na matę z trawy, stanowiącą wierzchnią warstwę nakrycia trumny. Pod matą leżało kilka warstw bawełnianych tkanin. Ich żywe kolory nie zdążyły prawie w ogóle wyblaknąć. Rozległ się głuchy stuk: łopata uderzyła o drewniane wieko. Jean kucnął i zakrył twarz czerwonym płótnem. Następnie wtarł sobie maść we wszystkie odsłonięte części ciała. Zrobiliśmy to samo. Marcel podszedł i kazał nam wciągnąć do nosa opary gęstego, lepkiego płynu pachnącego amoniakiem, po czym Jean ostrożnie odgarnął luźną ziemię i odsłonił trumnę. Wziął kilof i spróbował podważyć trumnę, ale ta pękła, znowu więc chwycił łopatę, usunął jeszcze trochę ziemi i wszedł do grobu. Obwiązał jeden koniec trumny liną, dźwignął ją i wyciągnął z dołu.

Była niewielka, miała niecały metr długości. Jean połamał jedną z wąskich desek. Moje oczy potrzebowały długiej chwili, by przywyknąć do koloru ziemi i śmierci. Wtedy ogarnęła mnie trwoga. Zobaczyłem skurczoną główkę, ściągnięte wargi odsłaniające drobne, żółte zęby. Czepek zachował się znakomicie, był sztywny i bury. Podczas gdy Jean i Marcel starannie pakowali trumnę do dużego konopnego worka, dreptałem tam i z powrotem. Co chwila stawałem nad rozkopanym grobem: ziejąca dziura, niczym rana, przyciągała mnie, budziła dziwną fascynację. Matilde miała mnie na oku.

W pewnym momencie otarła moje spocone czoło rąbkiem swojej spódnicy. Moje przerażenie narastało. Haitański klimat sprawia, że zwłoki rozkładają się bardzo szybko. Dziecko, które wyciągnęliśmy z grobu, zostało pochowane najwyżej miesiąc wcześniej. Jean dźwignął worek z trumną i trzymając go nad głową, ruszył ścieżką. Pozostali kroczyli za nim; ja zamykałem pochód, wpatrzony w idącą przede mną dziwkę, która kołysała biodrami z przesadną, mdlącą słodyczą.

*

Nikt nie zwracał na nas większej uwagi, gdy zostawiliśmy trumnę przed wejściem do baru Orzeł. Kilku klientów stało opartych o betonową balustradę, muzyka zagłuszała nasze głosy. Jean zabrał trumnę z jeepa i zaniósł ją do bagi Marcela. Kupiłem kilka butelek rumu, wypiłem parę drinków z Marcelem i ruszyłem w drogę powrotną. Gdy odjeżdżałem, Jean zakopywał trumnę na podwórzu *hounfour*. Miała czekać w ziemi do mojego powrotu.

W ten sposób pozyskaliśmy pierwszy i zdaniem Marcela najważniejszy składnik trucizny zombie.

Pędziłem na południe, światło reflektorów mojego auta przebijało się przez ostatnie warstwy haitańskiej nocy. Świt zastał mnie u podnóża stromych zboczy schodzących aż do morza opodal Carrius. Pastelowe niebo pojaśniało, a potężne góry były podświetlane przez promienie słońca. Pod wpływem nagłej zachcianki skręciłem w stronę morza. Dotarłszy na dziewicze wybrzeże, nabrałem nieprzepartej ochoty, by zanurzyć się w falach, zrzuciłem więc ubranie na plaży przy wiosce rybackiej i zacząłem brodzić w lodowato zimnej wodzie. Świt wydobywał z mroku najróżniejsze kształty. W dali widziałem migoczące odbicia odległych atoli koralowych, czarni rybacy o lśniących ciałach śpiewali poranne pieśni. Cieszyłem się, że marznę. Znad wyspy powiał ciepły wiatr, który pogładził mnie po policzku. Przypomniałem sobie słowa starca z hotelu Ollofson: „Haiti nauczy cię, że dobro i zło są jednym i tym samym. Nigdy ich ze sobą nie mylimy ani nie próbujemy ich rozdzielać”.

*

Trzy dni później Marcel prowadził mnie i Rachel wyboistą drogą za szachulcowym domem, w którym mieszkała samotnie pewna bardzo stara kobieta. Dotarliśmy na skraj ponurej, wyschniętej ziemi, porośniętej

krzakami i kaktusami, gdzie niegdyś płynął strumień. Towarzyszył nam Jean; wraz z drugim asystentem Marcela niósł metalowy ruszt, płócienny worek i moździerz z tłuczkiem. Marcel trzymał w ręku rozpadającą się winylową walizkę. Zatrzymaliśmy się na niewielkim równym terenie, częściowo zacienionym przez potężną gromadę kauczukowców, wymizerowanych, powykrzywianych, wyglądających zdecydowanie niezdrowo. Jak wszystkie rośliny rosnące w tej jałowej krainie były nieprzyjemnie kłujące, a ich sok parzył.

Marcel umościł się w cieniu i wyjął z walizki swoje akcesoria. Ułożył kamień piorunowy – *pierre tonnerre* – w pokrytym szkliwem naczyniu i skropił go magicznym płynem. Kamienie piorunowe uchodzą za święte wśród wyznawców vodoun, są bowiem formowane przez Sobo i Shango, duchy piorunów i błyskawic. Piorun ciśnięty przez ducha uderza w wychodnię, a jej odłamek spada na ziemię; musi przeleżeć na niej rok i jeden dzień, nim hounganowi będzie wolno wziąć go do ręki. Choć kamienie piorunowe mają boskie pochodzenie, na Haiti spotyka się je bardzo często. Zachodni naukowcy uważają, że to tak naprawdę ostrza prekolumbijskich toporów, pozostałość po Arawakach.

Marcel wrzucił do naczynia zapałkę i magiczny płyn buchnął płomieniem. Wtedy Marcel włożył prawą dłoń w ogień i podpalił ją alkoholem. Przekazał nam płomień, uderzając każdego z nas w ramię i intensywnie pocierając naszą skórę. Zawiązał nam usta satynowymi chustami, żeby trucizna przypadkiem nie dostała się nam do ust lub nosa. Wszystkie odsłonięte fragmenty skóry musieliśmy natrzeć ochronną emulsją, oleistą i aromatyczną.

Wcześniej tego ranka patrzyłem, jak Jean włożył grube palce do trumny i zacisnął je niczym imadło wokół czaszki martwego dziecka. Czaszka pękła; w nozdrza uderzył mnie obrzydliwy zapach. Jean wyciągnął zmiażdżone szczątki czaszki z grobu i ostrożnie umieścił je w słoju. Teraz z równie wielką starannością wyjął je i położył na ziemi koło rusztu. Z worka wydobył inne składniki. Pierwsze dwa widziałem wtedy po raz pierwszy: parę świeżo zabitych jaszczurek o niebieskiej, opalizującej skórze. Potem Jean sięgnął po wielką ropuchę, która parę dni temu suszyła się na sznurze do bielizny koło świątyni Marcela. Była kompletnie spłaszczona i wyschnięta, mimo to zidentyfikowałem ją bez trudu. Jej rozmiar i kilka innych charakterystycznych cech pozwoliły mi stwierdzić, że to aga, *Bufo marinus*, często spotykany płaz wytwarzający toksyny, żyjący w amerykańskich tropikach[4]. Do ropuszej nogi przywiązano wyschnięte

skurczone szczątki istoty, którą Jean nazwał wężem morskim. Uznałem, że to najpewniej wieloszczet. Ropucha i wieloszczet zostały odpowiednio spreparowane: zanim je zabito, umieszczono je na noc w zamkniętym pudełku. Zdaniem Jeana rozsierdziło to ropuchę, przez co jej toksyna nabrała większej mocy. Procedura ta miała sens. Z tyłu głowy *Bufo marinus* znajdują się dwa gruczoły wydzielające przeszło dwadzieścia substancji chemicznych. Aktywność owych gruczołów wzrasta, gdy zwierzę czuje się zagrożone lub rozdrażnione.

Zidentyfikowanie roślin okazało się łatwe. Wypatrzyłem jeden z gatunków albicji, zwany na Haiti cza-cza – drzewa te często się tu spotykało – oraz *pois gratter*, świerzbiec właściwy, czyli *Mucuna pruriens*. Na jego strąkach znajdują się szczeciniaste włoski, które powodują nieprzyjemne poparzenia. Po ich dotknięciu człowiek ma wrażenie, że pod skórę dostały mu się drobiny szkła. Jean umieścił w moździerzu po kilka owoców obu tych roślin. Nie znałem się za bardzo na ich właściwościach chemicznych, zaintrygował mnie jednak fakt, że zarówno świerzbiec, jak i albicja należały do rodziny bobowatych, były zatem spokrewnione z wieloma toksycznymi roślinami. Na końcu z worka wydobyto parę ryb morskich. Pierwsza wyglądała dość niewinnie, druga bez wątpienia była rozdymką i przypominała tę, którą widziałem na ścianie w bagi Marcela.

Moją uwagę przyciągnął młody asystent, który wziął do ręki metalową tarkę i zaczął ścierać na niej kłykieć ludzkiej kości piszczelowej, zbierając wiórki w cynowej czarce. Jean tymczasem umieścił wysuszone i świeże zwierzęta na ruszcie i opiekał je, aż nabrały oleistej konsystencji – wtedy trafiły do moździerza. Kości dziecka leżały na ruszcie, dopóki nie spaliły się niemal na węgiel. Ostatecznie one także znalazły się w moździerzu. Wszystkie składniki były gotowe do utłuczenia, z moździerza unosił się żrący żółty dym.

Zerknąłem na Marcela, trochę niepewny jego roli. Nie dotykał składników ani samej mieszanki. Leżał w cieniu, od czasu do czasu wykrzykiwał polecenia, zachowywał czujność i śledził wzrokiem drogę, wypatrując intruzów. Gdy w pewnym momencie pojawiła się tam para dzieci, zerwał się na równe nogi i przepędził je wrzaskiem, obelgami i pogróżkami. Ale na pobliskim wzgórzu miejscowa rodzina przez cały czas uprawiała swoje pole i przyglądała się wszystkim naszym poczynaniom. Chwilami Marcel zamieniał z nimi parę słów, wołając do nich przez wąską dolinę. Zdawało się, że pozuje na skrytego i tajemniczego, lecz zarazem ciągle był na widoku i najwyraźniej chełpił się tym, co robi. Pojąłem, że

w tym właśnie przejawia się niejednoznaczność jego pozycji. Porządni przedstawiciele społeczeństwa pogardzali nim – w Afryce tak samo traktowano czarowników – ale go tolerowali, gdyż pełnił zasadniczą funkcję z punktu widzenia równowagi życia społecznego i duchowego. Akceptowano bokora i wszystkie jego pozornie niecne działania jako na swój sposób niezbędne.

Kim jednak był Marcel? Bokorem, złowrogim czarownikiem, czy może hounganem, kapłanem i uzdrowicielem? Beauvoir podkreślał, że w tego rodzaju rozróżnieniach kryje się błąd. Marcel odgrywał oczywiście obydwie te role, lecz sam w sobie nie był ani dobry, ani zły. Jako bokor służył siłom ciemności, jako houngan stał po jasnej stronie. Potrafił pogodzić jedno i drugie, jak każdy człowiek. Religia vodoun *explicite* uznawała istnienie tej dychotomii, a wręcz ją zinstytucjonalizowała. Właśnie dlatego obecność Marcela miała tak kluczowe znaczenie. Bez jego duchowego nadzoru nasze działania kryły w sobie ambiwalentny potencjał dobra i zła. To Marcel przesądzał o ich charakterze.

Nie ulegało wątpliwości, której sile postanowił teraz służyć. Nie udał się na cmentarz z własnej inicjatywy – zrobił to, bo ja tego pragnąłem. Zamówiłem u niego truciznę, do której sporządzenia niezbędne były kości. Tamtej nocy oraz teraz, na jałowej ziemi, gdzie pełzacze wiły gniazda na kamieniach, a liście roślin oddychały nocą i zwijały się przy każdym dotknięciu, Marcel gwarantował nam bezpieczeństwo. Dlatego jako houngan unikał kontaktu z trucizną. Niebezpieczną mieszankę musiał przygotować Jean, który nie był ani uczniem Marcela, ani asystentem, lecz po prostu pracownikiem. Kiedy dziennikarze BBC i inni nazywali Marcela Pierre’a wcieleniem zła, kompletnie się mylili.

Moje przeczucia w tej kwestii nasiliły się, gdy Marcel zaczął śpiewać. Jean ubijał składniki w moździerzu, miarowe uderzenia tłuczka posłużyły za rytm pieśni. Jeden z asystentów wziął do ręki parę zwyczajnych kamieni, uderzał nimi o siebie i oto mieliśmy perkusję. Potem przyłączyła się Rachel – znała wszystkie pieśni, a jej łagodny głos unosił się najwyżej, przypływał i odpływał, kusił swym pięknem. Rytm owładnął całym ciałem Marcela i miałem wrażenie, że w każdej chwili może zostać opętany. Jego szeroki uśmiech i ochoczy śpiew dawały mu radość, czystą i niezmąconą, przez co pomyślałem, że nasze postępowanie nie może służyć złu.

Przygotowania zbliżały się ku końcowi, Jean przesiewał resztki z moździerza. W pewnym momencie doszło do przypadkowej wymiany zdań, która jak się zdaje, odcisnęła silne piętno na Marcelu. Napisałem

„przypadkowej”, choć w rzeczywistości zacząłem powątpiewać w przypadki, zdarzenia losowe i zbiegi okoliczności. Na Haiti wszystko zdawało się nie takie, jak należy, lecz zarazem rzadko kiedy coś działo się bez powodu.

Cały epizod przebiegł następująco: nosiłem za pasem nóż, Marcel zapytał, czy mu go dam. Nóż miał dla mnie duże znaczenie, kupiłem go kilka lat wcześniej nad rzeką Apurimac, dopływem Amazonki w Peru. Wyjaśniłem Marcelowi, że to mój najcenniejszy skarb i nie mogę się z nim rozstać, bo dostałem go na zakończenie jednego z najważniejszych rytuałów swojego ludu. Kłamałem, ale z rozpędu zacząłem opowiadać inną, prawdziwą historię i po chwili zupełnie zapomnieliśmy o nożu.

Najpierw próbowałem odmalować Marcelowi przestrzeń, jakiej nigdy nie widział. Mówiłem o zupełnie niezamieszkanych dolinach w okolicy mojego domu w północnej Kanadzie, które miały większą powierzchnię niż Haiti. Opisywałem podróże przez krainy, gdzie widok rozciąga się w nieskończoność, opowiadałem o roślinności tundry, o obfitości barw i dźwięków, pogwizdywaniach i śpiewach ptaków, o plamach koloru rdzy i imbiru na wielkim płótnie rozłożonym aż do horyzontu, o górach przykrytych śniegiem, o masach skał i lodu kipiących w oceanie chmur. Wyjaśniłem, że pomiędzy tymi dwiema skrajnościami – niewysoką roślinnością i gargantuicznymi górami – nie ma praktycznie żadnych obiektów o ludzkiej skali. Pragnąłem, by Marcel ujrzał w wyobraźni krainę, w której człowiek jest zupełnie nieistotny. Trudno było mu to zrozumieć. Następnie zacząłem mówić o kanadyjskich temperaturach, o jeziorach skutych twardym lodem, o mokrych ubraniach, które jeśli zostawić je rozwieszone na noc, następnego dnia są twarde i łamliwe jak patyk. Opisałem polowania na łosie i karibu, wyjaśniłem też, ile funtów mięsa można pozyskać z każdego z tych zwierząt. Nie pominąłem wilków ani niedźwiedzi. Przywołałem mity i legendy przekazane mi przez starych tropicieli. Wreszcie opowiedziałem o swojej wyprawie w poszukiwaniu wizji.

Gdy byłem młodym człowiekiem, polecono mi wspiąć się na najwyższy szczyt w dolinie. Stary Indianin z plemienia Gitxsan czekał u podnóża. Starałem się słowami wnieść Marcela na tamtą górę, niezwykle szczegółowo opisywałem drogę, strome rumowiska, półki skalne, na których spotykałem kozice. Odmalowywałem urwiska przyprawiające o zawrót głowy, tańczące przed moimi oczami rozległe pejzaże z wodospadami i skałami, lasami świerkowymi i lodowcami.

Następnie razem z Marcelem zbudowaliśmy kopiec z kamieni. Teraz,

dzięki mojej opowieści, widział mnie siedzącego samotnie na szczycie, bez jedzenia i wody, aż wreszcie zjawiło się zwierzę – nigdy nie umiałem dokładnie stwierdzić, do jakiego gatunku należało. Zwierzę, wyjaśniłem Marcelowi, nie przybywa tam przypadkowo, lecz dlatego, że jest mu przeznaczone być twoim stróżem, duchowym przewodnikiem, którego można przyzwać pięć lub sześć razy w życiu. Ponieważ mnie chroniło, nie bałem się Marcela. Nie bałem się nikogo.

Kiedy Marcel to zrozumiał, wpadł w podniecenie. Przypadkowo wyprawa w poszukiwaniu wizji, którą odbyłem, była uderzająco podobna do inicjacji vodoun. *Hounsi canzo*, czyli nowicjusz lub nowicjuszka przechodzący ową inicjację, spędza tydzień w odosobnieniu. Musi wówczas przestrzegać specjalnej diety i wykonywać określone czynności pod nadzorem kapłana. Na koniec otrzymuje swoje duchowe imię i wkracza na ścieżkę *loa*, boskiego jeźdźca. Tak oto moje postępowanie wreszcie nabrało sensu w oczach Marcela. Nieco później Rachel usłyszała go, jak tłumaczył swoim ludziom, że ten *blanc* różni się od wszystkich innych, bo przeszedł inicjację. Sam rytuał był, zdaniem Marcela, dziwaczny, ale najwyraźniej właśnie tak zachowywali się mieszkańcy niezwykłej krainy zwanej Kanadą.

*

Dwie kobiety Marcela siedziały swobodnie przed barem Orzeł. Marcel zajmował się wstrętnym biznesem, o czym przypomniał mi teraz ich niewinny wygląd – miały wałki we włosach i paznokcie lśniące świeżą czerwienią lub fioletem. Najwyraźniej to, czym się zajmowały, dla nikogo nie było problemem. Haitańscy mężczyźni kolekcjonowali żony, kochanki i *mamans petites*; nie brakowało tu przybytków, w których mogli zaspokajać swoje pragnienia. Przychodzili do Marcela z ciekawości, czasami chcieli seksu, przeważnie jednak po prostu wiedli tu życie towarzyskie. Za fasadą baru i burdelu kryło się miejsce, w którym panowała swobodna, intymna atmosfera lokalnego klubu.

Marcel i ja uczciliśmy łączące nas teraz zaufanie, dzieląc talerz ryżu z fasolą. Z wesołym zadowoleniem szczegółowo wyjaśnił mi, w jaki sposób mnie oszukał, i po mistrzowsku zrelacjonował nasze pierwsze spotkanie. Poinstruował mnie także, jak należy stosować truciznę. Zgodnie z przeczuciem Kline'a można było usypać z niej krzyż na progu domu ofiary. Marcel powiedział też, że czasami toksynę umieszcza się w bucie lub wsypuje za kołnierz. Pierwszy raz uzyskałem informację świadczącą, że

istnieją sposoby zaaplikowania trucizny konkretnej osobie. Miało to oczywiście sens, bo przecież już wcześniej podejrzewałem, że żadna trucizna nie zdoła przeniknąć zgrubiałych podeszew stóp haitańskiego wieśniaka. Co więcej, gdyby rozsypać ją na ziemi przy wejściu do chaty, mogłaby przeniknąć do krwiobiegu niewinnej osoby.

Nabrałem zaufania do Marcela, przyszła więc pora, by zająć się antidotum. Według Kline'a z wielu relacji wynika, że na cmentarzu po wyciągnięciu ofiary z grobu podaje się jej jakąś substancję chemiczną. Poruszyłem ten temat, Marcel jednak stawiał sprawę jednoznacznie: tylko bokor dzięki swym mocom mógł ożywić zombie. Bokor przybywał na cmentarz z dwoma asystentami, podchodził do grobu i wołał po imieniu leżącego w nim człowieka. Zombie bez żadnej pomocy wygrzebywał się wówczas z ziemi. Należało go pobić, związać i uprowadzić w ciemną noc. Ten opis zgadzał się z relacją Clairviusa Narcisse'a, ale Marcel wspomniał, że faktycznie istnieje preparat, który jeżeli zostanie odpowiednio użyty, przeciwdziała skutkom trucizny. Spytałem go, czy mógłby przygotować to antidotum. Przez chwilę wyglądał na zaskoczonego: oczywiście, odparł, przecież taki preparat szykuje się zawsze, kiedy robi się truciznę. Posłał Rachel spojrzenie, które zdawało się mówić, że chyba jestem najgłupszym człowiekiem na świecie.

Po południu Jean znów wykopał trupa dziewczynki. Ostrożnie umieścił w trumnie słoje z trucizną, zakrył ją i usiadł w kącie *hounfour*. Na razie zakończył pracę. Teraz trucizna miała spędzić trzy dni przy zwłokach. Co mało zaskakujące, to Marcel, nie Jean, zmieszał składniki antidotum. Na początek do moździerza – innego i większego niż ten użyty wcześniej – wrzucił po kilka garści wysuszonych lub świeżych liści sześciu różnych roślin: aloesu (*Aloe vera*), gwajakowca lekarskiego (*Guaiacum officinale*), cedrzyka wonnego (*Cedrela odorata*), kapara (*Capparis cynophyllophora*), *bois chandelle* (*Amyris maritima*) oraz *cadavre gâté* (niezidentyfikowany gatunek kapara). Materiał roślinny został utłuczony wraz z siedmioma gramami soli kamiennej i umieszczony w szkliwionej misie, w której znajdowało się dziesięć zmiażdżonych kulek naftaliny, kubek wody morskiej, kilka kubków clairinu, zawartość butelki perfum i ćwierć litra roztworu zwanego *magie noire* – czarna magia – zakupionego od miejscowego aptekarza. Wśród innych składników zidentyfikowałem starte ludzkie kości, wióry z piszczeli muła i psiej czaszki, rozmaite kolorowe proszki o magicznych nazwach, starte łebki zapałek i siarkę. Cała procedura była bardzo prosta, nie miała rytualnego charakteru, nie wydawała się

niebezpieczna. Ostatecznie powstał zielony płyn o silnym zapachu amoniaku, przypominający substancję, którą Marcel kazał się nam nacierać.

Pod ziemią na otwartym dziedzińcu *hounfour* spoczywało dziecko trzymające na kolanach szklane słoje pełne trucizny. Tymczasem na górze jeden z asystentów umieścił nad trumną dwie zapalone świece i rozsypał na ziemi kaszę kukurydzianą, by utworzyła kształty specjalnych symboli, prowadzących od nowego grobu aż do ołtarza bagi. Potem w ten sam sposób usypał szkic drugiej trumny, przedzielonej krzyżem na cztery części. W każdej ćwiartce umieszczony został symbol ducha zmarłych. Marcel przelał antidotum do butelki po rumie i umieścił ją na grobie: dół butelki był zakopany w ziemi, szyjka sięgała ku niebu.

Zafrapowało mnie, że o ile trucizna zawierała wiele aktywnych składników, o tyle antidotum wydawało się zdecydowanie nieinteresujące z chemicznego punktu widzenia. Ingrediencje były obojętne lub zostały użyte w niewystarczających ilościach. Co ważniejsze, sposób stosowania antidotum sugerował, że nie odgrywało ono większej roli w ożywianiu zombie. Sięgano po nie, tylko jeśli ktoś zdał sobie sprawę, że padł ofiarą trucizny, przy czym wcierano je wówczas w skórę. Nie służyło zatem do budzenia człowieka wyciągniętego z grobu – po prostu miało uchronić przed najgorszymi skutkami toksyny. Wykorzystywano je wedle określonego harmonogramu. Jeżeli ofiara wiedziała, że była wystawiona na działanie trucizny przez nie więcej niż piętnaście dni, po prostu podawano jej antidotum. Ale gdy działanie trucizny trwało dłużej, podaniu antidotum musiała towarzyszyć skomplikowana ceremonia, podczas której ofiarę symbolicznie grzebano żywcem. Innymi słowy, w ciężkich przypadkach przeżycie zależało nie od antidotum, lecz od rytuałów i wierzeń. Nie wykluczałem, że uda mi się odkryć jakąś substancję aktywną zdolną zneutralizować toksynę w przypadku ciężkiego zatrucia, lecz z pewnością nie była nią mieszanka przygotowana przez Marcela Pierre'a. On zresztą nie zamierzał temu zaprzeczać. Z jego punktu widzenia prawdziwym antidotum była potęga jego magii.

Zinterpretowanie tej nowej informacji pozwoliło mi lepiej zrozumieć, co wyznawcy vodoun uważali za truciznę. Kline, dziennikarze BBC oraz inni ewidentnie zbyt dosłownie potraktowali doniesienia o antidotum, założyli bowiem, że to jakaś substancja służąca ożywieniu zombie. Tego rodzaju proste myślenie przyczynowo-skutkowe, które legło u podstaw mojej hipotezy kalabarskiej, wydawało się rozsądne. Było logiczne i linearne – ale haitański świat duchów taki nie jest. Z ciekawości zapytałem Marcela, jaka

trucizna jest najsilniejsza. Nie ma wątpliwości, odparł, że najbardziej zabójcza i o wiele groźniejsza od mieszanki, którą dopiero co sporządziliśmy, jest zwykła limonka odpowiednio spreparowana przez bokora. Zdaniem Marcela i wielu innych hounganów, z którymi później rozmawiałem, jeśli bokor przetnie w poprzek wiszącą na drzewie limonkę, połowa pozostająca na gałęzi stanie się w ciągu jednej nocy silnie trująca. Drugą połówkę należy zabrać do świątyni, gdzie zmieni się w skuteczne antidotum. Interpretacja nie nastręczała trudności. Połówka limonki na drzewie pozostawała w sferze natury – nieucywilizowanej, trującej, niebezpiecznej. Z kolei połówka zaniesiona do świątyni była oswojona, uczłowieczona, nabierała więc mocy leczniczej. Najwyraźniej nie tylko ludzie mieli potencjał do czynienia dobra lub zła. To samo dotyczyło również przedmiotów; w przypadku limonki interwencja człowieka ujawniała ukrytą moc tego owocu. Dla wyznawców vodoun nic nie ma charakteru absolutnego. Tylko houngan uosabia wszystkie kosmiczne siły i utrzymuje ich równowagę. Dlatego to ludzka moc, a nie substancja chemiczna, mogła uleczyć ofiarę trucizny zombie. To człowiek, a nie toksyna, stwarza zombie.

*

Pozyskałem truciznę i rzekome antidotum, do powrotu do Cambridge zostało już niewiele czasu. Tuż przed moim wyjazdem wydarzyła się pewna dziwna i – jak sądziłem – znacząca rzecz.

Spędzałem popołudnie w Saint Marc w towarzystwie Maxa Beauvoira, gdy nagle zaczepiło nas dwóch ludzi w dziwnych mundurach i czapkach wojskowych podobnych do tych, które nosili amerykańscy *marines* okupujący Haiti na początku XX wieku. Byli to członkowie paramilitarnej kawalerii z miasta Desdunnes w dolinie Artibonite, samozwańczy następcy legendarnych rozbójników z epoki francuskich rządów kolonialnych. Owi rozbójnicy przywdziewali przepaski biodrowe, zbroili się w miecze zdolne rzekomo odbijać pociski i terroryzowali konwoje wiozące towary. Znacznie później, podczas amerykańskiej okupacji, część mężczyzn z Desdunnes przystąpiła do *cako*, ruchu oporu. Toczyli walkę partyzancką i kryli się w górach na północy Haiti. Do dziś powiada się, że dowódca *marines* został zmieniony w zombie przez *cako*. Mieszkańcy Desdunnes uchodzą obecnie za wyjątkowo niezależnych.

Nasi dwaj rozmówcy dowiedzieli się, że Beauvoir ma kontakty w stolicy, i chcieli wybadać, czy mógłby im załatwić dostęp do prezydenta, pragnęli

bowiem zademonstrować mu swoje umiejętności jeździeckie. Zaoferowali też pokaz dla Beauvoira w nadchodzącym tygodniu w Desdunnes.

Dzień przed wyjazdem z Haiti przybyłem więc do tego miasta w towarzystwie Maxa i Rachel. Przed domem dowódcy kawalerii czekało przeszło pięćdziesięciu jeźdźców. Konie, według amerykańskich standardów, były małe, sprawiały jednak wrażenie dobrze ułożonych, pokaz zaś był doprawdy imponujący. Zakończył się przed południem, jeźdźcy rozpierzchli się na jakiś czas i wrócili na plac, by napić się z nami i z dowódcą. Wspomniałem mimochodem, że lubię konie, więc dowódca uznał, że na pewno chcę się przejechać z jego ludźmi. Kilka minut później siedziałem na grzbiecie zmęczonego konia. Dowódca spytał Beauvoira, czy ktoś nie powinien przytrzymywać mojego wierzchowca. Nie czekaliśmy na odpowiedź i po chwili wraz z paroma innymi jeźdźcami pokłusowaliśmy przed siebie. Moi nowi towarzysze przekonali się, że potrafię jeździć, więc spięli konie do galopu, na co widzowie zareagowali okrzykami „Savandier!”. Tymczasem dowódca powiedział do Beauvoira:

– A więc, mój przyjacielu, przyjechałeś obejrzeć nasz pokaz i przyprowadziłeś ze sobą innego jeźdźca. Musiał urodzić się na sawannie, skoro potrafi tak jeździć! – Po krótkiej pauzie dodał: – Przyjrzyjmy mu się. Mamy tu konia, który nie tańczy, ale dobrze biega.

Miałem więc zostać poddany próbie, choć nie od razu. Przywiązaliśmy nasze konie, nadeszło popołudnie, które po kilku drinkach znalazło swój rytm. Potem dwaj mężczyźni przyprowadzili wypoczętą brązową klacz.

W mieście zapanowało tymczasem szaleństwo. Była Wielkanoc, muzycy *rara* wylegli ze świątyni, by uczcić koniec postu. Roztańczone procesje wiły się ulicami, splatały się, wdzierały do ogrodów i domów, ich ogony robiły się coraz dłuższe. Z daleka mogłoby się wydawać, że to halucynacja, gdyby nie muzyka – prosta pieśń zbudowana na czterech dźwiękach. Linia basowa wydobywała się z czterech długich bambusowych rur. Puszki zmienione w trąbki i puzony składały się na lśniącą sekcję dętą, towarzyszyły im również gumowe węże przemienione w tuby. Haitańczyk potrafi zrobić instrument perkusyjny ze wszystkiego, co postukuje: z dwóch patyków, kołpaka, młotka i resoru ciężarówki.

Kapelmistrzem był androgyniczny złośliwy błazen. Inne osoby idące na czele procesji kojarzyły mi się z karcianą królową kier, tyle że nieco lubieżną, odzianą w długą satynową suknię z ostentacyjnym dekoltem. Byli to wyłącznie mężczyźni. Przed nimi w tę i we w tę biegała groźna postać z sizalowym biczem. Co chwila brała zamach, ale był to tylko symboliczny

rytuał, nikomu nie stała się krzywda. Mimo to *rara* budzą grozę i stawiają wszystko na głowie. Dochodzi do zawieszenia norm seksualności, duch święci niezwykły triumf. Nic dziwnego, że dekrety polityczne zakazują pojawiania się orkiestr *rara* w głównych miastach Haiti.

Otoczony galerią chłopów o przykurzonych twarzach i jaskrawymi, wirującymi barwami *rara* wsiadłem na konia. Dwóch ludzi, którzy go przyprowadzili, puściło uzdę. Czterech jeźdźców odeskortowało mnie z placu aż na główną drogę wjazdową do miasta. Z kłusa przeszliśmy w cwał i dwaj jeźdźcy zostali w tyle. Potem pogalopowaliśmy i zorientowałem się, że nieoczekiwanie biorę udział w wyścigu. Mój rywal nie próbował tego ukrywać, poprowadził mnie trasą przez miasto. Mijaliśmy chaty kryte strzechą i tłoczne place. W pewnym momencie źle skręciłem, na co on się zatrzymał i popatrzył w moją stronę ze śmiechem. Wróciłem, zrównałem się z nim i puścił wodze, wydając z piersi donośny okrzyk. Wyścig zrobił się bardzo zacięty. Kobiety chwytały dzieci lub przeganiały kury, nad główną ulicą w mieście unosił się tuman kurzu. Okrążaliśmy drzewo *mapou* na głównym placu i wtedy moja klacz wysunęła się na prowadzenie. Chłopi zaczęli wołać: *„Blanc, blanc!”*, a krople potu z szyi klaczy uderzały mnie w twarz.

Wygrałem o kilka długości, ale nie liczyło się, kto jako pierwszy dotarł do mety – ważny był sam wyścig. Dowódca z nieskrywaną radością przytrzymał wodze, gdy zsiadałem z konia, po czym zaprowadził mnie na dziedziniec swojego domu. Wraz z pozostałymi jeźdźcami zapozowałem tam miejscowemu fotografowi do zdjęć, następnie udaliśmy się do jadalni, gdzie czekali już Beauvoirowie.

Max powiedział mi później, że dowódca stał na czele tajnego stowarzyszenia, a posiłek przygotowały i podały trzy jego królowe. I że zostałem honorowym członkiem tutejszej jednostki jeździeckiej.

Późnym popołudniem wyjechaliśmy z Desdunnes i udaliśmy się na południe do ważnego ośrodka religijnego w dolinie Artibonite. Tam, znów za sprawą przypadku, natrafiłem na ważną wskazówkę, choć odkrycie to, jak wiele innych dokonanych na początku śledztwa, sprawiło, że cała tajemnica stała się jeszcze bardziej zagmatwana. Otóż na działce za najświętszym ze świętych miejsc ujrzałem pole, na którym uprawiano bieluń.

Następnego dnia wyjechałem z Haiti i wróciłem do Stanów Zjednoczonych.

Część II

Harvardzkie interludium

7

Dwie kolumny notatek na tablicy

W Niedzielę Wielkanocną pokazałem celnikom na lotnisku Kennedy'ego w Nowym Jorku swój bagaż, czyli pstrokatą haitańską walizkę pospawaną z odzyskanych puszek po napojach. Wiozłem w niej między innymi jaszczurki, wieloszczeta, dwie ryby morskie i kilka tarantul – wszystko zakonserwowane w alkoholu – oraz woreczki z wysuszonymi roślinami. Miałem też dwie butelki po rumie zawierające antidotum. Toksynę zombie umieściłem w szklanym słoju zawiniętym w czerwony atłas. Do tego wysuszona ropucha, naszyjniki z pestek, kilkanaście bliżej niezidentyfikowanych proszków, dwa *wangas*, czyli talizmany ochronne. Na dnie walizki znajdowały się dwa ludzkie piszczele i czaszka. Przywiozłem również tekturowe pudełko pełne okazów zielnikowych; wewnątrz, w moltonowym worku, siedziała żywa ropucha. Celnik otworzył pudełko, rzucił okiem na jego zawartość i powiedział, żebym przechodził dalej i że nie chce żadnych wyjaśnień.

Z lotniska zatelefonowałem do Kline'a, lecz nikt nie odebrał, więc zostawiłem wiadomość na automatycznej sekretarce, po czym złapałem samolot do Bostonu i krótko po zmroku dotarłem do Cambridge. W Muzeum Botanicznym było zupełnie pusto. Czułem się zmęczony, więc kiedy wszedłem do swojego gabinetu, nawet nie włączyłem światła, postawiłem walizkę na biurku i położyłem się w hamaku wiszącym w kącie. Z lekkim rozbawieniem patrzyłem na swój wielobarwny bagaż, wymowny symbol kraju, który niedawno opuściłem. Mawia się, że na Haiti człowiek odkrywa, jak wiele można zrobić prawie z niczego. Opony przerabia się na buty, blaszane puszki na puzony, glinę i słomę na urocze, zgrabne chaty. Ze względu na panujący niedobór dóbr materialnych Haitańczycy wykorzystują wyobraźnię, by upiększyć swój świat. O ile jednak walizka była zabawna, o tyle jej cuchnącą zawartość należało traktować śmiertelnie poważnie. Jeżeli zagadka zombie miała doczekać się rozwiązania, to zapewne dzięki przywiezionym przeze mnie okazom. Dysponowałem teraz konkretnymi obiektami do badania i mogłem w pełni wykorzystać zasoby uniwersytetu.

Wstałem i opróżniłem walizkę, rozkładając okazy w długim rzędzie na

biurku. Następnie wziąłem kawałek kredy i po obu stronach dużej tablicy, która zajmowała większość jednej ze ścian gabinetu, wydzieliłem dwie kolumny. W pierwszej wypisałem składniki mieszanki przygotowanej przez Marcela: ludzkie szczątki, dwie rośliny, wieloszczet, ropucha, jaszczurki, ryby. Z kolei w kolumnie numer dwa znalazły się objawy występujące u Clairviusa Narcisse'a przed śmiercią: obrzęk płuc, problemy trawienne i wymioty, poważne trudności z oddychaniem, uremia, hipotermia, szybka utrata masy ciała, wysokie ciśnienie. Po chwili przeczesywania umysłu dodałem jeszcze sinicę i parestezję, bo zarówno Narcisse, jak i jego siostra wspominali, że skóra zrobiła się sina i że czuł mrowienie w całym ciele. Kolumny oddzielał kawał niezapisanej tablicy.

Wczesnym rankiem następnego dnia zapuściłem się w ciemne korytarze Muzeum Zoologii Porównawczej i dostarczyłem próbki zwierząt pracującym tam specjalistom, by dokonali identyfikacji. Wróciłem do Muzeum Botanicznego, żeby przyjrzeć się roślinom. Zadałem sobie trzy wstępne pytania. Po pierwsze, czy rośliny te mają składniki aktywne farmakologicznie zdolne doprowadzić do drastycznego spowolnienia metabolizmu? Po drugie, jeśli mają, czy stężenie tych składników i dawki stosowane przez Marcela Pierre'a były wystarczające, by zadziałać? I po trzecie, czy wszystkie te składniki działały, jeśli zaaplikowało się je przezskórnie, czy może musiały zostać przyswojone drogą pokarmową? Należało przy tym mieć na względzie ważną rzecz: w przypadku tego rodzaju ludowych receptur często zdarza się, że różne substancje chemiczne dodawane we względnie niewielkich ilościach wzmacniają nawzajem swoje właściwości i występuje silny efekt synergii. Całość jest wówczas czymś więcej niż tylko sumą poszczególnych części. Musiałem na początek ustalić, czy składniki zwierzęce lub roślinne zawierają interesujące związki chemiczne. Po identyfikacji próbek większość tego rodzaju wstępnych informacji mogłem znaleźć w bibliotece.

Po południu sekretarka muzeum przerwała mi pracę, przyniósłszy wiadomość od Kline'a, który prosił, żebym przyjechał do Nowego Jorku tak szybko, jak to możliwe.

*

Drzwi mieszkania były otwarte. Wszedłem, przez chwilę nieśmiało czekałem w korytarzu, wreszcie postanowiłem uchylić drzwi salonu. Wnętrze się nie zmieniło, za to powietrze zastygło i nagrzało się od późnopopołudniowego słońca, które nadało wszystkim znajdującym się tu przedmiotom nowe

barwy.

– Wygląda na to, że jakoś przeżyłeś. – Odwróciłem się i ujrzałem Marnę, córkę Kline'a, która uśmiechała się oparta o drzwi do kuchni. – Witamy z powrotem.

– Cześć, Marno. Przepraszam, że tak wtargnąłem.

– Nic nie szkodzi, ojciec uprzedził mnie, że przyjdziesz. Jak tam Haiti?

– Dobre miejsce.

– A praca?

– W porządku.

– Miał rację?

– Twój ojciec?

Pokiwała głową i zaraz dodała:

– Nie, nic mi nie mów. Poczekaj na tatę. Masz ochotę na drinka?

– Byłoby miło.

– Rum? Chyba że już nie możesz na niego patrzeć.

– Wolałbym whiskey.

Wróciła do kuchni po lód, po czym podeszła do barku.

– Martwił się o ciebie.

– Twój ojciec? Dlaczego?

– Nie miałeś wrócić tydzień wcześniej?

– Nie, nie wydaje mi się.

– Spodziewał się ciebie kilka dni temu.

– Parę rzeczy przesunęło się w harmonogramie – wyjaśniłem. – A tak w ogóle gdzie podziewa się twój ojciec?

– Och, dopiero co wyszedł, bardzo mi przykro. Powinien niedługo wrócić. Jest z Bo Holmstedtem. Znasz go?

– Naprawdę? Tak, znam. – Słowa Marny mnie zaskoczyły. Bo Holmstedt był profesorem w Instytucie Karolinska w Sztokholmie i uchodził za jednego z najwybitniejszych toksykologów na świecie. Przyjaźnił się z Schultesem, współpracowali przy wielu projektach badawczych w Amazonii.

Marna i ja popijaliśmy drugiego drinka, gdy jej ojciec i Holmstedt weszli do mieszkania. Kline wydawał się innym człowiekiem niż podczas naszej pierwszej rozmowy. Powitał mnie ciepło, wręcz wylewnie.

– No, jesteś wreszcie! Cieszę się, że wróciłeś w jednym kawałku. Znasz Bo Holmstedta?

– Miło mi, panie profesorze.

– Witaj, Wade.

– Bo jechał właśnie na lotnisko, ale przekonałem go, żeby wpadł tu i usłyszał, co masz do powiedzenia.

– Ejże, Nathan, wywierasz na chłopaka zbyt dużą presję – upomniał go Holmstedt. – Marno, czy zdążyłabyś przyrządzić szybkiego drinka dla starego pijusa? – Mówił z akcentem typowym dla Skandynawów, którzy mieli okazję szlifować angielski podczas studiów w Wielkiej Brytanii. Był starszawy, niski i zwalisty, nosił stonowaną szarą koszulę z flaneli i blezer. Przez parę chwil prowadziliśmy swobodną pogawędkę, aż wreszcie rozsiedliśmy się wygodnie i zacząłem relację. Okrasiłem ją licznymi niezbędnymi anegdotami, odpowiadałem na rozmaite pytania i dzieliłem się przeczuciami na temat kraju, jego historii i wyjątkowej struktury społecznej. Nieustannie podkreślałem przy tym rolę religii vodoun, stanowiącej główną oś wydarzeń na Haiti. Odtworzyłem wydarzenia, które doprowadziły do pozyskania mieszanki sporządzonej przez Marcela Pierre'a. W końcu rozmowa zeszła na temat toksyny.

– Nie zidentyfikowałem jeszcze wszystkich zwierząt, mam natomiast katalog roślin. Jest wśród nich świerzbiec właściwy. Na Haiti mówią na niego *pois gratter*, drapiący groszek. To *Mucuna pruriens*. Podobnie jak inne rośliny z tego rodzaju ma owoce pokryte ostrymi, szczeciniastymi włoskami.

– Wiesz już coś na temat jego właściwości chemicznych? – spytał Kline.

– Niewiele. Rozmawiałem z profesorem Schultesem, który uważa, że nasiona mogą mieć działanie psychoaktywne. Widział też, jak wykorzystywano je w Kolumbii do leczenia cholery i chorób pasożytniczych.

Holmstedt włączył się do rozmowy:

– Istnieje gatunek *Mucuna* zwany… Cholera, wyleciało mi z głowy… Już mam, *Mucuna flagellipes*. W Afryce Środkowej wykorzystuje się go do zatruwania grotów strzał. Zawiera związki przypominające fizostygminę. Zapoznałeś się, jak mniemam, z literaturą na temat bobotrutki kalabarskiej?

Cieszyłem się w duchu, że odrobiłem pracę domową, bo większość artykułów poświęconych bobotrutce napisał właśnie Holmstedt. Od razu omówiłem pokrótce hipotezę, którą sformułowałem przed wyjazdem, i wyjaśniłem, że nie ma żadnych dowodów, by roślina dotarła na Haiti.

– Dobra hipoteza nigdy się nie marnuje. Co jeszcze masz?

– *Albizzia lebbeck*. Haitańczycy mówią na nią cza-cza. Pochodzi

z Afryki Zachodniej, została sprowadzona na Karaiby przed laty jako drzewo ozdobne.

– Wpadłeś na ciekawy trop, Wade. Czy udało ci się ustalić coś więcej na jej temat?

– Kora i łupiny nasion zawierają saponiny. W niewielkim stężeniu całkiem skuteczny środek parazytobójczy, ale kluczowe jest odpowiednie dobranie dawki.

– Dobór dawki zawsze jest kluczowy – zauważył Kline.

– Niektóre zachodnioafrykańskie plemiona używają tej rośliny jako środka owadobójczego lub do zabijania ryb.

– Jak to: ryb? – spytała Marna.

– Umieszczają zmiażdżone nasiona w płytkiej wodzie. Saponiny oddziałują na skrzela, utrudniają oddychanie. Ryba wypływa na powierzchnię i człowiek bez trudu ją wyławia. Mięso pozostaje zdatne do spożycia.

– Zabicie ssaka za pomocą saponin nastręcza nieco więcej trudności, choć nie jest niewykonalne – rzekł Holmstedt. – W Afryce Wschodniej z korzeni *Albizzia versicolor* uzyskuje się piekielnie dobrą truciznę do strzał. Nie ma natomiast sensu dodawać jej komuś do jedzenia. Saponiny nie wchłaniają się drogą jelitową. Muszą się dostać bezpośrednio do krwi.

– Czy nie tak właśnie podaje się je na Haiti? – spytała Marna.

– Owszem, przez skórę – odpowiedziałem. – Profesorze Holmstedt, jakie są objawy zatrucia saponinami?

– W odpowiedniej dawce mdłości, wymioty, potem gromadzenie się płynu w drogach oddechowych. Mówiąc prościej, ofiara topi się we własnych płynach ustrojowych.

– I występuje obrzęk płuc? – spytałem.

– Tak, oczywiście.

Obrzęk płuc otwierał moją listę objawów, które wystąpiły u Clairviusa Narcisse'a.

– Musisz wiedzieć, że *Albizzia* ma jeszcze jeden sekret – ciągnął Holmstedt. – Wiele gatunków zawiera związki zwane sapotoksynami, przyswajane drogą jelitową. Mają dość paskudne działanie, zakłócają bowiem procesy oddychania komórkowego w całym organizmie. Zabijają cię, bo osłabiają każdą twoją komórkę. Nawiasem mówiąc, Efikowie z Kalabaru wykorzystywali korę *Albizzia zygia* do przygotowywania napoju znanego jako *ibok usiak owo*, co w ich języku oznaczało „lekarstwo

powodujące wspominanie ludzi". Było to swego rodzaju proste serum prawdy. Podawali je doustnie, gdy chcieli poddać kogoś próbie niewinności. Widzisz, Wade, wracamy do twojej hipotezy.

– Czy ustaliłeś coś na temat wszystkich tych jaszczurek, ropuch i innych zwierząt, które dodaje się do mieszanki? – zapytał Kline.

– Nic, co nastrajałoby optymistycznie – odparłem. – Jest na przykład wieloszczet, którego Marcel trzyma razem z ropuchą. Zdaniem części badaczy szczecinka może wywołać lekki paraliż. Niewykluczone też, że takie wieloszczety mają w sobie jad, ale nie udało się tego jednoznacznie potwierdzić. Herpetolodzy z muzeum bez problemu zidentyfikowali jaszczurki. Żadna z nich nie jest jadowita. Na Dominice uważa się, że na skutek kontaktu z jedną z tych jaszczurek człowiekowi wypadają włosy i zielenieje skóra, mimo to ludzie i tak ją jedzą. Inny gatunek należący do spokrewnionego rodzaju wywołuje poważne szkody u kotów domowych na Florydzie, ale ich nie zabija. W każdym razie Narcisse na pewno nie trafił do szpitala z powodu jaszczurki.

– A ropucha? – spytał Holmstedt.

– *Bufo marinus*.

– Jesteś pewien?

– Nie ma żadnych wątpliwości. Ludzie z muzeum to potwierdzili.

Holmstedt zamyślił się przez chwilę.

– No cóż… – powiedział wreszcie i spojrzał na mnie – Wade, sądzę, że coś może się z tego urodzić.

*

Nazajutrz wróciłem do Cambridge. Niestety, nie czekały tam na mnie żadne nowe informacje. Wstępne analizy botaniczne pozwoliły ustalić, że Marcel Pierre wykorzystywał rośliny zawierające związki aktywne farmakologicznie. Ponadto rośliny te znano w Afryce, dysponowałem jednak tylko pojedynczymi doniesieniami z rozproszonych obszarów tamtego kontynentu i brakowało mi całościowego obrazu. Wbrew optymistycznej ocenie Holmstedta hipoteza kalabarska najwyraźniej prowadziła donikąd. Nie znalazłem żadnych dowodów na to, że na Haiti występowała bobotrutka kalabarska, nie udało mi się też potwierdzić, że bieluń, który z pewnością tam znano, jest powiązany z zombifikacją.

Było to dość przygnębiające, ale jeszcze tego samego dnia sprawy przybrały lepszy obrót. Im więcej czytałem na temat ropuchy, a więc

składnika, który tak bardzo zainteresował Holmstedta, tym bardziej poprawiał mi się nastrój. Dowiedziałem się, że gruczoły przyuszne płaza to istne rezerwuary toksycznych związków chemicznych.

Bufo marinus pochodzi z Nowego Świata, najwyraźniej jednak dotarła do Europy krótko po wyprawach Kolumba i została dobrze przyjęta w krajach obeznanych z ropuszymi jadami. Europejczycy sądzili, że ropuchy zawdzięczają swą jadowitość jedzeniu grzybów (stąd właśnie wziął się jeden z angielskich wyrazów na określenie trujących grzybów – *toadstool*, czyli dosłownie stolec ropuchy). Już w starożytnym Rzymie kobiety truły mężów toksyną pozyskaną z ropuch. Średniowieczni wojownicy uważali, że jeśli chce się skrytobójczo zabić wroga, należy natrzeć jego skórę wydzielinami *Bufo vulgaris*, gatunku występującego powszechnie w Europie. Krótko po tym, jak *Bufo marinus* dotarła na Stary Kontynent, truciciele odkryli, że wystarczy umieścić ją we wrzącej oliwie, a wydzieliny wypłyną na powierzchnię, skąd łatwo je zebrać. Na początku XVI stulecia w Italii opracowano wyrafinowane metody ekstrahowania ropuszych toksyn dzięki soli, którą następnie wystarczyło oprószyć jedzenie ofiary. Jad ropuch ceniono do tego stopnia, że w pierwszych dekadach XVIII wieku dodawano go do pocisków odłamkowych. Wojskowi sądzili najwyraźniej, że jeśli odłamek nie zabije wroga, na pewno zrobi to toksyna.

Rdzenni mieszkańcy Ameryk również znali właściwości ropuch. Aby pozyskać jad, Indianie Chocó z zachodniej Kolumbii umieszczali płaza w bambusowej rurce zawieszonej nad ogniskiem. Ciepło sprawiało, że zwierzę wydzielało żółty płyn, który skapywał do ceramicznego naczynka. Tam krzepł i mógł posłużyć jako trucizna, w której zanurzano groty strzał. Według dawnych – zapewne nie do końca wiarygodnych – źródeł uzyskany preparat miał niezwykle silne działanie. Jeleń trafiony zatrutą strzałą umierał po czterech minutach, jaguar najpóźniej po dziesięciu. Oczywiście, trucizny, którymi naciera się groty strzał, mogą działać na rozmaite sposoby. Toksyny pozyskiwane z pnączy w północno-zachodniej Amazonii powodują zwiotczenie mięśni i śmierć przez uduszenie. Natomiast na skórze *Bufo marinus* znajdują się związki chemiczne przypominające najsilniejsze afrykańskie trucizny, pozyskiwane z rośliny *Strophantus kombe*. Ich aktywną substancją jest ouabaina, czyli g-Strofantyna, stymulant mięśni serca. W niewielkich dawkach g-Strofantynę wykorzystuje się w przypadkach gwałtownej, ostrej niewydolności serca. Jeśli jednak użyje się jej za dużo, serce wariuje i pompuje krew jak szalone, aż w końcu

przestaje bić.

Choć europejscy medycy bardzo wcześnie sięgnęli po jad ropuch, a sproszkowane ropuchy do XVIII wieku zaliczały się do najważniejszych lekarstw, palma pierwszeństwa, co chyba nie zaskakuje, należy się Chińczykom. Od stuleci przygotowywali oni gładkie, okrągłe płytki z wysuszonego jadu, zwane *chansu*, czyli ropuszą toksyną. Według *Bencao gangmu*, sławnego zielnika z końca XVI wieku, jad stosowano do leczenia bólu zębów, aft, zapalenia zatok i krwawienia z dziąseł. Przyjmowany doustnie w formie tabletki miał zaradzić przeziębieniu.

Patrząc na tę listę dość banalnych chorób, łatwo zapomnieć, że mówimy o wyjątkowo toksycznym preparacie. Na początku XX wieku przeanalizowano *chansu* i okazało się, że zawiera ono wiele składników aktywnych, w tym dwa silne stymulanty serca: bufogeninę i bufotoksynę.

Słowo „silne" nie oddaje im zresztą sprawiedliwości. Obecnie niemal każdy człowiek cierpiący na chorobę serca musi codziennie zażywać glikozydy nasercowe, pozyskiwane z naparstnicy, rośliny już w X wieku wykorzystywanej w Anglii do pobudzania mięśnia sercowego. Bufotoksyna i bufogenina mają od pięćdziesięciu do stu razy silniejsze działanie niż glikozydy nasercowe. Co to oznacza w praktyce? W pewnym eksperymencie wstrzyknięto kotu jedną pięćdziesiątą grama *chansu*. Niemal natychmiast ciśnienie jego krwi podskoczyło trzykrotnie i doszło do ciężkiej niewydolności serca. Wystarczyłoby pół grama wysuszonego jadu podanego dożylnie, by wywołać niewydolność serca u zdrowego mężczyzny ważącego siedemdziesiąt pięć kilogramów. *Chansu* aplikowane przezskórnie doprowadziłoby zapewne do gwałtownego wzrostu ciśnienia krwi. Szybki rzut oka na spis objawów Narcisse'a pozwolił mi powiązać jego wysokie ciśnienie z *Bufo marinus*.

Ponieważ mówimy o niezwykle toksycznych związkach, należy wspomnieć, że w ostatnich latach toczyły się spory, czy *Bufo marinus* jest wykorzystywana jako środek halucynogenny przez Indian z Nowego Świata. Problem polega na tym, że ropucha wydziela też inny związek chemiczny, bufoteninę, spotykany w substancjach halucynogennych sporządzanych z roślin przez Indian w górnym biegu Orinoko w Wenezueli. W Ameryce Środkowej ropucha stanowiła ważny element majańskiej ikonografii, a podczas wykopalisk w Cozumel w Meksyku, gdzie natrafiono na pozostałości z okresu postklasycznego cywilizacji Majów, okazało się, że niemal wszystkie znalezione przez archeologów szczątki płazów należały do

gatunku *Bufo marinus*. Ustalenia te były zbieżne z wcześniejszymi odkryciami w San Lorenzo, za sprawą których pewien wybitny archeolog postawił hipotezę, że w kulturze Olmeków toksynę *Bufo marinus* wykorzystywano jako narkotyk. Szczątki *Bufo* można jednak znaleźć podczas przekopywania starych przydomowych wysypisk śmieci w całej Ameryce Środkowej. Część archeologów uważa zatem, że Indianie w czasach prekolumbijskich wcale nie narkotyzowali się toksyną płaza, a po prostu zjadali go po ostrożnym usunięciu skóry i gruczołów przyusznych. Na przykład w dzisiejszym Peru ropucha przygotowywana w ten sposób jest stałym elementem diety Campa, plemienia z górnego biegu Amazonki. Hipoteza ta wydaje się rozsądna, zwłaszcza jeśli weźmiemy pod uwagę, jakiego rodzaju odurzenie osiągałoby się za sprawą ropuszej toksyny. Jest mało prawdopodobne, że Majowie chcieliby ryzykować wytrucie znacznego odsetka swoich kapłanów – bo przecież to właśnie oni przyjmowaliby narkotyk. *Bufo marinus* mogłaby posłużyć do wyrobu wykorzystywanych rytualnie substancji halucynogennych, tylko gdyby udało się opracować jakiś złożony proces selektywnej neutralizacji jej toksycznych związków.

Z drugiej strony wcale nie byłoby to nie do pomyślenia. Przed laty jeden ze współpracowników profesora Schultesa wysłał Timothy'ego Knaba, młodego, dzielnego antropologa, na meksykańską prowincję, by poszukał społeczności, które zdołały zachować starodawną wiedzę. Po wielu miesiącach Knab wytropił starego *curandero* w górach na południu stanu Veracruz. Człowiek ten pamiętał recepturę, której jego lud nie wykorzystywał od pięćdziesięciu lat. Zmiażdżył gruczoły dziesięciu ropuch i zrobił z nich gęstą pastę, dodał wodę wapienną i spopielone rośliny. Miksturę tę gotował przez całą noc, dopóki nie przestała śmierdzieć, potem dolał ją do piwa kukurydzianego i przefiltrował przez tkaninę z palmy. Wymieszał ją z mąką kukurydzianą i na kilka dni wystawił na słońce, by sfermentowała. Na koniec podgrzewał ją, aż odparował płyn. Powstało twarde ciasto, które ukrył w głębi lasu.

Knab zdołał przekonać *curandero*, by przygotował ten narkotyk, natomiast uparty starzec za nic nie chciał go spróbować. Bardzo niechętnie zgodził się podać go antropologowi. Najwyraźniej dobrze wiedział, jakie mogą być skutki. Pod wpływem toksyny Knab poczuł gorąco, jakby jego ciało stanęło w ogniu. Miał skurcze mięśni, straszliwy ból głowy, nękały go halucynacje i delirium. Przez sześć godzin leżał nieruchomy w specjalnie wykopanym dole przy ognisku *curandero*.

Nigdy nie ustalił, czy dzięki skomplikowanemu procesowi przygotowań udało się zneutralizować którąś z najsilniejszych toksyn pochodzących z ropuszych gruczołów. Ale nawet jeśli tak, sama bufotenina wystarczy, by wywołać niezwykle przykre objawy. Pod koniec lat pięćdziesiątych XX wieku lekarz Howard Fabing uzyskał zgodę na dożylne podanie bufoteniny osobom odsiadującym wyroki w Więzieniu Stanowym Ohio. Najmniejsze dawki powodowały pieczenie twarzy, mdłości i lekkie trudności w oddychaniu. Po zwiększeniu dawki objawy te się nasilały, a twarz i usta stawały się sine. Ludzie, którym podano największą dozę, doświadczyli lekkich halucynacji i delirium. Ich skóra przybrała barwę bakłażana, co świadczy, że substancja obniżała saturację krwi. Po kolejnych eksperymentach zuchwały lekarz ogłosił, że objawy wywoływane przez bufoteninę przywodzą na myśl berserków, nordyckich wojowników ogarniętych szałem walki. Zdaniem Fabinga wojownicy ci przyjmowali substancje psychoaktywne i dlatego wpadali w furię, stawali się nieprzeciętnie silni i skłonni do brawury. Nie byłem pewien, czy to prawda, musiałem jednak rozważyć tezę Fabinga w ramach swoich badań nad zombie. Opisane przez niego zachowania pacjentów uczestniczących w eksperymentach przypominały relacje na temat tego, jak funkcjonuje zombie zaraz po wstaniu z grobu. Marcel Pierre wspomniał pewnego razu, że czasami potrzeba aż trzech ludzi, żeby zapanować nad zombie, Narcisse mówił zaś, że gdy tylko wyciągnięto go spod ziemi, został pobity i skrępowany.

Znów wróciłem myślami do listy objawów Narcisse’a w momencie śmierci. Były wśród nich sinica, czyli niebieskawe zabarwienie skóry, oraz parestezja, czyli mrowienie.

*

Nim dzień dobiegł końca, na mojej tablicy pojawiło się kilka bardzo interesujących obserwacji. Mogłem z dużą pewnością wyeliminować obie jaszczurki. Wieloszczet okazał się bardziej problematyczny, gdyż jego toksyna nie została jak dotąd porządnie zbadana. Skłaniałem się ku przyjęciu interpretacji wyznawców vodoun, którzy mówili, że wieloszczet miał przede wszystkim sprawiać, że ropucha się zestresuje i zacznie wydzielać więcej toksyn. Jedna z przywiezionych przeze mnie roślin zawierała związki, które działały, gdy podawano je przezskórnie, i powodowała obrzęk płuc. No i była jeszcze ropucha, źródło różnych substancji aktywnych. Wszystkie te substancje działały przezskórnie, mogły spowodować poważny skok

ciśnienia, sinicę i parestezję, a także delirium i zmiany behawioralne, między innymi atak szału.

Mimo to oczywiście nie wystarczyło dokonanie oceny chemicznych właściwości składników i zestawienie ich z objawami Narcisse'a. Owszem, *Albizzia lebbeck* może spowodować obrzęk płuc – ale przecież to samo da się powiedzieć o dziesiątkach innych roślin. Nie znalazłem też żadnych dowodów, że w skład mieszanki wchodził silny związek zdolny spowodować najważniejszy objaw, czyli tak drastyczne spowolnienie metabolizmu, że ofiara wydaje się martwa.

*

Zbliżał się środek tygodnia, a ja nadal nie miałem żadnych wieści od ekspertów od ryb, postanowiłem więc wpaść do ich laboratorium i sprawdzić, co się dzieje. Naukowca, który zajmował się moimi okazami, znalazłem w ciemnym kącie podziemnych katakumb; wpatrywał się w niewielki pysk jakiegoś nieprawdopodobnie szpetnego stworzenia i chyba liczył jego zęby.

– Masz już coś na temat tych haitańskich ryb? – spytałem.

Podniósł wzrok i chwilę zajęło mu, zanim na nowo przyzwyczaił się do patrzenia na istotę ludzkich rozmiarów i zanim przypomniał sobie, kim jestem.

– A tak, haitańskie ryby. Niesympatyczne stworzonka. – Poszedł na chwilę na zaplecze i wrócił, niosąc moje okazy. – Schultes wynajął cię gościom z CIA czy co? – spytał i głośno się zaśmiał.

– Co masz na myśli?

– No, rozdymki. – Wyrecytował listę naukowych nazw, które nic mi nie mówiły.

– Co można w nich znaleźć?

– Dobry Boże, myślałem, że tam u was znają się na narkotykach. Z literaturą piękną też krucho. – Najwyraźniej wyglądałem na bardzo zdezorientowanego, bo zaraz dodał: – James Bond. Ostatnia scena *Pozdrowień z Rosji*, jeden ze wspanialszych epizodów w dziejach ichtiotoksykologii. Agent 007 całkowicie unieszkodliwiony, sparaliżowany i nieprzytomny na skutek maleńkiej rany zadanej ukrytym nożem. – Wstał, przyjrzał się biblioteczce i zachowując uczoną minę, wyciągnął niewielką książkę w miękkiej okładce, stojącą pośród identycznie wyglądających czasopism.

– Wiedziałem, że gdzieś to mam. O, jest – i zaczął czytać na głos. – „Śmignął trzewik ze swym stalowym języczkiem. Bond poczuł w prawej łydce ostry ból. […] W ciało Bonda wkradało się odrętwienie. […] Oddychanie stawało się trudne. […] Zwinął się powoli na pięcie i runął jak długi na ciemnoczerwoną podłogę”[5]. – Odłożył książkę na półkę. – 007 był bez szans – stwierdził z ubolewaniem. – A Fleming wykazał się niezłym sprytem. Dopiero w następnej powieści dowiadujemy się, jak to się wszystko skończyło. Ostrze było zatrute tetrodotoksyną. Możemy to przeczytać w pierwszym rozdziale *Doktora No*.

– Tetrodotoksyną?

– To neurotoksyna – wyjaśnił mój rozmówca. – Najsilniejsza, jaką znamy.

*

Od razu zrozumiałem, że przeczucia Kline’a i Lehmanna się potwierdziły: w skład trucizny zmieniającej ludzi w zombie wchodziła jedna z najbardziej toksycznych substancji spotykanych w przyrodzie. Marcel kojarzył dwa gatunki ryb: *fou-fou*, czyli *Diodon hystrix*, oraz *crapaud de mer*, czyli *Sphoeroides testudineus*. Nazywa się je rozdymkami, gdyż w momencie zagrożenia potrafią w krótkim czasie połknąć sporą ilość wody i przybrać kształt piłki, przez co drapieżnikowi trudniej się do nich dobrać. Mogłoby się jednak wydawać, że ten mechanizm obronny w ogóle nie jest im potrzebny, oba gatunki należą bowiem do występującego w tropikach rodzaju ryb, którego przedstawiciele często mają w skórze, wątrobie, jajnikach lub jelitach tetrodotoksynę. Ta zabójcza neurotoksyna zalicza się do najbardziej trujących niebiałkowych substancji znanych naukowcom. Badania laboratoryjne wykazały, że jest sto sześćdziesiąt tysięcy razy silniejsza od kokainy i, według ostrożnych szacunków, pięćset razy silniejsza od cyjanku. Śmiertelna dawka czystej tetrodotoksyny miałaby objętość łebka od szpilki.

Jeśli chcemy przeanalizować rolę, jaką trucizna ta odgrywała w ludzkiej historii, musimy cofnąć się do pierwszych cywilizacji. Starożytni Egipcjanie znali tę toksynę już prawie pięć tysięcy lat temu: rozdymka została przedstawiona w grobowcu jednego z faraonów V dynastii. Za sprawą śmiercionośnej rozdymki z Morza Czerwonego w *Księdze Powtórzonego Prawa* Starego Testamentu pojawia się zakaz spożywania ryb pozbawionych łusek. O toksynach rozdymek wiedzieli też autorzy jednego z pierwszych wielkich chińskich zielników *Bencao jing*, przypisywanego mitycznemu cesarzowi Shennongowi[6]. Źródła pochodzące ze Wschodu dowodzą

skądinąd, że z biegiem lat coraz dogłębniej analizowano tam biologię i toksykologię ryby. W czasach dynastii Han (202 p.n.e. – 220 n.e.) Chińczycy mieli już pewność, że toksyna znajduje się w wątrobie. Czterysta lat później, za rządów dynastii Sui, w znanym traktacie medycznym zamieszczono rzetelny opis toksyczności wątroby, jaj i jajników rozdymki. Zielnik *Bencao gangmu* (z 1596 roku) mówi, że poziom toksyny różnił się zależnie od gatunku, u osobników jednego gatunku zaś mógł się on zwiększać lub zmniejszać w określonych porach roku. Księga zawierała też zwięzły, lecz niezwykle barwny opis tego, co się stanie po spożyciu wątroby i jaj. „Gdy weźmie się je do ust, język gnije. Jeśli zaś się je połknie, zgniją jelita". Nie istniało „żadne remedium". W *Bencao gangmu* znajdowały się też inne ostrzeżenia przed niebezpieczeństwami towarzyszącymi zjedzeniu ryby. Stamtąd dowiadujemy się również, że w społeczeństwie mandaryńskim wydarzyła się rzecz niezwykła. Otóż mimo zagrożenia ryba zaczęła uchodzić za smakołyk. Szczegółowo przedstawiono kilka metod takiego jej przyszykowania i gotowania, by wyeliminować toksynę i uczynić mięso jadalnym. Na przykład ikrę należało moczyć przez całą noc w wodzie. Inny fragment opiewał rozkosze spożywania „solonej ikry i marynowanych jąder". Nie wiadomo, na jaki margines błędu pozwalały opisane metody. Zielnik przytaczał też ludowe przysłowie, które po dziś dzień jest popularne w Chinach i Japonii: „Jeśli życie ci niemiłe, zjedz rozdymkę".

Pierwsi europejscy podróżnicy, którzy dotarli na Wschód, nie znali wyszukanych sposobów bezpiecznego przygotowywania ryby i dlatego zawdzięczamy im niezwykle żywe opisy mówiące, do czego zdolna jest toksyna. Podczas drugiej wyprawy dookoła świata kapitan James Cook zignorował ostrzeżenia dwóch towarzyszących mu przyrodników i zażyczył sobie, by podano mu na kolację wątrobę i ikrę rozdymki. Upierał się, że jadł tę rybę podczas żeglugi po Pacyfiku, i bez ceregieli – jak przystało na kapitana Marynarki Królewskiej – polecił przyrodnikom, żeby oni również uraczyli się posiłkiem. Na szczęście każdy z nich skosztował tylko niewielki kęs. Oto co według relacji Cooka wydarzyło się później. Między trzecią a czwartą nad ranem „wszystkie kończyny nasze zdumiewająco osłabły, nadto pojawiło się odrętwienie czy też uczucie podobne do tego, które jest skutkiem nazbyt rychłego ogrzania dłoni bądź stóp przy ogniu zaraz po tym, jak doznały one silnego wymrożenia. Niemal zupełnie straciłem czucie, nie potrafiłem także odróżnić obiektów ciężkich od lekkich. […] Dłoniom mym zdawało się, że kwartowy dzbanek pełen wody i piórko ważą tyle samo". Kapitan i przyrodnicy mieli szczęście. Siedemdziesiąt lat wcześniej dwóch

marynarzy z holenderskiego brygu Foryś opływającego Przylądek Dobrej Nadziei spotkał o wiele gorszy los. Autorem poniższej relacji był lekarz okrętowy, który zajął się nieszczęśnikami dziesięć minut po tym, jak zjedli rybę (gatunek z rodzaju *Diodon*).

> [Bosman] leżał pod pokładem, a podniesienie się było dlań wielkim wysiłkiem. Twarz miał cokolwiek zarumienioną, oczy mu lśniły, źrenice były zwężone. Rozdziawił usta, że zaś mięśnie gardła doznały silnego skurczu, ślina skapywała mu na brodę. Wargi spuchły i zsiniały, na czoło wystąpił pot. Puls przyspieszył, stał się nieregularny a słabo wyczuwalny. Chory był skrajnie wystraszony i cierpiący, atoli zachowywał świadomość. Wkrótce nadszedł paraliż. Wówczas chory wbił spojrzenie w jeden punkt, oddychał z trudem i nozdrza mu się rozszerzyły. Pobladła twarz pokryła się zimnym potem, wargi zsiniały jeszcze bardziej. Stracił przytomność i puls, na koniec ustał jego nierówny oddech. Człowiek ten zmarł ledwie siedemnaście minut po uraczeniu się rybią wątrobą.

Drugi marynarz miał te same objawy, aczkolwiek zwymiotował kilkakrotnie, przez co na moment mu się poprawiło. Miał nadzieję, że wydobrzeje, potem jednak „jego ramiona drgnęły konwulsyjnie, a wtedy puls ustał, z ust zaś wypadł posiniały język". Umarł mniej więcej minutę po bosmanie.

Gdy Cook i inni Europejczycy borykali się z niebezpieczeństwami na morzach, mieszkańcy Japonii, wzorem Chińczyków, rozsmakowali się w rozdymkach, a metody przygotowywania ich wynieśli do rangi sztuki. Pierwsi podróżnicy ze Starego Kontynentu nie mogli się nadziwić, ile wysiłku wkładano tam w przyrządzanie i spożywanie fugu. Engelbert Kaempfer, lekarz pracujący w holenderskiej ambasadzie w Nagasaki, na początku XVIII wieku pisał: „Japończycy uważają ją za niezwykle smaczną rybę i bardzo sobie ją cenią, muszą wszelako wyrzucać głowę, jelita, ości i inne odpadki, mięso zaś starannie płukać i myć, nim będzie zdatne do spożycia, a i tak wielu ludzi umiera z jej powodu". Popularność i toksyczność rozdymek sprawiły, że cesarz wydał specjalny dekret, w którym zakazał swym żołnierzom jedzenia tych ryb. Co ciekawe, choć Kaempfer widział wiele osób delektujących się rozdymkami, konkludował: „Tego rodzaju trucizna jest absolutnie zabójcza i płukanie czy mycie nie zdołają jej zaradzić. Nikt tedy nie bierze ryby do ust, chyba że pragnie ze sobą skończyć". Holender i niezliczone pokolenia zachodnich gości, którzy w późniejszych latach odwiedzali Japonię, nie dostrzegli, na czym polega doświadczenie jedzenia rozdymki. Japoński wiersz objaśnia: „Głupcem jest ten, kto je fugu. Ale kto nie je fugu, również jest głupcem".

Dziś ryba ta jest jednym z narodowych dań Japonii. W samym tylko Tokio sprzedaje się ją w tysiącu ośmiuset sklepach. Fugu jest serwowana we wszystkich najlepszych restauracjach, a rząd, pragnąc nieco uregulować ten proceder, wydaje licencje specjalnie przeszkolonym kucharzom. Nikomu oprócz nich nie wolno przygotowywać ryby. Zazwyczaj używa się jej do sashimi. Podane w ten sposób surowe mięso jest względnie bezpieczne, podobnie jak jądra, aczkolwiek nawet najbardziej doświadczonym kucharzom zdarza się je pomylić ze śmiertelnie groźnymi jajnikami. Wielu koneserów woli danie o nazwie chiri. Są to częściowo surowe filety przygotowywane w garnku, w którym umieszcza się również toksyczną wątrobę, skórę i jelita. Co roku około stu miłośników chiri płaci życiem za swoje gusta kulinarne.

Japończycy najbardziej cenią drogie rozdymki należące do czterech gatunków rodzaju *Takifugu*. Wszystkie one są niezwykle trujące. Dlaczego ktokolwiek chciałby grać w tę kulinarną rosyjską ruletkę? Oczywiście dlatego, że fugu to jeden z niewielu produktów plasujących się na granicy między żywnością a narkotykami. Dla Japończyków spożywanie fugu jest wyjątkowym przeżyciem estetycznym. Skomplikowane zadanie stojące przed kucharzem polega nie na tym, by wyeliminować toksynę, ale na tym, by obniżyć jej stężenie, a zarazem zagwarantować gościom podniecające sensacje fizjologiczne. Zaliczają się do nich lekkie odrętwienie lub mrowienie języka i warg, uczucie gorąca, zaczerwienienie się skóry i przypływ euforii. Jak to zwykle bywa w przypadku stymulantów, niektórzy nie umieją w odpowiednim momencie powiedzieć sobie „dosyć”. Wbrew jednoznacznemu ustawowemu zakazowi trafiają się kucharze skłonni na życzenie klientów zaserwować specjalne danie z trującej rybiej wątroby. Jest ona gotowana, przerabiana na papkę, ponownie gotowana i tak dalej, dopóki większość toksyny nie zostanie usunięta. Niestety wielu ważących się na to kucharzy pada ofiarą własnych potraw. W 1975 roku przedstawione tu danie spowodowało śmierć Bandō Mitsugorō VIII, jednego z najbardziej utalentowanych aktorów teatru kabuki, artysty, któremu za życia rząd Japonii przyznał oficjalny status skarbu narodowego. Najwyraźniej należał on do amatorów gotowanej wątroby, a więc do grona ludzi, którzy – jak to ujął pewien znawca fugu – lubią „niebezpieczne życie”.

Z uwagi na popularność i względnie duży odsetek przypadkowych zatruć, na temat fugu powstało mnóstwo prac z zakresu medycyny i biomedycyny. Gdy zacząłem czytać studia przypadków i opisy sporządzane przez lekarzy, natychmiast dostrzegłem pewne paralele z zombifikacją. Kiedy Clairvius

Narcisse opowiadał mi o swoich doświadczeniach, wspominał, że przez cały czas był przytomny i choć nie mógł się ruszyć, słyszał, jak jego siostra płacze, gdy stwierdzono zgon. Podczas pogrzebu i później miał wrażenie, że unosi się ponad własnym grobem. Pamiętał, że pierwszym objawem, zanim jeszcze zgłosił się do szpitala, były trudności z oddychaniem. Siostra Narcisse'a mówiła zaś, że miał zsiniałe usta. Nie wiedział wprawdzie, ile czasu leżał w grobie, zanim go stamtąd wyciągnięto, ale z innych relacji wiadomo, że zombie może pozostawać pod ziemią nawet siedemdziesiąt dwie godziny. Wielu hounganów opowiadało, że gdy trucizna zaczyna działać, człowiek czuje „owady pełzające pod skórą". Ponadto, według doniesień, zombie – również kobiety – mają niski, ochrypły głos i zamglone spojrzenie oraz wzdęty brzuch.

Znów zacząłem rozmyślać o liście objawów wypisanych po prawej stronie tablicy. Przed swoją rzekomą śmiercią Narcisse cierpiał wskutek problemów z układem pokarmowym, wymiotował, miał poważne trudności z oddychaniem, obrzęk płuc, uremię, hipotermię, wysokie ciśnienie i szybko tracił na wadze. Objawy te są dość specyficzne i bez wątpienia dziwne.

Porównałem je więc z tym oto opisem skutków tetrodotoksyny (wyróżnienia moje):

> W przypadku zatrucia rozdymką moment pojawienia się objawów i same objawy bardzo się różnią, zależnie od pacjenta i od ilości przyswojonej trucizny. Przeważnie jednak mamy do czynienia z *apatią*, bladością, zawrotami głowy, *parestezją* warg i języka, a także ataksją. Ofiary zazwyczaj opisują *parestezję* jako *mrowienie lub pieczenie*, przy czym po pewnym czasie bywa ono odczuwalne również w palcach nóg i rąk, obejmuje kończyny, aż wreszcie, w niektórych przypadkach, przeradza się w zdrętwienie całego ciała. Pacjenci, którzy tego doświadczyli, opowiadali, że mieli wrażenie, *jak gdyby unosili się w powietrzu*. Nadmierne ślinienie się, silne poty, skrajne osłabienie, ból głowy, *spadek temperatury ciała*, obniżone ciśnienie krwi i przyspieszony, słaby puls pojawiają się dość wcześnie. Czasem występują również mdłości, nudności, biegunka i ból nadbrzuszny. W pierwszej fazie zatrucia źrenice są zwężone, później natomiast się rozszerzają. Z upływem czasu oczy nieruchomieją, ustają odruch źreniczny i odruch rogówkowy. […] Krótko po pojawieniu się parestezji *trudności z oddychaniem* mocno się nasilają, a […] usta, kończyny i całe ciało coraz bardziej sinieją. Ofiarą miotają coraz potężniejsze drgawki, aż wreszcie przychodzi *paraliż*. Na początku obejmuje on zazwyczaj gardło i krtań, co powoduje afonię, *dysfagię* i *całkowitą afagię*. *Mięśnie kończyn*

ulegają całkowitemu paraliżowi i pacjent nie jest w stanie się ruszać. Przed śmiercią spojrzenie staje się *zamglone. Niekiedy pacjent zapada w śpiączkę, ale w większości przypadków zachowuje świadomość i sprawność umysłu prawie do samego zgonu.*

[B.W. Halstead, *Poisonous and Venomous Marine Animals of the World*, Darwin Press, Princeton 1978].

Wielu lekarzy odnotowało ten osobliwy paraliż, podczas którego umysł funkcjonuje niemal zupełnie normalnie. Jeden z nich pisał: „Nawet w wyjątkowo ciężkich przypadkach pacjent orientuje się, co się dzieje dookoła. Jeśli po odratowaniu zapytać go o jego doświadczenia, zdoła wszystko szczegółowo opisać". Inni lekarze udokumentowali i zdiagnozowali takie objawy zatrucia tetrodotoksyną, jak: obrzęk płuc, spadek ciśnienia, sinica, hipotermia, mdłości i wymioty. Niemal zawsze zaczyna się od trudności z oddychaniem, u wielu ofiar brzuch robi się rozdęty. Trzeciego dnia po spożyciu tetrodotoksyny mogą pojawić się spore pęcherze na skórze. Najpóźniej dziewiątego dnia skóra zacznie się łuszczyć. Chińczyk przyjęty do Queen's Hospital w Honolulu skarżył się, że „od szyi do palców u stóp czuje silne mrowienie, jak gdyby insekty chodziły po nim i go gryzły".

Powyższa lista nie jest wyczerpująca. Ogólnie rzecz biorąc, Narcisse miał wszystkie dwadzieścia jeden objawów zaobserwowanych u osób, które zatruły się tetrodotoksyną.

Zombie przypominali więc ofiary tetrodotoksyny, przy czym ustaliłem to nie tylko na podstawie objawów, ale też studiów przypadku zaczerpniętych z japońskiej literatury medycznej. Japoński domokrążca uraczył się chiri w towarzystwie kilku przyjaciół i uległ zatruciu. Lekarze próbowali go ratować, w końcu jednak poddali się, przekonani, że umarł. On jednak nieoczekiwanie wyzdrowiał i zaledwie czternaście godzin po spożyciu toksyny wyszedł ze szpitala. Koreański górnik i jego syn zjedli jajniki ryby należącej do rodzaju *Sphoeroides* i godzinę później wylądowali na ostrym dyżurze. Ojciec zachowywał „pełną świadomość" aż do śmierci, syn był przez dwie godziny całkowicie sparaliżowany, ale ostatecznie doszedł do siebie bez żadnej pomocy.

Te dwie relacje ilustrują jedno z najbardziej niepokojących zjawisk towarzyszących zatruciu rozdymką. Tetrodotoksyna powoduje paraliż i zupełny bezruch, wskutek czego nawet doświadczeni lekarze mają trudność ze stwierdzeniem, czy ofiara żyje, czy umarła. Informacja ta miała

oczywiście ogromne znaczenie dla moich badań nad zombie. Zrozumiałem, że tetrodotoksyna może spowodować uznanie człowieka za zmarłego i pochowanie go żywcem.

Najwyraźniej przypadek taki zdarzył się w Japonii. W jednym ze starych raportów medycznych przeczytałem:

> Dwunastu hazardzistów żarłocznie jadło fugu w Nakashimie w prefekturze Okayama. Trzech się zatruło, dwóch zmarło. Jeden z nich był mieszkańcem miasta, więc został od razu pochowany. Drugi mieszkał w innym powiecie […] pod jurysdykcją szoguna. Jego zwłoki zostały umieszczone w zamkniętym pomieszczeniu pod strażą, by mogły zostać zbadane przez odpowiedniego urzędnika. Siedem czy osiem dni później człowiek ten odzyskał nagle przytomność i wrócił do zdrowia. Opowiadał, że przez cały czas wiedział, co się dookoła niego dzieje, i bał się, że pochowają go żywcem, usłyszał bowiem, że pochowano już jego kompana.

Nie wiadomo, czy pierwszy nieszczęśnik został pochowany za życia. Natknąłem się też na inny, równie dramatyczny przypadek.

> Człowiek z Yamaguchi w Boshy zatruł się fugu w Osace. Sądzono, że umarł, ciało wysłano zatem do krematorium w Sennichi. Gdy zdejmowano je z wózka, trup nagle się obudził. Zdołał samodzielnie wrócić do domu. Podobnie jak w poprzednim przypadku pamiętał wszystko, co go spotkało.

Było więcej takich historii. Jak się zdaje, do zatruć tetrodotoksyną dochodziło tak często, że w niektórych regionach Japonii osoba uznana za zmarłą na skutek spożycia rozdymki musiała przez trzy dni leżeć koło swojej trumny, zanim została pochowana. W wigilię Bożego Narodzenia w 1977 roku czterdziestoletni mieszkaniec Kyoto trafił do szpitala po zjedzeniu fugu. Wkrótce potem przestał oddychać, miał objawy śmierci mózgu. Lekarze natychmiast wdrożyli standardowe procedury ratunkowe, zdecydowawszy między innymi o zastosowaniu sztucznej wentylacji. Nic nie pomagało, ale dwadzieścia cztery godziny później pacjent zaczął oddychać samodzielnie. Ostatecznie w pełni wrócił do zdrowia. Zapamiętał, że rodzina stała przy jego łóżku i płakała. Jego zmysły przez cały czas funkcjonowały. Pragnął powiedzieć bliskim, że żyje, ale nie był w stanie. „Wiem już, co to piekło na ziemi”, oznajmił później lekarzom studiującym jego przypadek.

Wszystkie te doniesienia stawiały moje śledztwo na temat zombie w zupełnie innym świetle. Nagle wydało mi się nie tylko możliwe, ale wręcz prawdopodobne, że trucizna przygotowana przez Marcela wywoływała stan do złudzenia przypominający śmierć. Czy gatunki rozdymki, które

wykorzystywał Marcel, zawierały tetrodotoksynę? Jeśli tak, czy przetrwała ona proces przetwarzania i mieszania składników? Marcel opiekał wysuszoną rybę na ruszcie, aż nabrała oleistej konsystencji – wszak ciepło niszczy wiele związków chemicznych. Poza tym należało wziąć pod uwagę metodę aplikowania trucizny powodującej zombifikację. W jaki sposób bokor upewniał się, że ofiara nie umrze z powodu toksyny? Odpowiedź na część z owych pytań mogłem znaleźć w literaturze naukowej.

Marcel dodał do swojej mieszanki dwa gatunki rozdymki: *Diodon hystrix* i *Sphoeroides testudineus*. Obydwa zawierały tetrodotoksynę. To właśnie osobnik należący do rodzaju *Diodon* zatruł holenderskich marynarzy z Forysia, statku opływającego Przylądek Dobrej Nadziei. Przedstawiciele rodzaju *Sphoeroides* są blisko spokrewnieni z japońskimi fugu, a toksyna w ich organizmach uchodzi za wyjątkowo niebezpieczną. W połowie lat pięćdziesiątych XX wieku starszawa turystka na południowej Florydzie zjadła wątrobę *Sphoeroides testudineus*. Wystąpiły u niej wszystkie straszliwe objawy zatrucia i kobieta zmarła po czterdziestu pięciu minutach. Zatem ryby wykorzystywane przez Marcela mogły zawierać tetrodotoksynę.

Kolejne odpowiedzi znalazłem w niezwykłej relacji, którą spisał meksykański historyk Francisco Javiera Clavijero. W 1706 roku czterech hiszpańskich żołnierzy przemierzało Kalifornię Dolną, szukając miejsca, gdzie można by ulokować nową misję. Natknęli się na porzucone palenisko, na którym miejscowi rybacy upiekli kawałek wątroby *Sphoeroides lobatus*. Przewodnicy ostrzegli Hiszpanów przed kosztowaniem mięsa, ci jednak postanowili się nim podzielić. Pierwszy zjadł mały kawałek i umarł po pół godzinie, drugi pożuł wątrobę, ale jej nie przełknął i umarł krótko później, trzeci tylko jej dotknął i dopiero następnego dnia odzyskał przytomność.

Płynęły stąd dwa niezwykle ważne wnioski. Żołnierze zatruli się upieczonym mięsem – zatem po pierwsze, wysoka temperatura, na przykład podczas smażenia, gotowania, pieczenia czy duszenia, nie neutralizowała tetrodotoksyny. Po drugie, choć tetrodotoksyna jest jednym z najbardziej trujących związków chemicznych znanych nauce, jej działanie zależy od dawki i sposobu podania. Japońscy badacze Fukada i Tani przestudiowali przeszło sto przypadków i zaproponowali czterostopniową skalę. Zatrucie pierwszego i drugiego stopnia wiązało się z postępującym odrętwieniem i utratą kontroli nad motoryką ciała. Zatrucie trzeciego stopnia oznaczało całkowity paraliż, trudności z oddychaniem, sinicę i niskie ciśnienie krwi – wszystko to przy zachowaniu pełnej przytomności. W przypadku zatrucia

czwartego stopnia w krótkim czasie następowała śmierć wskutek ostrej niewydolności oddechowej. Jeżeli toksyna zostanie przyjęta drogą pokarmową, zatrucie postępuje zazwyczaj bardzo szybko. Marynarze z Forysia zmarli po siedemnastu minutach. Z kolei jeżeli tetrodotoksyna dostanie się bezpośrednio do krwiobiegu, jej siła wzrasta nawet pięćdziesięciokrotnie. Zarazem tetrodotoksyna działa również przezskórnie i pierwsze objawy zatrucia pojawiają się nawet u osób, które tylko dotknęły toksycznych rybich narządów. Innymi słowy, w przypadku ofiary zombifikacji śmierć lub przeżycie zależały od tego, w jaki sposób trucizna przeniknęła do organizmu.

Marcel zdawał sobie sprawę z siły swojej mieszanki i przyznawał, aczkolwiek nie wprost, że odpowiednie dawkowanie i zaaplikowanie toksyny ofierze są istotne. Jednoznacznie podkreślał też, że trucizny nigdy nie dodaje się do jedzenia. Teraz zrozumiałem dlaczego. Gdyby ofiara przyjęła tetrodotoksynę drogą pokarmową, niemal na pewno by umarła. Natomiast jeśli trucizna przeniknęła do organizmu przez skórę za sprawą wielokrotnego kontaktu, przez otwarte rany lub jeśli ktoś dmuchnął ofierze proszkiem w twarz, przez co substancja dostała się do płuc, mogło dojść do paraliżu łatwego do pomylenia ze śmiercią.

Kluczowe znaczenie miała ostatnia kwestia. Kryzys po zatruciu tetrodotoksyną nadchodzi w ciągu góra sześciu godzin. Jeżeli ofiara do tego czasu nie umrze, zazwyczaj może liczyć na pełne wyzdrowienie. W teorii oznaczało to, że człowiek poddany zombifikacji może sprawiać wrażenie zmarłego, zostać pospiesznie pochowany i ocknąć się w trumnie.

Zdawałem sobie sprawę z doniosłości tych wniosków. Być może udało mi się odkryć związek chemiczny, który odpowiadał za fizyczne aspekty zombifikacji – zidentyfikowałem ludową truciznę zawierającą toksyny zdolne farmakologicznie wywołać stan pozornej śmierci. Nietypowe objawy opisywane przez Clairviusa Narcisse’a ściśle odpowiadały zatruciu tetrodotoksyną, co sugerowało, że był on wystawiony na jej działanie. Nie dowodziło to, że został zmieniony w zombie, ale bez wątpienia wspierało jego wersję wydarzeń. Trudno było mi też zapomnieć o innej, niezwykle poruszającej rzeczy. Wszystko świadczyło, że sparaliżowany Narcisse faktycznie mógł przez cały czas zachowywać przytomność i bezczynnie uczestniczyć we własnym pogrzebie.

*

Gdy tylko ustaliłem te rzeczy, skontaktowałem się z Kline’em i na jego

polecenie przesłałem nieoznakowaną próbkę trucizny profesorowi Leonowi Roizinowi z Instytutu Psychiatrycznego Stanu Nowy Jork. Następny krok był dość prosty. Zamiast od razu przeprowadzać kosztowne analizy chemiczne, Roizin miał sprawdzić, jak proszek działa na zwierzęta laboratoryjne. Aby uniknąć wszelkiej tendencyjności, nie został poinformowany, co wchodzi w skład mieszanki ani jakie są jej zastosowania. Poinstruowano go jedynie, by użył jej do przygotowania emulsji, którą następnie umieści na skórze zwierząt. Skontaktował się ze mną już po tygodniu. Pracował bardzo szybko i był gotów się ze mną spotkać.

Drzwi windy się otworzyły, zobaczyłem zatłoczony korytarz i poczułem charakterystyczny laboratoryjny zapach. Zrobiłem kilka kroków, ale zaraz się zatrzymałem. Na ścianach po obu stronach korytarza wisiały tablice z cyklami zdjęć przedstawiających małpy pod wpływem gigantycznych dawek rozmaitych związków chemicznych. Z jednej strony w obecnej sytuacji nie mogłem nikogo potępiać, lecz z drugiej strony fotografie były bardziej makabryczne niż kolekcje wszystkich znanych mi bokorów.

Gabinet Roizina okazał się wyjątkowo zagracony. Sam uczony był niski i miał na sobie nieco zbyt duży fartuch laboratoryjny. Rozmowa na temat eksperymentów przebiegła rzeczowo.

– Przysłał mi pan bardzo silną substancję neurotropową – oznajmił na początek Roizin. – Bardzo dziwna rzecz. Czy zna pan może skład?

Pokręciłem głową. Nie podobało mi się, że muszę go okłamywać, ale najpierw należało się dowiedzieć, co ustalił. Dopiero później miała przyjść pora na wyjaśnienia.

Sięgnął do teczki i podał mi dwie fotografie przedstawiające białe szczury. Obydwa gryzonie wydawały się martwe.

– Najpierw ogoliliśmy im grzbiety i zaaplikowaliśmy gęstą emulsję zawierającą pański proszek. Po kwadransie spontaniczna aktywność ustała, po czterdziestu minutach szczury poruszały się tylko pod wpływem bodźców zewnętrznych. Później w ogóle przestały chodzić i leżały w tej samej pozycji przez trzy do sześciu godzin. Oddech stał się bardzo płytki. Wyczuwaliśmy bicie serca, szczury reagowały też na stymulację rogówki. Po sześciu godzinach ustały wszelkie ruchy. Wyglądały na pogrążone w śpiączce, nie reagowały na żadne bodźce. EKG wykazało, że ich serca nadal biją. Zarejestrowaliśmy też fale mózgowe. Stan ten utrzymywał się przez dwadzieścia cztery godziny.

– Czy oba szczury nadal żyją?

– Tak, ale są całkowicie apatyczne. To nie wszystko. Większość środków

uspokajających nie ma właściwości znieczulających. Substancja, którą mi pan przysłał, tak właśnie działa. Proszę popatrzeć na drugie zdjęcie. – Uważnie przyjrzałem się szczurowi. – Jak pan widzi, wbiliśmy mu igłę w ogon. W ogóle nie zareagował. Ta substancja działa na obwodowy układ nerwowy, i to bardzo szybko. Nawet w najbardziej toksycznym stadium nie wpływa na serce.

– Czy nastąpiły inne zmiany behawioralne?

– Owszem, jedna z nich jest szczególnie zauważalna. Na wczesnym etapie eksperymentu, gdy zwierzęta jeszcze się poruszały, skupiły się w jednym miejscu, a ich kończyny były wyraźnie zimne. Wyglądało na to, że próbowały się nawzajem ogrzać.

– Ile proszku podano każdemu szczurowi?

– Pięć miligramów na sto gramów masy ciała. Chcę panu pokazać coś jeszcze. – Roizin podniósł słuchawkę i wybrał numer.

Wykorzystałem chwilę przerwy, by dyskretnie przeprowadzić w notatniku pewne obliczenia. W przeliczeniu na masę ciała przeciętnego człowieka Roizin użył trzy i pół grama trucizny.

– Technik czeka na nas na dole w studiu – powiedział naukowiec, gdy tylko się rozłączył. – Kiedy zobaczyłem, jak pańska toksyna działa na szczury, postanowiłem przetestować ją na małpach. – Wstał i dał mi do zrozumienia, że mam iść za nim. – Czy kiedykolwiek pracował pan z makakami? – spytał, prowadząc mnie korytarzem.

– Nigdy nie musiałem.

– Wobec tego ma pan wiele szczęścia. Powinien pan jednak chociaż raz doświadczyć kontaktu z nimi, zanim obejrzy pan film.

Szliśmy labiryntem korytarzy prowadzących do laboratoriów, gdzie prowadzono eksperymenty na zwierzętach. Zanim jeszcze przekroczyliśmy próg pomieszczenia, w którym trzymano klatki z małpami, w uszy uderzył mnie niemal ogłuszający hałas. Nie miałem do czynienia z małpami od czasu ostatniego pobytu w lasach deszczowych w północno-zachodniej Amazonii, tam jednak słyszało się zazwyczaj głęboki ryk wyjców, swobodny, majestatyczny i budzący grozę. Natomiast tu, w budynku instytutu, cała ściana metalowych klatek trzęsła się z powodu oszalałych, pobudzonych, skaczących zwierząt. Te krzyki nie miały nic wspólnego z przywoływaniem partnera lub partnerki – były całkowicie jałowe. Roizin postukał złowrogo w jedną z klatek. Więzień gwałtownie rzucił się w jego stronę i uderzył zębami o pręt.

– Jak pan widzi, nie są to szczególnie spokojne zwierzęta – powiedział

Roizin, wykrzykując mi słowa prosto do ucha. Potem, uznawszy, że zrozumiałem, co chciał mi zakomunikować, ruszył do wyjścia.

– To, co pan zobaczy, to rzecz jasna wstępne wyniki – powiedział, kiedy znaleźliśmy się w studiu. – Zastosowaliśmy dokładnie tę samą procedurę co w przypadku szczurów.

Technik przygasił światła i na monitorze wideo ujrzałem rozmazany obraz przedstawiający Roizina. Obok stała klatka z agresywnym makakiem. Trudno było mi wyłapywać słowa z nagrania, ale obrazy mówiły same za siebie. Po dwudziestu minutach od podania emulsji makak sprawiał wrażenie wyraźnie sennego. Nie rzucał się na pręty klatki, nawet gdy badacz dźgał go i poszturchiwał. Zamiast tego pomału schował się w kącie i przybrał pozycję, która jak wyjaśnił mi Roizin, była typowa dla stanu katatonicznego. Małpa prawie w ogóle nie reagowała na bodźce, co najwyżej rozdziawiała usta i na próżno starała się przybrać odstraszającą minę. Przeleżała bez ruchu trzy godziny. Potem Roizin i technik musieli przerwać obserwację i zająć się czymś innym. Wrócili sześć godzin później. Makak wciąż leżał w tej samej pozycji.

– Możemy zwiększyć dawki i przeprowadzić inne eksperymenty, ale najważniejsze już wiemy – powiedział Roizin, gdy znaleźliśmy się z powrotem w jego gabinecie. – Proszek, bez względu na to, co zawiera, działa bardzo szybko i całkowicie modyfikuje zachowanie. – Odchylił się na krześle. – O jednej rzeczy mogę pana zapewnić. Współpracuję z profesorem Kline’em od wielu lat, przez moje laboratorium przewinęły się bardzo dziwne substancje, ale ta, którą pan przywiózł, jest bez wątpienia najosobliwsza.

– Czy przychodzą panu do głowy możliwe zastosowania? – spytałem.

– Na tym etapie nie da się tego stwierdzić.

– Nie pokusi się pan o jakieś pomysły?

– Może chirurgia sercowo-naczyniowa… To bardzo ciekawe, że podczas gdy całe ciało zostaje całkowicie sparaliżowane, serce nadal bije. Przychodzą mi też do głowy potencjalne zastosowania w psychiatrii, na przykład podczas napadów psychozy.

– Jako środek uspokajający?

– Coś w tym rodzaju. I jeszcze jedno: czy Nate Kline kiedykolwiek w rozmowie z panem wspomniał o eksperymentalnej hibernacji?

*

Wstępne wyniki badań laboratoryjnych powinny były wywołać mój entuzjazm. Udało się eksperymentalnie wykazać to, co literatura przedmiotu jedynie sugerowała jako możliwość. Proszek sporządzony przez Marcela zawierał aktywne związki chemiczne, które szybko spowalniały metabolizm ofiary. Kline, Lehmann i Schultes telefonowali do mnie i pisali listy z gratulacjami, mimo to czułem się coraz bardziej zdezorientowany. Zanim zbadano proszek, uważałem zombie wyłącznie za pewną ideę, za dziwactwo, abstrakcję. Wyruszyłem na Haiti nastawiony dość sceptycznie, nie wiedziałem nic na temat kraju ani jego mieszkańców, znalazłem się jednak w zaczarowanej krainie, której duchowe rytmy zaskoczyły mnie i dogłębnie poruszyły. Mimo to – a może właśnie dlatego – ani razu nie zadałem sobie pytania, czy zombie naprawdę istnieją. Nie mogłem powiedzieć, żebym w nie wierzył lub nie wierzył. Po prostu nie wyrobiłem sobie na ten temat żadnej opinii. Wszystko zmieniło się dzięki ustaleniu, co wchodzi w skład trucizny, potwierdzeniom, które znalazłem w literaturze i w studium przypadku Narcisse'a, a do tego wstępnym, lecz konkretnym wynikom badań laboratoryjnych. Musiałem teraz zmierzyć się z faktem, że prawie w ogóle nie rozumiałem zjawiska zombifikacji, które nagle zaczęło się wydawać niepokojąco realne.

Pozostało też wiele niedokończonych wątków. Na przykład we wszystkich pochodzących z Haiti relacjach na temat zombie padała wzmianka o antidotum. Ale kiedy Marcel przygotował miksturę, która jego zdaniem przeciwdziałała skutkom trucizny, sposób jej sporządzenia oraz składniki sugerowały, że jest ona farmakologicznie nieaktywna. Nie znano żadnego antidotum na tetrodotoksynę, lecz twórcy trucizny zmieniającej ludzi w zombie w ogóle go nie potrzebowali. Ofiara zatrucia rozdymką albo umierała, albo bez żadnej pomocy wracała do zdrowia. W przypadku zombie zapewne było tak samo. Niezależnie od tego powtarzające się doniesienia o antidotum wymagały dalszego śledztwa. Naukowcy często mawiają, że brak dowodów nie jest dowodem braku.

Moja obsesja na punkcie toksyny i tajemniczego antidotum sprawiała, że pod pewnym względem umykała mi istota rzeczy. Ustalenie składu trującej mieszanki wyjaśniało jedynie, w jaki sposób można było wywołać u ofiary stan łatwy do pomylenia ze śmiercią. Ewidentnie to samo zdarzało się czasami w Japonii, ale rzecz jasna ludzie, którzy zatruli się fugu, różnili się od zombie. Potencjał związków psychoaktywnych jest ambiwalentny. Każdy związek psychoaktywny wywołuje określony stan, ale to dopiero początek. Konkretne sposoby działania zależą od czynników i oczekiwań o charakterze

kulturowym i psychologicznym. Specjaliści określają to mianem „set and setting” każdego doświadczenia z narkotykami. „Set” to oczekiwania jednostki dotyczące działania substancji. Natomiast „setting” to otoczenie, kontekst materialny i społeczny. Weźmy prosty przykład: w lasach deszczowych północno-zachodniego Oregonu rośnie wiele gatunków grzybów halucynogennych. Jeśli ktoś zbiera je celowo, po spożyciu doświadczy przyjemnego odurzenia. Ale jeżeli ktoś pomyli taki grzyb ze zwykłym grzybem jadalnym, na pewno przerazi się reakcją organizmu i zaraz pospieszy do szpitala. A przecież mówimy o dokładnie tym samym grzybie.

Nie twierdzę, że toksyna zmieniająca ludzi w zombie mogła być łagodnym halucynogenem, lecz podobnie jak w przedstawionym tu przykładzie jej potencjał był ukryty. Japończyk, który zatruł się fugu, leżał sparaliżowany, ale całkowicie przytomny, podczas gdy rodzina opłakiwała jego śmierć. Doszedłszy do siebie, mógł racjonalnie wyjaśnić sobie to przerażające doświadczenie, odwołując się do swojskiego kontekstu społecznego. W Japonii wszyscy wiedzą, czym jest zatrucie fugu. Natomiast Clairvius Narcisse, wychowany w fantasmagorycznym pejzażu kulturowym Haiti, z pewnością miał innego rodzaju oczekiwania, które – dosłownie – zabrał ze sobą do grobu i w życie „pozagrobowe”. Na razie nie mogłem sobie wyobrazić, co działo się w jego umyśle. Jeśli chciałem zrozumieć cokolwiek na temat zombie, musiałem się tego dowiedzieć. Postanowiłem więc przestudiować całą dostępną literaturę jeszcze przed powrotem na Haiti.

8

Śmierć voodoo

Hrabia Michał Karnice-Karnicki był człowiekiem pełnym empatii, a jego wynalazek zapewnił mu sławę w całej Europie. Rosyjski arystokrata, szambelan cara, wpadł na swój przełomowy pomysł w Belgii, gdzie uczestniczył w pogrzebie młodej dziewczyny. Pierwsze łopaty ziemi spadły na wieko drewnianej trumny, gdy nagle z grobu rozległ się rozpaczliwy krzyk, który zadziwił księdza odprawiającego ceremonię i sprawił, że kilka kobiet zemdlało. Karnice-Karnicki nigdy nie zapomniał tego wrzasku. Podobnie jak wielu ludzi żyjących w najróżniejszych zakątkach wiktoriańskiej Europy nabrał obsesji na punkcie przedwczesnych pochówków.

Jego wynalazek, zademonstrowany światu u schyłku XIX stulecia, był prosty, skuteczny i tak niedrogi, że mógł posłużyć zarówno bogatym, jak i biednym. Prawdziwi nędzarze mieliby wynajmować go na krótki czas. Całość składała się z hermetycznie zamkniętego pudełka i długiej rury, którą umieszczano w otworze w trumnie składanej w ziemi. Na piersi grzebanej osoby kładziono dużą szklaną kulę połączoną ze sprężyną przyczepioną do pudełka. Najmniejszy ruch kuli spowodowany unoszeniem się lub opadaniem klatki piersiowej podczas oddechu „zmarłego” sprawiał, że sprężyna otwierała pudełko, a wówczas do zakopanej trumny od razu dostawały się powietrze i światło. Sprężyna uruchamiała też skomplikowany mechanizm: chorągiewka ukryta w pudełku szła w górę, rozlegał się dzwonek, który hałasował przez pół godziny, włączała się lampka elektryczna. Rura nie tylko dostarczała powietrze do trumny, ale także służyła jako swego rodzaju megafon, który wzmacniał ewentualne wołanie o pomoc pogrzebanego nieszczęśnika, nawet gdyby jego głos był mocno osłabiony. Niespełna sto lat temu, u zarania XX wieku, ten osobliwy aparat uznano za prawdziwy przełom. We Francji tysiące osób zastrzegły w testamencie, że chcą, by urządzenie hrabiego zostało umieszczone w ich trumnie, natomiast w Stanach Zjednoczonych powstały stowarzyszenia zajmujące się promocją wynalazku.

Ludzie, którzy z radością witali powstanie aparatu Karnice-Karnickiego, żyli w przekonaniu, że trwa prawdziwa epidemia przedwczesnych

pochówków, gdyż sensacyjne doniesienia na ten temat często pojawiały się w popularnej prasie i budziły konfuzję autorytetów medycznych. Oto typowa relacja z „London Echo” z marca 1896 roku. Nicephorus Glycas, prawosławny metropolita Lesbos, został w osiemdziesiątym roku życia mylnie wzięty za zmarłego. Zgodnie z kościelną tradycją ubrano go zaraz w biskupie szaty i posadzono na tronie pilnowanym przez księży, by mógł odebrać ostatnią procesję wiernych. Drugiego wieczoru starzec nagle się obudził. Zaskoczony i przerażony ujrzał żałobników. Księża wpadli w osłupienie. Pojęli, że dostojnik jedynie stracił przytomność. Korespondent gazety uderzał w patetyczne tony i pytał, co by się stało, gdyby chodziło nie o metropolitę, lecz o zwykłego człowieka. Bez wątpienia zostałby on po prostu szybko pochowany żywcem.

Krążyła też sławna historia o wielebnym Schwartzu, misjonarzu żyjącym na Dalekim Wschodzie. Ponoć „wrócił do życia”, usłyszawszy swój ulubiony hymn. Wierni uczestniczący w pogrzebie niespodziewanie zorientowali się, że rzekomy nieboszczyk leżący w zamkniętej trumnie przyłączył się do śpiewania refrenu.

Dziś obie te anegdoty wydają się mało wiarygodne, lecz w tamtych czasach traktowano je najzupełniej poważnie, podsyciły więc histeryczny lęk przed pochówkiem za życia, powszechny w wiktoriańskiej Europie. W 1905 roku angielski medyk, członek Królewskiego Kolegium Lekarzy, wydał książkę prezentującą dwieście dziewiętnaście przypadków przedwczesnych pogrzebów, którym udało się w ostatniej chwili zapobiec, i sto czterdzieści dziewięć przypadków pochowania żywych ludzi. Do tego dziesięć historii o autopsjach, podczas których okazało się, że rzekomy nieboszczyk wcale nie jest nieboszczykiem, i dwie anegdoty o przebudzeniu się „zwłok” w trakcie balsamowania.

Wielu żyjących ówcześnie ludzi za wszelką cenę chciało uniknąć podobnego losu. Hans Christian Andersen zawsze nosił w kieszeni karteczkę z instrukcją, co należy zrobić z jego zwłokami. Angielski powieściopisarz Wilkie Collins każdej nocy zostawiał odpowiednie polecenia na stoliku przy łóżku. Podobnie robił Fiodor Dostojewski, który zażyczył sobie, by pochowano go dopiero pięć dni po stwierdzeniu zgonu. Paru przedstawicieli brytyjskiej arystokracji wybrało bardziej drastyczne środki, zaskakująco podobne do praktyk spotykanych na Haiti. Jeśli wyznawca vodoun boi się, że członek jego rodziny zostanie poddany zombifikacji, może przebić zmarłemu serce nożem. Pokrewne rozwiązanie wybrał Francis Douce, ceniony brytyjski badacz antyków: polecił w testamencie, by chirurg sir Anthony

Carlisle obciął mu po śmierci głowę. Tak samo postąpiła Harriet Martineau. W testamencie sławnej aktorki Ady Cavendish znalazła się instrukcja, by otworzyć jej żyłę szyjną. Lady Burton, wdowa po sławnym podróżniku i pisarzu sir Richardzie Burtonie, kazała sobie przebić serce igłą. Biskup Berkeley Daniel O'Connell oraz lord Lytton chcieli, by opóźniono ich pochówek i otwarto im rozmaite żyły celem zagwarantowania, że naprawdę umarli.

Na początku XX wieku strach przed pogrzebem za życia stał się poważnym problemem społecznym. Omawiano tę kwestię w renomowanych czasopismach medycznych, angielscy parlamentarzyści domagali się informacji na ten temat, a w 1900 roku przyjęli *Ustawę o pochówkach*, która określała między innymi, ile czasu musi upłynąć między stwierdzeniem zgonu a zakopaniem trumny w ziemi. W kontynentalnej Europie oferowano nagrody za odkrycie metody pozwalającej jednoznacznie stwierdzić, że nastąpiła śmierć. Niejaki doktor Maze otrzymał w 1890 roku prestiżową francuską Prix Dusgate oraz dwa i pół tysiąca franków, bo ogłosił, że jedynym absolutnie pewnym dowodem jest wystąpienie procesów gnilnych. O tym, jak bardzo nauka interesowała się problemem odróżniania śmierci faktycznej od pozornej, świadczy fakt, że podręcznik akademicki na ten temat opublikowany w 1890 roku zawierał aż czterysta osiemnaście pozycji bibliograficznych.

Ustalenie niezawodnego sposobu stwierdzania zgonu stanowiło obsesję ludzkości od najdawniejszych czasów, lecz zawsze było wyzwaniem. Oczywiście znano główne oznaki śmierci, które nie zmieniły się po dziś dzień: ustanie oddechu i bicia serca, zmiany w oku, brak reakcji na jakiekolwiek bodźce, stężenie całego ciała, bladość i plamy opadowe spowodowane zatrzymaniem krążenia krwi. Jednak, jak podkreślał Kline podczas naszego pierwszego spotkania, wszystko to nie pozwalało ze stuprocentową pewnością stwierdzić, że człowiek nie żyje.

Nie wiadomo, na ile poważnym zagrożeniem był przedwczesny pochówek. Już w czasach wiktoriańskich niektórzy uważali skalę zjawiska za zdecydowanie przeszacowaną, mimo to sam fakt, że poświęcone mu debaty toczono w parlamencie i Królewskim Kolegium Lekarzy, należy uznać za niezwykle istotny. Prawdopodobieństwo złożenia do grobu żywego człowieka od dawna trwożyło opinię publiczną – z pewnością przywiązywała ona dużą wagę do tego, że tematem zajęły się poważne instytucje, podpory wiktoriańskiego świata, a wręcz filary Rozumu. Lekarze przedstawiali trudności towarzyszące stwierdzeniu zgonu, politycy

zastanawiali się, ile czasu musi minąć między śmiercią a pogrzebem, sprzedawcy zachwalali urządzenie hrabiego Karnice-Karnickiego, krążyły coraz to nowe historie. Weźmy choćby sławny przypadek pułkownika Townsenda. Według grona lekarzy zaproszonych, by obserwować całe wydarzenie, oficer ten dobrowolnie spowolnił swoje tętno i wpadł w zupełny stupor czy też, jak opisywano, stan anabiozy. Serce pułkownika przestało bić, ustał oddech, ciało zrobiło się zimne i zesztywniało. Krew odpłynęła Townsendowi z twarzy, oczy stały się zamglone i nieruchome. Minęło pół godziny, lekarze orzekli zgon i już mieli rozejść się do domów, gdy Townsend zaczął pomału wracać do życia. Następnego dnia czuł się tak dobrze, że mógł powtórzyć eksperyment. Na tę historię często powoływano się nie tylko w prasie, ale też w podręcznikach akademickich i bez wątpienia przydała ona wiarygodności panującemu wówczas przekonaniu, że „większość przedstawicieli gatunku ludzkiego nie potrafi i nigdy nie potrafiła odróżnić śmierci od transu".

Zdanie to znakomicie wyjaśnia lęki dręczące ludzi w epoce wiktoriańskiej. Strach przed przedwczesnym pochówkiem brał się stąd, że medycyna znała wiele osobliwych chorób i przypadłości wywołujących paraliż albo odrętwienie. Nadawano im różne nazwy: trans, katalepsja, katapleksja, anabioza. Według zwykłych ludzi każda z tych diagnoz mogła stanowić złowieszczy wstęp do pochowania żywej osoby. Wiktoriańscy lekarze odnotowali, że katalepsji towarzyszy szczególnego rodzaju utrata woli. Pacjent trwał nieruchomo w pozycji, w której go ułożono. Trans z kolei miał przypominać stan hibernacji spotykany u części zwierząt i wiązał się z całkowitą mentalną inercją. Katapleksja stanowiła wariant dwóch poprzednich schorzeń, lecz w tym przypadku pacjent padał bezwładnie na ziemię z zamkniętymi oczami, sparaliżowany i zarazem świadomy, co się dzieje dookoła. Medycy tamtych czasów omawiali jeszcze jedną chorobę charakteryzującą się paraliżem. Nazywali ją ekstazą, aczkolwiek w tym przypadku pacjentowi nie groziło obudzenie się w trumnie, zazwyczaj bowiem jego twarz „wpatrzona w przedmiot adoracji zastygała w promiennym zachwycie, typowym dla ludzi doświadczających wizji, ciało zaś miało tendencję do przyjmowania posągowej pozy".

Nie trzeba dodawać, że choroby te nie są uznawane przez współczesną medycynę. Niektóre objawy katalepsji uważa się obecnie za typowe dla osób cierpiących na schizofrenię katatoniczną, o transie mówi się w kontekście badań nad hipnozą, natomiast ekstaza i katapleksja zniknęły z podręczników diagnostyki. Ludzie epoki wiktoriańskiej uważali te cztery choroby za jak

najbardziej realne i stanowiły one przedmiot zainteresowania najwybitniejszych autorytetów medycznych, bo przecież ciągle przybywało pacjentów. Skąd się brali? Według starych podręczników medycznych katapleksję powodowały „silne emocje, tak uporczywe, że wreszcie wymykały się spod kontroli", co kojarzy się z omdleniami, jakże często zdarzającymi się w wiktoriańskim społeczeństwie, dziś sporadycznymi. Ostatnio pojawiła się hipoteza, że kobiety epoki wiktoriańskiej mdlały, gdyż musiały nosić niemożebnie ciasne gorsety, ale ta interpretacja nie trafia w sedno. Mdlenie było zachowaniem uwarunkowanym społecznie; w pewnych ściśle określonych, przewidywalnych sytuacjach wręcz oczekiwano, że niewiasta osunie się nieprzytomna na ziemię. Młode dziewczęta z elity mdlały, bo w ten sposób mogły z łatwością uniknąć rozmaitego rodzaju nieprzyjemności. Niektóre kobiety po prostu udawały, inne naprawdę traciły przytomność i zdarzało się, że lekarze brali je za martwe. Mówiąc inaczej, społecznie uwarunkowane zachowanie przekładało się na faktyczne procesy fizjologiczne.

Katalepsja, katapleksja, trans i ekstaza również miały podłoże społeczne i wywodziły się z psyche tamtej epoki. Ich objawy były bardzo specyficzne i przynależały do określonych czasów. Lęk przed przedwczesnym pochówkiem bez wątpienia brał się stąd, że ludzie wierzyli w tego rodzaju „śmierciopodobne" stany. Niewykluczone, że czasem jakaś nieszczęsna osoba budziła się w zakopanej trumnie i przeklinała krewnych, bo ci nie wynajęli urządzenia hrabiego Karnice-Karnickiego.

*

Rzeczy dziejące się w wiktoriańskiej Anglii były odpowiednikiem zjawisk obserwowanych przez zachodnich antropologów w „prymitywnych" społecznościach. Dodajmy, że antropolodzy zupełnie przegapili te zjawiska, gdy dotyczyły ich własnej kultury. Choroba jednostki może mieć przyczyny psychosomatyczne; na podobnej zasadzie społeczeństwo generuje czasem choroby i przypadłości, których moc kryje się wyłącznie w ludzkim umyśle. Na przykład w Australii aborygeńscy czarownicy kolekcjonują kości wielkich jaszczurek. Wystarczy, że skierują taką kość w stronę ofiary i wyrecytują zaklęcie śmierci, a ofiara zachoruje, przy czym choroba ta niemal zawsze kończy się zgonem. Przywołam tu relację sporządzoną przez naukowców:

> [Ofiara] stoi osłupiała, wpatruje się w zdradziecki wskaźnik, unosi ręce, jak gdyby

> chciała odepchnąć wyobrażoną śmierć, która wlewa się w jej ciało. Policzki bledną, wzrok staje się zamglony, straszliwy grymas wykrzywia twarz. […] Ofiara próbuje krzyczeć, ale zazwyczaj głos grzęźnie jej w gardle i tylko piana toczy się z ust. Ciało drży […] pada do tyłu […] wije się w śmiertelnej agonii. Po pewnym czasie człowiek, na którego rzucono czar, uspokaja się i czołga się w jakieś bezpieczne miejsce. Odtąd zaczyna chorować i narzekać, odmawia posiłków i trzyma się z dala od codziennych spraw plemienia.

Teraz tylko *nangarri*, czyli znachor, może uratować ofiarę zaklęcia, co wymaga odprawienia skomplikowanego rytuału. Jeżeli *nangarri* odmówi, ofiara niemal na pewno umrze.

Podobne przypadki obserwujemy w wielu innych kulturach. To zjawisko równie realne i równie zagadkowe jak choroby zrodzone w wiktoriańskim umyśle. Zawsze ma ono te same podstawy: jednostka łamie zasady społeczne lub religijne, narusza tabu bądź z tego czy innego powodu uważa się za ofiarę kary wymierzonej przez czarownika. Ponieważ od dzieciństwa jest warunkowana w określony sposób, spodziewa się nieszczęścia i czar nabiera charakteru samospełniającej się przepowiedni. Rzucenie czaru wiąże się często z wypowiedzeniem zaklęcia lub z uczynieniem znaczącego gestu. Czarownicy używają czasem rozmaitych przedmiotów: afrykańscy znachorzy wykorzystują kości, europejskie wiedźmy posługiwały się lalkami struganymi z drewna. Ale rekwizyty nie zawsze są potrzebne. Po dziś dzień w Grecji wierzy się, że śmierć można wywołać spojrzeniem.

Na Haiti istnieją dziesiątki tego rodzaju metod i zapewne właśnie dlatego antropolodzy określili całość zjawiska mianem śmierci voodoo.

Śmierć voodoo była wielokrotnie dokumentowana i potwierdzana przez naukowców, nie ma więc wątpliwości, że mówimy o realnym zjawisku. Oczywiście, żaden naukowiec nie wierzy, że istnieje związek przyczynowo-skutkowy między wskazaniem jakiejś osoby kością a śmiercią tej osoby. Cały proces jest zapośredniczony przez umysł ofiary. Nie udało się dotychczas odkryć mechanizmu sprawiającego, że klątwa rzucona przez czarownika prowadzi do zgonu, stworzono jednak trzy główne wyjaśnienia.

To lekarze, nie antropolodzy, jako pierwsi poważnie potraktowali śmierć voodoo. Wielu owych lekarzy na długo zapamiętało dziwne przypadki, których świadkami byli na polach bitewnych w Europie podczas I wojny światowej. Straumatyzowani żołnierze, wrzuceni w koszmar rozpaczy i przemocy na froncie zachodnim, umierali niekiedy na skutek szoku – a konkretnie gwałtownego spadku ciśnienia, jaki zazwyczaj następuje podczas obfitego krwawienia – mimo że nie odnieśli żadnych ran. Gdy

lekarze mający do czynienia z takimi przypadkami usłyszeli o śmierci voodoo, dostrzegli pewne podobieństwa. Postawili więc tezę, że u jednostek przerażonych klątwą i u żołnierzy dochodziło do przeciążenia układu sympatyczno-nadnerczowego, co prowadziło do śmiertelnego szoku. Innymi słowy, strach mógł spowodować ostrą reakcję organizmu i zmiany fizjologiczne, z powodu których następowała śmierć.

Antropolodzy, słabiej obeznani ze skomplikowanym funkcjonowaniem autonomicznego układu nerwowego, uważali śmierć voodoo za proces psychologiczny i kładli nacisk na siłę sugestii. Skoro wiara potrafi uzdrawiać, mówili, strach może zabijać. Psychologowie próbowali zbadać, czy mądrość ludowa ma rację i prawdopodobieństwo zachorowania lub nawet śmierci zależy od nastroju i nastawienia jednostki. Depresja, uczucie beznadziei albo rozpaczy nie są bezpośrednimi powodami chorób, sprawiają natomiast, że jesteśmy na nie bardziej narażeni. Samotność nie wydaje się śmiertelna, lecz nieproporcjonalnie dużo osób umiera w ciągu dwunastu miesięcy po śmierci partnera bądź partnerki. Dawniej psychologowie nazywali to „kompleksem poddania się". Stąd następująca hipoteza: ofiara czarownika wpada w sidła przekonań, które pośrednio doprowadzają do jej śmierci, bo ciało staje się podatne na choroby wywoływane przez patogeny.

Łatwo sobie wyobrazić, co taki człowiek ma w głowie. Myśli, że jest skazany na śmierć, bo rzucono na niego straszliwą klątwę, w którą głęboko wierzy – i w którą wierzą też wszystkie osoby z jego otoczenia. Ogarniają go strach, niepokój i rozpacz. Inni członkowie społeczeństwa dobrze wiedzą, skąd ta reakcja, a nawet się jej spodziewają. Zastanawiają się, jak długo pożyje ofiara klątwy i kto tę klątwę rzucił. Potem dzieje się dziwna rzecz: wszyscy zgodnie stwierdzają, że zbliża się koniec. Wówczas przyjaciele i krewni odchodzą od nieszczęśnika, jakby już poczuli zapach gnijących zwłok. Później wracają, łkają i śpiewają żałosne pieśni, bo uznali ofiarę za zmarłą. Z biologicznego punktu widzenia ofiara nadal żyje. Z punktu widzenia psychologii jest umierająca. Natomiast ze społecznego punktu widzenia – martwa.

Trzecia grupa badaczy – również antropologów – idzie krok dalej i sugeruje, że istnieje określona fizyczna przyczyna śmierci. Ich zdaniem w wielu przypadkach ofiarę klątwy traktuje się jak zagrożenie, gdyż wkroczyła ona do świata duchów, trzeba się jej zatem pozbyć. Tak właśnie rzecz ma się u australijskich aborygenów. Człowiek, na którego czarownik rzuci czar, jest wyniszczony psychicznie i osłabiony, poza tym nie otrzymuje pomocy ani wsparcia nawet od najbliższej rodziny. Przeciwnie, odbiera mu

się wodę i pożywienie, bo przecież umarł, a zmarli nie potrzebują jedzenia. Pewien lekarz usłyszał następujące wyjaśnienie: „Trzeba pozbawić ducha wody, wtedy sobie pójdzie”. Na pustyniach w Australii temperatura w ciągu dnia często przekracza trzydzieści sześć stopni Celsjusza w cieniu. W takich warunkach śmierć z powodu odwodnienia może nastąpić już po dwudziestu czterech godzinach.

Nie każdy przypadek śmierci voodoo da się wyjaśnić tak łatwo, bo dochodzi do nich także w nieco łagodniejszym klimacie, gdzie odmówienie pomocy przez bliskich nie powoduje natychmiastowego niebezpieczeństwa. Ponadto często się zdarza, że ofiara umiera *pomimo* wsparcia, które próbuje zapewnić jej rodzina.

Możemy więc jedynie stwierdzić, że śmierć voodoo jest faktem i że różne wzajemnie uzupełniające się czynniki odgrywają w niej rolę. Strach prawdopodobnie inicjuje zmiany fizjologiczne. Niewątpliwie sprawia, że ofiara staje się krucha psychicznie, co przekłada się na stan jej zdrowia. Neuropsychologowie nie w pełni rozumieją ten proces, aczkolwiek należy zakładać, że reakcja rodziny i społeczeństwa wpływa na psychiczny i fizyczny dobrostan ofiary. Nadal nie znamy uniwersalnego mechanizmu śmierci voodoo, lecz podstawowe założenia są jasne. Jak to ujął jeden z badaczy, mózg potrafi zabić lub poważnie uszkodzić ciało, którym zarządza.

*

Metamorfoza Clairviusa Narcisse’a z człowieka w zombie była szczególnym przypadkiem śmierci voodoo. Zaklęcie rzucone przez czarownika zainicjowało długi proces, u którego podstaw leżały najdotkliwsze lęki ofiary. Zadziałały tu również przekonania podzielane przez wspólnotę. Aż wreszcie nastąpił zgon. Według haitańskich wieśniaków Narcisse naprawdę umarł i to, co za sprawą magii wydobyto z grobu i ożywiono, nie było już człowiekiem. Bokor, jak wielu czarowników z najróżniejszych części świata, posłużył się rekwizytem: zmyślną trucizną, zdolną przekonać ofiarę, że jej najgorsze obawy się potwierdziły, a przez to nasilić je tysiąckrotnie. Jednak w ostatecznym rozrachunku to nie proszek zawierający substancje psychoaktywne przypieczętował los Narcisse’a. Główną rolę odegrał tu jego własny umysł.

Spójrzmy na przeżycia Narcisse’a z jego własnej perspektywy. Urodził się i wychował na haitańskiej prowincji, od dzieciństwa wpajano mu wiarę w istnienie żywych trupów. Przekonanie to było umacniane przez

skomplikowany folklor i – co ważniejsze – przez historie krewnych i przyjaciół, bo na Haiti każdy ma do opowiedzenia jakąś barwną historię o zombie. Narcisse wierzył, że zombie to istota pozbawiona wolnej woli, zamieszkująca pogranicze materialnego świata, która może przybierać postać ducha lub człowieka. Zombie nie mówi, nie umie sobie sam z niczym poradzić, nie pamięta nawet, jak się nazywa. Pisana jest mu niewola. Na Haiti nie brakuje taniej siły roboczej, wydaje się zatem, że niewolnicy nie pełnią żadnej istotnej funkcji gospodarczej. Należy natomiast wziąć pod uwagę historię wyspy i jej kolonizacji. Zniewolenie oznacza, że los zombie jest gorszy od śmierci – mówimy wszak o utracie wolności, autonomii i tożsamości. Co niezwykle istotne, Narcisse i inni haitańscy chłopi nie boją się, że zombie zrobi im krzywdę: prawdziwy strach bierze się z obawy, że samemu można zostać zmienionym w zombie. Aby zapobiec tak potwornej ewentualności, bliscy zmarłych okaleczają zwłoki, jeśli podejrzewają, że święci się coś złego. Chyba że to oni sami stoją za zombifikacją.

Narcisse nie tylko wierzył w zombie, ale też bez wątpienia wiedział, jak i dlaczego się je tworzy. Zanim jeszcze pętla wokół jego szyi zaczęła się zaciskać, był coraz bardziej osamotniony. W *lakou* poddano go ostracyzmowi ze względu na jego aspołeczne zachowania; poza tym spierał się z bratem o prawo do sprzedaży ziemi. Wedle rozmaitych relacji to właśnie ów brat wydał go w ręce bokora. Gdyby Narcisse postępował słusznie i został poddany zombifikacji wbrew woli społeczności, brat zapewne zostałby ukarany, a już na pewno nie mógłby sobie spokojnie żyć w tym samym miejscu przez kolejnych dwadzieścia lat. Nic dziwnego, że Narcisse po dziś dzień nie może wrócić w rodzinne strony. Prawdopodobnie w chwili rzekomego zgonu ani społeczność, ani rodzina nie stały po jego stronie. Wrogami mogli być najbliżsi krewni. Narcisse zachorował i wystąpiły u niego objawy, jakich nigdy wcześniej nie doznał. Gdy się nasilały, gdy jego stan się pogarszał, pojął, że padł ofiarą czarów. Zapewne wiedział, dlaczego go to spotkało.

Objawy Narcisse’a były jak najbardziej rzeczywiste. Zasięgnął rady houngana – bez rezultatu. Podjął więc rozpaczliwą decyzję i wkroczył w zupełnie obcy świat Szpitala imienia Alberta Schweitzera. Jego stan szybko się pogarszał, potem zaś wydarzyło się coś jeszcze bardziej niezwykłego: lekarze wykształceni na Zachodzie stwierdzili zgon Narcisse’a. Choć trudno w to uwierzyć, toksyna sprawiła zapewne, że Narcisse przez cały ten czas był przytomny. Sam zresztą o tym opowiadał: słyszał lekarza stwierdzającego zgon i płacz siostry, czuł, że ktoś zakrywa mu twarz

prześcieradłem. Podobnie jak japońskie ofiary tetrodotoksyny rozpaczliwie pragnął nawiązać kontakt z ludźmi stojącymi przy łóżku, ale nie mógł, bo trucizna spowodowała całkowity paraliż.

I wtedy znalazł się w zupełnie innej sferze. Toksyna wywołała niemal całkowite spowolnienie metabolizmu, zabrała go na skraj śmierci. Nic dziwnego – wielu ludzi umiera przecież po zatruciu tetrodotoksyną. Objawy się utrzymywały, lecz w pewnym momencie nastąpiła zmiana jakościowa. Co chyba mało zaskakujące, w przypadku zatruć tetrodotoksyną mamy czasami do czynienia z tak zwanym doświadczeniem śmierci. Przypomnę raz jeszcze relację Narcisse'a. Przez cały czas miał wrażenie, że szybuje w powietrzu nad swoim ciałem. Na cmentarzu unosił się ponad swoim grobem i nadal zachowywał przytomność, nadal wiedział, co się dzieje. Czuł spokój, strach go opuścił. Wiedział, że jego duszę czeka długa podróż. Jak potem twierdził, dusza naprawdę zaczęła wędrować poza czasem i przestrzenią, przez inne, chociaż najzupełniej realne, światy. Podróżował przez wiele wymiarów, a na koniec zawsze powracał nad swój grób. Stracił poczucie czasu. Grób stał się jedyną osią jego istnienia.

Kiedy umieramy, przytrafiają się nam dziwne rzeczy, przynajmniej jeśli wierzyć osobom, które zdołały powrócić z granicy życia i śmierci. Opowiadają one o nieznanym wymiarze poza odczuwalnym czasem. Przypomina to sen, tyle że niebywale realny. Człowiek jest w pełni świadomy, umieranie wydaje mu się pozytywnym doświadczeniem, spokojnym, wręcz pięknym.

Niemal każdy pacjent, który podobnie jak Narcisse zapuścił się na pogranicze śmierci, czuł, że jakiś niewidzialny, niematerialny element jego „ja" opuszcza ciało i unosi się nad nim. Przeważnie ludzie utożsamiają się wówczas nie z ciałem, lecz z owym duchem. Starsza kobieta, która niemal umarła z powodu ciężkich komplikacji pooperacyjnych w jednym z chicagowskich szpitali, pisała później do swojego lekarza: „Byłam lekka, zwiewna, przejrzysta". Osoby często pamiętają, jak pławiły się w powietrzu i spoglądały z góry na swoje ciało. Pacjent oddziału kardiologicznego mówił: „Unosiłem się pomału […] i patrzyłem w dół. […] Lekarze uwijali się wokół mnie jak w ukropie". Typowe jest też zdziwienie budowlańca z Georgii, który doznał ataku serca: „Poznałem, że to *ja* tam leżę. […] To było jak przyglądanie się martwemu robakowi albo czemuś w tym rodzaju. W ogóle nie chciałem wracać do swojego ciała". Osoby, które mają za sobą doświadczenie śmierci, potrafią niekiedy zacytować zasłyszane wówczas rozmowy między lekarzami a pielęgniarkami. Wspominają frustrację

spowodowaną tym, że nie mogły skomunikować się z ludźmi pojawiającymi się koło ich łóżka szpitalnego. „Próbowałam coś powiedzieć. Ale [pielęgniarka] milczała. […] Jak gdybym patrzyła na ekran filmowy, który nie wie, że na sali są widzowie. Ja byłam prawdziwa, ona nie. Tak właśnie się czułam". W relacjach pojawia się też wątek niezwykłych „podróży" w czasie i przestrzeni. „To był tylko proces myślowy. Poczułem, że mogę przenieść się w myślach w dowolne miejsce. Mogłem robić, co tylko chciałem. […] I było to bardziej realne niż wszystko tu, po tej stronie".

Jeszcze jedna rzecz łączy ludzi mających za sobą doświadczenie śmierci: wszyscy pamiętają, że w pewnej chwili niematerialny element ich „ja" powrócił do ciała. Wtedy właśnie odzyskiwali przytomność. W przypadku pacjentów szpitali często zdarza się to w jednej krótkiej chwili, kiedy tylko zadziała resuscytacja. Człowiek po ataku serca, którego ratowano za pomocą defibrylatora, opowiadał: „Pielęgniarka chwyciła te paletki do elektrowstrząsów. […] Zobaczyłem, jak moje ciało podskakuje. […] Miałem wrażenie, że jestem w górze i nagle coś chwyciło mnie i moje ciało, ściągnęło mnie z powrotem, wepchnęło do środka". Inne doświadczenie bycia poza ciałem zakończyło się, gdy do pokoju weszła bliska osoba. „Unosiłem się pod sufitem. […] Nagle ktoś z mojej rodziny stanął w drzwiach i coś zawołał. […] Natychmiast znalazłem się z powrotem w swoim ciele".

Dokładnie takie samo wspomnienie miał Clairvius Narcisse. Usłyszał, że ktoś go woła, i wtedy przestał unosić się w powietrzu. Wrócił jednak do trumny, nie do szpitalnego łóżka. Koszmar dopiero się zaczynał.

Część III

Tajne stowarzyszenia

9

Każdego lata wędrują pielgrzymi

– Ja też przewinąłem się pod ziemią – zwierzył mi się Marcel nad kolejnym drinkiem w swojej małej sypialni w barze Orzeł. – Z powodu tego samego proszku, który ode mnie dostałeś, bo on może wywołać sto i jeden różnych objawów. Ja zachorowałem z gorąca. Pociłem się nawet w oceanie, krew mi wrzała, aż wreszcie w żyłach zrobiło się sucho. Wtedy proszek ukradł mi powietrze z płuc.

W którymś z pokojów doszło do awantury, więc Marcel wstał z łóżka i ruszył do baru. Lokal wyglądał teraz całkiem nieźle. Od frontu wstawiono nowy szyld, większość pomieszczeń pokryto warstwą świeżej farby. Rachel nachyliła się i napełniła moją szklankę.

– Niezła impreza – stwierdziłem.

Rum rozgrzał mi język i gardło. Oboje byliśmy zlani potem. Marcel ucieszył się, że odwiedziliśmy go zaraz po moim powrocie na Haiti, a gdy się dowiedział, że proszek podziałał, postanowił to oblać. Jedna z jego kobiet odpaliła szafę grającą i w barze rozszalała się zabawa. Rachel i Marcel tańczyli opętaną salsę, kobiety okręcały mnie po betonowym parkiecie, który zaraz zrobił się mokry od potu za sprawą letniego upału i żywiołowej muzyki. W końcu wszystko trochę się uspokoiło, ale w barze nadal czułem atmosferę wyuzdania wyraźniej niż zazwyczaj.

– Dziwnie jest wrócić? – spytała mnie Rachel.

– Nie wydaje mi się.

– Co masz na myśli?

– Trudno powiedzieć. Czasami, kiedy dużo się podróżuje, widoki i krajobrazy tak szybko przelatują ci przed oczami, że sama już nie wiesz, gdzie jesteś.

– A twarze?

– Też.

Zaczęła przytupywać podeszwą jednego z tanich butów, które zawsze nosiła.

– Podobno Marcel zapłacił piętnaście tysięcy dolarów za swoje leczenie – powiedziała.

– Skąd wziął takie pieniądze?

– Kiedyś pieniądze nie były dla niego problemem. Pracował w dokach. Robił jakieś przekręty na statkach turystycznych. Był ważnym funkcjonariuszem Tonton Macoute i miał niezłą pozycję w porcie.

– Aha.

– Ale potem posunął się za daleko. Za dużo pobić, za dużo ludzi w więzieniu.

– Skąd masz wszystkie te informacje? – spytałem.

– Głównie od mojego wuja, który był wtedy prefektem. Nikt się nie spodziewał, że Marcel przeżyje. Podrzucili mu proszek i przez trzy dni wydawało się, że umarł. Zorganizowano nawet stypę. Twarz miał obrzmiałą, brzuch napęczniały, wuj mówił, że kiedy nakłuto jego skórę, wypływała woda, nie krew.

Marcel wrócił z butelką jakiegoś gęstego, lepkiego płynu, który sprawiał wrażenie bardzo niezdrowego.

– Widzisz, nadal żyję – oznajmił. – To moja krew. Kiedy przysłali proszek, wszystkie zwierzęta weszły we mnie i złożyły jaja. Karaluch wylazł mi z nosa, wydaliłem też dwie jaszczurki.

– Nic nie mogłeś zrobić?

– Nie. Jeśli masz moc, możesz stawić czoła *coup l'aire*, ale proszek to inna historia. Zadziała, kiedy źle robisz, zadziała, kiedy robisz dobrze.

– Jak to możliwe, że tylko tobie go podrzucili, a nikt inny nie ucierpiał?

– Kości. Jedynie dusza z cmentarza ma moc. Dlatego kości są tak niebezpieczne.

– Mimo to udało ci się przetrwać.

– Trzynastu hounganów się mną zajmowało. Spuścili całą złą krew z mojej stopy. A i tak nadal nie wydobrzałem. Popatrz na moją twarz. Żyję tylko dzięki potędze duchów, które mnie wezwały.

Opowiadał, że poddał się wielu różnym kuracjom, ale nic nie działało, dopóki nie trafił do *mambo*, kapłanki z doliny Artibonite. Krytycznej nocy zawiązała mu szczękę, umieściła watę w nozdrzach i odziała go w strój trumienny. Związano mu też nogi i ręce, następnie złożono go w wąskim dole wykopanym na terenie *hounfour*. Całe jego ciało okryto białym całunem. Na całunie umieszczono kamień piorunowy oraz dwie czaszki: psią i ludzką. Obok nich *mambo* położyła odrośle bananowca. Dokoła „grobu" płonęło siedem świeczek ustawionych na skórkach pomarańczy, były też tykwy ułożone przy głowie Marcela, na jego brzuchu i u stóp. Te trzy ofiary

miały według Marcela reprezentować rozdroża – które w vodoun uważa się za święte miejsce – cmentarz i Grans Bwa, ducha lasu. *Mambo* stanęła okrakiem nad „grobem” i łkaniem przywołała Guede, ducha umarłych. Wzięła żywego koguta, pomału przeciągnęła go nad ciałem Marcela, następnie złamała skrzydła i nogi ptaka, by w ten sposób wywabić ducha śmierci z kończyn otrutej ofiary. Włożyła sobie głowę koguta do ust, odgryzła ją i pomazała Marcela krwią. Potem Marcel poczuł, że ktoś wciera mu w ciało zawartość każdej z trzech tykw. Woda chlusnęła mu w twarz, pierś natarto gorącym olejem i woskiem. Usłyszał trzask tłuczonego naczynia na wodę, twarde kawałki ceramiki wpadły do „grobu”. Na koniec Marcel, który nadal leżał sparaliżowany, naliczył siedem garści ziemi przyniesionej z rozstajów, z cmentarza i z lasu, rzuconych na całun. Ostry krzyk *mambo* kazał mu wstać. Inni czym prędzej odgarnęli ziemię, dwóch mężczyzn go dźwignęło. Znów został pomazany krwią. Resztę nocy spędził w świątyni.

– Krew przywróciła mi życie – stwierdził Marcel. – Banan nigdy nie wyrósł.

– Powiedz, kto ci to zrobił? – spytałem.

– Miałem wrogów. Każdy ma wrogów, jeśli zbyt dobrze mu się powodzi.

– Masz na myśli tajne stowarzyszenie?

– Nie. – Zerknął kątem oka na Rachel. – Po prostu ludzi.

– Ale przecież zostałeś osądzony.

– Tak. Nie. W zasadzie tak.

– Co to znaczy?

– Talerz potrzebuje łyżki, łyżka potrzebuje talerza. Oto tajemnica houngana.

*

Cieszyłem się z ponownego spotkania z Marcelem, a jego opowieść okazała się niespodziewaną rewelacją, nie planowałem jednak robić z nim kolejnych interesów, w każdym razie nie od razu. Gdy w lipcu, po dwóch miesiącach spędzonych w Stanach, wróciłem na Haiti, miałem na głowie kilka spraw. Sponsorzy mojej wyprawy chcieli, żebym zgromadził więcej próbek trucizny. Kline niepokoił się, że Marcel Pierre pod wpływem moich stanowczych żądań wymieszał po prostu kilka najbardziej toksycznych składników, które miał pod ręką. Nie podzielałem tych wątpliwości, bo ufałem Marcelowi i przekonywały mnie zgromadzone dowody. Poza tym

zauważyłem, że te same składniki zostały użyte do przygotowania „pułapki” na Clairviusa Narcisse’a – tak przynajmniej twierdził jego kuzyn. Dodatkowego potwierdzenia dostarczały testy laboratoryjne.

Oczywiście zgadzałem się, że trzeba zgromadzić kolejne próbki, lecz moim sponsorom nadal zależało na dowiedzeniu się, jaki związek chemiczny powoduje zombifikację, ja zaś chciałem poznać *magię* i jej znaczenie, zwłaszcza dla jej ofiar. Dzięki zidentyfikowaniu toksyny wiedziałem, w jaki sposób dochodzi do zatrucia. Teraz pragnąłem odkryć, co sprawiało, że ta czy inna osoba była poddawana zombifikacji.

Na pierwszy nowy trop trafiłem dwa dni po wizycie w barze Orzeł za sprawą kontaktu w stolicy, który zawdzięczałem Jacques’owi Belfortowi, jednemu z pracowników Beauvoira. Jacques i Beauvoir poznali się przypadkiem. Parę lat wcześniej ten pierwszy pojawił się pewnego dnia przy bramie Peristyle de Mariani i tak się akurat zdarzyło, że Beauvoir potrzebował kogoś, kto załatwi dla niego drobną sprawę. Jacques podjął się zadania, wrócił, dostał kolejną robótkę, potem jeszcze jedną i tak stopniowo stał się częścią *hounfour*. Teraz zjawiał się codziennie rano o ósmej. Nie miał żadnych wyznaczonych obowiązków, po prostu czekał, aż coś się pojawi, bo wiedział, że poradzi sobie z dowolnym problemem. Miał wiele żon, jedna z nich pochodziła z Petite Rivière de Nippes, wioski rybackiej na południu. Znała tam *mambo*, która mogła nas przedstawić ludziom mieszającym proszek – i truciznę, i rzekome antidotum.

Mambo mieszkała kawałek od wybrzeża na niewielkim pagórku wyrastającym pośród smutnego krajobrazu: pól kamieni, jałowych drzew i krzewów, które ani nie nadawały się na opał, ani nie zapewniały pożywienia zwierzętom. Ujrzałem kolejne oblicze Haiti. W tym miejscu bez trudu mogłem odnaleźć głód.

Hounfour świecił pustkami, zastaliśmy tam pacjentów czekających na kurację i starą kobietę, która się nimi zajmowała. Rozejrzałem się dokoła. Piękna dziewczyna z migdałowymi oczami i rzęsami grubymi jak owcze runo siedziała osłonięta od słońca matą z trawy. Umierała na gruźlicę. Towarzyszył jej mały chłopiec. Stawy obojga wystawały niczym sęki gałęzi drzewa. Naprzeciwko nich, koło wejścia do bagi, leżał mężczyzna w średnim wieku cierpiący na słoniowaciznę, z powodu której miał opuchnięte podudzie.

Choć ewidentnie ciężko chorowali, nie byli ani trochę ponurzy czy zrozpaczeni. Mężczyzna wypowiedział słowa powitania z serdecznym

śmiechem, stara kobieta usadziła nas wygodnie w cieniu i wróciła do paleniska, żeby przynieść nam kawy. Chory, jak gdyby zawstydzony jej zbyt skromną gościnnością, przykuśtykał do nas i zaoferował trochę jedzenia ze swojego talerza. Przyjąłem dar i jadłem pomału, licząc, że zauważy moją wdzięczność. Tak wiele chciałem mu powiedzieć, ale z szacunku po prostu przekazałem talerz dalej. Nie byłem zaskoczony, widząc w *hounfour* poważnie chore osoby – wszak pełnił on funkcję lecznicy – ale szczodrość i dobroć, których zaznałem pośród tutejszej biedy, pozwoliły mi w pełni docenić sposób bycia haitańskich wieśniaków.

Spędziliśmy w ich towarzystwie większą część popołudnia. *Mambo* ostatecznie się nie zjawiła, za to Jacques miał niewyczerpane zapasy cierpliwości, a jego żona przekazywała wszystkim najnowsze wieści ze stolicy. Około szesnastej skończyły jej się plotki, zaproponowała więc, żebyśmy wrócili do Petite Rivière de Nippes i poszukali syna *mambo*, houngana imieniem LaBonté, czyli „Dobroć". Bez trudu odnaleźliśmy jego *hounfour* i znów zaczęło się długie czekanie. Wreszcie dobrze po zmroku LaBonté wrócił i zaprowadził nas do jednego z pomieszczeń swojej świątyni, niewielkiej izby z pojedynczą zakurzoną żarówką zwisającą z popękanego sufitu. Oznajmił, że zupełnie nie zna się na proszkach wykorzystywanych do zombifikacji, zaproponował jednak rozmaite dobroczynne mieszanki, które zapewniłyby nam szczęście w miłości, dostatek i płodność.

Rachel była nieustępliwa:

– Nie, interesuje nas tylko ten jeden proszek.

LaBonté odparł, że możemy kupić talizman, dzięki któremu uzyskamy taki sam efekt jak za sprawą proszku służącego do zombifikacji. Przez cały czas trwania naszej niezbornej rozmowy Jacques stał w milczeniu koło drzwi w swoich wypolerowanych butach i lnianej koszuli. Co chwila przecierał czoło i pierś chusteczką. Żona siedziała koło niego i uważnie przyglądała się LaBonté. Nagle podniosła się i stanęła między nim a Rachel.

– Słuchaj – powiedziała zniecierpliwiona – sprawa jest prosta. *Blanc* chce kogoś zabić. Nie możesz mu pomóc, trudno, pójdziemy gdzie indziej. – Odwróciła się, wzięła Rachel pod rękę i ruszyła w stronę drzwi.

LaBonté skoczył i zastawił jej drogę.

– Coś da się załatwić – szepnął. – Ale najpierw muszę porozmawiać z paroma osobami. Wróćcie jutro.

Nazajutrz nasz jeep się zepsuł, musieliśmy więc odłożyć powrót do wioski rybackiej o jeden dzień. Gdy wreszcie tam dotarliśmy, *hounfour* był

pusty. Minęła godzina, zanim znaleźliśmy LaBonté. Powitał nas z odrobiną podejrzliwości i wezwał swoich trzech wspólników.

– Mieliście tu być wczoraj – oznajmił nam, gdy wszyscy się zebrali. – Pamiętajcie jedno: czasami jesteśmy słodcy jak miód, ale potrafimy też być gorzcy jak żółć. A teraz możemy brać się do interesów. – Zaskoczyło mnie to, bo na Haiti mało kto przywiązuje wagę do punktualności.

Jeden ze wspólników LaBonté, Obin, oznajmił, że zademonstruje nam skuteczność ich proszku na kogucie. Zaczęła się więc zabawa w szukanie odpowiednio zdrowego ptaka. Madame Jacques kategorycznie odrzuciła pierwsze cztery kandydatury. Twierdziła, że każdy z tych kogutów jest cherlawy i mógłby go porwać byle podmuch wiatru. Zaakceptowała dopiero piątego, młodego i krzepkiego.

LaBonté wprowadził Rachel i mnie do sanktuarium. Nie było tam okien; światło zapewniał tylko promień słońca, który wpadał przez kryty strzechą dach. Pozostali weszli za nami jeden po drugim i zniknęli w ciemności. Ostatni zamknął za sobą drzwi. Zapalono zapałkę, potem świecę i od niej dwie kolejne. Delikatny blask wydobył z mroku kanty krzyża, za którym siedział houngan. LaBonté wzniósł ręce ku ołtarzowi i zaczął się modlić o nasze bezpieczeństwo. Jeden z mężczyzn wręczył nam misę z cuchnącym płynem i kazał się nim natrzeć. Gdy LaBonté uznał, że jesteśmy odpowiednio zabezpieczeni, Obin rozsypał odrobinę proszku w kącie izby. LaBonté zdjął z ołtarza gliniany dzban z wodą i polecił mi, żebym wlał jej trochę kogutowi do gardła. Zaraz potem Obin chwycił ptaka, postawił go w kącie, w którym rozsypał truciznę, i nakrył workiem po ryżu.

Z ciemnego kąta dobiegły dwa głosy – jeden warkliwy, drugi dziwnie zmysłowy – które połączyły się w dźwięczny śpiew i wypełniły izbę. Obok mnie człowiek, który wcześniej podał mi misę z płynem, zaczął ścierać ludzką piszczel. Pot wystąpił mu na czoło i zwilżył satynową chustę owiniętą wokół głowy. Po chwili mężczyzna również zaczął śpiewać:

Uczyń magię, Papa Ogoun, och!
Uczyń magię, Gran Chemin, Ogoun,
O tym, co widzę, nie wolno mi mówić.

Puśćcie mnie,
Puśćcie mnie, ludzie!
Puśćcie mnie.
Zamiast umierać nieszczęśliwy,
Wolę umrzeć młodo.
Puśćcie mnie.

Jestem Criminel,
Nie będę już zjadał ludzi.
Kraj się zmienił,
Criminel mówi:
Nie będę już zjadał ludzi.

Z błogosławieństwem pieśni i swojej *asson* LaBonté wybrał i uświęcił butelkę, w której miał się znaleźć płyn zdolny mnie ochronić, gdy będę podawał truciznę swojej ofierze. Wymieniłem imię ofiary, a on wyszeptał je do butelki. Maczeta trzy razy uderzyła o kamień. Obin wyrwał cztery pióra ze skrzydła koguta i polecił mi, żebym związał je na krzyż. Miałem też prosić, by pobłogosławiły moje przedsięwzięcie. Po jeszcze jednym uderzeniu maczety Obin poprowadził mnie do krzyża, żebym złożył drobną ofiarę. Położyłem na ziemi kilka monet. Gdy klęknąłem, odwrócił butelkę clairinu denkiem do góry, przez co płyn dziwnie się spienił – poinformowano mnie, że to nieomylny znak, iż moje pragnienia się spełnią. Do butelki wrzucono zapałkę i buchnęły płomienie, które na moment rozświetliły całą izbę.

Madame Jacques wraz z jednym z mężczyzn zanieśli koguta do morza, żeby obmyć jego lewą nogę. Gdy wrócili, Obin wrzucił do ognia sproszkowaną siarkę. Po izbie rozbiegły się iskry, gryzący dym dotarł we wszystkie kąty. Następnie Obin uwolnił koguta.

W międzyczasie człowiek w satynowej chustce starł kawałek *cadavre gâté*, jednego z najważniejszych drzew leczniczych w tradycji vodoun, i zmieszał wióry z fragmentami rozłożonych ludzkich zwłok, między innymi ze startą piszczelą. LaBonté umieścił proszek w mojej butelce ochronnej, dodał biały cukier, liście bazylii, siedem kropli rumu, siedem kropli clairinu i trochę kaszy kukurydzianej. Oskrobał ludzką czaszkę i dodał nieco innych składników, dostarczonych mu przez jednego z mężczyzn, który mieszkał blisko cmentarza. Polecił, abym stopił trzy świeczki, ugniótł uzyskany w ten sposób miękki wosk razem z trzema sproszkowanymi mieszankami i zawartością paczuszki prochu strzelniczego, które mi wręczył, a następnie kazał mi uformować z tego dużą świecę. Ostrze maczety po raz kolejny spadło na kamień, tym razem mocniej, aż sypnęły się iskry.

Duchy odpowiedziały. Najpierw dosiadły mężczyzny w chustce, potem Obina i LaBonté. Ten ostatni napełnił moją ochronną butelkę i podetknął mi ją do ust, zachęcając, żebym pił i wdychał zawartość. Tak właśnie zrobiłem. Wtedy duchy wyprowadziły mnie i moich towarzyszy z bagi do innego

pokoju, gdzie kazały nam się rozebrać. Każdy z nas po kolei (począwszy ode mnie) został obmyty. Duch owinął moją głowę czerwoną tkaniną, gdy stałem nagi w dużej misie pełnej ziół i olejków, czyścił moją skórę zamaszystymi, kojącymi ruchami, używając koguta jako gąbki. Obiecał, że dzięki temu przeniknie do mnie energia ptaka i na koniec kąpieli ptak straci oddech życia. Następnie do misy weszła Rachel, po niej Jacques. Zanim obmyto żonę Jacques'a, kogut leżał na ziemi martwy, sflaczały.

– Dobrze – powiedziała madame Jacques z aprobatą. – W Port-au-Prince misa jest okropna. Tu człowiek pachnie pięknem, choć przecież szykujesz się do mordu.

Skoro byliśmy już bezpieczni, duch skierował nas z powrotem do bagi, gdzie miała zostać przygotowana trucizna. Zabrzmiała nowa pieśń, przywołująca Simbi, patrona proszków:

Simbi en Deux Eau,
Dlaczego ludzie mnie nie lubią?
Bo moja magiczna moc jest niebezpieczna.

Simbi en Deux Eau,
Dlaczego mnie nie znoszą?
Bo moja magiczna moc jest niebezpieczna.
Lubią moją magiczną moc, kiedy chcą uciec przed Tajnym Stowarzyszeniem.
Lubią moją magiczną moc, kiedy chcą móc
Chodzić pośród nocy.

Były tylko cztery składniki: po pierwsze – mieszanka kilku kolorowych talków, po drugie – zmielona żabia skóra, po trzecie – proch strzelniczy, po czwarte – mieszanka wysuszonych i sproszkowanych woreczków żółciowych muła i człowieka. Żadnej rozdymki, żadnej ropuchy.

Zerknąłem szybko na Rachel i Jacques'a. Oboje siedzieli bez ruchu, nic się w nich nie zmieniło. Natomiast madame Jacques odmłodniała, całe lata spłynęły jej z twarzy. Skrzyżowała nogi i położyła nagą stopę na udzie, sukienka zsunęła się jej z ramienia. Z żylastej, ponurej chłopki przeistoczyła się w zmysłową, uwodzicielską kobietę. Ściskała wargami papierosa, ale włożyła go niewłaściwą stroną: żarzący się czubek syczał, dotykając jej języka.

Jej mąż spostrzegł, że na nią patrzę.

– Wszystko jest w porządku – zapewnił mnie. – Często kiedy dosiądzie jej duch, wciera sobie w pochwę sok z ostrej papryczki. Słuchaj!

Ciało, które jeszcze niedawno należało do madame Jacques, zaczęło śpiewać.

– Zbieramy się, jesteśmy koło misy, będziemy pracować. Nie wiemy, jak będzie, ale wykonamy pracę. – Słowa tego wysokiego, błagalnego łkania, wyrzucane jedno po drugim, stapiały się z dźwiękiem grzechotki, gwizdami, dzwonkami, tworząc złowieszczą kakofonię nieprzypominającą niczego, co do tej pory słyszałem w jakimkolwiek *hounfour*.

Naraz madame Jacques odezwała się głosem, który z pewnością do niej nie należał, i zażądała drugiej trucizny. Bez słowa sprzeciwu jeden z mężczyzn wziął niewielką skórzaną sakiewkę i wsypał jej zawartość do moździerza.

– Oto skóra białej żaby – zaintonował duch. – Brzuch twojej ofiary napęcznieje, a jeśli go rozetną, wypłynie z niego rzeka wody.

Wyjąłem jedną z żabich skór z moździerza i przyjrzałem się jej przy płomieniu świecy. Na pierwszy rzut oka zorientowałem się, że to zwykła rzekotka. Niewielkie gruczoły pod jej skórą wydzielały substancję, która mogła powodować podrażnienia, ale na pewno nie była toksyczna.

Powiedziano mi, że jeśli chcę, aby moje przedsięwzięcie się powiodło, muszę dokładnie przestrzegać poleceń, również dla własnego bezpieczeństwa. W dniu, w którym zamierzałem podać swojej ofierze truciznę, miałem zapalić zaplecioną świecę, unieść ją, zanim pojawi się gwiazda wieczorna, i czekać, aż niebo pociemnieje. Aby przywołać ducha śmierci, musiałem zwrócić się do gwiazdy:

Na potęgę Świętej Gwiazdy,
Idź, znajdź,
Śpij bez jedzenia.

Potem miałem pozdrowić gwiazdy jedną po drugiej w skomplikowanej sekwencji i umieścić płonącą świeczkę w jednej z dwóch dziur wykopanych przed drzwiami mojej ofiary. Następnie powinienem pociągnąć łyk z butelki ochronnej, żeby wlać w siebie potęgę cmentarza. Aby zastawić pułapkę, musiałem jedynie rozsypać proszek nad płonącą świeczką – koniecznie od zawietrznej – i wyszeptać imię człowieka, którego chcę zabić. Gdy tylko proszek dotknie jego skóry, nieszczęśnik będzie skazany na śmierć. Duch zalecił mi jeszcze jeden środek ostrożności: miałem spać z krzyżem z piór pod poduszką. Dzięki temu moc obecnej ceremonii nadal będzie mnie chroniła. Wypowiedziawszy te ostatnie słowa, duch odszedł.

– Wszystko to sprawi, że twój wróg zginie – zapewnił mnie Obin, gdy zbieraliśmy się do wyjścia z *hounfour*. W ręku trzymał niewielki słój z drugą mieszanką.

– Co mam zrobić, żeby ożył? – spytałem, bo nadal próbowałem ustalić, czy istnieje antidotum podawane zombie po wyjęciu z grobu.

– To zupełnie inna magia. Na to, co tu masz, nikt nie poradzi. Zabija na dobre.

– A drugi proszek? – odezwała się madame Jacques.

– Tak samo – odparł Obin. – Oba niosą śmierć. Nie tego chciałeś?

– Przecież to nie wszystko.

– Dostałeś prawdziwie wybuchową mieszankę. Obydwa proszki sprawią, że twojemu wrogowi pozostanie tylko jedna arka, czyli ziemia, która go zabierze.

– Chcę jego ciała – oznajmiłem.

– Więc będziesz musiał wrócić.

– Kiedy?

– Kiedy on umrze, a ty będziesz gotowy.

Zapadł zmierzch, młody księżyc wisiał nad morzem, lecz nadal było gorąco. Jacques otworzył butelkę rumu i popijaliśmy trunek, wracając z *hounfour*. Przez jakiś czas nikt z nas się nie odzywał. Ubrania przylegały nam do skóry, śmierdzieliśmy targowiskiem – mieszanką potu, jaśminu i gnijących owoców. Rybacy pracowali rozstawieni w dwóch rzędach wzdłuż wybrzeża. Patrzyliśmy, jak wyciągają wielkie półkoliste sieci, w które zaplątały się kawałki pływających odpadków.

– Oczywiście – wyjaśniła madame Jacques, gdy dotarliśmy do jeepa – istnieją dziesiątki różnych proszków. Działają na rozmaite sposoby. Jedne zabijają szybko, drugie powodują ból, jeszcze inne niszczą ciało skrycie i powoli.

– A te, które kupiliśmy?

– Karbonizują. Ale to magia czyni cię panem.

– A inne?

– Łatwiej je stosować. Dodaje się trochę do jedzenia. Albo nakłuwa skórę cierniem. Czasami w moździerzu ubija się też trochę szkła, żeby powstały ostre okruchy. To kwestia mocy. Jeśli chcesz się nauczyć, jak działają proszki, powinieneś wędrować w nocy. – Madame Jacques przejęła butelkę z rumem. – Teraz poznałeś twarz *convoi*. Stowarzyszenie cię dotknęło.

– Skąd ona to wszystko wie? – spytała kpiąco Rachel, obejmując

Jacques’a za szyję.

– Och! – zawołał, połknął solidny łyk rumu i wybuchnął śmiechem. – Jak to: skąd wie? Przecież jest Shanpwel! Ci ludzie to jej kuzyni. Obin jest przewodniczącym, a ona jest królową!

*

U Beauvoira czekało na mnie dwóch ludzi. Pierwszy był szefem policji w mieście na północy. Drugiego rozpoznałem po dźwięcznym, gardłowym, niemal ochrypłym śmiechu przefiltrowanym przez tysiące papierosów. Widziałem już tego człowieka w towarzystwie trzech innych wieczorem drugiego dnia mojego pobytu na Haiti, gdy wróciliśmy od Marcela Pierre’a z fałszywym proszkiem. Z pogardą wysypał sobie wówczas próbkę na dłoń. Teraz dowiedziałem się, że nazywa się Herard Simon. Wypowiadał się ze szczerością równie brutalną jak wcześniej. „Istnieją co najmniej cztery mieszanki, które mogą posłużyć do zombifikacji”, stwierdził i dodał, że za odpowiednie pieniądze kupię wszystkie naraz. Kwota była niemała, więc z telefonu Beauvoira zadzwoniłem do Nowego Jorku i dostałem polecenie, by nabyć jedną. Jeśli zadziała w testach na małpach, wrócę po pozostałe. Zacząłem negocjacje z Herardem i udało mi się zbić cenę o połowę. Dostał ode mnie zaliczkę, więc polecił, żebym spotkał się z nim na północy za trzy dni, i wyszedł.

Nasza rozmowa trwała niewiele dłużej niż mój telefon do Nowego Jorku, mimo to rozmyślałem o Herardzie przez długie nocne godziny, aż wreszcie pojąłem, że sen nie przyjdzie. Z pozoru Herard wydawał się spokojny, wręcz ospały. Wszelkie kanty jego ciała dawno temu zniknęły pod zwałami tłuszczu. Przypominał Buddę – i podobnie jak w przypadku Buddy korpulentne kształty przydawały mu autorytetu. Postura Herarda skrywała coś straszliwego, mądrego i zarazem dzikiego, duszę człowieka, który musiał zabijać. Już tamtej nocy wiedziałem to, co potwierdzono mi dopiero później: gdy spotkałem Herarda Simona, dotarłem do źródła.

*

– To miejsce bardzo ucierpiało – powiedziała Rachel.

Słowami tymi chciała objąć chaos pyłu i gruzów, czyli Gonaïves. Nie było prądu, w ciemności miasto wyglądało nienaturalnie. Budynki na wpół opuszczone, ulice pełne ludzi, na targowisku włóczędzy i sprzedawcy skuleni przy niewielkich paleniskach, ich dzieci zbite w grupki. Wszyscy zdawali się

żyć pod gołym niebem, jak ludzie ocaleli z katastrofy gnieżdżący się na ruinach.

– Zamknęli port – wyjaśniła Rachel.

– Ale zbudowali im drogę…

– To było wcześniej. Duvalier chciał przerzucić wszystko do stolicy.

– Więc biznes odpłynął?

Pokiwała głową.

– Skręć tutaj – powiedziała nagle i odbiliśmy w żwirowaną ulicę pełną wybojów. – Dawniej w Gonaïves Mulaci nigdy nie przysiadali się do czarnych.

– Duvalier to zmienił?

– Nie on, rewolucja. Teraz nie ma tu już prawie żadnych Mulatów.

– Wygodnie – mruknąłem.

– Co mówisz?

– Nic takiego. Czy my już tu kiedyś byliśmy?

– Jak to, nie pamiętasz?

I rzeczywiście, od razu sobie przypomniałem. Nawet w ciemności nie dawało się przeoczyć syreny pływającej na niebieskozielonym murze. Kobieta, która prowadziła klub nocny Clermezine i która z pogardą wyrażała się o Ti Femme, była żoną Herarda Simona.

Skręciłem na krótki podjazd i przez moment w świetle reflektorów ukazała mi się ta sama co wcześniej grupka kolesi leniących się przy bramie.

– Hélène pojechała na pielgrzymkę, ale pewnie zastaniemy tu Herarda. – Rachel zaczęła rozmawiać z siedzącymi dokoła facetami, przerwała, zawahała się, wzięła papierosy i wysiadła z jeepa. Kilku młodzieńców zaraz do niej podeszło, wybrała jednego i poprosiła go o ogień. Wróciwszy, powiedziała:

– Nie ma go. Mówią, że pojechał gdzieś w interesach.

– Gdzie?

– Trudno powiedzieć. Może do miasta. Czasami można go spotkać na nabrzeżu. Co robimy?

– Zaczekaj chwilę.

Otworzyłem drzwi auta, oparłem na nich stopę i umościłem się wygodnie w fotelu. Widziałem, że młodzi faceci są spragnieni, podzieliliśmy się więc z nimi resztką rumu. Z radością patrzyłem, jak przekazują sobie butelkę. Haiti ma pewną szczególną cechę: wszyscy piją, ale nigdy nie widzisz tu pijanych.

Przez jakiś czas gawędziliśmy, w końcu tamci, pomału, jeden po drugim, zaczęli oddalać się w stronę bramy, uznawszy, że pora wrócić do swojej wieczornej rutyny.

– Dziwne – powiedziała Rachel, gdy zostaliśmy sami. – Zauważyłeś tego po lewej, tego, który przypalił mi papierosa?

– Rozpoznałaś go?

– Nie od razu. Potem sobie przypomniałam. Widzieliśmy go w l'Estère u siostry Narcisse'a. Jestem tego pewna.

– Co on tu robi?

– On jest stąd. Pytanie, co robił tam.

Było koło dwudziestej pierwszej, gdy nagle szczupły nieznajomy wyrósł jak spod ziemi i wystraszył Rachel. Nie przedstawił się, powiedział tylko:

– Komendant czeka u siebie. – I zaraz odszedł.

– Komendant? – spytałem, ruszając z podjazdu.

– Wszyscy go tak nazywają. Był dowódcą milicji, VSN[7]. – Użyła skrótu oficjalnej nazwy Tonton Macoute.

– Tu, w Gonaïves?

– Nie, w całym rejonie Artibonite.

– Kiedy to było?

– Na samym początku. Teraz jest na emeryturze, ale nadal wszystkim zarządza. Ojciec mówi, że jego ludzie obserwują cię, odkąd tu przyjechałeś.

*

Herard miał nam niewiele do powiedzenia. Siedział samotnie przed drzwiami skromnego domu i odruchowo odganiał muchy z twarzy. Wyciągnąłem dłoń na powitanie. Czasami, gdy dwóch nieznajomych spotyka się z obowiązku i nic nie mówią, ich milczenie jest szczere. W tym przypadku było inaczej. Milczenie stanowiło znak władzy Herarda i miałem przemożną chęć, by je przełamać, ale udało mi się zapanować nad sobą. Gdy wreszcie się odezwał, za sprawą brzmienia jego głosu każde słowo nabierało podwójnego znaczenia.

– Co cię obchodzą zombie? – spytał.

– Zajmuję się nimi z ciekawości.

– Z ciekawości? Ciekawość sprawia, że wydajesz tyle pieniędzy?

– Płaci kto inny.

– *Juifs* [Żydzi]. Ty, oczywiście, nie jesteś jednym z nich. Wysłali cię tu,

bo sami nie lubią pracować. A kto zarobi pieniądze?

– Z naszych ustaleń wynika, że ty – powiedziałem, ignorując jego docinek pod adresem Kline'a i moich sponsorów.

Rozmowa toczyła się przez jakiś czas w tym samym tonie; Herard zadawał pytania, prowokował mnie, dając do zrozumienia, jak dużo wie na temat mojej przeszłości.

– *Blancs* są ślepi – stwierdził. – Chyba że chodzi o zombie. Widzicie je wszędzie.

– Zombie otwierają drzwi do innej wiedzy – powiedziałem.

– Otwierają drzwi do śmierci, tylko do śmierci! – wykrzyknął nagle wojowniczym tonem. – Vodoun to vodoun, zombie to zombie. – Spokój powrócił w jednej chwili. – A więc widziałeś Narcisse'a.

– Tak, widziałem się też z jego rodziną.

– I?

– Żyje.

– Tak. Ten, kto wraca spod ziemi, bywa niekiedy całkiem normalny. Ale powiedz mi, *blanc*, czy gdybyś był kobietą, poprosiłbyś go do tańca? – Rozbawił go jego własny żart i znów usłyszałem gardłowy śmiech.

– Powiadają, że znalazł sobie prawnika i próbuje odzyskać ziemię, by znów ją uprawiać.

Herard roześmiał się jeszcze donośniej.

– Ten Narcisse jest półgłówkiem. Sądzi, że w stolicy znajdzie ochronę przed własnym ludem. – Odwrócił się do Rachel. – Beauvoir! Na dziś wystarczy. Wróćcie tu jutro rano z tym *blanc malfacteur*. Wtedy zaczniemy pracę.

Tamtej nocy, gdy Rachel i reszta ludzi z klubu nocnego byli pogrążeni we śnie, leżałem w łóżku i szukałem odpowiedzi, która wszystko wyjaśni. Nie zaskoczyło mnie ani nie zmartwiło, że Herard wiedział tak dużo o naszych działaniach; nie próbowaliśmy utrzymać ich w sekrecie, wiele osób mogło mu o nich opowiedzieć. Bardziej niepokoił mnie on sam. Nie umiałem przestać o nim myśleć, choć przecież wszystkie nasze spotkania były tak krótkie. Zrobił na mnie ogromne wrażenie, biła od niego imponująca charyzma. Miał w sobie coś przerażającego, bulgotała w nim po cichu przemoc, pradawna, plemienna. Zdawało się, że drzemała w nim wybuchowa energia całego haitańskiego ludu, że rozciągnięta skóra opinająca zwaliste ciało w każdej chwili może pęknąć, a wówczas z wnętrza wydostanie się straszliwy duch. Herard był potężnym człowiekiem. Poczułem to, gdy

zobaczyłem go po raz pierwszy. Nazajutrz rano znów doświadczyłem jego mocy.

Grupa z Petite Rivière de l'Artibonite przybyła tuż przed południem. Poprzedzała ją sława tamtego regionu. Mówiono mi między innymi, że na tamtejszym publicznym cmentarzu trudno znaleźć choćby jedną kość. W skład grupy wchodziło pięć osób. Dwaj mężczyźni, którzy podróżowali w kabinie pick-upa, zachowywali się bardzo oficjalnie. Jeden z nich miał na sobie mundur wojskowy. Pozostała trójka jechała na pace; wyglądało na to, że są chłopami z gór. Zainteresował mnie mężczyzna o czaszce pokrytej nieregularnymi kępkami włosów. Dowiedziałem się zaraz, że to konsekwencja wykonywanego zawodu – jest na nią narażony każdy *malfacteur*, czyli człowiek odpowiedzialny za rozgniatanie składników trucizny.

Herard kazał nam przejść do jednej z zewnętrznych izb swojego *hounfour*. Odbyły się negocjacje, choć nikt nikogo nikomu nie przedstawił. Jako pierwszy odezwał się Herard, wypowiedział kilka przemyślanych słów, które miały potwierdzić jego pozycję i rolę głównego arbitra. Później raczej nie zabierał głosu. Wojskowy nieco protekcjonalnie próbował reprezentować chłopów, ci jednak sami mówili w swoim imieniu. Specyficzny akcent języka kreolskiego, którym się posługiwali, zdradzał, że mieszkają daleko w górach. Twierdzili, że mają tam jednego zombie, i zaoferowali, że przygotują próbkę trucizny. Padały kolejne oferty i kontroferty, *malfacteur* z brawurą domagał się sporych sum, jak gdyby sama wzmianka o tak astronomicznych pieniądzach mogła podziałać niczym czar i sprawić, że żądania zostaną spełnione. Jego dwaj wspólnicy ewidentnie cieszyli się całą tą sytuacją, co chwila wstawali i go dopingowali. Gdy próbowałem zbijać cenę, reagowali świętym oburzeniem.

Przez cały ten czas Herard siedział w milczeniu na drewnianym krześle obok ściany, nachylony do przodu i z łokciami opartymi na kolanach. Zastygł w tej pozycji, w jego nieruchomej prawej dłoni spalał się mentolowy papieros. Dzięki tej obojętności kontrolował rozmowę. W końcu chyba zmęczył się jałową paplaniną, uniósł ręce i zwrócił się do żołnierza.

– Gdzie to jest? – zapytał.

– Mają to ze sobą.

– No to niech go przyprowadzą. Może na widok zombie *blanc* zrobi się bardziej szczodry.

Żołnierz powiedział coś do przywódcy chłopów. Ten w pierwszej chwili

zaprotestował, ale zaraz zamilkł, sięgnął do zakurzonego worka i wyciągnął niewielki ceramiczny dzban owinięty w czerwoną satynę. Herard zaczął się śmiać śmiechem, w którym było słychać gniew.

– Głupcy! – zawołał. – Nie o to chodziło! Oni chcą ciała!

Nim zdążyłem zapytać, o co mu chodzi, wpadł niespodziewanie w szał i miotając inwektywy, przepędził nas wszystkich z *hounfour*. Chłopi uciekli, żołnierz i jego towarzysz wyglądali na załamanych. Herard z pogardą ruszył przez podwórze w stronę domu.

Kiedy go dogoniliśmy, nadal się śmiał, tym razem jowialnie.

– Wyobraź sobie, *blanc* – powiedział do mnie – postanowili przynieść ci *zombi astral*, bo uznali, że z zombie-trupem nie zdołasz przejść przez odprawę celną!

– Chwileczkę… – zacząłem. Z jego twarzy wyczytałem niezadowolenie, że otaczają go sami idioci i że jestem jednym z nich.

– Trzy dni – powiedział. – Wróć za trzy dni.

Znowu próbowałem coś powiedzieć, ale przeciągnął grubą dłonią przed swoją twarzą i tym gestem nakazał mi milczenie.

„Dwa rodzaje zombie – pomyślałem. – To zmienia wszystko”.

*

Każdego lata duchy wędrują po Haiti, a razem z nimi ludzie. W lipcu przez kilka tygodni drogi są pełne pielgrzymów, postanowiliśmy więc podążyć ich śladem.

Wyjechaliśmy z Gonaïves i pojechaliśmy na północ przez góry, aż dotarliśmy na bujną nabrzeżną równinę, by najpierw zatrzymać się przy świętym źródle i błotach w Saint Jacques, następnie zaś udać się do wioski Limonade na festiwal świętej Anny. Zebrały się tam tysiące wyznawców. Mieli jaskrawe stroje w barwach charakterystycznych dla rozmaitych duchów, mieszali się, tworzyli oniryczne fale przetaczające się po placu.

Wrzący tłum otoczył nas, gdy tylko wysiedliśmy z jeepa. Stłoczeni wśród ludzkich ciał, byliśmy niesieni przed siebie, wedle widzimisię tłuszczy. Czułem się tak, jak gdybym przeciskał się przez jelita wielkiej, nażartej bestii, więc po chwili zaczęliśmy się przedzierać ku najbliższemu schronieniu, ku kamiennym schodom kościoła wznoszącym się niczym pomost nad całym tym szaleństwem.

Oszołomieni weszliśmy do środka i dopiero w nawie zorientowaliśmy się, co się dzieje. Trwała msza za inwalidów, u naszych stóp leżały

niewyobrażalnie chore, nieszczęsne ciała: ludzie, którym trąd wyżarł twarze, ofiary słoniowacizny o kończynach grubych niczym pnie drzew, setki umierających zwiezionych z najróżniejszych stron kraju, by u ołtarza mogli otrzymać jałmużnę i odpuszczenie. Widok ten był tak okropny, tak przerażający, że natychmiast zapragnęliśmy uciec.

Rachel jako pierwsza ruszyła w stronę otwartych drzwi, gdy nagle wydała z siebie stłumiony krzyk. W cieniu krzyża przy wejściu stała kobieta z głową owiniętą czarnym szalem. Nastoletnia córka trzymała się jej kolan; nogi dziewczynki były powyłamywane, skrzyżowane jak patyki, skórę miała zupełnie czarną, głowę przypominającą groteskowy arbuz, tak bardzo spuchniętą wskutek choroby, że widać było poszczególne cebulki włosów. Nie potrafiliśmy przejść obok nich. Zawróciliśmy i zaczęliśmy przedzierać się wśród żebraków owiniętych w brązowe szmaty, wyścielających podłogę kościoła. Szarpali nas za ubrania. Nic dla nich nie mieliśmy; najgorszy w tamtej chwili nie był ich przerażający wygląd, lecz strach, który nas ogarnął.

Na schodach kościoła ujrzeliśmy opętanie. Zdrowa chłopka odziana w błękitno-czerwone szaty, a więc w barwy Ogouna, ducha ognia i wojny, wirowała wśród żebraków, bo dosiadł jej *loa*. Na ramieniu miała jaskrawoczerwoną torbę pełną złocistych ziaren kukurydzy. Kręciła się i podskakiwała, wypełniona łaską bóstwa. Ręką wyciągniętą niczym łabędzia szyja sypała po odrobinie kukurydzy do misek żebraków. Gdy opróżniła torbę, zawirowała ku zachwytowi wszystkich obecnych i z krzykiem rzuciła się w dół po schodach. Rachel i ja patrzyliśmy, jak zagłębiła się w tłum. Ludzie rozstępowali się, cofali przed nią – Ogoun potrzebował miejsca na swoje tańce. Wodziliśmy za nią wzrokiem, aż zniknęła. Potem bez słowa weszliśmy między ludzi.

*

Nasza dalsza droga tamtego niesamowitego dnia wiodła przez równinę do starej kolonialnej stolicy Cap-Haïtien. Ciepłe barwy wszechobecne w tym spokojnym mieście zupełnie nie przystawały do jego krwawych dziejów. Udaliśmy się do domu wzniesionego z budulca, który wydobyto z morza, na spotkanie z Richardem Salisburym, brytyjskim konsulem na Haiti.

Mówiono mi, że Salisbury bardzo interesuje się vodoun, mieliśmy więc nadzieję, że dostarczy nam nieco informacji na temat okresu, gdy Narcisse przebywał w Cap-Haïtien zaraz po odzyskaniu wolności. Nacisnąłem dzwonek. Nikt nie odpowiadał, lecz za drugim razem okiennice na piętrze

otworzyły się i w popołudniowym słońcu ukazał się nam blady mężczyzna w średnim wieku. Dopiero co się obudził.

Salisbury przyjął nas na werandzie w cieniu ogromnego Union Jacka. Gęste wąsy z podkręcanymi końcówkami, zielonkawa cera i spory brzuch ukryty niedbale pod jedwabną bonżurką sprawiały, że nasz gospodarz zdawał się wyjęty żywcem z kart powieści Somerseta Maughama. Jego wiedza na temat vodoun okazała się dość powierzchowna. Poza tym nie miał nic wspólnego z brytyjskim rządem. Był księgowym, niewielkie pieniądze, które zainwestował w miejscową przetwórnię cukru, do niedawna pozwalały mu żyć po królewsku. Zamiast dyplomaty ujrzeliśmy przed sobą żywy symbol zmierzchu imperium. Salisbury'ego czekał teraz poważny kryzys natury osobistej. Niestety, znaleźliśmy się w niewłaściwym miejscu i niewłaściwym czasie, więc musieliśmy wysłuchać szczegółowej relacji na temat jego kłopotów. Nieuczciwość partnerów i recesja na globalnych rynkach doprowadziły przetwórnię do bankructwa, więc Salisbury nie miał wyboru i musiał wrócić do Anglii. Tam był skazany na nudne życie buchaltera, na codzienne podróże metrem do pracy i wykonywanie wciąż tych samych rutynowych, bezproduktywnych zadań. Za wszelką cenę chciał tego uniknąć, więc zwrócił się do Rachel i zaczął ją rozpaczliwie prosić o radę. Patrzyłem, jak dorosły mężczyzna, Europejczyk, który niegdyś zdołał zbudować sobie fałszywy status dzięki białej skórze i sprytowi, błagalnie wypytuje haitańską dziewczynę, i miałem wrażenie, że to scena z pogranicza komedii i tragedii.

Przed zmrokiem, zdoławszy uwolnić się od Salisbury'ego i jego problemów, pojechaliśmy na plażę na wschód od miasta. Słońce przybrało miedzianą barwę, usiedliśmy pod palmami, by wreszcie odpocząć. Nasz dzień zaczął się w domu Herarda od konfrontacji z twórcami trucizny, potem były bagna Saint Jacques, koszmar świętej Anny i Salisbury, chodzący anachronizm. Wszystko to znalazło kres na nieskazitelnej, spokojnej, karaibskiej plaży. Patrzyłem, co się kryje za drzewami, słyszałem piskliwe, chaotyczne wrzaski mew nurkujących w falach. Przy brzegu brodziło kilka kormoranów i pelikanów. Ot, luksusowe życie dzikich stworzeń, bujne i bezrozumne. Rachel pławiła się w wodzie niczym delfin.

*

Trzy dni później, zgodnie z ustaleniami, znowu spotkaliśmy się z Herardem w Gonaïves. Zastaliśmy go tam, gdzie bywał każdej nocy: opodal nabrzeża przed wejściem do zrujnowanego kina. Kontrolował wszystko, co działo się na ulicy. Tym razem powitał nas zaskakująco serdecznie. Najwyraźniej mój

status się zmienił – aczkolwiek nie wiedziałem, czy na lepsze, czy na gorsze – teraz bowiem Herard nie zwracał się do mnie anonimowym *blanc*, zamiast tego nazywał mnie swoim *petit malfacteur*, czyli małym złoczyńcą. Na początek oznajmił, że jest hounganem i nie interesują go zombie. Są one zupełną błahostką, gdy porównać je z doniosłymi naukami religii vodoun. Mimo to z powodów finansowych poczynił odpowiednie przygotowania. Obiecał nam, że następnego dnia pewien człowiek zacznie sporządzać dla nas truciznę zombie.

– Pamiętaj, *malfacteur* – powiedział, zanim go opuściliśmy. – To, co ode mnie dostaniesz, sprawi, że twoja małpa już nigdy nie pomacha ogonem.

*

Przygotowanie trucizny zajęło cały tydzień.

Najpierw Herard jako houngan sporządził antidotum, które, rzecz jasna, zawierało najprzeróżniejsze składniki, przy czym żaden z nich nie wykazywał znaczącej aktywności farmakologicznej. W skład mieszanki wchodziły między innymi garść liści jadłoszynu baziowatego (*Prosopis juliflora*), trzy gałązki goździkowca *Petiveria alliacea*, clairin, amoniak i trzy rytualnie spreparowane cytryny. Podobnie jak w przypadku antidotum Marcela Pierre'a nic nie świadczyło, by gotowy preparat mógł przeciwdziałać jakiejkolwiek truciźnie.

Sama trucizna natomiast zawierała składniki aktywne. Co najważniejsze, przypominała mieszankę z Saint Marc. Ludzie Herarda wyróżniali trzy etapy pracy. Najpierw należało zakopać węża i ropuchę (*Bufo marinus*) w słoju, aż „umrą z wściekłości". Następnie zmiażdżone wije i tarantule mieszano z czterema składnikami roślinnymi. Pierwszym były nasiona cza-czy (*Albizzia lebbeck*); Marcel Pierre wykorzystywał tę samą roślinę. Dodawano jeszcze nasiona *consigne* (*Trichilia hirta*), drzewa z rodziny miodlowatych pozbawionego składników aktywnych, liście *pomme cajou*, czyli nanercza zachodniego (*Anacardium occidentale*), oraz *bresillet* (*Comocladia glabra*). Dwie ostatnie rośliny należą do tej samej rodziny co trujący bluszcz i mogą powodować groźne stany zapalne skóry.

Wszystko to starto na proszek i zakopano na dwa dni. Przyszła pora na kolejny etap. Do mieszanki dodano dwie niezidentyfikowane rośliny, nazywane na Haiti *tremblador* i *desmembre*. Na ostatnim etapie użyto czterech roślin, zdolnych wywołać poważne miejscowe podrażnienie.

Pierwsze dwie – *maman guêpes* (*Urera baccifera*) i *mashasha* (*Dalechampia scandens*) należały do rodziny pokrzywowatych. Na powierzchni mają one maleńkie, puste w środku włoski, które działają jak mikroskopijne strzykawki. Wystarczy ich dotknąć, a zaaplikują do skóry związek chemiczny przypominający kwas mrówkowy. Trzecią rośliną była diffenbachia (*Dieffenbachia seguine*), powszechnie występująca na Jamajce. W jej tkankach kryją się igiełki szczawianu wapnia, które można porównać do okruchów szkła. W XIX wieku krnąbrnych niewolników zmuszano do jedzenia liści diffenbachii za karę. Igiełki podrażniały krtań, powodowały miejscową opuchliznę, co utrudniało oddychanie i całkowicie uniemożliwiało mówienie. Czwartą roślinę, *bwa piné* (*Zanthoxylum martincense*), wybrano z powodu ostrych kolców.

Wszystkie te rośliny mogące powodować podrażnienia przywodziły na myśl świerzbca wykorzystywanego przez Marcela Pierre'a. Przyszło mi do głowy, że jeśli ofiara zaczynała drapać podrażnioną skórę, mogła doprowadzić do powstania ranki. Testy laboratoryjne przeprowadzone w Nowym Jorku wykazały, że trucizna działała szczególnie skutecznie, jeśli przez tego rodzaju rankę mogła dostać się do krwi. Z kolei madame Jacques sugerowała, że czasami w skład trucizny wchodzi tłuczone szkło. Wreszcie, mówiono, że proszek trzeba było niekiedy aplikować kilkakrotnie. Rośliny powodujące podrażnienia sprawiały zapewne, że kolejne dawki mogły łatwiej zadziałać.

Największą satysfakcję poczułem, gdy poznałem składniki zwierzęce dodawane do mieszanki na trzecim etapie. Razem ze skórami białych rzekotek (*Osteopilus dominicencis*) zmiażdżono tarantule należące do dwóch różnych gatunków. Były też kolejna ropucha i aż cztery różne rozdymki (*Sphoeroides testudineus*, *S. spengleri*, *Diodon hystrix*, *D. holacanthus*). A zatem zarówno w tym preparacie, jak i w preparacie sporządzonym przez Marcela Pierre'a wykorzystano ropuchę, rozdymki oraz nasiona *Albizzia lebbeck*.

W ciągu tamtego tygodnia nasze stosunki z Herardem znacznie się ociepliły. Tym razem nie nastąpił żaden punkt zwrotny, jak w przypadku Marcela Pierre'a. Herard był zbyt sprytny i zbyt ostrożny. Docenił jednak rozmaite drobiazgi – fakt, że piliśmy z jego studni, że jedliśmy z tego samego talerza co on, że siadaliśmy razem z nim na kamienistej ziemi.

Z tego czy innego powodu postanowił wreszcie podzielić się ze mną trzema zasadniczymi informacjami. Po pierwsze, wymienił nazwy czterech

preparatów używanych do zombifikacji: *Tombé Levé*, *Retiré Bon Ange*, *Tué* i *Levé*. Nie zdradził co prawda składu żadnego z nich, powiedział jednak, że pierwszy zabija od razu, drugi powoduje gnicie skóry, trzeci zaś sprawia, że ofiara pomału traci siły i marnieje. Wspomniał także, że wszystkie preparaty mają jeden wspólny składnik: *crapaud de mer*, czyli najbardziej toksyczną z rozdymek spotykanych w wodach wokół Haiti.

Po drugie, dowiedziałem się, że najlepsze preparaty powstają latem, w gorących miesiącach. Składuje się je następnie i używa ich przez resztę roku. Zarazem Herard ostrzegał, że niektóre z nich są przesadnie „wybuchowe" i zabijają nieodwracalnie. Z moich badań przeprowadzonych w Cambridge wynikało, że poziom tetrodotoksyny w organizmie rozdymki może się wahać. Zależy od płci osobnika, jego terytorium i pory roku, jest też niejednakowy u różnych osobników należących do tej samej populacji. *Tetrodon psittacus*, rozdymka z wód Brazylii, jest trująca jedynie w czerwcu i lipcu. Toksyczność gatunków występujących w wodach Japonii zaczyna rosnąć w grudniu i osiąga szczytowy poziom w maju lub czerwcu. Gatunek wykorzystywany do przygotowywania trucizny zombie – *Sphoeroides testudineus* – ma podobną właściwość. Najwięcej toksyny produkuje w czerwcu, czyli w okresie, kiedy, zdaniem Herarda, powstają najlepsze preparaty.

Wreszcie po trzecie, Herard zdradził, że gdy zombie zostaje wyjęty z grobu, wmusza się w niego specjalną pastę. Drugą dawkę podaje się następnego dnia, gdy zombie dotrze na miejsce swojej niewoli. Pasta składała się z trzech składników: słodkiego ziemniaka, syropu z trzciny cukrowej i – o dziwo – bielunia, *Datura stramonium*.

Była to doprawdy zdumiewająca informacja. Od początku moich badań nie potrafiłem ustalić, czy ta roślina o silnym działaniu psychoaktywnym, do tego nosząca w języku kreolskim sugestywną nazwę „ogórek zombie", odgrywa jakąkolwiek rolę w zombifikacji. Teraz nagle rozmaite, na pozór niepowiązane fakty zaczęły się łączyć i wpadłem na pewien pomysł. Do tej pory żadne antidotum na toksynę zombie nie okazało się szczególnie interesujące z farmakologicznego punktu widzenia. Składniki były nieaktywne lub dodawano je w zbyt małym stężeniu. Ponadto zależnie od regionu Haiti skład i sposób przygotowywania antidotów bardzo się od siebie różniły. Dzięki rewelacjom Herarda mogłem przypuszczać, że jeśli prawdziwe antidotum w ogóle istnieje, zapewne jest nim właśnie ogórek zombie.

Tetrodotoksyna to osobliwa cząsteczka. Nikt nie zdołał jednoznacznie ustalić jej pochodzenia. Zazwyczaj tak specyficzne i wyspecjalizowane związki chemiczne powstają tylko raz, w określonym momencie dziejów ewolucji, więc znajduje się je w ciałach blisko spokrewnionych organizmów, wywodzących się od wspólnego przodka. Przez długi czas zdawało się, że tetrodotoksynę wytwarza jedna jedyna rodzina ryb. Potem, ku zaskoczeniu biologów, natrafiono na nią u płaza – pacyfotrytona kalifornijskiego. Późniejsze badania wykazały, że tetrodotoksyna występuje również u babkowatych z Tajwanu, niektórych płazów z rodzaju *Atelopus* zamieszkujących Kostarykę i ośmiornic z rodzaju *Hapalochlaena* z Wielkiej Rafy Koralowej w Australii. Zdaniem części naukowców może to świadczyć, że toksyna pochodzi od istot zajmujących niższą pozycję w łańcuchu pokarmowym, zapewne drobnych organizmów morskich.

W przypadku rozdymek toksyczność koreluje z cyklem rozrodczym i jest wyższa u samic. Zróżnicowanie ilości toksyny w różnych populacjach tego gatunku skłania jednak uczonych do stawiania hipotezy, że pewną rolę odgrywają tu nawyki żywieniowe. Rozdymki hodowane w akwariach nie wytwarzają tetrodotoksyny. Niewykluczone też, że rozdymki nie tylko przeprowadzają syntezę tetrodotoksyny, ale też bywają transwektorami tetrodotoksyny lub ciguatoksyny, innego związku chemicznego wytwarzanego przez bruzdnice, który powoduje ciguaterę. Objawy tej ostatniej przypominają zatrucie tetrodotoksyną – obejmują mrowienie, apatię, mdłości, bóle brzucha i wreszcie śmierć (bezpośrednią przyczyną tej ostatniej jest paraliż uniemożliwiający oddychanie).

Australijscy aborygeni od zawsze wykorzystują dziwną roślinę: drzewo nazywane przez nich *ngmoo*. Ryją dziury w jego pniu i napełniają je wodą, dzięki czemu po jednym dniu uzyskują ciekawy napój powodujący lekkie odrętwienie. Wiedzą też, że jeśli umieszczą gałęzie lub liście tego drzewa w stojącej wodzie, mogą całkiem skutecznie zatruć żyjące w niej węgorze. Te wypływają wówczas na powierzchnię, gdzie łatwo je złapać i zabić. Informacje o szczególnych właściwościach *ngmoo* dotarły daleko na północ, do Nowej Kaledonii. Rdzenni mieszkańcy regionu odkryli, że liście stanowią lek na ciguaterę – co potwierdziła współczesna nauka. Łacińska nazwa rośliny to *Duboisia myoporoides*. Należy ona do psiankowatych i jak wiele gatunków z tej rodziny zawiera rozmaite silne związki chemiczne, w tym nikotynę, atropinę i skopolaminę. Nie znamy żadnego antidotum na tetrodotoksynę, lecz w laboratoriach wykazano, że atropina łagodzi pewne objawy zatrucia.

Datura stramonium również zalicza się do rodziny psiankowatych i podobnie jak jej kuzynka z Nowej Kaledonii zawiera atropinę oraz skopolaminę. Mogłaby zatem być skutecznym antagonistą toksyny zombie – na razie jeszcze nierozpoznanym.

Zatoczyłem pełne koło. Jak na ironię, roślina, którą początkowo podejrzewałem o to, że pozwala pogrzebać człowieka żywcem, prawdopodobnie okazała się antidotum. Zarazem odgrywała istotną rolę w wywoływaniu i utrzymywaniu stanu psychicznego typowego dla zombie. Tetrodotoksyna odpowiadała za reakcje organizmu, którym kultura nadawała następnie określoną interpretację. Tymczasem bieluń tysiąckrotnie wzmagał siłę tego procesu. Sam bieluń powodował psychozę, delirium, dezorientację, uczucie zagubienia i zupełną amnezję. Jeśli podało się go osobie, która niemało już wycierpiała z powodu zatrucia tetrodotoksyną i pogrzebania żywcem, fatalne skutki psychiczne mogły być wręcz niewyobrażalne. Właśnie na tym etapie zombifikacji ofiara, pozostająca pod wpływem bielunia, otrzymywała nowe imię, następnie zaś zabierano ją w nieznane miejsce i wdrażano do nowego życia.

*

Kolejne informacje na temat składu trucizny zombie pozyskałem dwa dni później na południe od stolicy, opodal miasta Leogane. Od kilku tygodni byłem wówczas w kontakcie z hounganem imieniem Domingue. Jego syn, Napoléon, cieszył się pełną sławą jako *malfacteur* i przekazał mi wiadomość za pośrednictwem Beauvoira. Nasze spotkanie było krótkie, ale poznałem dwie interesujące trucizny. Najbardziej toksyczną – według Napoléona – przyrządzano wyłącznie z ludzkich szczątków. W jej skład wchodziły utłuczone w moździerzu kości nogi, ramienia oraz czaszki, a do tego nieco ususzonych i sproszkowanych trupich tkanek. Była to jedyna spośród wszystkich napotkanych przeze mnie trucizn, którą aplikowano wedle rzekomo najbardziej tradycyjnej metody: najpierw należało natrzeć sobie dłonie ochronnym płynem (mieszanką cytryn, amoniaku i clairinu), następnie, wypowiadając imię ofiary, rozsypywało się proszek tak, by utworzyć na ziemi krzyż. Wystarczyło, że ofiara nastąpiła na ów krzyż, a zaraz dostawała gwałtownych konwulsji. Trucizna działała natychmiast i nieprzemijająco.

Drugi preparat okazał się nieco bardziej podobny do tych, które znałem: zawierał owady, gady, wije i tarantule. Zamiast ropuchy użyto dwóch

różnych żab. Napoléon dodawał też rozdymkę *crapaud de mer*. Początkowo trucizna sprawiała, że człowiek czuł, jakby pod skórą pełzały mu mrówki, co oczywiście skojarzyło mi się z przypadkiem Narcisse'a. Poza tym Napoléon również podkreślał, że ważne jest odpowiednie dawkowanie. Wspomniał, że proszek zwierzęcy działał najskuteczniej, jeśli ofiara przyjęła go drogą pokarmową. Nie należało też pod żadnym pozorem mieszać obu przedstawionych tu trucizn, gdyż razem działały zbyt gwałtownie, powodowały nieodwracalną śmierć i uniemożliwiały zombifikację.

Wyjeżdżając z Leogane, miałem pewność, że tetrodotoksyna stanowiła najważniejszy farmakologiczny element trucizny zombie. Próbki, które później pozyskałem w różnych miejscach na haitańskim wybrzeżu, dodatkowo potwierdziły moje ustalenia. Mogłem wreszcie zamknąć badanie dotyczące trucizny. Przyszła pora, by zająć się innymi pytaniami, które zaprzątały mnie, odkąd wróciłem na wyspę.

*

Herard zatelefonował rankiem następnego dnia i oznajmił, że chce natychmiast widzieć mnie i Rachel. Wyruszyliśmy po południu, zgarnęliśmy go w Gonaïves i pojechaliśmy prosto do Petite Rivière de l'Artibonite. O zmierzchu dotarliśmy do koszar wojskowych. Herard zaprowadził nas do prywatnej kwatery dowódcy. Wydał mu parę poleceń, kazał też jego adiutantowi, by przyniósł nam coś do jedzenia i butelkę rumu. Zaczęło się oczekiwanie. Patrzyłem przez połamane żaluzje na deszcz lejący się z nieba. Za oknem rozciągał się długi rząd cel, w których stali więźniowie uczepieni metalowych krat, starający się nie zamoczyć stóp.

Ponieważ Herard nie lubił, gdy go indagowano, uznałem, że mogę pozwolić sobie najwyżej na trzy pytania. Najpierw poruszyłem temat *zombi astral* przyniesionego mi przez chłopów z gór.

– W tej butelce była ludzka dusza – wyjaśnił Herard. – Kontrolowanie takiej duszy to złowieszcza moc. Niczym we śnie wędruje ona na polecenie tego, kto ją posiadł. Widziałeś *zombi astral* pochwyconego dzięki magii bokora.

– A trucizna, którą od ciebie otrzymałem?

– Nie otrzymałeś ode mnie żadnej trucizny. Truciznę dodaje się komuś do jedzenia, żeby go zabić.

– Mam na myśli proszek.

– Proszek to proszek, trucizna to trucizna. Proszek wspomaga magię.

Naprawdę wielkim czarownikom wystarczy sama magia. Mali ludzie udają, że też tak potrafią, ale jeśli się im uważnie przyjrzysz, zobaczysz, że stosują proszek. Ja jednak znam takich, którzy mogą stanąć oko w oko z całą armią i rzucić zaklęcie na dowolnego żołnierza.

– Po to, żeby ukraść jego duszę?

– Po cóż by innego? Jeżeli potrzebne ci ciało do pracy, nie ma co się bawić w rozsypywanie odrobiny proszku na ziemi. Bierzesz kawałek bambusa, dmuchasz na człowieka proszkiem, wcierasz mu go w skórę. Wyłącznie dzięki temu będziesz miał *zombi cadavre*.

Pojąłem, że istnieją dwa rodzaje zombie i dwie metody zombifikacji, a wówczas wiele elementów układanki wskoczyło na swoje miejsce. Proszek przyrządzony dla mnie przez LaBonté i Obina mógł zabić mojego wroga dzięki swojej magicznej mocy oraz obrzędowi, który miałem odprawić. Właśnie to próbowała mi wyjaśnić madame Jacques: „to magia czyni cię panem". Chodziło o śmierć voodoo, o haitański odpowiednik aborygeńskiego rytuału, podczas którego czarownik wskazuje swoją ofiarę specjalną kością. W moim społeczeństwie, ze względu na mentalność ludzi, metoda ta nie mogła zadziałać. LaBonté i Obin uznali, że to mój problem.

Istniała inna możliwość. Zgodnie z tym, co mówił Marcel Pierre, potężna moc duchowa pozwalała stawić czoła zaklęciu. Proszek natomiast i tak niechybnie by na każdego podziałał. Madame Jacques wspomniała o proszkach wcieranych w skórę lub w ranę, o rozgniataniu szkła w moździerzu lub przekłuwaniu skóry cierniem. Musiało tu chodzić o farmakologicznie aktywne mieszanki umożliwiające zombifikację. Narcisse też o tym opowiadał: w niedzielę poprzedzającą jego śmierć kazali mu stanąć przed misą, ukłuli go, a woda zmieniła się w krew! Herard miał rację. Jeśli chciało się zmienić człowieka w *zombi cadavre*, odrobina proszku rozsypanego na ziemi nie wystarczała.

Zacząłem zadawać trzecie pytanie, ale nie dokończyłem, bo zjawił się przewodniczący miejscowego tajnego stowarzyszenia. Dowódca jednostki wojskowej płaszczył się przed nim i odtąd jego rola ograniczała się do serwowania nam jedzenia i dolewania rumu. Herard omawiał z przewodniczącym kwestię pozyskania *zombi cadavre* do badań medycznych. Dopiero w środku nocy ustaliliśmy cenę. Następnego popołudnia mieliśmy ponownie spotkać się z przewodniczącym i jego ludźmi.

Ruszyliśmy w drogę powrotną. Zacząłem układać plan na następny dzień, ale Herard tylko się roześmiał.

– Nie, nie – oznajmił. – Nie będziemy tu jutro wracać. Chciałem po prostu sprawdzić ich siłę.

– Czy się nie obrażą? – spytałem, przypominając sobie niepokojące ostrzeżenie LaBonté w Petite Rivière de Nippes. – Przecież tajne stowarzyszenia są wszędzie.

– Tak. I są bardzo potężne – przytaknął Herard. – Dlatego musiałeś tu przyjechać z kimś, kto jest jeszcze potężniejszy. Ja również reprezentuję tajne stowarzyszenie. Jednoosobowe stowarzyszenie!

Potem jednak, by podkreślić, że nawet jego władza ma swoje granice, ostrzegł mnie, iż w rejonie Petite Rivière de l'Artibonite wszystko może się zdarzyć. Droga rozwidlała się. Herard wskazał gestem otaczającą nas ciemność.

– Na rozdrożach musisz szczególnie uważać. Po zmroku nigdy nie wysiadaj z auta. Oni wędrują nocą.

Zbliżaliśmy się do Gonaïves. Poczułem, że muszę zadać mu ostatnie pytanie, które bardzo mnie nurtowało: dlaczego przekazywał mi wszystkie te informacje? Zaśmiał się, ale nie odpowiedział, dopóki nie znaleźliśmy się pod jego domem. Wysiadając z jeepa, spojrzał na mnie i rzekł:

– *Mon petit malfacteur*, nie jesteś głupcem, ale nadal nie rozumiesz. Możesz sobie zbierać te twoje proszki, ba, dostarczę ci wszystkie proszki, o jakie poprosisz. Możesz spotkać zombie, możesz zobaczyć, jak wychodzi spod ziemi, możesz nawet sobie myśleć, że już wszystko zrozumiałeś. Ale nigdy nie zmienisz człowieka w zombie ani nie wyjedziesz stąd z magią. Pewnego dnia, kiedy przestaniesz zadawać sobie te twoje pytania, zaczniesz rozumieć. Dopiero wtedy zaczniesz zgłębiać vodoun i wstąpisz na ścieżkę *loa*.

*

Herard, mimo szorstkiego sposobu bycia, przekazał mi najwięcej informacji na temat trucizny. Zarazem nie spotkałem na Haiti drugiej osoby, która tak pogardliwie odnosiłaby się do proszków i którą tak mało obchodziliby zombie. Był człowiekiem głębokiej wiary, teologiem. Czasami kompletnie nie rozumiałem jego słów, czasami zaś zdawał się wskazywać mi drogę niczym światło latarni morskiej. Nadeszła pora, żebym zrozumiał świat duchów tutejszego ludu.

10

Wąż i tęcza

16 lipca 1843 i 1881 roku Maryja objawiła się na szczycie palmy niedaleko wioski Ville Bonheur w górach w środkowym Haiti, by obwieścić, że nadchodzi koniec świata. Było to bardzo na rękę Kościołowi katolickiemu, palma rosła bowiem blisko podnóża urwiska, z którego spływa wodospad Saut d'Eau, uważany przez wyznawców vodoun za święte miejsce, cel pielgrzymek. Księża od zawsze pragnęli wyplenić „pogański kult", więc natychmiast postanowili wykorzystać szczęśliwy traf. Wzniesiono kaplicę, władze kościelne potwierdziły autentyczność objawienia i odtąd co roku na jego pamiątkę obchodzono specjalne święto. Wkrótce potem w kaplicy zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Coraz częściej księża znajdowali tam niewielkie naczynia z jedzeniem ustawione obok świec wotywnych. Gdy pojęli, co się za tym kryje, ich początkowy entuzjazm mocno ostygł. Liczyli, że uda im się przejąć święte miejsce vodoun, a tymczasem stało się coś wręcz przeciwnego. Miejscowi chłopi uznali, że Maryja to Erzulie Freda, bogini miłości, jej objawienie zaś było nie tyle cudem, ile błogosławieństwem, które dodatkowo rozsławiło wodospad.

Maryja ukazała się ponownie podczas amerykańskiej okupacji Haiti. Tym razem duchowni byli lepiej przygotowani. Miejscowy ksiądz oznajmił, że nie doszło do żadnego objawienia, a pogłoski o Maryi to tylko głupie przesądy. Zwrócił się do dowódcy *marines* stacjonujących w okolicy, by pomogli wyplenić kult, dowódca z kolei polecił haitańskiemu sierżantowi, by strzelił w kierunku oślepiająco jasnego światła otaczającego Dziewicę. Ta natychmiast przeniosła się na inną palmę, potem na jeszcze inną, aż wreszcie poirytowany ksiądz kazał ściąć wszystkie drzewa. Wówczas Maryja zmieniła się w gołębia. Ksiądz niedługo cieszył się ze swojego triumfu: wyruszywszy w drogę powrotną, dowiedział się, że jego dom doszczętnie spłonął. Był to dopiero początek. Niespełna tydzień później księdza zabił udar. Amerykański oficer poniósł podobną karę, a sierżant Haitańczyk oszalał i odtąd błąkał się samotnie po lesie opodal wioski. Miejscowi opowiadali, że gołąb przez kilka dni nie opuszczał Ville Bonheur, potem zaś odleciał w stronę Saut d'Eau i zniknął w połyskującej mgle spowijającej wodospad.

*

W wapiennej skale wypłukanej przez Saut d’Eau utworzył się duży basen. Gdy dotarłem tam krótko po północy, był on skąpany w łagodnym świetle tysiąca świec. Pielgrzymi – setki ludzi – nurkowali i wynurzali się z wody, gromadzili się na skałach lub przed ołtarzami, śpiewali pieśni vodoun. Choć przez całe życie chłonęli promienie gorącego słońca, teraz trzęśli się z zimna i energicznie masowali dłońmi nagą skórę. Wysoko w górze inni pielgrzymi oddalali się ścieżką, którą tu dotarłem, szli w stronę horyzontu, wędrowali razem z nocnymi chmurami. Nad koronami strzelistych drzew *mapou* rozpościerało się niebo, gwiazdy zaś były gęste jak płatki wiosennych kwiatów.

*

Max Beauvoir wyjaśnił mi, że vodoun nie jest religią animistyczną. Zgodnie z haitańskimi wierzeniami drzewa, rośliny i kamienie nie mają duszy, lecz służą *loa*, te zaś są różnorodnymi reprezentacjami Boga. Istnieją choćby Agwé, duchowy władca morza, i Ogoun, duch ognia i metali. Są też Erzulie, bogini miłości, Guede, bóg zmarłych, Legba, który umożliwia komunikację między ludźmi a *loa*. Wyznawcy vodoun oddają cześć setkom *loa*, wierzą bowiem, że wszystko, co żywe, wszystkie przedmioty, a nawet abstrakcyjne zjawiska to przejawy Boga. Bóg jest najwyższą istotą, lecz trzyma się z dala od ziemskich spraw i w ogóle w nich nie uczestniczy. Na co dzień Haitańczyk ma do czynienia wyłącznie z *loa*.

Duchy żyją za wielką wodą, dzielą swój czas między Haiti a Gwineę, mityczną ojczyznę. Wyłaniają się z dna morza, zamieszkują rozległe równiny, schodzą kamienistymi drogami z górskich szczytów. Gnieżdżą się we wnętrzach głazów, w wilgotnych jaskiniach, w studniach. Wierni udają się do takich miejsc, tak jak my udajemy się do katedr. Nie oddajemy czci kościołom – uczęszczamy do nich, by zaznać obecności Boga. Na tym właśnie polega pielgrzymka.

*

Gdy wykąpałem się w wodospadzie, ruszyłem w stronę *mapou*, by pośród stromych skał i wijących się korzeni poszukać schronienia przed zimnym, wilgotnym wiatrem. Ryk spadającej wody zagłuszał inne dźwięki, szybko jednak przestałem zwracać na niego uwagę. Pozostała tylko przyjemna poduszka ciszy, pusty szum, jaki zapewne nieustannie słyszą głusi.

Choć ostrzeżono mnie, że w korzeniach drzewa żyją dwa węże – zielony i czarny – najwyraźniej postanowiły one zostawić mnie w spokoju. Na pograniczu niespokojnego snu czułem tylko grubą korę *mapou* to pod jednym, to pod drugim policzkiem, gdy przewracałem się z boku na bok. Dobrze znałem każdą część tego drzewa, każde naczynie, każdy aparat szparkowy, każdy trichom, rozmieszczenie wszystkich pręcików, wszystkie kanały, którymi podróżowała zielona krew. Podczas studiów widziałem drzewa należące do tego gatunku rozkrawane na tysiąc lub więcej części, dzielone na tysiąc elementarnych procesów dających się opisać zgodnie z regułami mojej dyscypliny. Na tym polega nauka. Każdy z nas robi swoje, badając mały kawałek świata. Ale co z Loco, duchem drzewa, któremu liście zawdzięczają swą leczniczą moc? *Mapou* było jego domem. Naraz ujrzałem je w innym świetle, dostrzegłem nie tylko organizm składający się z określonych struktur, lecz także żyjącą istotę, ożywioną dzięki wierze.

Zahaczyłem paznokciem o kawałek kory i ciarki przebiegły mi po plecach. Usiadłem gwałtownie i zobaczyłem pielgrzymów, którzy skulili się dokoła drzewa niczym psy pasterskie. Kości mieli zesztywniałe i przesiąknięte ciemnością. Pomiędzy korzeniami paliły się świeczki, których nie było tam, gdy się kładłem. Wyciągnięte ręce wciskały w korę miękki wosk. Płomienie migotały, pluły dymem i co chwila gasły. Pod nami przelewał się potężny wodospad.

Przed świtem obudziłem się jeszcze dwukrotnie. Za pierwszym razem przywitały mnie kobaltowe niebo i promienie księżyca liżące krzaki ciężkie od rosy. W tym świetle korzenie *mapou* były białe, nieruchome, zdawały się dziwne. Nim zbudziłem się ponownie, gwiazdy zgasły, na horyzoncie pojawiła się kreska słońca. Wenus przewędrowała przez całe nocne niebo i teraz również pomału znikała. Wpatrywałem się w nią, aż oczy zaczęły mnie boleć. Szara chmura przecięła jej drogę; gdy odeszła, planety nie było już widać. Szukałem jej i szukałem, na próżno. Zniknęła. Powinna nadal być widoczna. Astronomowie obliczyli ilość światła odbijanego przez Wenus; na podstawie tych rachunków wiemy, że ludzkie oko jest w stanie ją dostrzec nawet w ciągu dnia. Udaje się to niektórym Indianom. Zaledwie kilkaset lat temu zachodni żeglarze mogli wykorzystywać Wenus do nawigacji przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Później zatraciliśmy zdolność odnajdowania planety wzrokiem i często próbowałem dociec, dlaczego tak się stało.

Dużo się mówi o potencjale ludzkiego mózgu, ale w praktyce jest on względnie ograniczony. Każdy ludzki umysł ma takie same predyspozycje.

Nasza różnorodność bierze się stąd, że w poszczególnych społecznościach pewne zdolności rozwijane są w większym, inne zaś w mniejszym stopniu, zależnie od nieuświadomionych wyborów kulturowych. Procesy te od zawsze fascynowały antropologów. W północno-zachodniej Amazonii żyje niewielka izolowana grupa Indian prowadzących częściowo nomadyczny tryb życia. Posługują się oni niezwykle prostymi narzędziami; do niedawna wyrabiali toporki z zaostrzonych kamieni. Zarazem ich wiedza na temat lasu tropikalnego jest wręcz nieprawdopodobna, większość biologów nie może się z nimi równać. Już w dzieciństwie Indianie ci uczą się o procesach zapylania i rozrzucania owoców, rozumieją i potrafią przewidywać zachowania zwierząt lub cykle kwitnienia setek różnych gatunków drzew. Dorośli łowcy umieją z odległości czterdziestu kroków wywęszyć mocz zwierzęcia i trafnie je zidentyfikować. Tak ogromna wrażliwość na otoczenie nie jest cechą wrodzoną tej grupy, podobnie jak sprawność w posługiwaniu się technologiami i ich ulepszaniu nie jest właściwa wyłącznie ludziom Zachodu. W obu przypadkach mamy do czynienia z konsekwencjami wyborów adaptacyjnych, które doprowadziły do rozwinięcia niezwykle wyspecjalizowanych – odmiennych – zdolności umysłowych. Z czegoś trzeba było jednak zrezygnować. Na poziomie kultury zmiana oznacza wybór. W bogatych społeczeństwach ludzie pędzą samochodami po autostradach, co wymaga niezliczonych, szybkich, podświadomych reakcji na bodźce oraz natychmiastowego podejmowania decyzji. Nasi pradziadkowie zupełnie by sobie z tym nie poradzili. Rozwinęliśmy tę zdolność za cenę utraty innych umiejętności – i dlatego nie potrafimy już dostrzegać Wenus na niebie, rozpoznawać zwierząt po zapachu ani przewidywać zmiany pogody na podstawie bodźców słuchowych.

Bodaj najważniejszego wyboru dokonaliśmy cztery stulecia temu, kiedy postanowiliśmy kultywować nowożytną naukę. Nasi przodkowie wcale do tego nie dążyli. Ów wybór kulturowy stanowił konsekwencję okoliczności dziejowych: narodził się nowy, szczególny sposób myślenia, niekoniecznie lepszy od tych, które istniały wcześniej, ale z pewnością inny. Każda społeczność – w tym nasza – pragnie odnaleźć porządek pośród chaosu, dąży do integracji w obliczu różnorodności i próbuje zachować spójność mimo anomalii. Owo fundamentalne pragnienie tworzenia koherentnych, zrozumiałych modeli wszechświata leży u podstaw wszystkich religii, wszystkich systemów filozoficznych, a także, rzecz jasna, nauki. Myślenie naukowe różni się od tradycyjnego (i od sposobów myślenia dominujących w kulturach niepiśmiennych), gdyż w myśleniu tradycyjnym dąży się do

wszechogarniającego rozumienia świata. Na przykład społeczeństwo vodoun tka całościową sieć wierzeń, które na pozór pozwalają wyjaśnić wszystkie zjawiska dokoła. Nieważne, co myślą o tym ludzie z zewnątrz – członkowie społeczeństwa vodoun uważają swoje wierzenia za trafne nie dlatego, że są do tego zmuszeni. To po prostu jedyny system myślenia, jaki znają. Co więcej, z ich punktu widzenia system ten całkiem dobrze się sprawdza, bo nadaje wszechświatowi znaczenie.

Myślenie naukowe działa zupełnie inaczej. Świadomie odrzucamy tego rodzaju wszechogarniające wizje i zamiast tego celowo dzielimy świat, nasze spostrzeżenia i naszą niepewność na tyle drobnych elementów, ile potrzeba, by zrozumieć dane zjawisko zgodnie z zasadami naszej logiki. Rozpatrujemy rzeczy i zjawiska wyjęte z kontekstu, a to, czego nie umiemy wyjaśnić, zbywamy za pomocą eufemizmów. Wyobraźmy sobie następującą sytuację: drzewo przewraca się podczas burzy i zabija przechodnia. Naukowiec potrafi stwierdzić, że pień drzewa był nadgniły, a prędkość wiatru większa niż zazwyczaj. Ale na pytanie, dlaczego drzewo upadło właśnie wtedy, gdy ktoś koło niego przechodził, w odpowiedzi usłyszymy z pewnością słowa w rodzaju „przypadek”, „zbieg okoliczności”, „zdarzenie losowe”. Żadne z nich nic nie znaczy; problem pozostaje otwarty. Dla wyznawcy vodoun natomiast każdy szczegół tego zdarzenia ma wyczerpujące, bezpośrednie i satysfakcjonujące wyjaśnienie zawdzięczane przyjętemu systemowi przekonań.

Jest oczywiste, że kwestionujemy wnioski wyznawców vodoun, aczkolwiek dajemy tym samym dowód pewnej arogancji. Ich system przekonań dobrze funkcjonuje, przynajmniej z ich punktu widzenia. Ponadto większość z nas po prostu milcząco przyjmuje modele i teorie naukowców, tak samo jak wyznawcy vodoun przyjmują metafizyczną teologię głoszoną przez hounganów. Mało który laik interesuje się podstawami myślenia naukowego. Bierzemy wszystkie odkrycia na wiarę, ufamy autorytetom i uznanym ekspertom. Postępujemy zatem tak samo jak haitańscy chłopi. Zakładamy, że zdołamy podzielić świat na dostatecznie dużo elementów tak nieskończenie małych, byśmy je mogli zrozumieć zgodnie z naszymi regułami. Co najważniejsze, zakładamy, że rozpatrywanie owych elementów jeden po drugim pozwoli nam formułować wnioski na temat całości. Wydaje nam się, że czyniąc tak, nic nie tracimy. To niebezpieczne złudzenie, bo owszem, tracimy – na przykład po wschodzie słońca nie potrafimy już wypatrzyć Wenus na nieboskłonie.

*

Poranek był uroczy. Najpierw promienie światła musnęły szczyt wodospadu, potem czubki drzew przybrały barwę miedzi. Ptaki przelatywały falami nad doliną, dokoła z rozpalanych ognisk, przez mgłę i przez narastający hałas, zaczęły się rozchodzić słodkie zapachy ziół i drewna. Pielgrzymi budzili się ze snu i niczym kwiaty chłonęli pierwsze krople słońca. Ja również wyłoniłem się z cienia i pierwszy raz na Haiti zaznałem cudownej anonimowości. Częściowo wynikało to z mojego zmęczenia, częściowo zaś z niezwykłej mocy tego miejsca i z panującej tu powszechnej radości: tym razem samotny, nieco rozmemłany *blanc* nikogo nie interesował. Nie zadawałem żadnych pytań, nie miałem przeszłości, po prostu przechadzałem się tam i z powrotem, stałem się milczącym świadkiem świętego wydarzenia, które nie przypominało żadnych znanych mi rytuałów.

Przez cały ranek na ścieżce schodzącej do wodospadu ciągnął się sznur pielgrzymów. Nie było w tym żadnego porządku, żadnej rutyny – po prostu nieustający strumień ludzi. W ciągu trzydniowego święta przewijało się tu nawet piętnaście tysięcy osób. Basen u podnóża góry był jak namiot cyrkowy, zdolny pomieścić wszystkich przybyszy. Czekał nas radosny poranek; widziałem to w chochlikowatych uśmiechach dzieci, na twarzach młodych elegancików z miast, którzy z kocią zwinnością przeskakiwali z kamieni na kamień, na ogorzałych obliczach chłopów, śmiejących się pogardliwie z grubego urzędnika rządowego. Dla prawdziwych wiernych była to również okazja, by zaznać oczyszczenia i uzdrowienia. Ludzie ci pragnęli skorzystać z potęgi wody, obmyć się w niej, pić ją, zabrać do butelki niewielką porcję zimnej, rozrzedzonej krwi bóstwa. Wędrując długą, kamienną ścieżką z Ville Bonheur, przystawali co najmniej raz pod drzewem Legby, strażnika rozdroży, aby zapalić świeczkę i poprosić go o ochronę. Teraz, przed zanurzeniem się w wodzie, gromadzili się nad basenem przy zakurzonych stoiskach zielarzy, którzy eksponowali pudełka poczerniałe od sadzy, grube kawałki korzeni, torebki pełne liści mombinu, wodę i zioła. Houngan i *mambo* opowiadali o magii czynionej za pomocą rosy i przywiązywali jaskrawe, kolorowe wstążki młodym dziewczynom, które nie mogły zajść w ciążę. Obwiązywali tymi wstążkami również potężne brzuchy matron. Później wstążki miały zostać zawieszone na warkoczach z wosku spływających z *mapou* błogosławionych przez bóstwa. Pod jedną ze skał młody chłopiec czekał ze spuszczoną głową, aż zostanie namaszczony przez *mambo*. Widziałem houngana masującego pierś starej kobiety. W długich rzędach razem z kapłanami rozstawili się też sprzedawcy

oferujący jedzenie składane bogom w ofierze, blaszane medaliony, obrazki i świece. Jakiś młody chłopak, najwyraźniej przekonany, że bogowie będą mu sprzyjać, rozstawiał właśnie planszę do gry w kości.

Wystarczyło dotknąć wody, by poczuć jej łaskę. Niektórym wystarczyło zanurzanie się w płytkich, srebrzystych rozlewiskach; ludzie ci pozostawiali na brzegu niewielkie ofiary z kukurydzy, ryżu i manioku. Większość jednak szła prosto do wodospadu. Mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, odsłaniali piersi, wspinali się po stopniach utworzonych przez śliskie kamienie u podnóża największej kaskady. W górze, na krawędzi skarpy, rzeka rozszczepiała się na troje, tworząc trzy wodogrzmoty, każdy wysoki na przeszło trzydzieści metrów. Część wody zmieniała się w mgiełkę, reszta ze straszliwą siłą uderzała w skały i płynęła dalej, dzieląc się na rozliczne strumyki przyciągające pielgrzymów. Kobiety wrzucały do strumyków swoje brudne ubrania i stawały z rozpostartymi ramionami, zaklinając duchy. Ich modlitwy ginęły wśród ryku wodospadów oraz wśród przenikliwych wrzasków i pokrzykiwań dzieci. Wszystko się wymieszało i roztopiło w ruchu: hałasy, widoki, emocje, bujna roślinność, pierwotna i rzadko spotykana. Młodzieńcy ustawiali się pod samym wodospadem, a ten zrywał z nich ubrania i przyciskał ich nagie ciała do skał.

Ktoś krzyknął *„Ayida Wedo!”*, choć krzyk ten brzmiał raczej jak szept. Mgła opadła nad basen, promienie słońca rozszczepiły się w kroplach wody i na całej ścianie wodospadu rozciągnął się łuk tęczy. Wielobarwna bogini, delikatna i zwiewna, przyszła radować się wraz ze swym druhem. Ayida Wedo, czyli Tęcza, i Damballah, Wąż, ojciec spadających wód, skarbnica wszelkiej mądrości duchowej. Kto się tu obmył, ten był gotów przyjąć go do swego ciała. Nic dziwnego, że u stóp wodospadu i tęczy duch ten dosiadł co najmniej stu pielgrzymów, którzy teraz wili się na mokrych skałach.

*

Na początku, mówiono, był tylko Wielki Wąż, zwinięty siedem tysięcy razy. Leżał pod ziemią i podtrzymywał ją, by nie wpadła do straszliwego morza. Z czasem zaczął się ruszać i otoczył cały wszechświat swym spiralnym ciałem. Umieścił na niebie gwiazdy i planety, na Ziemi zaś rozpoczął proces tworzenia. Wił się po zboczach i rył koryta rzek, które niczym tętnice niosły esencję wszelkiego życia. W okrutnym żarze kuł metale, unosił się ku niebu i miotał błyskawice, by zrodziły się z nich święte kamienie. Potem położył się na ścieżce Słońca i przejął nieco jego natury.

Między warstwami wężowej skóry kryło się źródło wiecznego życia.

To właśnie Wąż sprawił, że woda zaczęła spływać z góry na ziemię i wypełniać życiodajne rzeki. Tam, gdzie spadała, rozpostarła się Tęcza. Wąż pojął ją za żonę. Spletli się w kosmicznej helisie biegnącej łukiem wskroś nieba. Ze związku tego zrodził się duch, który daje życie krwi. Kobiety nauczyły się filtrować ową boską substancję przez swoje piersi i dzięki temu w ich piersiach powstaje mleko. Mężczyźni zaś filtrują ją przez jądra, by powstała sperma. Wąż i Tęcza polecili kobietom, by raz na miesiąc pamiętały o swoim błogosławieństwie. Potem nauczyli mężczyzn, by tamowali upływ: wówczas brzuch kobiety napęcznieje i powstanie nowe życie. Ostatnim darem obu bóstw było przykazanie, by człowiek spożywał krew jako sakrament, w ten sposób będzie mógł bowiem stać się bóstwem i ogarnąć umysłem mądrość Węża.

*

Opętanie przez ducha budzi zazwyczaj głęboki niepokój u osób spoza kręgu wyznawców vodoun. Moc opętania jest naga, bezpośrednia, niezaprzeczalnie realna, wręcz druzgocąca dla tych z nas, którzy nie znają własnych bogów. Gdy przyglądamy się, jak w pełni normalny, poważany człowiek przyjmuje bóstwo do swego ciała, czujemy albo lęk – wówczas kolejną naturalną reakcją jest niedowierzanie – albo okropną zazdrość. Psychologowie, którzy próbowali analizować opętanie w sposób naukowy, zazwyczaj należą do pierwszej kategorii i być może stąd wzięła się niejedna zdumiewająca hipoteza, oparta częściowo na nieuzasadnionych założeniach. Ponieważ mistycyzm vodoun obejmuje zjawiska wykraczające poza naukę (takie choćby jak istnienie duchów), konkretne wierzenia osób opętanych przez bóstwa są niekiedy pomijane przez uczonych, uznawane za kwestie poboczne. Dla wyznawcy vodoun rozszczepienie osobowości towarzyszące opętaniu to akt boskiej łaski. Natomiast dla psychologa jest to jedynie objaw „całościowego zaburzenia psychiki”.

Pewien uznany haitański lekarz przyznawał, że do opętania dochodzi jedynie w ściśle wyznaczonych ramach rytuału, mimo to pozwolił sobie na konkluzję, że opętanie stanowi skutek „patologii rozpowszechnionych na prowincji, które bynajmniej nie wynikają z doświadczeń jednostkowych czy społecznych, ale wiążą się z genetyczną charakterystyką populacji Haiti”. Miała to być „rasowa psychoza”, dotykająca „wyjątkowo nerwowy lud”. Nawet osobom skądinąd pozytywnie nastawionym do vodoun zdarzało się niekiedy formułować dziwaczne opinie. Doktor Jean Price-Mars, jeden z pierwszych intelektualistów będących orędownikami haitańskiej religii,

uważał opętania za objaw typowy dla „osób niezrównoważonych psychicznie i cierpiących wskutek mitomanii". Tę ostatnią definiował jako „świadomą patologiczną skłonność do kłamstw i wymyślania historyjek".

Takie wyjaśnienia okazują się szczególnie jałowe, gdy zestawić je z pewnymi niekwestionowanymi cechami fizjologicznymi osób opętanych. Inny szacowny haitański lekarz przyznawał, że człowiek opętany potrafi bez wahania włożyć ręce do wrzącej wody, ale zastrzegał: „Ludzie prymitywni poddają się zabiegom chirurgicznym bez znieczulenia, choć my doświadczylibyśmy w takiej sytuacji potężnego wstrząsu". Dodawał też cokolwiek niepewnie, że zdarzają się przypadki, gdy pacjent szpitala psychiatrycznego poparzy się i nawet nie zauważy odpadających fragmentów skóry. Ów lekarz nie zauważył tego, co wielokrotnie zaobserwowali inni, a mianowicie że opętanym nigdy nie dzieje się żadna krzywda.

Psychologiczne interpretacje są potencjalnie szkodliwe, gdyż opierają się na milczącym założeniu, że opętanie to odstępstwo od normy. Tymczasem antropolodzy jednoznacznie obalili tę tezę i bardzo im się to chwali. W ramach jednego z badań etnograficznych przeanalizowano dane na temat czterystu osiemdziesięciu ośmiu społeczności z całego świata. Okazało się, że opętania w tej czy innej postaci występują w trzystu sześćdziesięciu społecznościach, natomiast opętania, którym towarzyszy trans, w przeszło połowie próby (również w społeczeństwach zachodnich). Od wyroczni delfickiej w starożytnej Grecji aż po szamanów północnej Eurazji opętanie przez ducha uważano za normalne zjawisko występujące w określonych warunkach, zazwyczaj w kontekście kultu religijnego. Ale nawet wnioski antropologów to zazwyczaj obserwacje, nie wyjaśnienia. Trafnie stwierdzono, że opętanie wiąże się z jakiegoś rodzaju rozdzieleniem, transformacją i ponowną integracją rozmaitych elementów ludzkiej psychiki. Antropolodzy mają też rację, gdy piszą, że do pewnego stopnia opętanie przez duchy to praktyka wyuczona i wzmacniana kulturowo, mająca wartość terapeutyczną i powodująca oczyszczenie.

Tymczasem najważniejsze, najbardziej niepokojące pytania nadal nie doczekały się odpowiedzi. Na przykład dlaczego osoba, której dosiada duch, doświadcza całkowitej amnezji, a mimo to nadal prezentuje ściśle określone, często bardzo skomplikowane zachowania charakterystyczne dla danego *loa*? Haitańskie bóstwa łatwo rozpoznać. Legba to słabowity starzec, kuśtykający boleśnie i podpierający się kulą. Erzulie Freda jest próżną królową i ciągle się czegoś domaga. Ogoun, jak przystało na wojownika, uwielbia ogień i stal, zazwyczaj wymachuje maczetą, często chwyta do ręki

rozżarzone węgle. Jak to się dzieje, że kiedy ów *loa* wchodzi w płomienie, opętanemu człowiekowi nic się nie dzieje? Moja logika nie dawała sobie rady z tymi pytaniami. Być może istnieje jakieś fizjologiczne wyjaśnienie tych niesamowitych zdolności. Jeśli tak, należy go szukać, badając ludzką świadomość oraz interakcje między ciałem a umysłem, których jak dotąd zachodnia psychiatria i medycyna kompletnie nie rozumieją. Na razie, wobec braku naukowych odpowiedzi i wobec naszej niewątpliwej ignorancji, głupotą byłoby lekceważyć opinie ludzi, którzy na temat opętań wiedzą najwięcej.

*

Przez większą część dnia siedziałem pod *mapou*. Po kilku tygodniach spędzonych w podróży, po wielu napiętych sytuacjach dobrze było zaznać bezruchu i przyglądać się temu, co działo się wokół. Wiedziałem, że niedługo czekają mnie zmiany: miałem wrócić do Nowego Jorku i zdać relację Kline'owi. Nie potrafiłem powiedzieć, czy i kiedy ponownie odwiedzę Haiti. Kline był zadowolony z kolejnych otrzymanych próbek i palił się, by kontynuować badania laboratoryjne. Jego zdaniem wstępna faza projektu dobiegła końca. Aktywny farmakologicznie związek służący do zombifikacji został zidentyfikowany; teraz Kline'a interesowało głównie udokumentowanie i przebadanie jakiejś ofiary wyciągniętej z grobu.

Sam również chciałem zaobserwować ceremonię odbywającą się na cmentarzu, zacząłem więc po cichu rozpytywać o tę możliwość, choć od początku uważałem, że to raczej ślepa uliczka. Szanse na sukces były znikome, ryzyko olbrzymie. Niezależnie od problemów natury etycznej i praktycznej i tak nie przybliżyłbym się do tego, co uważałem za główną tajemnicę. Materiał dowodowy w sprawie Clairviusa Narcisse'a zdecydowanie wystarczał, by rozbić zwierciadło niewiary. Po raz pierwszy mogliśmy zadać sobie najważniejsze pytania. By udzielić na nie odpowiedzi, nie wystarczyłoby biegać po całym Haiti w poszukiwaniu kolejnych zombie. Poznaliśmy skład preparatu, ponadto dzięki informacjom uzyskanym od Herarda udało się wyjaśnić, w jaki sposób trucizna jest aplikowana. Z tego, co mówili różni świadkowie, wynikało, że Narcisse bez wątpienia doświadczył jednej z form śmierci voodoo. Nadal jednak nie udało mi się zgłębić tutejszego systemu wierzeń i ustalić, na czym polegała zastosowana magia i jakie znaczenie przypisywał jej Narcisse.

Pogranicze śmierci. Lehmann już w pierwszej rozmowie ze mną zidentyfikował główny problem. Zombie znajduje się na skraju śmierci, a dla

wszystkich ludzi śmierć to najważniejszy nauczyciel, najważniejszy ból. Wyznacza moment, w którym kończy się znany nam świat i zaczyna się świat tajemnicy. Ciało traci nieuchwytny życiodajny pierwiastek; każda kultura musi w jakiś sposób wyjaśnić sobie tę nieuchronną separację lub przynajmniej się z nią pogodzić. To niezwykle ważna część mistycznego światopoglądu każdej społeczności. Skoro zombie naprawdę istnieli, to dotyczące ich wierzenia musiały się wiązać z podstawowymi elementami haitańskiej kultury. Należało ją zatem porządnie zgłębić. Cóż lepszego niż spędzenie całego dnia i całej nocy w Saut d'Eau, niż oglądanie tutejszych cudowności i wsłuchiwanie się w słowa houngana?

*

Według Haitańczyków człowiek może z łatwością wędrować do świata duchów i stamtąd wracać, bo przecież ludzie prowadzą tu niezwykły dialog z *loa*. Duchy są potężne i jeśli się je znieważy, potrafią wyrządzić wielkie szkody. Z drugiej strony są przewidywalne. Wystarczy odpowiednio zjednać sobie ich przychylność, a odwdzięczą się, zapewniając nam zdrowie, płodność i dostatek. Człowiek musi zatem czcić duchy. Te z kolei potrzebują człowieka, gdyż jego ciało służy im za rumaka. Zazwyczaj zjawiają się podczas ceremonii religijnych i wspinają się po *poteau mitan*, bo wezwał je rytm bębnów lub wibracje dzwonu. Człowiek, którego dosiądzie *loa*, traci poczucie własnego „ja". Staje się duchem, przejmuje jego osobowość i moce. Oczywiście właśnie dlatego opętanemu ciału nie dzieje się nigdy żadna krzywda.

Ludzkie ciało nie jest jednak pustym naczyniem bogów. Zbiegają się w nim święte siły. To właśnie w ciele mogą zostać osiągnięte harmonia i równowaga. Mamy do czynienia ze swego rodzaju dramatem, którego bohaterami są główne części istoty ludzkiej: *z'étoile*, *gros bon ange*, *ti bon ange*, *n'âme* oraz *corps cadavre*. *Corps cadavre* to po prostu ciało, krew, kości, tkanki. Mianem *n'âme* określa się ducha wewnątrz ciała, siłę, dzięki której funkcjonuje każda komórka. Właśnie pozostałości *n'âme* sprawiają, że zwłoki nie rozpadają się jeszcze przez pewien czas po śmierci. *N'âme* jest darem od Boga. Gdy *corps cadavre* umrze, *n'âme* pomału przenika do organizmów w ziemi. Stopniowy rozkład trupa stanowi skutek tego powolnego transferu energii, trwającego osiemnaście miesięcy. To dlatego przez półtora roku po pogrzebie nie wolno ruszać trumny.

Z'étoile znajduje się nie w ciele, lecz na niebie. Jest to gwiazda

przeznaczenia danej osoby, uważa się ją za coś w rodzaju tykwy, w której kryją się wszystkie nadzieje konkretnego człowieka oraz zapisane wydarzenia z przyszłego życia jego duszy. Zależą one od przebiegu poprzedniego życia. Jeżeli spadająca gwiazda świeci jasno, przyszłość jednostki również będzie świetlana.

Dwa aspekty duszy vodoun – *ti bon ange* i *gros bon ange* – najłatwiej wyjaśnić za pomocą metafory często używanej przez Haitańczyków. Czasem w świetle późnopopołudniowego słońca człowiek rzuca dwa cienie: ciemny oraz nieco jaśniejszy, przypominający delikatną poświatę otaczającą księżyc w pełni. Jaśniejszy cień to *ti bon ange*, czyli „mały dobry anioł". Ciemny cień to *gros bon ange* – „duży dobry anioł". Ten drugi jest siłą życiową wspólną wszystkim świadomym istotom. Wstępuje w ciało jednostki w chwili poczęcia i utrzymuje owo ciało przy życiu. Gdy ciało umiera, *gros bon ange* zaraz wraca do Boga i znów staje się częścią wielkiego zasobu energii podtrzymującej życie. Natomiast *ti bon ange* to część duszy bezpośrednio związana z konkretną jednostką. Podczas gdy *gros bon ange* zapewnia każdemu siłę do działania, *ti bon ange* kształtuje uczucia jednostki i wszystkie jej uczynki. To aura, źródło osobowości, charakteru i siły woli.

Czarownicy, rzecz jasna, biorą *ti bon ange* na cel, bo przecież jest ono esencją człowieka. Co więcej, ta część duszy często opuszcza ciało: gdy człowiek śpi, *ti bon ange* podróżuje i stąd właśnie biorą się sny. A kiedy coś nagle nas przestraszy, *ti bon ange* natychmiast ucieka – dlatego w chwili szoku czujemy przez moment dziwną pustkę. Oczywiście podczas opętania to właśnie *ti bon ange* zostaje zastąpione przez *loa*.

Ti bon ange stanowi składnicę wiedzy i doświadczeń jednostki, więc nie wolno go zgubić ani stracić. Jeżeli uda się je uchronić przed czarownikami i pozwolić, by odbyło w całości swój cykl, po śmierci ciała zostanie zachowane, a jego spuścizna ocaleje. Tylko dzięki temu mądrość zgromadzona w poprzednich życiach będzie mogła zostać wykorzystana, by zaspokoić bieżące potrzeby. W rytuałach dokłada się starań, by zagwarantować bezpieczną i bezproblemową metamorfozę. Na przykład podczas ceremonii inicjacyjnych *ti bon ange* bywa wyciągane z ciała i umieszczane w *canari*, glinianym dzbanie, który następnie spocznie w wewnętrznym sanktuarium *hounfour*. Nadal będzie pełniło swoją główną funkcję – będzie ożywiało człowieka – ale pozostanie pod ochroną houngana. Ale nawet ta metoda nie zapewnia całkowitego bezpieczeństwa.

Co prawda, trudno zabić osobę, której *ti bon ange* zostało umieszczone w *canari*, lecz jeśli magia użyta przeciwko takiej osobie będzie dostatecznie silna, może doprowadzić do straszliwych cierpień. Zdarza się wówczas, że ofiara prosi houngana o uwolnienie duszy, bo wtedy skończą się jej męki. Jeżeli zaś osobie uda się przeżyć całe życie, po śmierci czeka ją kolejne zagrożenie. Gdy *corps cadavre* umrze, houngan musi rozbić *canari*, by *ti bon ange* mogło przez siedem dni przebywać w pobliżu zwłok. Po tym czasie następuje ostateczne rozdzielenie ciała i duszy (wyznawcy vodoun nie wierzą we wskrzeszenie ciała). Odbywa się to podczas *Dessounin*, najważniejszego rytuału związanego ze śmiercią. Przez owe siedem dni *ti bon ange* jest narażone na ciągłe ryzyko. Dopiero kiedy zostanie wyzwolone od ciała i zstąpi w ciemne wody, będzie mogło zaznać względnego bezpieczeństwa.

Ti bon ange pozostaje w wodnych głębinach, w świecie *Les Invisibles*, przez dzień i rok, potem zaś odbywa się jedna z najważniejszych ceremonii vodoun: *Wété Mo Nan Dlo*. Wyznawcy przeprowadzają rytuał odzyskania duszy i nadają jej nową formę. Zamiast ciała, które zdążyło się już rozłożyć, dusza – nazywana *esprit* – otrzymuje kolejne naczynie, gliniany dzban zwany *govi*. Dla Haitańczyków odzyskanie istoty zmarłego to nie akt sentymentalnego upamiętnienia. Przeciwnie, to proces równie ważny jak narodziny. Gdy wychodzimy z łona, jesteśmy zwierzętami. Inicjacja oznacza narodziny duchowe, stajemy się wówczas ludźmi. Teraz, na ostatnim etapie, rodzimy się jako boska esencja. Duchy trzymane w *govi* są karmione i przyodziewane, potem wypuszcza się je do lasu, by mieszkały w drzewach lub grotach, czekając na odrodzenie. Po ostatnim z szesnastu wcieleń *esprit* udaje się do Damballaha Wedo i stapia się z *Djo*, kosmicznym oddechem spowijającym cały wszechświat.

Długa podróż *ti bon ange* odpowiada metamorfozie jednostki w czystą energię duchową. Dlatego, gdy przemijają kolejne pokolenia, jednostka, której *esprit* umieszczony został w *govi*, przestaje być uważana za przodka konkretnej rodziny i zostaje zaliczona do przodków całej ludzkości. Ale nawet ta czysta energia duchowa musi pełnić jakąś widoczną funkcję. Tak oto z grona przodków wyłaniają się pewne archetypiczne duchy: *loa*. Rzecz jasna, opętanie, czyli powrót ducha do ludzkiego ciała, stanowi domknięcie świętego cyklu. Człowiek zmienia się w przodka, przodek w kosmiczną zasadę, zasada w bóstwo, bóstwo wstępuje w ciało i wypiera człowieka. Wyznawca vodoun czci swoich bogów, a także daje im życie. Nigdy się

o tym nie zapomina. Ciało pochodzi z ducha, duch z ciała. Nie ma sprzeczności między jednym a drugim, jest jedynie współzależność. Regularne wizyty bóstw uchodzą nie za cud, lecz za oczywiste zjawisko.

W tym kosmicznym cyklu najważniejszą bodaj rzeczą, jaką może zrobić człowiek, jest zachowanie równowagi, w przeciwnym razie bowiem naczynie bogów znajdzie się w niebezpieczeństwie. Idealna forma człowieka charakteryzuje się spójnością. Wszystkie święte elementy jednostki są na odpowiednim miejscu. Utrzymywanie lub przywrócenie równowagi to obowiązek houngana i właśnie dlatego kapłani vodoun zajmują się również uzdrawianiem. W naszym świeckim społeczeństwie życie i śmierć definiuje się w kategoriach czysto medycznych, natomiast wszelkie kwestie dotyczące duszy pozostawia się specjalistom od spraw religijnych, którzy – co ważne – nie są autorytetami w sprawach zdrowia ani dobrostanu cielesnego. Tymczasem w społeczeństwie vodoun lekarz to zarazem kapłan, gdyż stan ducha jest równie ważny jak stan ciała. Więcej nawet: stan ciała zależy od stanu ducha. Choroba wynika nie z obecności patogenów w organizmie, lecz z braku równowagi. Jest zaburzeniem, destabilizacją, dowodem działania złowrogich sił. Zdrowie to stan harmonii, wyznawca vodoun uważa je za święte, za znak doskonałego wypełnienia posługi dla bogów.

Dlatego medycyna vodoun funkcjonuje na dwóch różnych poziomach. Wyróżnia się wiele względnie mało groźnych schorzeń, które leczone są objawowo, mniej więcej tak samo jak u nas. Wystarczą rośliny lecznicze i rozmaite preparaty; wiele z nich zawiera związki farmakologicznie aktywne. Podstawową wiedzę na temat tego rodzaju prostych terapii przekazuje się w ramach tradycyjnej edukacji praktycznie wszystkim Haitańczykom z prowincji. Są wprawdzie poważani specjaliści zwani *dokte feuilles* – czyli zielarze – ale ich wiedza nie ma mistycznego charakteru. O wiele poważniej traktuje się problemy wynikające z zaburzenia harmonii duchowej. Wówczas nie wystarcza zajęcie się objawami. Trzeba usunąć przyczynę, a tym może się zająć wyłącznie houngan. Jako że nierównowaga dotyczy wszystkich aspektów życia jednostki, do houngana przychodzi się z problemami psychicznymi, zdrowotnymi, w okresach długotrwałego pecha oraz z kłopotami małżeńskimi i finansowymi. Każdy przypadek jest wyjątkowy. Omawiana tu forma medycyny nie odrzuca istnienia patogenów, ale po prostu przypomina, że patogeny są nieustannie obecne w otoczeniu ludzi, trzeba zatem zastanowić się, dlaczego dana osoba w danym momencie padła ich ofiarą.

Aby przywrócić pacjentowi zdrowie, stosuje się wiele technik. Część

z nich ma charakter fizyczny: zaliczają się do nich kąpiele ziołowe, masaże, umieszczenie pacjenta w izolatce w *hounfour*, podawanie mu naparów z roślin leczniczych i – co chyba najważniejsze – złożenie ofiary, aby pacjent mógł zwrócić ziemi dar w postaci witalnej energii. Ostatecznie jednak los chorego zależy od interwencji duchowej. W tym przypadku houngan jest jedynie sługą *loa*. Duch zostaje wezwany do ciała houngana lub jego pomocnika i – niczym wyrocznia – przekazuje zalecenia bogów.

Zdarza się, że siły, które skrzyknęły się przeciwko jednostce, są po prostu zbyt potężne. Jeżeli dojdzie do choroby i nieodwracalnego rozdzielenia elementów duchowych, nastąpi śmierć. Śmierć jednak nie ogranicza się do tego, że ciało kończy doczesną wędrówkę. Życie nie zaczyna się w chwili poczęcia, ale wcześniej, gdy Bóg postanawia, że konkretny człowiek będzie istniał, śmierć to natomiast moment, gdy wszystkie duchowe elementy składające się na jednostkę ludzką trafią tam, gdzie trafić powinny. Wyznawca vodoun wierzy w nieśmiertelność ducha, nie boi się więc śmierci, bo nie oznacza ona końca, zarazem jednak obawia się jej, gdyż jest to zasadniczy i bardzo niebezpieczny etap istnienia, podczas którego pięć podstawowych elementów rozdziela się, a *ti bon ange* może łatwo zostać schwytane przez czarownika.

Śmierć ciała również wiąże się z pewnymi niepokojami, można bowiem wyróżnić dwie jej przyczyny. Każda ma odmienne konsekwencje. Niezwykle rzadko się zdarza, że śmierć zostaje uznana za naturalną, za odpowiedź na wezwanie przez Boga (*mort bon Dieu*). Dotyczy to na przykład starca, który umiera we śnie; ludzkie działania nie odgrywają tu żadnej roli. W innych sytuacjach mamy do czynienia ze śmiercią nienaturalną, czyli przedwczesną. Przeważnie jest ona skutkiem interwencji czarownika. Według wierzeń wyznawców vodoun każdy, kto umarł nienaturalną magiczną śmiercią, może zostać zmieniony w zombie. Jeśli bokor chce na kogoś sprowadzić taką śmierć, ma wiele różnych sposobów do wyboru. Nie oznacza to jednak, że koniecznie dojdzie do zombifikacji – ta jest po prostu dodatkowym zagrożeniem. Wynika stąd, że moje badania opierały się z początku na pewnej nietrafnej przesłance.

Wiedzieliśmy, że proszek używany do zombifikacji może farmakologicznie wywołać stan pozornej śmierci, zakładaliśmy więc, że każdy bokor dostrzega bezpośrednią zależność przyczynowo-skutkową między proszkiem a powstaniem zmarłego z grobu. Teraz jednak pojąłem, że dla wyznawców vodoun wcale nie był to linearny proces. Z ich punktu widzenia przemienienie człowieka w zombie wymagało dwóch wydarzeń

powiązanych ze sobą jedynie pośrednio. Pierwsze to nienaturalna śmierć, drugie – ceremonia na cmentarzu. Według haitańskich wierzeń proszek po prostu zabija, powoduje nienaturalną śmierć, stanowiącą warunek konieczny zombifikacji. Nie trucizna i nie antidotum powodują przemianę w zombie. Tę wywołuje jedynie magiczna moc bokora. Właśnie dlatego Herard uważał, że nigdy nie zrozumiem, czym są zombie. Nie znałem magii i nikt z pewnością by mi jej nie przekazał.

Zatem z perspektywy wyznawców vodoun zombifikacja to dzieło czarownika. Nie zaskakuje, że krewni zmarłego ogromnie się niepokoją i dokładają starań, by umarły był naprawdę umarłym, lub przynajmniej próbują ochronić go przed straszliwym losem. Ciało bywa zabijane ponownie – przeprowadza się dekapitację lub wbija się nóż w serce trupa. Czasami w trumnie umieszcza się nasiona; ten, kto będzie chciał wykraść zwłoki, musi je przeliczyć, co może zająć mu czas aż do świtu, gdy zombifikacja stanie się niemożliwa.

Bokor, który pragnie jej dokonać, musi schwytać *ti bon ange* upatrzonej ofiary. Tego magicznego aktu można dokonać na wiele sposobów. Wyjątkowo silny bokor potrafi zyskać kontrolę nad *ti bon ange* marynarza, który umarł na morzu, lub Haitańczyka zabitego na obcej ziemi. Czasami kradnie *ti bon ange* żyjącej osoby i tym samym pośrednio powoduje jej śmierć: jednostka, utraciwszy zdolność myślenia i wolną wolę, pomału umiera. Kradzieży takiej dokonuje się chociażby, rozsypując krzyż z trującego proszku na progu domu ofiary. Dzięki magicznym talentom bokora żaden inny domownik nie ucierpi. Właśnie taką usługę zaoferowali mi LaBonté i Obin w Petite Rivière de Nippes. Trzeci sposób pozyskania *ti bon ange* to schwytanie go zaraz po śmierci *corps cadavre*. *Ti bon ange* jeszcze przez tydzień pozostaje w pobliżu zwłok. Podsumowując, bokor może spowodować nienaturalny zgon ofiary (ale wcale nie musi tego robić), *ti bon ange* da się zaś pozyskać dzięki magii za życia *corps cadavre* lub już po jego śmierci.

Bez względu na okoliczności schwytanie *ti bon ange* powoduje rozdzielenie duchowych komponentów ofiary. Powstają wówczas dwa rodzaje zombie. Wyjaśnił mi to Herard. Po pierwsze, duch – *ti bon ange* – staje się zombie, jest umieszczany w dzbanie, następnie zaś można za pomocą magii przenieść go do ciała owada, zwierzęcia lub człowieka, by wykonywał polecenia bokora. Pozostałe komponenty duchowe – *z'étoile, gros bon ange, n'âme* oraz *corps cadavre* – składają się na *zombi*

cadavre, czyli cielesne zombie.

Ożywienie *zombi cadavre* na cmentarzu wymaga niezwykłej znajomości magii. Bokor musi przede wszystkim sprawić, że komponenty duchowe nie przejdą transformacji, do której dochodzi zawsze po śmierci ciała. Najpierw należy schwytać *ti bon ange* – unoszące się zazwyczaj ponad ciałem, niczym fosforyzujący cień – i uniemożliwić mu ponowne wniknięcie do ciała ofiary. Jednym z wielu sposobów, by temu zapobiec, jest brutalne pobicie zmarłego. Jak pamiętamy, spotkało to Narcisse'a. Ponadto *gros bon ange* nie może wrócić do swego źródła, należy też zachować *n'âme*, aby zatrzymać rozkład ciała. *Zombi cadavre* może funkcjonować dzięki *gros bon ange* i *n'âme*, ale pozostaje jedynie pustym naczyniem, narzędziem posłusznym woli bokora lub każdego, kto sprawuje kontrolę nad *ti bon ange*. Wyznawcy vodoun boją się obcych, złowrogich sił, zdolnych zawładnąć człowiekiem. Haitańczyk lęka się, że zostanie zmieniony w zombie, a nie tego, że zombie wyrządzi mu krzywdę. Słowem, *zombi cadavre* to ciało pozbawione kompletnej duszy, materia bez moralności.

*

Rozwiązanie tej zagadki okazało się dość eleganckie. Z perspektywy vodoun tworzenie zombie to procedura magiczna. Czasami jednak bokor powoduje nienaturalną śmierć ofiary nie przez schwytanie *ti bon ange* żywego człowieka, ale przez zastosowanie powolnej trucizny. Jeżeli zaaplikuje się ją do rany lub jeśli dostanie się ona do organizmu drogą oddechową, spowoduje powolną śmierć *corps cadavre*. W skład trucizny wchodzi tetrodotoksyna, gwałtownie spowolniająca metabolizm ofiary do tego stopnia, że prawie następuje śmierć kliniczna. Lekarz stwierdza zgon, członkowie rodziny i nawet sam bokor uważają, że człowiek umarł. Następuje pogrzeb, ofiara zostaje pochowana żywcem. Bez wątpienia w wielu przypadkach ofiara naprawdę umiera – albo za sprawą trucizny, albo z powodu uduszenia się w trumnie. Nie byłoby jednak powszechnej wiary w zombie, gdyby nie osoby, które otrzymały właściwą dawkę, obudziły się w grobie i zostały wykopane przez bokora. Ofiara zaznaje skutków narkotyku oraz traumy związanej z „set and setting" całego doświadczenia. Bokor związuje ją i prowadzi pod krzyż, by ochrzcić ją nowym imieniem. Potem (czasami dopiero następnego dnia) zmusza się ją do zjedzenia pasty zawierającej silną dawkę środka psychoaktywnego, ogórka zombie, który powoduje dezorientację i utratę pamięci. A potem odurzony zombie zostaje

uprowadzony i znika pośród nocy.

Nadal dręczyło mnie jedno pytanie. Skład trucizny i magia bokora tłumaczyły, w jaki sposób dochodzi do zombifikacji, nie potrafiłem jednak wyjaśnić doboru ofiar. Wiele osób, w tym haitańscy prawodawcy, uważało, że zombifikacja to jedynie przypadkowe przestępstwo, ale im więcej czasu spędzałem w kraju, im więcej wiedziałem na temat vodoun, tym bardziej byłem pod wrażeniem jego wewnętrznej spójności. Czarownictwo z pewnością stanowiło potężną siłę. Zarazem zostało zinstytucjonalizowane, stało się zasadniczym elementem tutejszej wizji świata. Pytanie, czemu na Haiti istnieje czarownictwo, jest równoważne z pytaniem, czemu na świecie istnieje zło. Odpowiedź zaś jest zasadniczo taka sama we wszystkich wielkich systemach religijnych: zło to zwierciadło dobra, niezbędny element, który dopełnia stworzenie. Haitańczycy, podobnie jak inne społeczności, rozumieją tę świętą równowagę.

Teza, że zombifikacja była przygodną zbrodnią, kłóciła się z zebranymi przeze mnie informacjami. Przy okazji pozyskiwania preparatów nawiązałem bezpośredni kontakt z kilkoma tajnymi stowarzyszeniami i przekonałem się, że często osobami kontrolującymi dostęp do trujących proszków są ich przywódcy. Istniały dowody poszlakowe, że Narcisse i Ti Femme byli bardzo nielubiani w swoich społecznościach, ponadto dowiedziałem się z wielu źródeł, że zombifikacja obejmowała również swego rodzaju proces przed trybunałem. Max Beauvoir zasugerował nawet, że kluczem do rozwiązania tajemnicy są rady tajnych stowarzyszeń. Co dokładnie miał na myśli? Kiedy poszukiwałem toksyny, mój instynkt, niezmącony przez żadne fałszywe założenia, dobrze się sprawdzał. Im dalej jednak brnąłem, tym bardziej przeszkadzała mi moja niewiedza. Czym były tajne stowarzyszenia? Jak się miały do haitańskich władz krajowych? Wróciłem do Stanów Zjednoczonych, bo Kline domagał się mojej obecności, ale postanowiłem przy okazji poszukać odpowiedzi na powyższe pytania. Musiałem cofnąć się w czasie do samego początku, do okrutnych dni, kiedy Haiti było kolonią francuską.

11

Powiedz mojemu wierzchowcowi

Zdarzyło się to na plantacji opodal Limbé w roku 1740. W pierwszej chwili nie zauważył, że żelazne walce prasy do wyciskania trzciny cukrowej są umazane jego karmazynową krwią. Krzyki dziecka zaalarmowały operatora machiny, a ten przeciął skórzane postronki, którymi przywiązany był koń napędzający prasę, lecz zanim się to stało, ręka została zmiażdżona aż do ramienia, krew zaś wymieszała się ze słodkim syropem. Ból nie był dla niewolnika niczym nowym. Teraz niewolnik czuł jedynie gniew wynikający z nieznośnej bezsilności. Wolną ręką walił w prasę, użył całej siły swojego powykręcanego ciała, by wydostać uwięzioną kończynę. Walce przekręciły się w drugą stronę, zmiażdżone ramię zostało uwolnione. Wtedy niewolnik wpadł w delirium i naraz przeniósł się do krainy, w której przyszedł na świat, do królestw ludów Mandingo i Fulbe, do wielkich miast Gwinei. Ujrzał fortece i ogromne targi, ściągające kupców z całego kontynentu i z dalszych stron. Widział wspaniałe świątynie, o wiele dostojniejsze niż te, w których Francuzi czcili swojego nędznego boga. Nie zauważył, że obwiązano mu ramię sznurem, by zatamować upływ krwi, i nie usłyszał, jak wołają, by ktoś przyniósł maczetę, która miała posłużyć do amputacji i w ten sposób dokończyć dzieła rozpoczętego przez walce. Poczuł jedynie rezonujący, nabrzmiewający dźwięk, pojedynczą sylabę biegnącą od jego umazanych krwią stóp przez pusty brzuch, a to, co wydostało się z jego ust, nie było jego głosem. Rozbrzmiał krzyk pełen gniewu, krzyk czystej nienawiści i zemsty – ale nie z powodu wypadku. Nie, sprawiedliwość miała zostać wymierzona w imieniu całego ludu wykradzionego z Afryki i zawleczonego w kajdanach do pracy na ziemiach odebranych Indianom.

Niewiele brakowało, a François Macandal umarłby tamtego dnia, lecz ten niewolnik z ludu Mandingo nie był zwykłym człowiekiem. Jeszcze przed wypadkiem niewolnicy z północnego dystryktu w okolicy Limbé uważali go za swojego przywódcę, podziwiali obojętność, z którą znosił okrucieństwo nadzorców plantacji. Widzieli, jak jego przekrwione oczy pogardliwie spoglądają na bicz ze skręconego sznura lub z rozciągniętego i wysuszonego byczego penisa. Nocami opowiadał o Gwinei, a jego słowa dodawały otuchy nawet tym, którzy dawno już pogrążyli się w rozpaczy. Gdy mówił, ludzie

czuli się zaszczyceni, że mogą go słuchać. Kobiety pragnęły spać u jego boku, bo w ten sposób mogły dzielić wizje nawiedzające go w snach i ujrzeć przyszłość. Ale to właśnie odwaga, którą wykazał się w chwili wypadku, ostatecznie potwierdziła powszechne przypuszczenia. Niewolnicy pojęli, że Macandal jest nieśmiertelnym, niepokonanym posłańcem bogów. Biali w ogóle nie zdawali sobie z tego sprawy.

Po wypadku Macandal nie nadawał się do pracy w polu, kazano mu więc pasać bydło. Codziennie wyruszał o świcie, by zapędzić krowy na pastwiska w górach. Nikt nie wiedział, czym zajmował się przez długie godziny, gdy przebywał poza plantacją. Mówiono, że odkrywał magiczne rośliny i szukał liści przypominających te, które znał z Afryki. Zdaniem innych dotarł do starych mistrzów mieszkających w jaskiniach, do istot, których kroki wprawiały ziemię w drżenie. Jedno było pewne: Macandal nie wędrował samotnie, bo góry w okolicy Limbé zapewniały schronienie tysiącom uciekinierów z plantacji. Francuzi wyznaczali nagrody za schwytanie owych zbiegów i nazywali ich *marrons*.

*

Napęczniali bogactwem, jakiego nie widziano od początku kolonizacji, właściciele plantacji w Saint-Domingue uczynili okrucieństwo instytucją społeczną. Niewolnicy, których przyłapano na jedzeniu trzciny cukrowej, musieli pracować w blaszanych kagańcach. Uciekinierom przecinano ścięgna ud. Piętnowanie, biczowanie, gwałty i zabójstwa były na porządku dziennym; najbłahsze nawet przestępstwo karano, podwieszając człowieka na gwoździu wbitym w ucho. Tak naprawdę niewolnicy, podobnie jak trzcina, byli jedynie surowcem; w niektórych latach umierało osiemnaście tysięcy osób. Pewnego niewolnika trzymano w kajdanach dwadzieścia pięć lat. Można też wspomnieć osławionego właściciela plantacji, który zawsze miał przy sobie młotek i gwoździe, bo lubił za karę urywać niewolnikom uszy i przybijać je do drzew. Do innych powszechnie stosowanych tortur zaliczały się polewanie ciała wrzącym syropem z trzciny cukrowej, zszywanie ust miedzianym drutem, kastracja i okaleczanie genitaliów, palenie żywcem, smarowanie ciała niewolnika melasą, krępowanie go i pozostawianie w miejscu, gdzie roiło się od mrówek, wrzucanie ludzi do beczek z powbijanymi do wewnątrz wystającymi gwoździami, a także podpalanie prochu strzelniczego wepchniętego do odbytu, co czyniono na tyle często, że zrodziło się nawet kolokwialne powiedzenie „usmolić czarnemu tyłek”. Przemoc miała charakter systemowy, pojawił się więc

zawód kata, którego wynagrodzenie było regulowane na mocy przepisów prawa. Na przykład za spalenie człowieka żywcem trzeba było zapłacić sześćdziesiąt liwrów francuskich, wieszanie kosztowało zaledwie trzydzieści. Za skromne pięć liwrów kat mógł napiętnować niewolnika i obciąć mu uszy.

Okrucieństwo, powtórzmy, było normą, nie wyjątkiem. Najpierw niewolniczą pracę wykonywali Indianie, potem tysiące białych – złodziejaszków, skazańców, czasem po prostu ubogich mieszkańców miast, uprowadzonych z europejskich portów i wywiezionych na wyspę. Afrykanie nie byli pierwsi, lecz fakt ten bynajmniej nie uśmierzył ich gniewu. Praca przymusowa stanowiła podstawę systemu gospodarczego, który pożerał ludzi o najróżniejszych kolorach skóry. Plantacje mnożyły się na Karaibach niczym czyraki. Gdy Indianie poginęli, a podaż białej biedoty przestała zaspokajać popyt, kupcy postanowili szukać siły roboczej w Afryce, porywali mężczyzn i kobiety nie z powodu ich czarnej skóry, ale dlatego, że byli tani, liczni i dobrze nadawali się do pracy. Przedstawiciele europejskich elit bez wahania aprobowali wieszanie dzieci za drobną kradzież lub upychanie niewolników – czarnych lub białych – w ciasnych ładowniach statków. Nikogo nie interesowało, skąd pochodzą ludzie wykonujący pracę przymusową, byle udało się utrzymać produkcję na odpowiednim poziomie. Niewolnictwo nie zrodziło się z rasizmu; rasizm był konsekwencją niewolnictwa. U zarania epoki kolonialnej kupców, wywodzących się z zaściankowej Europy, nie obchodziła karnacja ich pracowników przymusowych. Nie obchodziła ona też afrykańskich królów, którzy w swych państwach wykorzystywali tysiące niewolników i za odpowiednią opłatą gotowi byli odsprzedać ich białym, bo pragnęli zrobić dobry interes. Ale niezliczeni ludzie wywożeni siłą na Saint-Domingue dobrze wiedzieli, jaki kolor skóry mają ich wrogowie.

Wobec nieustannego zastraszania i tortur niewolnicy mieli niewiele opcji do wyboru. Ci, którzy wybrali posłuszeństwo, robili co w ich mocy, by złagodzić swoje cierpienia. Czasami decydowali się na samookaleczenie, gdyż pozwalało to uniknąć ciężkiej pracy w polu. Kobiety oddawały się nadzorcom, jeśli zaś którejś zdarzyło się zajść w ciążę, przeprowadzała aborcję, chciała bowiem oszczędzić swojemu dziecku życia na okrutnej wyspie. Inni woleli natychmiastową ulgę, jaką gwarantowało samobójstwo. Istnieli też tacy, którzy nie dali się złamać i ponieważ pragnęli wolności, decydowali się na desperacką ucieczkę pod osłoną nocy. Czasami pozostawali w okolicy, ukrywali się za dnia i otrzymywali wsparcie od krewnych i przyjaciół. Niektórzy, zwłaszcza wykwalifikowani robotnicy

posługujący się biegle językiem kreolskim, woleli anonimowość, jaką zapewniały miasta. Podawali się tam za wyzwoleńców i szukali pracy na tłumnych targowiskach lub w dokach, gdzie mogli rozpłynąć się w ludzkiej masie. Jeszcze inni udawali się w stronę granicy hiszpańskiego Santo Domingo, wędrowali przez sawanny i góry, przez gęste lasy okrywające wyspę. Właściciele plantacji traktowali ich jak krowy, które oddaliły się od stada – był to po prostu irytujący problem, rozwiązywany przez zawodowych tropicieli i psy gończe. Niewolnika złapanego na terenie plantacji czekało biczowanie i publiczne upokorzenie: musiał klęczeć przed kościołem białych i błagać o litość, przepraszając, że „nie podporządkował się woli Boga, który wybrał dlań ten, a nie inny stan". Jeżeli jednak zbieg miał pecha i złapano go gdzieś daleko lub stawiał opór, wycinano mu fragment skóry z piętnem, następnie zaś tropiciele rzucali nieszczęśnika psom, które rozszarpywały go na strzępy.

Marrons w rodzaju Macandala nie zamierzali kryć się jak zwierzęta ani gnić w wapiennych jaskiniach. Część Afrykanów pragnęła odzyskać kontrolę nad swym losem, stanąć do walki i zemścić się za straszliwą niesprawiedliwość, jakiej doświadczył ich lud. Zabierali ze sobą wszelkie wartościowe lub przydatne rzeczy, które udało im się ukraść – muła, nóż, maczetę, narzędzia rolnicze, ubrania – opuszczali plantację i przyłączali się do zorganizowanych grup ukrywających się w głębi lądu. Żyli w obozach warownych, otoczonych palisadami i szerokimi rowami, w które wtykano zaostrzone pale. Uprawiali własną ziemię, ich wspólnoty były w znacznym stopniu samowystarczalne. Niekiedy uzupełniali zapasy, organizując napady na plantacje. O ile pojedynczy zbiegowie byli dla Francuzów jedynie drobnym utrapieniem, o tyle niezależne wspólnoty *marrons* szkoliły rebeliantów, którzy zagrażali porządkowi i stabilności całej kolonii.

Francuski reżim rozpoczął więc kampanię eksterminacji. Utworzono wyspecjalizowane oddziały wojskowe, *marcehaussée*, które regularnie wysyłano w góry w poszukiwaniu *marrons*, choć wiązało się to z dużymi nakładami finansowymi. Część ekspedycji zakończyła się względnym sukcesem: żołnierzom udało się wziąć jeńców, których potem publicznie łamano kołem. Inne oddziały jednak nigdy nie wróciły. Nikt też nie zdołał zniszczyć głównych przyczółków *marrons* ani nawet dostać się na ich teren. Wszak Francuzi nie mogli być wszędzie naraz, tymczasem zbiegli niewolnicy znajdowali sobie rozmaite kryjówki: w górach, za plantacjami na północnej równinie niedaleko Cap-Français, na nizinie Cul de Sac opodal Port-au-Prince lub pośród dolin położonych niedaleko Les Cayes na

południu. W połowie XVIII wieku biali stracili dostęp do kilku regionów wyspy. Jedna z rebelii w górach na południu trwała sto lat, aż w końcu Francuzi po prostu porzucili cały ten teren. Wspólnota w górach Baoruco przetrwała osiemdziesiąt pięć lat i ostatecznie Francuzi zaproponowali rozejm, pozwalając, by *marrons* utworzyli niezależny klan. Gdy przywódca wspólnoty przybył na negocjacje z białymi, okazało się, że to niewolnik zbiegły prawie pół wieku wcześniej.

Podczas gdy kolejne francuskie wyprawy w góry kończyły się niepowodzeniem, administracja kolonialna próbowała zniszczyć tajne sieci służące do przesyłania towarów i informacji między plantacjami a *marrons*. Lęk przed buntownikami prowadził do przyjmowania coraz to nowych przepisów, które ograniczały możliwości przemieszczania się niewolników. Czarnym nie wolno było przebywać nocą poza domem, odwiedzać sąsiednich plantacji, używać łodzi, a nawet rozmawiać między sobą bez zgody pana. Często odbywały się nocne przeszukania, a każdego, u kogo znaleziono broń lub kto pomagał zbiegom, poddawano okrutnej karze. Ponieważ jednak na plantacjach stosunek liczebny czarnych do białych wynosił sto do jednego, Francuzi nie mogli zbyt wiele wskórać. Niektórzy niewolnicy bali się gniewu i odwetu *marrons* równie mocno co pańskiego bicza. Nikt też nie wątpił, że buntownicy walczą o wolność, więc ich sława rosła z każdym pokoleniem. Rebelianci poczynali sobie coraz śmielej: napadali na magazyny, plądrowali plantacje, szerzyli terror, ale też ideę wolności. Już w roku 1770, wedle ówczesnych relacji, liczba *marrons* była tak ogromna, że „zapewnienie [białym] bezpieczeństwa stało się w zasadzie niemożliwe", a samotne wałęsanie się po górach uchodziło za wyjątkowo nieroztropne.

Trudno stwierdzić dokładnie, kto decydował się na przystąpienie do buntowników i ile było takich osób, aczkolwiek archiwa z czasów kolonialnych dostarczają nam nieco poszlak. Na przykład w latach 1764–1793 prasa opisała około czterdziestu ośmiu tysięcy przypadków *marronage*. Nigdy nie dowiemy się, ilu spośród tych uciekinierów dotarło do obozów *marrons*, widać jednak skalę problemu, z którym mierzyli się Francuzi. Co ważne, znaczny odsetek zbiegów stanowiły osoby przebywające w kolonii od niespełna roku. Zdarzało się, że do ucieczek dochodziło zaraz po przybyciu na wyspę. Dysponujemy danymi na temat piętnastodniowego okresu w jednym z portów w styczniu 1786 roku; przez ten czas czterdziestu trzech niewolników, którzy dopiero co wylądowali w kolonii, zbiegło lub zostało schwytanych. W 1788 roku z 10 573

niewolników przybyłych w ciągu dziesięciu miesięcy do Cap-Français uciekło ponad dwa tysiące. Co najważniejsze, o ile kreolscy *marrons* mogli niezauważenie zniknąć gdzieś w trzewiach miast, o tyle Afrykanie, zupełnie nieznający realiów życia na wyspie, zawsze wybierali ucieczkę w góry. Znaczną część członków wspólnot *marrons* stanowiły więc osoby, które nie zostały przystosowane siłą do życia pod rządami białych. Ludzie ci nieśli do swych nowych domów dziedzictwo Afryki zamiast brzemienia niewolnictwa.

Wspólnoty *marrons* funkcjonowały w tajemnicy, dzięki czemu mogły przetrwać, a przy tym rozwijały własne systemy polityczne, gospodarcze i religijne. Przywódcy wywodzili się z „nowej klasy niewolników" (tak ujmowano to w ówczesnych relacjach), która przybyła do kolonii w XVIII wieku. W ich żyłach płynęła królewska krew. Odebrali porządną edukację i nie tylko znali ustną tradycję swoich ludów, lecz także mieli możliwość kształcenia się u arabskich nauczycieli. Byli inteligentni, pełni moralnego zapału, wzorem swych przodków pragnęli walczyć. Ich podkomendni również stanowili grupę wybraną. Przeważnie byli to mężczyźni między siedemnastym a trzydziestym piątym rokiem życia, którzy zdołali przejść brutalny proces selekcji – wszak z definicji ten, kto trafiał do obozu *marrons*, miał za sobą straszliwą podróż z Afryki, zniósł przemoc panującą na plantacjach, przechytrzył tropicieli i ich psy, a decydując się na ucieczkę, wybrał życie pełne trudów i niebezpieczeństw.

Nie każdego przyjmowano w szeregi *marrons* – mogły się o to ubiegać jedynie osoby, które przybyły do obozu dobrowolnie. Sprawdzano też, czy kandydat nie jest szpiegiem przysłanym przez władze kolonialne. Podczas napadów na plantacje *marrons* brali czarnych do niewoli i zabijali ich, jeśli tylko pojawił się cień podejrzenia co do ich lojalności. Nowo przybyli zbiegowie musieli najpierw wymazać swoją przeszłość i usunąć piętna na skórze za pomocą noża lub soku trujących roślin pozostawiających bliznowatą pręgę, takich jak *acajou* (nanercz zachodni, *Anacardium occidentale*) lub *bresillet* (*Comocladia glabra*). Przechodzili też ścisłą inicjację: uczyli się tajnych uścisków dłoni i haseł, które pozwalały odróżnić swoich od obcych podczas ataków na plantacje. Publicznie ślubowali wierność wspólnocie i z drastycznymi szczegółami opisywali karę, którą należy im wymierzyć, jeśli kiedykolwiek zdradzą tajemnice swych nowych braci i sióstr. Oczywistym wzorcem organizacji były tu tajne stowarzyszenia. Bez wątpienia część byłych niewolników należała do nich w młodości, przed

uprowadzeniem z Afryki.

Tajne stowarzyszenia odgrywały zasadniczą rolę w epoce kolonialnej (i nadal ją odgrywają). Działają choćby w Afryce Zachodniej, zwłaszcza na wybrzeżu, w społecznościach, których członkowie byli brani do niewoli i wywożeni do Saint-Domingue. Podobieństwa między nimi a późniejszymi wspólnotami *marrons* są wręcz uderzające. Członkostwo wiązało się z przejściem inicjacji, długotrwałego procesu, podczas którego kandydat musiał znieść wiele trudów, sprawdzianów wytrzymałości i bólu. Następnie uczył się tajnych haseł, symboli i powitań, charakterystycznych dla danego stowarzyszenia. Znajomość tego rodzaju gestów i znaków definiowała grupę, tak samo jak później w Saint-Domingue. Zasadniczo jednak wszyscy wiedzieli o istnieniu stowarzyszeń – w przeciwnym razie nie mogłyby one pełnić swojej funkcji. Nie były wszak przygodnym elementem zachodnioafrykańskiej kultury. Plasowały się w samym jej centrum, stanowiły i stanowią główną siłę dążącą do utrzymywania tradycji. I tak stowarzyszenie Poro z Sierra Leone wpływało na wszystkie aspekty życia ludów Mende. Odpowiadało za plemienną edukację, za egzekwowanie norm w zakresie seksualności, pełniło nadzór nad polityką i gospodarką, zarządzało sprawami socjalnymi, w tym opieką zdrowotną. Kluczem do sukcesu zachodnioafrykańskich tajnych stowarzyszeń – oraz *marrons* – było to, że działały one na poziomie całej społeczności, nie zaś rodu czy klanu, grupy *marrons* mogły więc potraktować je jako niezwykle cenny model, pozwalający doprowadzić do skutecznej integracji zbiegłych niewolników, wywodzących się z bardzo różnych kultur.

Zachodnioafrykańskie tajne stowarzyszenia odpowiadały też za wymierzanie sprawiedliwości i – jak w przypadku stowarzyszenia Ekpe z Kalabaru – ich trybunały często wydawały wyroki po przeprowadzeniu próby z użyciem trucizny. Postępowano tak w przypadku najróżniejszych zbrodni i występków, zwłaszcza jeśli sprawa dotyczyła oskarżenia o czarownictwo. Właśnie dlatego tajne stowarzyszenia dysponowały ogromną wiedzą na temat toksycznych preparatów, eksperymentowały z różnymi gatunkami roślin i zwierząt oraz z dawkami trucizn i sposobami ich aplikowania. Brały nawet pod uwagę psychologiczne nastawienie osoby, którą należało poddać próbie.

Z drugiej strony, nie tylko tajne stowarzyszenia wykorzystywały trucizny. Przyrządzanie ich i stosowanie to bodaj jedna z najważniejszych cech wspólnych afrykańskim kulturom. W niektórych regionach karę śmierci wymierzano, przebijając przestępcy skórę igłą lub ostrzem zanurzonymi

wcześniej w wyciągu z toksycznej rośliny. Niektóre zachodnioafrykańskie społeczności wymagały, by po śmierci króla jego następca co najmniej dwukrotnie przeszedł próbę z użyciem trucizny i w ten sposób dowiódł swojej nadludzkiej siły. Jeśli umierał, jego ród tracił prawo do tronu.
Po trucizny sięgali również czarownicy, lecz bodaj najbardziej niezwykłe było to, że niektórzy władcy wykorzystywali je, aby wyplenić zło ze swoich społeczności. Przywódcy kilku ludów z Afryki Zachodniej stosowali preparat z kory drzewa *tali* (*Erythrophleum guineense*, z rodziny bobowatych). Do innych składników zaliczały się wysuszone, sproszkowane serca poprzednich ofiar, a także dodatki, jakie spotyka się również współcześnie na Haiti: potłuczone szkło, jaszczurki, ropuchy, zmiażdżone węże i ludzkie szczątki. Toksyczną mieszankę umieszczano w kadzi i pozostawiano na rok, aby sfermentowała. Następnie w dzień wielkiego święta podczas specjalnej ceremonii podawano ją każdemu członkowi ludu. Co roku umierało z tego powodu nawet dwa tysiące osób. Gdy jednak nadeszła epoka handlu niewolnikami, zachodnioafrykańscy władcy znaleźli lepszy sposób oczyszczania swoich społeczności. Według Moreau de Saint-Méry, jednego z najbardziej poważanych przedstawicieli władz kolonialnych w Saint-Domingue, część królów wykorzystała porozumienia podpisane z europejskimi kupcami, by wyekspediować więźniów i przestępców na Karaiby.

*

Kiedy Macandal wreszcie uciekł z plantacji, pochował pragnienie zemsty głęboko w swej piersi. Nie bał się, że zostanie ponownie złapany – żaden biały nie zaryzykowałby życia cennych psów gończych, by tropić jednorękiego niewolnika, zwłaszcza wywodzącego się z ludu Mandingo, który kojarzono z rebelianctwem. Macandala interesowało jedno: jak i kiedy wziąć odwet. Zabicie paru białych nie stanowiłoby problemu. Wyzwoleńcy mogli kupować w miastach muszkiety i proch, zresztą grupie parunastu *marrons* wystarczyłyby jedynie pałki i kilka maczet, by opanować plantację, spalić stajnie, suszarnie i przeklęty młyn, a potem jeszcze złożyć wizytę małżonce pana, zanim przybędzie milicja. Ale Macandal nie chciał ograniczać się do plądrowania plantacji i rezydencji. W całym kraju nie znalazłoby się dostatecznie wiele sztuk broni, by wystarczyło do zrealizowania jego śmiałych zamierzeń. Pewnego razu, kiedy nalegano, by wyjaśnił jeden ze swoich snów, poprosił o gliniane naczynie. Włożył do niego trzy chustki. Najpierw wyciągnął żółtą i oznajmił, że to kolor tych,

którzy urodzili się na tutejszej ziemi. Potem wyciągnął białą. Miała ona symbolizować obecnych władców. „A oto – powiedział – ci, którzy staną się panami wyspy”. Ostatnia chustka była czarna.

Przez sześć lat sieć rebeliantów rozrastała się, a biali nadal nie mieli pojęcia, co ich czeka. Macandal, zupełnie bezkarny, był wszędzie, podróżował z miejsca na miejsce swobodnie, niczym bóg, korzystał z wyświadczanych mu przysług i rozbudzał zapał ludu. Starannie wybierał swoich agentów i rozmieszczał ich we wszystkich zakątkach kolonii, dzięki czemu otrzymywał informacje o rozmaitych potencjalnych sojusznikach – może jakiemuś woźnicy pan zgwałcił niedawno żonę, może kuchcik został wybatożony za kradzież chleba… Na pergaminie i na korze rysował węglem tajemnicze postaci, kreślił symbole, które tylko on rozumiał, odpowiadające nazwom rozmaitych plantacji i przywódców wszystkich gangów, tyrających w nieubłaganym słońcu. Znał imię każdego mężczyzny i każdej kobiety, którzy mieli stanąć po jego stronie. Potrzebował ich. Pozwalał, by swobodnie mu się przyglądali, byle tylko w ich oczach krył się strach – nieważne czy przed bogiem, czy przed człowiekiem. Po prostu strach, gwarantujący, że dochowają tajemnicy. Najbardziej zależało mu na werbowaniu ludzi pracujących w rezydencjach: woźniców, kucharzy, służących – słowem, tych, do których biali byli przyzwyczajeni. Chciał, aby każdy właściciel niewolników, chwytając ostatnie, coraz bardziej wymęczone przedśmiertne oddechy, patrzył w twarz, którą oglądał codziennie. I żeby umierając, ujrzał w niej odbicie swojego własnego okrutnego uśmiechu.

Nocami Macandal wędrował, za dnia dawał lekcje. Uczniowie siedzieli w gęstej trawie, ich palce przejmowały stęchły zapach grzybów i śluzowców oraz cierpką woń miażdżonych gruczołów. Podziwiali Macandala i na jego żądanie przeczesywali całą wyspę, przynosili mu czarne zioła wydzielające gryzący sok, groźnie wyglądające zwierzęta morskie, węże i ropuchy. Wspólnie sięgali do swojej pamięci zbiorowej, wysilali się, by wydobyć dawno nieużywane wspomnienia na temat preparatów, receptur i składników, o których uczono ich w młodości. Potem szukali w nowej krainie roślin i zwierząt o podobnych właściwościach. Macandal nie tylko był nauczycielem, ale też sam pobierał nauki u starych kobiet i mężczyzn mieszkających samotnie wśród stalaktytów w jaskiniach i śpiących na posłaniach z odchodów nietoperzy. Przechowali oni starodawną wiedzę. Jedni posiedli ją jeszcze w Afryce, inni już tu, na wyspie, od potomków ludzi żyjących wśród niedobitków Arawaków, udręczonych synów *caciques*, którzy władali tą ziemią, zanim zjawili się biali. W jaskiniach starcy oceniali

odkrycia Macandala, macali owoce krwawiące na czerwono i ciemniejące pod wpływem powietrza, oglądali wysuszone jaszczurki i jadowite owady. Składniki, które wreszcie po latach poszukiwań spotkały się z ich aprobatą, Macandal umieszczał w brzuchu starego, sfatygowanego moździerza o wyszczerbionych brzegach. Potem na oczach swych mistrzów przyrządzał cichą truciznę, szykował śmierć, która pewnego dnia miała ruszyć przez pola i dotrzeć do każdej kuchni w kraju.

Z czasem trucizna zaczęła wsiąkać w świat białych, jak atrament wsiąka w suszkę. Najpierw umierały krowy, jedna po drugiej, a ich zesztywniałe trupy walały się na północnych równinach. Skonfundowani właściciele plantacji szukali rady u najlepszych uczonych, u zielarzy, którzy przerywali pracę w swych wypieszczonych ogrodach botanicznych w Cap i ruszali na pastwiska w poszukiwaniu jakiegoś nieznanego, podstępnego chwastu, rozpanoszonego pośród pól. Całymi dniami i tygodniami przeczesywali trawy. Wreszcie ogłosili, że udało się odkryć roślinę winowajcę, a wówczas brygady niewolników wysyłano do pracy, by ją wyplenili. Ledwie zaczął się ten proces, zdechły pierwsze psy i rozeszła się wieść, że trucizna przeniknęła już do domów.

Biali z przerażeniem uświadomili sobie, że wpadli we własną pułapkę, bo zdali się na łaskę ludzi, którzy teraz gotowali im zagładę. Trucizna mogła pojawić się wszędzie: w cieście chlebowym, w fiolce z lekarstwem, nawet w beczce piwa dostarczonej prosto ze statku, bo trunek miał zastąpić wodę studzienną, której nikt teraz nie ufał. Zdarzało się, że wszyscy goście zaproszeni na przyjęcie padali ofiarą trucizny. Może była w zupie, może w herbacie, w winie albo w świeżych owocach, dopiero co zerwanych z drzewa. Trwoga, która ogarnęła białych, szybko przerodziła się we wściekłość i zaczęło się obdzieranie niewinnych niewolników ze skóry. Najmniejsze podejrzenie o współpracę z trucicielami oznaczało straszliwą śmierć. Wróg pozostawał jednak niewidzialny; jego ręka dosięgała zarówno białych, jak i czarnych, którzy zdradzili agentów Macandala. Władze kolonialne wprowadziły stan nadzwyczajny, kazały żołnierzom opuścić garnizony i paradować po ulicach Cap z bronią na ramieniu, choć przecież była ona zupełnie bezużyteczna, skoro nikt nie wiedział, gdzie kryje się nieprzyjaciel. Sądy szafowały wyrokami skazującymi, dziesiątkowano brygady pracowników, by wydobyć z ludzi nazwiska przywódców spisku. Aptekarze i zielarze znów wzięli się do roboty, próbując zidentyfikować toksynę. Może była pochodzenia zwierzęcego, a może roślinnego? Może wykradziono ją z zapasów jakiejś apteki lub sprowadzili ją nędzni

nikczemnicy z Afryki? Na mocy królewskiej proklamacji niewolnikom zakazano przyrządzać jakiekolwiek mikstury czy lekarstwa, z wyjątkiem antidotów przeciwko ukąszeniom węży. Rząd okazał się jednak bezradny, a trucizna nadal się szerzyła. Umierały setki niewolników i setki białych. Macandal doprowadził do śmierci około sześciu tysięcy osób.

Zdradziło go dziecko, dziewczynka aresztowana razem z trzema mężczyznami pod zarzutem trucicielstwa i skazana na spalenie żywcem. Patrzyła, jak pozostali umierają w męczarniach, jeden po drugim, jak płomienie pną się w górę, jak rzucają się na łachmany nasączone kreozotem. Od smrodu palących się ciał miała mdłości, próbowała odwrócić wzrok, ale przytrzymano jej głowę i widziała, jak brzuch jednego ze skazańców zaczyna pęcznieć, jak wrze płyn pod skórą rozciągniętą do granic możliwości, jak skóra pęka i parujące jelita wypadają na zewnątrz. Gdy przyszła kolej dziewczynki, kat zaczął ją dręczyć: wziął płonącą sośninę, wymachiwał nią, podtykał do skóry swojej ofiary i zaraz cofał rękę. Narastające przerażenie mieszało się z wściekłością i w ostatniej chwili, nim stos został podpalony, dziewczynka złamała się, podała imiona pięćdziesięciu spiskowców, które starannie spisano. Potem kat, ignorując krzyki protestu dochodzące z gardła dziewczynki, cisnął płonącą gałąź i podpalił stos.

Sieć zdrady rozrastała się, aż w końcu wpadł w nią sam Macandal. Przyszła pora jego egzekucji: najpierw, z nagim torsem, został poprowadzony przez ulice stolicy, gdzie przyglądali mu się obywatele w jedwabnych kamizelkach, osłaniający się przed słońcem kolorowymi parasolkami, a także niewolnicy, czarni i poważni, oraz żołnierze, czujni, maszerujący w rytmie śmierci wybijanym na bębnach pokrytych czarnym płótnem. Wtedy jednak wydarzyła się dziwna rzecz. Macandal nie wyglądał na przestraszonego, nie rzucał krnąbrnych spojrzeń, kiedy przywiązywano go do słupa. Wydawał się obojętny, niemal znudzony, jak gdyby nie mógł się doczekać, aż cała ta ceremonia, tak starannie obmyślona przez gubernatora, wreszcie dobiegnie końca. Niewolnicy, ujrzawszy spokojną twarz Macandala, wydali z siebie pomruk, a na ich obliczach, zazwyczaj nieprzeniknionych, pojawiły się radość i nadzieja, budzące niepokój nielicznych białych, którzy byli dość przenikliwi, by to dostrzec. Gdy płomienie dotarły do stóp Macandala, ten uniósł głowę i krzyknął w stronę słońca. Jego ciało zaczęło się gwałtownie trząść, młócił powietrze kikutem dłoni i wreszcie ostatnim szarpnięciem wyswobodził się i skoczył przez płomienie. Zebranym zaparło dech. Zapanowało pandemonium. Biali uciekali z placu gonieni okrzykami: „Macandal wolny!”, strażnicy

tymczasem pospieszyli ku stosowi. Twierdzili później, że udało im się ponownie schwytać skazanego niewolnika, przywiązać go do deski i cisnąć w płomienie. Nie widział tego jednak żaden z czarnych i choć gubernator pokazywał białym prochy, by rozproszyć obawy, strach pozostał. Cała północna prowincja, która po złapaniu Macandala uwierzyła, że najgorsze minęło, znów zaczęła się bać, właściciele plantacji czuli się jak oblężeni we własnych domach. Czarni nie mieli wątpliwości, co się wydarzyło. Macandal zawsze powtarzał im, że jeśli zostanie schwytany, zamieni się w muchę i odleci. Nikt nie wątpił, że zdoła tego dokonać, zwłaszcza że mimo jego rzekomej śmierci trucizna nadal zbierała śmiertelne żniwo.

*

Rebelia Macandala sprawiła, że kolonia zatrzęsła się w posadach. Nie był to pierwszy ani ostatni tego rodzaju przypadek. Już w 1681 roku, zanim kolonia przeszła z rąk Hiszpanów w ręce Francuzów, a więc w czasach, gdy liczba białych niewolników kontraktowych była równa liczbie Afrykanów, łączna populacja zaś nie przekraczała sześciu tysięcy ludzi, *marronage* uchodziło za poważne zagrożenie. Dwa lata wcześniej doszło do jednego z pierwszych buntów, które zapisały się w historii: niewolnik imieniem Padrejean zabił swojego pana, zwerbował grupę dwudziestu Afrykanów i postanowił udusić wszystkich białych mieszkających na wyspie. Poniósł klęskę, lecz całe zdarzenie zwróciło uwagę króla i zaowocowało wydaniem edyktu z 1685 roku. Zapisano w nim między innymi, że schwytanemu *marron* trzeba obciąć uszy i wypalić na ramieniu piętno w kształcie *fleur-de-lis*. Jeśli ponownie spróbuje ucieczki, należy przeciąć mu ścięgna ud i wypalić drugie piętno. Ogłoszenie edyktu świadczyło, że biali są coraz bardziej zaniepokojeni. Kiedy populacja niewolników zaczęła się gwałtownie rozrastać, wybuchła prawdziwa histeria. Na początku XVIII stulecia rozmaite spiski, tajemnicze zbrodnie i plotki o nadciągającej katastrofie były w kolonii na porządku dziennym. Trucizny rozpowszechniły się do tego stopnia, że w 1738 roku, dwa lata przed ucieczką Macandala z plantacji, zostały zakazane na mocy królewskiego dekretu. Ich polityczny potencjał, wynikający z tego, że mogły stać się bronią używaną przez niewolników i zagrożeniem dla właścicieli plantacji, ujawnił się po aresztowaniu Medora, przywódcy *marrons*. „Czarni dopuszczają się trucicielstwa, bo w ostatecznym rozrachunku pragną wolności”, oznajmił on ludziom, którzy go złapali.

W ostatnich latach francuskich rządów nikt nie miał wątpliwości, że chciwy system skazał kolonię na niechybną samozagładę. Tylko perspektywa gigantycznych zysków mogła sprawić, że biali zlekceważyli nadciągające niebezpieczeństwo. Nieobecni właściciele plantacji dokładali starań, by powiększyć swoje ziemie. Za sprawą rosnącego popytu na kawę plantacje zaczęły się rozrastać na terenach górskich, sięgały coraz wyżej, co sprawiało, że *marrons* tracili ziemię, z której dotąd korzystali, i jak na ironię, musieli w większym stopniu polegać na rabunku. Żarłoczny popyt na pracę spowodował tymczasem, że populacja niewolników podwoiła się w ciągu zaledwie piętnastu lat. Jak długo biali mogli kontrolować blisko pół miliona czarnych, z których ogromna większość przyszła na świat w Afryce i odziedziczyła wojownicze tradycje królestw rozciągających się przez pół kontynentu?

Niewolnicy, podobnie jak Macandal, starannie zaplanowali ostatnią rewoltę. Kolejni dezerterzy zasilali szeregi *marrons*, nocne powietrze drżało od odgłosów buntu. W 1786 roku donosiciel informował, że na plantacjach odbywają się potajemne spotkania z udziałem co najmniej dwustu niewolników. „Wiele mówiono o przesądach niewolników, o ich tajnych organizacjach, knuto i planowano zbrodnie: otrucia i dzieciobójstwa – czytamy w jednym z ówczesnych raportów. – Biali nie mogą brać udziału w tych spotkaniach, wszelkie dokumenty są zazwyczaj tajne lub niszczone”.

Dzięki nocnym spotkaniom idea wolności zaczęła się rozprzestrzeniać po całej kolonii, pełna żaru niczym rytuały vodoun. Rosła liczebność grup *marrons*, niewolnicy przekazywali sobie imiona nowych przywódców: Hyacinthe, Macaya, Romaine La Prophétesse. Ogień wybuchł latem 1791 roku, a najważniejszą iskrę rzucono podczas ceremonii vodoun, w której uczestniczyli przedstawiciele wszystkich plantacji z północnej równiny.

To historyczne spotkanie zwołane przez Boukmana Dutty’ego, przywódcę *marrons*, odbyło się 14 sierpnia 1791 roku na odludnym wzgórzu Bois Caïman niedaleko Morne-Rouge. Pod patykowatymi gałęziami wątłej akacji, wśród kłębów pyłu wzbijanych przez wiatr i w świetle błyskawic, stara kobieta stanęła obezwładniona przez noc i drżała w opętańczych spazmach. Głos wojownika Ogouna, boga ognia, zażądał pałasza, po czym jednym ciosem *loa* obciął łeb czarnej świni. Wokół rozlała się spieniona krew. Boukmana, Jeana François, Bissaou i Jeannota obwołano przywódcami i każdy z setek zebranych tam niewolników wstał, by ślubować im wierność.

Potem odezwał się Boukman i dorównując wściekłemu wiatrowi, zawołał:

> Bóg, który stworzył słońce, co świeci na nas z góry, który sprawia, że morze się burzy, a pioruny dudnią, wielki Bóg, który kryje się pośród chmur, patrzy na was! Słuchajcie mnie, słuchajcie wszyscy! Bóg widzi, co czynią biali. Bóg białych domaga się zbrodni. Nasi Bogowie pragną jedynie błogosławieństw. Ale ten Bóg, w całej swej dobroci, mówi wam, abyście wzięli pomstę! Będzie nas prowadził, będzie nas wspierał. Odrzućcie obraz Boga białych, spragnionego naszych łez, i słuchajcie głosu wolności, który przemawia w naszych sercach.

Tak oto, pod okiem *loa*, krwią zwierzęcia ofiarnego przypieczętowano decyzję o rozpoczęciu rewolty.

Dwa dni później spłonęła pierwsza plantacja. Nocą 21 sierpnia niewolnicy z pięciu plantacji w dawnych stronach Macandala zbuntowali się i ruszyli na Limbé. Rankiem Acul stało w płomieniach, Limbé zaś było doszczętnie zniszczone. Przez cały następny dzień wśród dźwięków konch szerzyło się powstanie. Zdobywano kolejne ośrodki na północy: Plaine du Nord, Dondon, Marmelade, Plaisance. Jednej tylko, nieopisanie potwornej nocy uduszono tysiąc białych. Zniszczono też wówczas dwa tysiące przetwórni trzciny cukrowej i kawy. Ciemne słupy dymu przez wiele dni wyrastały ponad murem płomieni, który odciął całą północną część kolonii. Ogień porywał słomę leżącą na polach, by się nią karmić, popiół pokrył morze. Łuna rozciągająca się nad płonącą krainą czerwieniła chmury aż na Bahamach.

Po pierwszych kilku tygodniach szał zniszczenia nieco osłabł i zaczęły się potyczki, a potem prawdziwe bitwy z kolonialną milicją. Niewolnicy skupili się wokół przywódców, którzy z kolei czerpali swą inspirację od bóstw. W zachodniej prowincji Romaine La Prophétesse maszerował[8] przy dźwiękach bębnów i konch, otoczony świtą hounganów. Skandowali oni, że broń białych, ich armaty i muszkiety, to jedynie bambus, a proch strzelniczy to tylko nędzny pył. Członkowie straży przybocznej Romaine'a La Prophétesse zamiast broni mieli krowie ogony, pobłogosławione przez duchy i zdolne odbijać kule nieprzyjaciela. Czarownicy tworzyli też świtę Bissaou. W jego namiocie nie brakowało amuletów ani świętych talizmanów. Nocami w obozie Bissaou rozpalano wielkie ogniska i nagie kobiety wzywały bogów, wyśpiewując słowa znane jedynie „na afrykańskich pustyniach". Sam przywódca, gdy zagrzewał swych ludzi do walki, powtarzał im, że jeśli będą mieli szczęście i polegną w walce, odrodzą się w Afryce i dadzą nowe życie swoim starodawnym plemionom. Czarne kobiety z Cap-Français wyruszyły

nocą na procesję, śpiewając w języku niezrozumiałym dla białych. „Wszystkie ubrały się niemal tak samo, obwiązały sobie brzuchy czerwonymi chustami. […] Mówiły, że Król Voodoo ogłosił wojnę, że towarzyszy mu jego królowa, odziana w czerwoną chustę. Niosły pudełko z dzwoneczkami i potrząsały nim, a w owo pudełko złapały węża. Maszerowały, by zaatakować miasta kolonii".

Vodoun dawało buntownikom siłę, natomiast taktykę i metody organizacji zawdzięczano *marrons*. Rebelianci coraz śmielej urządzali wypady ze wzgórz, pustoszyli plantacje, utrudniali przesyłanie wiadomości i kradli transportowane towary. Zawsze odbywało się to nocami; po wszystkim pozostawały tylko ogień, trucizna i trupy. Buntownicy wycofywali się o świcie, kryli się w niedostępnych wąwozach i parowach, gdzie chroniły ich palisady, strażnicy oraz – co najważniejsze – magia czarowników. Na początku lutego 1792 roku Francuzi wysłali około dwóch tysięcy czterystu żołnierzy, by ci zniszczyli obozy rebeliantów. Po drodze żołnierze

> […] z zadziwieniem patrzyli na duże pale powtykane w ziemię, do których przybito najprzeróżniejsze martwe ptaki. […] Co i raz widziano poćwiartowane ptaki ułożone w kręgach z kamieni, a czasem też po tuzinie potłuczonych jaj. Jakże wielkie było nasze zdumienie, gdyśmy ujrzeli czarnych mężczyzn i przeszło dwieście kobiet, którzy tańczyli i śpiewali, swobodnie, bez lęku. […] Kapłanka voodoo [*sic*] nie uciekła. […] Nie mówiła po kreolsku. […] Mężczyźni i kobiety powtarzali, że żadna ludzka siła nie zdoła nad nią zapanować. […] Wyznawała kult voodoo. Przywódca francuskiej wyprawy miał też okazję przekonać się, że buntowników chroni zmowa milczenia, jaka niegdyś zapewniała bezpieczeństwo *marrons*. Od jednej z kobiet usłyszał, że „istnieje tajne hasło, ale ona nigdy, przenigdy mi go nie poda". […] Zdradziła za to, jakim uściskiem dłoni się pozdrawiają. Był nieco podobny do tego, który stosują masoni. Wyznała mi rzecz tę w sekrecie i zapewniła, że […] jeśli spróbuję przeniknąć wielkie tajemnice sekty, zostanę zabity lub otruty.

Nie tylko dawni niewolnicy walczyli o wolność. Od pewnego czasu nasilały się napięcia między białymi właścicielami plantacji a wyzwolonymi osobami o mieszanym pochodzeniu. Osoby te dorównywały białym pod względem liczebności i na mocy prawa cieszyły się takimi samymi przywilejami jak obywatele francuscy, lecz spotykały się z prymitywną dyskryminacją, co budziło ich gniew. Zarazem, ponieważ dobrze wykorzystywały swoje prawa, zdobyły ogromne bogactwa i wpływy. Z punktu widzenia białych była to niezwykle niebezpieczna kombinacja, zwłaszcza że w powietrzu krążyły rozmaite wywrotowe idee, stanowiące

pokłosie rewolucji we Francji i w Ameryce. Zanim jeszcze niewolnicy zorganizowali powstanie, grupa osób o mieszanym pochodzeniu urządziła marsz i domagała się od rządu kolonii pełnej implementacji praw przyjętych przez rewolucyjne zgromadzenia w Paryżu. Skończyło się fiaskiem, przywódców nieudanej rewolty wzięto na brutalne tortury. Był to jednak początek konfliktu, który z czasem sprawił, że biali stanęli przeciwko osobom o mieszanym pochodzeniu, zwłaszcza jeśli sprzymierzały się one z czarnymi. Z kolei osoby o mieszanym pochodzeniu ścierały się z białymi, którzy czasem sprzyjali interesom byłych czarnych niewolników, a czasem występowali przeciwko nim. Jednym słowem, nastała epoka zamieszania, chaosu i zniszczenia. Po dwóch latach sytuacja wyglądała następująco: Francuzi kontrolowali miasta, czarni opanowali prowincję, zaś osoby o mieszanym pochodzeniu tkwiły w imadle między jednymi a drugimi.

W lutym 1793 roku republikańska Francja znalazła się w stanie wojny z Anglią i Hiszpanią, co miało ogromny wpływ na przebieg rewolucji na Haiti. Władze kolonii już od dawna musiały reagować na wydarzenia polityczne w Paryżu. Do tego zostały kompletnie zaskoczone przez bunt niewolników, a tocząca się walka o władzę między białymi właścicielami plantacji a osobami o mieszanym pochodzeniu oznaczała kolejny rozłam. Teraz pojawiło się kolejne zagrożenie: w każdej chwili z sąsiedniej kolonii Santo Domingo mogły nadejść nieprzyjacielskie hiszpańskie wojska. *Marrons*, rzecz jasna, sprzymierzyli się z najeźdźcami, a ich przywódcy, Bissaou i Jean François (Boukman już nie żył), zostali oficerami hiszpańskiej armii, podobnie jak Toussaint, były niewolnik, który uzyskał wolność dopiero kilka miesięcy po rozpoczęciu powstania i wkrótce potem miał zacząć nieprawdopodobną karierę polityczną.

Francuzi jeszcze przed inwazją hiszpańską znajdowali się w trudnym położeniu. Teraz nie mieli wyboru: musieli podjąć negocjacje z *marrons*. Tak oto latem 1793 roku pod naciskiem przywódców powstania administracja kolonialna oficjalnie zniosła niewolnictwo. *Marrons* wiedzieli jednak, że proklamacja to jedynie rozpaczliwa próba zażegnania największego niebezpieczeństwa grożącego ze strony czarnych. Biali zamierzali zachować fundamentalną strukturę porządku gospodarczego w kolonii. Bissaou i Jean François odrzucili ofertę Francuzów i wybrali dalsze przymierze z Hiszpanami, gdyż ci obiecywali im bezwarunkową emancypację. Tymczasem Toussaint, kierując się motywami, które stały się zrozumiałe dopiero w świetle późniejszych wydarzeń, związał się z Francuzami. Miał zdecydowanie mniejsze wpływy niż ważni przywódcy

marrons, mimo to jego wojska napadły na obozy Bissaou i Jeana François, zabiły wielu ich zwolenników, jeńców zaś przekazały w ręce francuskich władz.

Toussaint nie tracił czasu, umacniał swą pozycję i w 1797 roku, pokonawszy dwie zagraniczne armie oraz wojska zebrane przez mieszkańców kolonii mających mieszane pochodzenie, stał się władcą absolutnym całego Saint-Domingue. Były niewolnik nosił teraz nazwisko Toussaint L'Ouverture i we współpracy z Francuzami wziął się do przywracania ładu i dobrobytu w kolonii. Nie krył swoich planów. Choć oficjalnie mieszkańcy stali się wolni, zmuszano ich do pracy w warunkach do złudzenia przypominających system, który tak zaciekle starali się obalić. Autokratyczne dekrety L'Ouverture'a zabraniały pracownikom przenoszenia się z jednej plantacji na drugą. Mieszkańcy miast, którzy nie uprawiali żadnego rzemiosła, zostali zmuszeni do pracy na polach pod nadzorem żołnierzy. Trzeba przyznać, że L'Ouverture rozprawił się z najgorszymi ekscesami kolonialnej przemocy, mimo to zasadnicza struktura systemu plantacji pozostała nienaruszona – dokładnie tak, jak chcieli Francuzi. Jeśli zaś chodzi o tradycyjne wierzenia ludu, L'Ouverture, gorliwy katolik, ani trochę nie dbał o – jak to nazywał – pogańskie zabobony rodem z Afryki.

Wszelkie złudzenia co do zamiarów nowej czarnej elity wojskowej rozwiały się po inwazji armii Leclerca w 1801 roku. Toussaint został zdradzony przez Napoleona i w hańbie deportowany do Francji. Rzecz jasna, Francuzi ani przez moment nie pogodzili się z rządami czarnych w kolonii. Gdy Toussaint mozolił się, by odtworzyć plantacje, w Paryżu obmyślano już, jak go obalić. Napoleon kazał Leclercowi skupić się na rozbiciu *marrons*, dobrze bowiem wiedział, kto jest prawdziwym nieprzyjacielem. Zgodnie z ułożonymi w Paryżu planami dowódca powierzył to zadanie miejscowym generałom, którzy do niedawna służyli pod L'Ouverture'em, między innymi Dessalines'owi i Christophe'owi. Chętnie rzucili oni swoje wojska do krwawej walki.

Marrons jednak stawili opór. Przyjmowali w swe szeregi wolnych czarnych oraz osoby o mieszanym pochodzeniu. Ten sojusz przesądził o przebiegu wojny o niepodległość. Doszło do wielu regularnych bitew, ale bez wątpienia stara, sprawdzona taktyka *marrons* – napady z zaskoczenia, zasadzki, podpalenia, otrucia – przyniosła im ostatecznie zwycięstwo. *Marrons* raz na zawsze pokonali Francuzów, wkrótce potem jednak poszli w odstawkę, tak samo jak po wojnach toczonych przez L'Ouverture'a. Próżnię po uzyskaniu niepodległości wykorzystali dyktatorzy, którzy szybko

pokazali, co myślą o wolnościowych i równościowych ideałach. Christophe, były niewolnik, towarzysz broni L'Ouverture'a i uczestnik napadu na siły Bissaou i Jeana François, później zaś krótkotrwały sprzymierzeniec francuskiej armii Leclerca, został w 1806 roku władcą północnej części kraju. Ogłosił się królem i jak przystało na monarchę, za cenę życia dwudziestu tysięcy poddanych zbudował sobie okazały pałac oraz cytadelę, z której nigdy nie padł ani jeden strzał.

Za rządów Christophe'a *marrons* zostali ostatecznie zdradzeni. Mimo to nadal prowadzili oni swą walkę. Przywódcy, którzy zdołali zachować życie, od dawna wiedzieli, że muszą liczyć się z rozmaitymi podstępami, i stali się wyjątkowo twardzi. W pierwszych latach republiki, kiedy przyszło im się zmagać z kolejną autorytarną władzą, znaleźli nowe, niezwykłe środki ochrony swej wolności.

*

Gdy w latach trzydziestych XX wieku Zora Neale Hurston, młoda czarna Amerykanka, studentka wybitnego etnografa Franza Boasa, szykowała się do swojego pierwszego wyjazdu badawczego na Haiti, natrafiła na trop niezwykłej tajemnicy. Przeczytała bodaj jedyną dostępną wówczas wiarygodną monografię poświęconą społeczeństwu vodoun i dowiedziała się z niej, że w dolinie Mirebalais istnieją tajne stowarzyszenia budzące postrach i trwogę u miejscowej ludności. Według autora, uznanego afrykanisty Melville'a Herskovitsa, członkowie tych organizacji zbierali się nocami, wzywani dźwiękiem kamienia uderzanego o kamień. Podobną praktykę stosowało tajne stowarzyszenie Zangbeto, które Herskovits badał w Dahomeju. Na Haiti tak bardzo bano się tych grup, że badacz miał niemało trudności z ustaleniem ich nazw. Ostatecznie poznał dwie: *Bissango* i *Les Cochons sans Poils* (Bezwłose Świnie). Członkowie pierwszego stowarzyszenia pojawiali się nocami, „na głowie mieli rogi i nieśli świece". Wedle miejscowych wierzeń obie organizacje potrafiły zmieniać swych członków w zwierzęta, by potajemnie szerzyli zło pod osłoną mroku.

Hurston nie wiedziała wcześniej, że na Haiti istnieją tajne stowarzyszenia, ale nie była zaskoczona. Urodziła się na przełomie XIX i XX wieku w niewielkiej wsi na Florydzie zamieszkałej wyłącznie przez czarnych. W bardzo wczesnym wieku przekonała się, jak ważne są afrykańskie korzenie jej społeczności. Ojciec badaczki był pastorem Kościoła baptystów; uczestnicząc w żywiołowych nabożeństwach, słuchając porywających,

pełnych emocji pieśni gospel i kazań, obserwując wiernych opętanych duchem bożym, Zora Neale dostrzegała nagą moc afrykańskich rytuałów. Gdy miała dziewięć lat, jej matka umarła. Krótko potem dziewczyna opuściła dom i wyjechała na północ. Pracowała jako służąca w wędrownej trupie teatralnej, a w końcu wylądowała w Baltimore i dokończyła edukację. Szczęście jej nie opuszczało; ponieważ interesowała się literaturą i folklorem, podjęła studia na Uniwersytecie Howarda, następnie zaś dostała stypendium na Columbii. Tam poznała Boasa, który stał się dla niej „Papą Franzem", mentorem, powiernikiem i najważniejszym sojusznikiem.

Franz Boas przewodził rewolucji, która dokonywała się w antropologii społecznej. Dyscyplina ta była w owym czasie zdominowana przez Brytyjczyków i stanowiła dumne narzędzie imperializmu. Boas jednak promował inne podejście i stanowczo odrzucał arbitralne pojęcia, takie choćby jak „postęp". Wyrzekł się też ewolucjonizmu głoszącego, że istnieje hierarchia społeczeństw, na której szczycie plasuje się zachodnia cywilizacja. Twierdził, że należy starannie badać poszczególne kultury, bo każda z nich jest wartościowa sama w sobie i każda kieruje się własną logiką. Osobom z zewnątrz obce kultury wydają się dziwne – to tylko kwestia niewiedzy. Boas, jak nikt dotąd, uważał antropologię za powołanie, za szansę, by ujrzeć i opiewać cud różnorodności kulturowej, zarazem zaś odkryć misternie tkaną nić człowieczeństwa, którą wszyscy jesteśmy związani. Hurston, zainspirowana przez swego nauczyciela, stała się jedną z pierwszych naukowczyń badających folklor afroamerykański. Na przekór modnym wówczas teoriom rasistowskim pisała choćby, że „Znachorzy hoodoo [z amerykańskiego Południa] praktykują religię o tak samo ścisłych i sformalizowanych zasadach jak te, które obserwować możemy w Kościele katolickim".

Ponieważ Boas kładł ogromny nacisk na empirię, Hurston musiała wypracować swój własny styl badań terenowych – i to nie byle jaki. Uzbrojona w pistolet z rękojeścią z macicy perłowej podróżowała swoim zdezelowanym chevroletem po drogach gruntowych Południa. Szukała znachorów hoodoo, muzyków, bajarzy. Wcielała się w najprzeróżniejsze role. Czasami jej rozmówcy myśleli, że jest żoną zbiegłego przemytnika alkoholu lub wdową szukającą sobie nowego męża. Czasem, gdy odjeżdżała, podśpiewując sprośną piosenkę, byli pewni, że to gwiazda wodewilu, która zapuściła się w te dalekie strony, bo chce znaleźć nowy materiał do swoich występów. Tak oto niezwykła antropolożka, zawsze odziana w beret i tanią bawełnianą sukienkę, z niewielką walizką zawierającą cały jej dobytek,

dotarła chyba do każdej osady i każdego gospodarstwa na Południu. Przesunęła granice tego, co naukowcy określają fachowym mianem obserwacji uczestniczącej. Pewnego razu na polecenie kapłana hoodoo ukradła czarnego kota i wrzuciła go do wrzącej wody. Kiedy kocie mięso zupełnie się rozgotowało, musiała wyjąć i żuć kosteczki, jedną po drugiej, póki nie znalazła tej o gorzkim smaku. Podczas rytuału inicjacyjnego w Nowym Orleanie przez sześćdziesiąt dziewięć godzin leżała nago, bez ruchu, z kawałkiem wężowej skóry na pępku. Wreszcie po tym czasie pięciu mężczyzn podniosło ją z podłogi i zaczęła się długa ceremonia, której punktem kulminacyjnym było namalowanie symbolu błyskawicy na plecach Zory Neale. Następnie kapłan hoodoo napoił ją winem zmieszanym z krwią wszystkich pozostałych uczestników rytuału. Dopiero wówczas Zora Neale została zaakceptowana przez wyznawców.

Żyłka poszukiwaczki przygód, chęć kontynuowania pracy i pokazania światu, że hoodoo to prawdziwa, niezwykle skomplikowana religia, a nie pogański kult, skłoniły Hurston do wyjazdu na Haiti. Bez wątpienia, zanim jeszcze dowiedziała się o istnieniu tajnych stowarzyszeń, traktowała tę podróż jako coś w rodzaju misji. Amerykańscy i europejscy korespondenci zagraniczni od dawna opowiadali swoim czytelnikom sensacyjne, kompletnie zmyślone historie na temat kraju zwanego Czarną Republiką, gdyż fascynował on i podniecał opinię publiczną Zachodu. W Stanach Zjednoczonych Haiti uchodziło za kawałek Afryki położony na nieodległej wyspie, za mroczną, złowieszczą krainę, zmysłową i wyjątkowo wyuzdaną. Popularne wówczas powieści o uroczych tytułach w rodzaju *Kuzyni kanibale* lub *Czarny Bagdad* przedstawiały karykaturalny obraz kraju pogrążonego w ubóstwie, gdzie nieustannie słychać pulsujący rytm bębnów, wszystkim rządzą nieudolni bufoni, a na każdym kroku spotkać można znachorów, lubieżne kobiety i dzieci hodowane na mięso dla ludożerców. Większość z tych dzieł szybko popadłaby w zapomnienie, gdyby nie szczególny – i bynajmniej nie przypadkowy – moment ich publikacji. Pierwszą książką reprezentującą omawiany tu gatunek była wydana w 1880 roku *Czarna Republika* Spensera St. Johna, zawierająca niesławną relację o przysmaku kanibali zwanym „kongijską potrawką z fasoli”. Wcześniej pisarze wspominali o vodoun jedynie w kontekście roli, jaką religia ta odegrała podczas powstania niewolników. Natomiast sensacyjne książki, pełne odniesień do tajemniczych (i kompletnie zmyślonych) akcesoriów, takich jak laleczki voodoo, służyły określonym celom politycznym, znaczna część z owych dzieł powstała bowiem podczas

amerykańskiej okupacji Haiti w latach 1915–1934. Mogłoby się wydawać, że każdy oficer piechoty morskiej w randze wyższej niż kapitan podpisał kontrakt z jakimś wydawnictwem. Ukazało się mnóstwo książek o Haiti, każda przekonywała amerykańskich czytelników, że do kraju, w którym dzieją się takie potworności, koniecznie trzeba wysłać wojska, bo nic innego nie podziała. Hurston doskonale zdawała sobie sprawę z powodów takiego oczerniania Haiti. Wiedziała też, że wnioski z jej badań prowadzonych na południu Stanów Zjednoczonych mogą zostać wykorzystane do niecnych celów. Nim postanowiła się zająć tajnymi stowarzyszeniami istniejącymi na Haiti, nie tylko zdobyła ogromne doświadczenie w pracy antropologicznej, ale też wyrobiła w sobie przenikliwość.

Już w ciągu pierwszych kilku tygodni, gdy swobodnie wędrowała ulicami Port-au-Prince, usłyszała rozmaite szeptane pogłoski. Odnotowywała drobne incydenty. Na przykład dźwięk bębna, który rozległ się pewnej czwartkowej nocy: szybkie staccato, pełne powtórzeń, niepodobne do rytmu, który słyszała wcześniej w *hounfour*. Obudziła swoją małą służącą i powiedziała, że powinny zbadać sprawę – wszak wielokrotnie wybierały się razem na tego rodzaju eksploracje. Teraz jednak zamiast pełnej zapału towarzyszki Hurston zobaczyła drżące ze strachu dziecko, które bało się wyjść poza próg domu. Kilka tygodni później, również nocą, Hurston poczuła ostry zapach gumy palącej się na podwórzu. Przepytała człowieka, który za to odpowiadał. Ten zaczął ją przepraszać, wyjaśnił jednak, że ogień jest niezbędnym środkiem bezpieczeństwa i ma uchronić jego dziecko przed zakusami kanibali z *Cochons Gris* – Szarych Świń. Ponoć widział ich, jak paradowali przed jego domem. Byli odziani w czerwone szaty z kapturami. Trzeci incydent wydarzył się podczas rejsu na Gonâve, gdy Hurston napotkała członków milicji, którzy mieli rozprawić się z tajnym stowarzyszeniem działającym w jednym z trudno dostępnych rejonów wyspy. Nie podano jej żadnych szczegółów; padło tylko kilka słów, potem zaległa pełna niepokoju cisza. Antropolożka uznała ją za dowód strachu. W stolicy jeden z miejscowych współpracowników Hurston zaprowadził ją do domu houngana w slumsie Bel Air. Tamtejsza świątynia nie przypominała niczego, co widziała wcześniej badaczka. Pośrodku znajdował się ogromny czarny kamień, zwisający z łańcucha podwieszonego na żelaznym pręcie, którego oba końce wmurowano w ścianę. Hurston stanęła przed kamieniem, a gospodarz wręczył jej skrawek papieru pożółkły ze starości, pokryty dziwnymi symbolami i zawierający „*mot de passage*”, czyli hasło *Cochons Gris*.

Hurston podążała tymi tropami i w ciągu kilku miesięcy zdołała nakreślić

zdumiewający obraz haitańskich tajnych stowarzyszeń. Według jej informatorów członkowie spotykali się po kryjomu nocami. Wzywały ich bębny, wybijające specjalny, przenikliwy rytm. Członkowie rozpoznawali się nawzajem dzięki specjalnym rytualnym powitaniom, których nauczyli się podczas inicjacji, oraz dzięki dokumentom identyfikacyjnym – paszportom. W niezwykle barwnym opisie nocnego spotkania Hurston opowiada, jak cesarz wraz z przewodniczącym, ministrami, królowymi, oficerami i służącymi odbywali szalony rytuał tańca i pieśni, pełen „ruchu i dźwięków rodem z wrzącego piekła". Cały ten tłum uformował procesję i maszerował przez prowincję, pozdrawiając duchy rozstajów, aż wreszcie dotarł na cmentarz. Tam przywołano Barona Samedi, strażnika grobów, i błagano go, by zesłał im „kozę bez rogów", którą zamierzano złożyć w ofierze. Za zgodą duchów zwiadowcy, uzbrojeni w bicze z wysuszonych jelit innych „kóz", szukali nieroztropnych nieszczęśników, którzy wędrowali po nocy. Jeśli napotkana osoba nie mogła przedstawić paszportu poświadczającego jej przynależność do stowarzyszenia, czekała ją straszliwa kara.

Niestety, Hurston prawdopodobnie nigdy nie wzięła udziału w tego rodzaju rytuale. Być może dlatego nie udało jej się poznać prawdy o stowarzyszeniach i mogła jedynie przytoczyć opinie na ich temat krążące na Haiti. Dlatego, jak to ujął jeden z późniejszych etnografów, przedstawiła je jako „zbieraninę czarowników i szczególnego rodzaju przestępców". Na przykład jeden z przedstawicieli elity społeczności ludzi o mieszanym pochodzeniu opowiadał Hurston:

> Istnieje tu stowarzyszenie, które budzi wstręt wszystkich mieszkańców Haiti. Znane jest jako Sect Rouge, Vinbrindingue lub Cochons Gris. Różne nazwy, lecz kryje się za nimi jedna i ta sama grupa. Zbierają się, by jeść ludzkie mięso. […] Pod rządami Francuzów okrutnicy ci byli trzymani pod ścisłą kontrolą dzięki systemowi niewolnictwa. Kiedy jednak nadszedł okres niepokojów, zaczęli się potajemnie spotykać i nim ktokolwiek to dostrzegł, zdołali się świetnie zorganizować. […] Nietrudno zrozumieć, dlaczego Haiti do tej pory nie pozbyło się tych kreatur. Z jednej strony działają oni w sekrecie, z drugiej strony budzą lęk. […] Swe najpotworniejsze skłonności ujawniają na cmentarzach. Bywa, że ktoś umrze po krótkiej chorobie. W noc pochówku członkowie Vinbrindingue udają się na cmentarz, otwierają grób, profanują go […] i wykradają ciało.

Kto należał do tajnych stowarzyszeń? Hurston nie odpowiedziała tak naprawdę na to pytanie. Stwierdzała jedynie, że mowa o organizacjach owianych tajemnicą, a życie ich członków zależy od tego, czy potrafią dochować sekretów całej grupy. Przy okazji zaś nieświadomie opisała jedną

z podstawowych procedur zombifikacji.

> Każdy członek, który za dużo gada, podlega szybko wymierzonej karze. W razie podejrzeń o mielenie językiem następuje staranne śledztwo, prowadzone w tajemnicy. Osoba podejrzana w ogóle nie zdaje sobie z tego sprawy. Mimo to jest nieustannie śledzona; obserwacja trwa, dopóki nie zostanie stwierdzona wina lub niewinność. W tym pierwszym przypadku stowarzyszenie wysyła katów. Ci, wykorzystując dowolne środki, wciągają skazańca do łodzi i zabierają daleko od brzegu, gdzie nikt nie może mu pomóc. Następnie tłumaczą mu, dlaczego czeka go kara. Jeden z katów chwyta ręce skazańca i trzyma je za jego plecami, drugi bierze jego głowę w uścisk i wymierza mu gwałtowny cios kamieniem tuż za uchem. Skazaniec jest ogłuszony, kamień kaleczy też skórę. Wtedy w ranę wciera się zabójczą truciznę o szybkim działaniu. Nie istnieje żadne antidotum, ofiara dobrze zdaje sobie z tego sprawę.

*

Upłynęło prawie czterdzieści lat, nim Michel Laguerre, młody haitański antropolog, zdołał odpowiedzieć na część pytań, które zrodziły się po badaniach Hurston. Latem 1976 roku rozmawiał z byłymi członkami tajnych stowarzyszeń istniejących na prowincji. Ludzie ci nawrócili się później na protestantyzm i dlatego byli gotowi opowiadać o swoich doświadczeniach. Według rozmówców Laguerre’a tajne stowarzyszenia istniały we wszystkich regionach kraju i każde z nich sprawowało kontrolę na określonym terytorium. Nosiły różne nazwy, zależnie od miejsca, na przykład Zobop, Bizango, Vlinbindingue, San Poel, Mandingue i – co bodaj najciekawsze – Macandal. Do stowarzyszenia można było wstąpić tylko pod warunkiem, że zostało się zaproszonym i przeszło inicjację. Przyjmowano zarówno mężczyzn, jak i kobiety, obowiązywała ścisła hierarchia. Laguerre potwierdził istnienie paszportów, rytualnych uścisków dłoni, tajnych haseł, sztandarów, flag, czerwono-czarnych strojów, specjalnych pieśni, tańców, rytmów wybijanych na bębnach oraz oddawanie czci specyficznym bóstwom. Odnotował też, że zasadnicze znaczenie miały odprawiane cyklicznie rytuały, służące wzmocnieniu solidarności grupowej. Ceremonie te odbywały się nocami i zaczynały się od przyzwania duchów. Na koniec wszyscy członkowie urządzali pochód przed symbolem stowarzyszenia, świętą trumną zwaną *sekey madoulè*.

Jednak według Laguerre’a tajne organizacje pełniły zupełnie inną funkcję, niż wydawało się Hurston. W ogóle nie zajmowały się działalnością przestępczą. Przeciwnie, Laguerre przedstawiał je jako sumienie chłopów,

quasi-polityczne ramię społeczeństwa vodoun, odpowiedzialne przede wszystkim za ochronę wspólnot lokalnych. Haitańskie tajne stowarzyszenia, podobnie jak te działające w Afryce Zachodniej, zajmowały się rozstrzyganiem najważniejszych kwestii kulturowych. Każde z nich miało luźne powiązania z *hounfour*, którego houngan służył jako ktoś w rodzaju rzecznika, pośredniczył między stowarzyszeniem a resztą społeczeństwa. Stowarzyszenia były wszechobecne; Laguerre porównywał je do węzłów rozległej sieci. Gdyby się zjednoczyły, mogłyby utworzyć potężny podziemny rząd, zdolny rywalizować z centralną administracją w Port-au-Prince. Laguerre nie miał też żadnych wątpliwości co do ich pochodzenia.

Po wojnie o niepodległość, pisał, *marrons*, zdradzeni przez dowódców wojskowych, kontynuowali walkę. W niektórych częściach kraju ich oddziały istniały aż do roku 1860, zasadniczo jednak, kiedy byli niewolnicy zajęli się uprawą ziemi i narodziło się społeczeństwo vodoun, *marrons* przyjęli nową rolę. Zamiast walczyć z Francuzami, stawiali opór nowemu zagrożeniu: rozwijającej się miejskiej elicie społeczno-gospodarczej, której nie wyróżniał już kolor skóry. Owa elita chętnie odebrałaby chłopom ziemię i przywłaszczyła sobie ich pracę. O ile jednak w wojnie z Francuzami możliwe było decydujące zwycięstwo, o tyle nowy konflikt miał charakter strukturalny i stanowił odtąd niezbywalny element chłopskiego życia. *Marrons* przestali być jawną, niezależną siłą wojskową. Zeszli pod ziemię i utworzyli tajne organizacje chroniące społeczeństwo vodoun. Z czasem przerodziły się one w istniejące dziś stowarzyszenia. Podczas gdy w XVIII wieku *marrons* walczyli o wolność, obecnie, jak pisał Laguerre, stowarzyszenia „zabezpieczają swoje społeczności lokalne, aby zapobiegać zagrożeniu ze strony obcych grup”.

Interpretacje Laguerre’a wydawały mi się trafne, dalsze wnioski były więc oczywiste. Autorytety medyczne w Port-au-Prince mówiły mi, że zombifikacja to działalność przestępcza, którą trzeba ujawnić i wykorzenić dla dobra narodu. Teraz jednak dostrzegłem inną możliwość. Dla przedstawicieli wielkomiejskich elit zombifikacja faktycznie była przestępstwem, ale społeczeństwo vodoun najwyraźniej traktowało tę procedurę zupełnie inaczej, jako sankcję nakładaną przez kulturowo uznane grupy odpowiedzialne za sprawowanie kontroli i egzekwowanie norm. Los, który spotykał ludzi zmienionych w zombie, wydawał mi się wyjątkowo koszmarny. Ale czy mogło być inaczej? Tego rodzaju surowe kary cielesne nigdy wszak nie są przyjemne.

Z moich własnych badań wynikało, że przynajmniej w niektórych

przypadkach preparat używany do zombifikacji był kontrolowany przez tajne stowarzyszenia, a wiedza na temat trucizn i ich skomplikowanych właściwości farmakologicznych pochodziła pierwotnie od grup *marrons* i od tajnych stowarzyszeń działających w Afryce Zachodniej. Tam trucizny wykorzystywano, by karać ludzi naruszających normy. Hurston sugerowała, że tajne stowarzyszenia na Haiti stosowały podobne sankcje. Miałem wszelkie powody, by zakładać, że Ti Femme i Narcisse otrzymali truciznę i że w chwili zgonu byli osobami wyklętymi przez swoje wspólnoty. Występki Narcisse'a miały bezpośredni związek z dostępem do ziemi – zdaniem Laguerre'a właśnie takie kwestie przyciągały uwagę tajnych stowarzyszeń. Sam Narcisse opowiadał, że stanął przed trybunałem, został osądzony i skazany. Możliwy związek z trybunałami z Afryki Zachodniej był oczywisty. Co więcej, Narcisse określił swych sędziów mianem „panów tego kraju" i dał do zrozumienia, że jeśli nadal będzie nieodpowiednio postępował, czekają go kolejne kłopoty. Pamiętałem też słowa Beauvoira: rady tajnych stowarzyszeń dzierżą klucz do rozwiązania tajemnicy zombie.

Zdołałem zidentyfikować preparat używany do zombifikacji i tym samym odpowiedziałem na pytanie, jak proces ten przebiega od strony fizjologicznej. Natomiast prace Laguerre'a w połączeniu z informacjami przekazanymi mi przez Beauvoira i innych zapewniały socjologiczne wyjaśnienie tego fenomenu. Zasadniczą wskazówkę znalazłem u niezmordowanej Zory Neale Hurston.

W październiku 1936 roku po drodze w dolinie Artibonite błąkała się naga kobieta. Przekazano ją w ręce władz; powiedziała urzędnikom, by odwieźli ją na jej rodzinną ziemię. Brat kobiety potwierdził jej tożsamość. Nazywała się Felicia Felix-Mentor. Podobnie jak Ti Femme mieszkała w Ennery. Dwadzieścia dziewięć lat wcześniej nagle zachorowała, umarła i została pochowana. Akt zgonu, zeznania byłego męża oraz innych członków rodziny wydawały się potwierdzać jej słowa. Ze względu na fatalny stan kobiety władze, ustaliwszy jej tożsamość, umieściły ją w szpitalu w Gonaïves. Tam właśnie odnalazła ją Hurston. Według relacji antropolożki kobieta wyglądała okropnie: miała „twarz pozbawioną wyrazu i martwe oczy", jej powieki zaś „zbielały, jak gdyby wypalono je kwasem".

Hurston spędziła w towarzystwie rzekomej zombie zaledwie jeden dzień, ale uznała, że odkryła wszystko, co było do odkrycia. Niestety, nikt jej nie uwierzył. Pisała później, że długo rozmawiała z lekarzem kobiety.

Omawialiśmy kwestię przemiany człowieka w zombie. Wniosek brzmiał, że nie

> chodzi tu o wskrzeszanie umarłych, lecz o wywołanie stanu przypominającego śmierć. W tym celu wykorzystuje się jakąś substancję znaną nielicznym osobom, sekretną recepturę, pochodzącą prawdopodobnie z Afryki i przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Odpowiedni ludzie znają zarówno działanie tej substancji, jak i antidotum. Nie ulega wątpliwości, że substancja niszczy część mózgu odpowiedzialną za mowę i wolę. Ofiara może się poruszać i wykonywać rozmaite czynności, ale nie formułuje żadnych myśli. Dwaj lekarze pragnęli odkryć sekret substancji, lecz z czasem uświadomili sobie, że to niemożliwe. *Tajne stowarzyszenia są naprawdę tajne* [podkreślenie moje – W.D.].

Hurston opublikowała tę hipotezę w 1938 roku w książce *Tell My Horse* [Powiedz mojemu wierzchowcowi]. Jej praca została zignorowana w Stanach Zjednoczonych, na Haiti zaś spotkała się z pogardliwą reakcją intelektualistów. Nie żeby teza o istnieniu trucizny była uważana za niedorzeczną. Przeciwnie, o truciźnie wspominają wszyscy późniejsi badacze haitańskiej kultury. Alfred Métraux pisał na przykład, że „hungan [*sic*] zna tajemnice pewnych preparatów wywołujących stan letargu, nieodróżnialny od śmierci". Nawet jeśli większość antropologów nie miała co do tego pewności, sami Haitańczycy byli pewni, że trucizna istnieje – w przeciwnym razie jej stosowanie nie zostałoby przecież zakazane w kodeksie karnym.

Problem z książką Hurston nie polegał na jej wiarygodności. Wynikał z tego, że książka ukazała się w nieodpowiednim momencie. W tamtym okresie haitańscy badacze społeczni, wykształceni w tradycji zachodniej, próbowali przekonać cały świat, że na prowincji kraju istnieją i działają najzupełniej normalne, prawomocne instytucje. Elita intelektualna nadal rozdzierała szaty z powodu skandalizujących książek publikowanych w Stanach Zjednoczonych, które nie tylko oczerniały Haiti, ale też miały uzasadniać konieczność amerykańskiej okupacji. Często pojawiał się w nich wątek zombie – później zresztą powrócił on w niskobudżetowych hollywoodzkich filmach. Haitańscy intelektualiści nie chcieli słyszeć o ożywianiu umarłych. Uważali, że to temat niegodny uwagi, wstydliwa sprawa, którą należy wypchnąć do krainy folkloru. Zora Neale Hurston mogła rozwiązać zagadkę zombie już pół wieku temu, gdyby tylko udzielono jej odpowiedniego wsparcia. Zamiast tego została wyśmiana przez innych antropologów.

Trzeba oddać jej krytykom, że hipoteza dotycząca trucizny wydawała się pod pewnymi względami podejrzana. Po pierwsze, wielu informatorów powtarzało, że obudzenie zombie to wyłącznie skutek działania magicznych mocy bokora. Po drugie, mimo interesującej historii Felicii Felix-Mentor

żaden lekarz nie natrafił na jednoznacznie wiarygodny przypadek zombifikacji. Po trzecie wreszcie, nikt nie zdołał zdobyć próbki rzekomej trucizny. Hurston nie pomogła sobie, napisawszy, że „wiedza na temat składników roślinnych i receptury jest ściśle tajna. Zazwyczaj należy do wybranych rodzin, a strażnicy owych pradawnych sekretów za nic nie zechcą ich ujawnić". Niestety, antropolożka dała się zwieść zapewnieniom haitańskich lekarzy, którzy zapewne próbowali ustalić skład trucizny, ale wzięli się do tego w zupełnie nieodpowiedni sposób. Na przykład pewien nadgorliwy badacz, wykorzystawszy swoje znajomości, doprowadził do aresztowania starego bokora bez postawienia zarzutów i groził mu długą odsiadką, jeżeli nie zdradzi tajemnicy. Uparty bokor oczywiście odmówił. Oznajmił, że sekretna receptura pochodzi z Gwinei, on zatem nigdy nikomu nie powie, co wchodzi w skład preparatu. Haitańska elita straszyła też Hurston i nie szczędziła jej różnych ostrzeżeń. Niewykluczone, że zniechęciło to antropolożkę do drążenia tematu. Mówiono jej, że zombifikacja „budzi ciekawość niejednego haitańskiego intelektualisty, ale wiedzą oni, że kto miesza się w takie sprawy, może na zawsze zniknąć bez śladu". Ponadto Hurston usłyszała, że jeśli nadal będzie próbowała nawiązać bezpośredni kontakt z którymś z tajnych stowarzyszeń, czeka ją „straszliwy los. Na pewno nie wyszłabym z tego żywa i przeklinałabym dzień, w którym zdecydowałam się podjąć moje poszukiwania".

Zora Neale Hurston była nieprzeciętnie dzielną kobietą, ale prowadziła zupełnie pionierskie badania, do tego w zupełnej próżni. Nie miała wyboru: musiała poważnie potraktować słowa swoich haitańskich kolegów po fachu. Jeżeli jednak wnioski Laguerre'a były trafne, a tajne stowarzyszenia stanowiły prawomocną siłę polityczną i sądową społeczeństwa vodoun, bez wątpienia istniała możliwość nawiązania z nimi kontaktu. Musiałem spróbować, by rozwiązać ostatni element tajemnicy zombie. Dzięki znajomości z Herardem Simonem znalazłem odpowiedniego przewodnika.

12

Taniec w paszczy lwa

Czasami, siedząc gdzieś w Nowym Jorku lub w Cambridge, oddawałem się rozmyślaniom i miałem wrażenie, że w mojej głowie tkwi wibrujący magnes przyciągany przez Haiti. Pragnąłem zrozumieć związek między zombifikacją a tajnymi stowarzyszeniami; późną jesienią 1982 roku marzyłem o tym, by przeniknąć do jednego z takich stowarzyszeń. Musiałem zrobić ostatni krok, zobaczyć, co kryje się za fasadą stworzoną na użytek publiczny. Dopiero wówczas zrozumiałbym, dlaczego niektórzy ludzie są zmieniani w zombie.

Osoby doradzające mi podczas trwania projektu badawczego przekonywały, że będzie się to wiązało z rozmaitymi niebezpieczeństwami. Tajne stowarzyszenia sprawowały przecież władzę na haitańskiej prowincji. Kline interesował się co prawda głównie kwestią budzenia pogrzebanych zombie, ale wiedział dostatecznie dużo na temat Haiti, by od razu zrozumieć ewentualne konsekwencje mojego kolejnego przedsięwzięcia. Na początku zimy 1982 roku uczestniczyliśmy razem w licznych spotkaniach; Kline za każdym razem oferował mi pełne wsparcie. Lehmann zachowywał ostrożność. David Merrick, główny sponsor projektu zombie, wtórował różnym antropologom wyrażającym obawy, że cała ta przygoda najprawdopodobniej zakończy się moją śmiercią. Zapewniałem, że niebezpieczeństwo jest mocno przesadzone. W końcu udzielono mi wsparcia finansowego, ale pod pewnym warunkiem: priorytetem mojego wyjazdu miało być medyczne udokumentowanie procedury budzenia zombie. Niestety, wkrótce potem splot nieszczęśliwych okoliczności, na które nie miałem wpływu, zagroził planom mojego powrotu na Haiti. W połowie lutego 1983 roku doktor Nathan Kline zmarł niespodziewanie na stole operacyjnym podczas rutynowego zabiegu. Niespełna czterdzieści osiem godzin później Merrick doznał poważnego urazu mózgu. Odtąd nie mógł angażować się w projekt. Rok zaczął się zatem od tragedii i gwałtownych zmian. Straciłem szansę zajęcia się tajnymi stowarzyszeniami.

Na Haiti wróciłem dopiero po kilkunastu miesiącach, tym razem bez wsparcia finansowego. Choć wiele rzeczy się zmieniło, kraj był taki jak wcześniej. Znów jechałem ulicami Port-au-Prince, mijałem domy, które zdawały się zrobione z piernika, wysokie palmy sięgające ku niebu,

nieruchome rozlewiska ścieków przy Truman Boulevard. Jak zwykle przypominały mi się słowa nieznajomego z hotelu Ollofson: „Haiti pozostanie Haiti, dopóki ludzki duch będzie fermentować". Mimo to, oprócz beztroski i szczęścia, które kojarzyły mi się z tym krajem, przeżywałem teraz również inne, mniej powierzchowne emocje. Miałem poczucie swojskości i zarazem obcości, nawiedzające każdego, kto wraca w znajome miejsce, lecz wie, że nigdy nie stanie się tubylcem.

Szybko przekonałem się też, że z powodu upływu czasu ja i moi tutejsi znajomi mogliśmy teraz ukazać swoje inne oblicza, ujawnić niewidoczne wcześniej sprzeczności. Z pozoru wydawało się, że wszystko jest jak dawniej. Marcel Pierre radował się swoją sławą, gdyż dokument z jego udziałem nakręcony przez ekipę BBC pokazano w krajowej telewizji. Niedawno widziano, jak Marcel przechadza się korytarzami miejscowego szpitala: powtarzał słowa reportera i przekonywał, że wcale nie bratał się ze złymi mocami, przyczynił się natomiast do nadejścia przełomu w medycynie, a więc przysłużył się całej ludzkości. Szczęście nie trwało długo, zburzyła je bowiem okrutna choroba, która zaatakowała ulubioną żonę Marcela. Kobieta pomału wykrwawiała się na śmierć z powodu złośliwego guza w macicy.

Beauvoir nadal nosił się wytwornie i tryskał energią, lecz mocno zbiedniał, bo przemysł turystyczny w zasadzie upadł z powodu panicznego lęku przed AIDS. Jeśli o mnie chodzi, to śmierć Kline'a poważnie wpłynęła na moją sytuację finansową. Skromne fundusze, którymi dysponowałem, poszły na zakup krwi dla żony Marcela. Haitańczycy zareagowali na to zaskakująco. Wcześniej, kiedy dzięki sponsorom miałem mnóstwo pieniędzy, robili wszystko, żeby zdjąć ze mnie ich ciężar. Teraz, gdy pozostało mi bardzo niewiele, niczego się ode mnie nie domagali.

Ze wszystkich aktorów tego zaskakującego dramatu najbardziej zmieniła się Rachel. Jesienią 1982 roku zaczęła studiować antropologię na Uniwersytecie Tufts. Pobyt w Stanach Zjednoczonych umocnił jej haitańską tożsamość. Na nowo odkryła swoją więź z krajem, swoboda i niezdecydowanie zupełnie zniknęły. Opowiedziałem jej o swoich planach, na co oznajmiła, że nadal chce mi towarzyszyć. Promotor zgodził się, żeby wzięła urlop naukowy.

Wiedzieliśmy, że musimy zacząć od Herarda Simona.

*

Tego późnego popołudnia powietrze było parne, dopóki nie zaczęły się

opady, co często zdarza się na początku lata. Najpierw z nieba lunął szalony strumień wody, potem deszcz stał się bardziej miarowy, tworzył potężną ścianę przesłaniającą cały horyzont. Ustał równie nagle, jak nadszedł, pozostawił coś złowieszczego w ostrym nocnym wietrze wiejącym na ulicach Gonaïves. Ponieważ odcięto prąd, w wielu dzielnicach jedynym źródłem światła, bladego i migotliwego, były lampy naftowe. Na nabrzeżu jednak wszystko działało normalnie; pod zadaszonym wejściem do kina, w którym miał na nas czekać Herard, zebrał się tłum. Herard uwielbiał filmy, a rozpadające się kino stanowiło jeden z jego ulubionych łączników ze światem poza Haiti. Wpadał tam, kiedy tylko miał ochotę, i rzadko się zdarzało, by przesiedział od początku do końca seansu – zresztą jego osobliwe postępowanie całkiem dobrze pasowało do jedynego kina w Gonaïves, gdzie filmy ze Stanów Zjednoczonych wyświetlano z kiepskim francuskim dubbingiem, trzeszczącym w uszach ludzi, którzy mówili wyłącznie po kreolsku.

Uśmiechnięty beznogi mężczyzna na wózku przywitał nas i przekazał nam wiadomość. Ruszyłem za Rachel. Obeszliśmy kino, skręciliśmy w boczną uliczkę i dotarliśmy do domu byłego szefa policji. Tam czekała na nas kolejna wiadomość; okazało się, że musimy wrócić na nabrzeże, skąd skierowano nas do klubu nocnego Clermezine na obrzeżach miasta. Hélène, żona Herarda, przyjęła nas serdecznie i kiedy na niego czekaliśmy, uraczyła nas fascynującą opowieścią na temat dzisiejszych wydarzeń na targowisku. Siedzieliśmy w ciemności, mdły zapach jej perfum mieszał się z wilgotnym, ale świeżym powietrzem. Snuła historię, która zmierzała donikąd, zdania wpadały na siebie, były powtarzane raz po raz. Ekscytacja Hélène, wywołana relacjonowanymi wydarzeniami, mogłaby trwać wiecznie, choć tak naprawdę na targu nie działo się nic niezwykłego, dzień był najzupełniej zwyczajny i nazajutrz miał pójść w zapomnienie. Obserwowaliśmy niesamowity, a zarazem całkiem typowy występ, który zapewne ciągnąłby się godzinami, gdyby nie przerwało go przybycie Herarda. Nie widzieliśmy się od przeszło roku, mimo to powitaliśmy się niczym przyjaciele, którzy spotykają się po zaledwie kilku dniach rozłąki. Herard dał do zrozumienia, że nie potrzebuje entuzjastycznego nadskakiwania, i kiedy skończyły mi się błahe nowinki, pojąłem, że milczenie wyraża naszą relację lepiej niż słowa. Na Zachodzie kurczowo trzymamy się przeszłości, ale na Haiti osią życia jest teraźniejszość. Przeszłość i przyszłość, tak samo jak w Afryce, to jedynie odległe punkty odniesienia dla teraźniejszości, zaś wspomnienia i obietnice są zupełnie puste.

Mimo to odniosłem wrażenie, że Herard docenił mój powrót na Haiti. W półmroku jego twarz, okrągła niczym księżyc, była nieprzenikniona, jego zachowanie wyrażało pewność siebie człowieka, który potrafi mieszać piasek z gwiazdami, a w kieszeni nosi błyskawice. Z odległego zachodu dobiegło dudnienie gromu, wiatr potrząsał liśćmi migdałowców rosnących na terenie posiadłości. Potem rozległ się znajomy, zachrypły śmiech Herarda, oznaczający, że przywiezione przeze mnie dary przypadły mu do gustu. Kiedy się ostatnio widzieliśmy, mówiłem mu, że czeka mnie podróż do Amazonii, i spytałem, czy chciałby dostać coś z drugiej strony Ameryki Południowej. „Coś mistycznego", odparł. Wiedziałem, z kim mam do czynienia, więc życzenie okazało się nie lada wyzwaniem. Miałem nadzieję, że futro ocelota i kilka kręgów potężnego boa dusiciela zaspokoją oczekiwania Herarda.

– Zjadłeś mięso? – dociekał, gdy razem z Rachel powoli rozwijaliśmy futro.

– Mówią, że to zakazane – odparłem szczerze.

– Biali tak mówią?

– Nie, Indianie.

– Dobrze. Widzisz – rzekł, zwracając się do Rachel – dokładnie to samo mówiłem twojemu ojcu. Człowiek tak dziki nie uczy się niczego od starszych. Jeździ więc w dzikie miejsca, by żyć pośród liści. Teraz wrócił do żywych, bo liście jednak mu nie wystarczają.

Zagłębiłem się w jego logikę, co pozwoliło mi zrozumieć, że stworzył sobie w głowie szczególny obraz mojej osoby. Nie pasowałem do żadnej z szufladek, w których zazwyczaj umieszczał cudzoziemców, zbudował więc kolejną – czy może raczej ułożył kolaż, jaki mógłby powstać ze scen z filmów klasy B. Dżungla, mity amazońskie, plemiona, o których mu opowiadałem, i zdjęcia, które próbowałem mu pokazać, sprawiły, że dostrzegał we mnie dziką istotę, nie białego człowieka.

– Nie dlatego tu przyjechał – wyjaśniła Rachel. – Wrócił, razem wróciliśmy, bo…

Herard zasłonił twarz rękami, potem z wyraźną trudnością wstał, postękując i mamrocząc coś niezrozumiale.

– Twój ojciec już wszystko mi wyjaśnił – powiedział w końcu. – Rachel, czy myślisz, że to jakaś zabawa? Bizango to diabelstwo! Nie jest takie, jak ci się wydaje!

– Niektórzy mówią, że rytuał Bizango to istota życia.

Nie spodziewał się tak natychmiastowej i śmiałej riposty, przez moment wydawał się zaskoczony.

– Mogą sobie gadać, co im się podoba. Rytuał mówi prawdę. Słuchaj pieśni. Co mówią? W żadnej nie usłyszysz „daj mu życie". A co śpiewają, kiedy wkładają pieniądze do trumny? „Te pieniądze są dla *djab*", dla diabła. Albo: „Kobieto, masz dwoje dzieci, gdy zabiorę jedno, nie krzycz, bo cię zjem". Ich pieśni mają jedno jedyne przesłanie: zabić, zabić, zabić! – Rachel chciała coś wtrącić, lecz jej nie pozwolił. – Aby służyć Bizango, musisz użyć ludzkiej czaszki. Specjalnie spreparowanej, nie takiej, którą wykopujesz z ziemi. Ich kielich to ludzka czaszka. Czy teraz rozumiesz, moje dziecko?

– Mamy zadanie i musimy je wykonać. – Rachel była stanowcza, strach nie wdarł się w jej głos.

– Powiem ci zatem, co się wydarzy. Gdy obcy wtrąca się w sprawy stowarzyszenia, gdy próbuje dostać się do Bizango, rzucają na niego *coup l'aire* lub *coup poudre*. Chcesz zobaczyć latające bestie? Powiesz pewnie, że tak. No cóż, jeśli będziesz miała szczęście, tylko cię postraszą i przywiążą do *poteau mitan*, a dwudziestu Shanpwel z nożami będzie tańczyło dokoła. Obok, w kociołku z olejem, będzie się gotowało mięso. Wkrótce wypłynie ono na powierzchnię. Wtedy zobaczysz ludzki palec i nie będziesz pewna, czy nie jest to palec twojej matki. Potem zwołają sąd. Będziesz się modliła, żeby przewodniczący uznał cię za niewinną.

– Przecież będziemy niewinni.

Chwycił moją dłoń i zbliżył ją do twarzy, aż poczułem na skórze jego oddech.

– On nie – prychnął.

– Haitańczyk nie widzi koloru skóry.

– Dziewczyno, dość tej głupoty! Amerykanie ukradli nam kiedyś kraj. W czasach Ojca próbowali ponownie. Żaden cudzoziemiec nie może chodzić pod osłoną nocy.

– Dlatego chcemy, żebyś nas poprowadził.

– Nigdy. Rachel, ty jesteś jeszcze młoda, a Wade musi nadal służyć *loa*. Bizango to *djab*, to zło. Nie wolno ci się z nimi zadawać.

– Chcemy tylko zobaczyć, co robią.

Herard nie odpowiedział. Od dawna nikt mu się nie sprzeciwił, więc zupełnie od tego odwykł. Zazwyczaj czekał, aż inni skończą mówić, by potem w kilku stanowczych zdaniach wyrazić swoją wolę. Okazywano mu posłuszeństwo. Teraz jednak ostatnie słowo należało do Rachel.

*

Byliśmy rozczarowani, że Herard nam odmówił, lecz szybko napotkaliśmy Haitańczyków gotowych rozmawiać z nami o Bizango lub Shanpwel (słów tych używano zamiennie). Bardzo mnie to zdziwiło, Rachel natomiast nie wydawała się zaskoczona. Ludzie oskarżali tajne stowarzyszenia o wszelkiego rodzaju niecne i niemoralne czyny, zarzucano im, że jedzą dzieci i zmieniają swoje niewinne ofiary w świnie. Najwyraźniej w świadomości publicznej Bizango było równie złowrogie jak w literaturze popularnej i naukowej. Tym bardziej zainteresowała nas opowieść Isnarda, młodego człowieka z nadmorskiej miejscowości Archaie, który wstąpił do Bizango w 1980 roku, w wieku dwudziestu pięciu lat.

Odkąd był dzieckiem ostrzegano go, by nie chodził po zmroku. Pewnej nocy usłyszał – nie po raz pierwszy – bębny stowarzyszenia i postanowił wymknąć się z *lakou*, by podążyć za ich dźwiękami. Bębny przywiodły go do pobliskiego gospodarstwa. Przy bramie stał strażnik; okazało się, że to przyjaciel Isnarda. Gdy rozmawiali, podszedł do nich przewodniczący miejscowego stowarzyszenia, który chciał napić się ze strażnikiem. On również znał się z Isnardem i zaprosił chłopaka do środka. Tego akurat dnia spotykały się dwa stowarzyszenia. Kat stowarzyszenia, którego członkowie przybyli tu w gości, był wrogiem Isnarda i natychmiast kazał „pochwycić" chłopaka. Zebrani ustawili się w rzędzie. Isnard próbował naśladować pozostałych, nie znał jednak rytualnych gestów ani pieśni. Wszyscy poza nim nosili czerwono-czarne szaty, więc oczywiście różnił się ubiorem. „Nie zdjąłem jeszcze skóry, by przywdziać nową", stwierdził.

Zabrzmiały bębny, rozległ się śpiew. Napięcie narastało i nagle człowiek o straszliwej twarzy, po której spływały łzy i krew, zaintonował słowa przeznaczone dla Isnarda: „Ta wielka, wielka koza pośrodku naszego domu, mądrala, to właśnie ją chcę złapać". Isnard wstrzymał oddech, płuca go zapiekły. Myślał, że wszystko stracone, lecz wtedy zjawił się jego duch. Nie dosiadł Isnarda, dał mu za to siłę i nadludzką zręczność, niezbędną w tamtym momencie. Właśnie mieli rzucić pierwszą pułapkę – czyli zaklęcie – gdy zgasło światło i Isnard wyskoczył z szeregu. Chybili, zamiast tego zaklęcie dosięgło człowieka, obok którego Isnard stał jeszcze chwilę temu. Spróbowali więc ponownie i jeszcze raz, aż w końcu pułapki spadły na dziesięciu członków stowarzyszenia. Przywódcy uznali wreszcie, że młodzieńca nie da się pochwycić. Wysłali więc trzy dostojniczki – pierwszą królową, drugą królową i królową flagi – by go zatrzymały. Zasłonięto mu oczy i zaprowadzono przed krzyż Barona Samedi, by mógł wystąpić

w swojej obronie. Szczęśliwie Baron uznał go za niewinnego, bo w tamtej chwili z ust Isnarda rozległa się pieśń:

Croix Jubilée, Croix Jubilée,
Jestem niewinny!

Przywódcy byli pod wrażeniem boskiego wstawiennictwa, natychmiast postanowili więc przyjąć Isnarda do stowarzyszenia. Tamtej nocy zaczęła się inicjacja. Chłopaka nauczono wszystkich najważniejszych reguł Bizango. Odtąd mógł wziąć udział w każdym spotkaniu stowarzyszenia w całym kraju.

Po inicjacji Isnard przekonał się, że Bizango ani trochę nie przypomina organizacji, o której opowiadano mu od dzieciństwa. Nie czyniło zła, zapewniało natomiast swoim członkom bezpieczeństwo i wsparcie. Matka twierdziła, że nocne spotkania służą zbrodniczej, groźnej działalności, ale Isnard odkrył, że ludzie uprowadzani po zmroku nie są niewinnymi ofiarami, lecz przestępcami. Jak to ujął: „W mojej wiosce nie giniesz z obcej ręki, sam sprowadzasz na siebie śmierć". Jeśli przypadkowa osoba znalazła się poza domem po północy i natknęła się na grupę członków Bizango, musiała jedynie przyklęknąć na znak szacunku oraz zasłonić głowę i oczy, a zostawiano ją w spokoju.

Isnard mógł też zwrócić się do stowarzyszenia w razie problemów życiowych. Gdyby jakaś osoba z jego rodziny nagle zachorowała, stowarzyszenie udzieliłoby mu pożyczki na pokrycie kosztów leczenia. Każdy członek mający kłopoty z policją wiedział, że jeśli jest niewinny, przywódcy wykorzystają swoje kontakty i pomogą mu wyjść na wolność. Co bodaj najważniejsze, stowarzyszenie chroniło członków przed wrogami. Jeżeli na przykład ktoś rozpuścił plotkę, wskutek której członkowi groziła utrata pracy, mógł on domagać się ukarania winowajcy. „Gdy twoje słowa uniemożliwiają mi życie, gdy sprzeciwiasz się temu, że mam co jeść, ja sprzeciwiam się temu, że żyjesz", tłumaczył Isnard. Wystarczyło skontaktować się z cesarzem – czyli z założycielem stowarzyszenia – i zaoferować mu „sprzedanie" wroga. Jeżeli cesarz orzekał, że powinien odbyć się sąd, wysyłał łowców. Ci sprowadzali oskarżyciela i oskarżonego przed oblicze członków stowarzyszenia, przy czym nie chodziło o fizyczne stawiennictwo. Z relacji Isnarda wynikało, że sprowadzano pochwycone *ti bon anges* obydwu zwaśnionych osób. Ciała oskarżyciela i oskarżonego ani na moment nie opuszczały sypialni, sąd zaś pamiętali oni później jako sen.

Łowcy nie byli bowiem ludźmi, lecz mistyczną siłą stowarzyszenia Bizango. Na obu adwersarzy rzucano czar i wpadali w chorobę. Gdy zbliżał się ich kres, każdemu odbierano *ti bon ange*. Niewinnemu nie groziła śmierć. Z kolei *ti bon ange* człowieka, który został uznany za winnego, nigdy nie wracało do jego ciała. Nazajutrz w łóżku zastawano nieżywe *corps cadavre*. Nikt nie sprzedawał pochopnie swoich wrogów, bo gdy trybunał uznawał, że oskarżony jest niewinny, znaczyło to, że oskarżyciel rozsiewa kłamstwa i musi zostać ukarany.

Rewelacje Isnarda, zwłaszcza zwyczaj „sprzedawania kogoś stowarzyszeniu", pomogły mi skojarzyć dwa elementy układanki. Z jednej strony był przypadek Clairviusa Narcisse'a i jego słowa o „panach tego kraju", tajnym trybunale, który go osądził, i preparacie, za którego sprawą został najpierw pogrzebany, a później wyciągnięty z grobu. Z drugiej strony było Bizango i jego dający do myślenia, choć trudny do udowodnienia, związek z tajnymi stowarzyszeniami z Afryki Zachodniej, wiedza członków na temat trucizn, praktyki sądowe, wszechobecność, wpływ na życie społeczności… Dzięki Isnardowi Rachel i ja ujrzeliśmy obraz Bizango odbiegający od rozpowszechnionego stereotypu i od mrocznego obrazu odmalowanego przez Herarda. Nie potrafiliśmy stwierdzić, w jakim stopniu słowa Isnarda są prawdziwe. Ponieważ od dawna przyjaźnił się on z Beauvoirami, uznaliśmy, że zasługuje na to, by stać się naszym przewodnikiem. W młodości mieszkał przez pewien czas u Maxa i jego rodziny, toteż nam ufał. Przez następne dziesięć dni spotykaliśmy się dość często w jego domu i w Peristyle de Mariani, gdzie mieliśmy zapewnioną prywatność. Umocniliśmy naszą więź i wreszcie załatwił nam zaproszenie na ceremonię Bizango zaplanowaną w nadchodzącym tygodniu w Archaie. Ale właśnie wtedy Herard Simon znów wezwał nas do siebie.

*

Chociaż mieliśmy spotkać się z nim pod kinem, nie zastaliśmy go. Postanowiliśmy więc dla zabicia czasu obejrzeć końcówkę wyświetlanego właśnie filmu. Okazało się, że grają *Poszukiwaczy zaginionej arki*. Z powodu fatalnej jakości obrazu i dźwięku film stał się czymś w rodzaju testu Rorschacha, pozwalającego badać skojarzenia i emocje widzów. Kulminacyjna scena, gdy z arki wylatują duchy, a naziści roztapiają się jak woskowe lalki, wywołała popłoch. Na sali zapanowało pandemonium, ludzie wołali: „*Loup garou!*", czyli wilkołaczyca. Ktoś próbował ostrzec ciężarne

kobiety przed niebezpieczeństwem, ktoś inny zalecił, żeby każdy natychmiast zawiązał sobie wstążkę na lewym ramieniu. Nic, co się działo na ekranie, nie mogło się równać z zamieszaniem na widowni. Film się skończył, szaleństwo rozlało się na ulice, pośród krzyków i śmiechów zdołaliśmy dosłyszeć ostry gwizd Herarda. Okazało się, że przez cały czas był w kinie. *Poszukiwacze zaginionej arki* niezwykle mu się spodobali, zwłaszcza moment, gdy Indiana Jones zostaje zamknięty w egipskiej krypcie pełnej węży.

– Człowiek urodzony z wężową krwią w żyłach poradziłby sobie w takiej sytuacji – zapewnił nas. – W przeciwnym razie musiałaby to być kwestia mistyki. – Wyjaśnił, że wystarczy oczyścić umysł z wszelkich zmartwień i zrobić miejsce dla swych duchowych sojuszników, żeby móc zrobić wszystko, co widzieliśmy w filmie.

– Tylko głupiec zdecydowałby się tańczyć samotnie w lwiej paszczy – dodał znacząco. Jego usta wykrzywiły się w czymś na kształt uśmiechu.

Oczywiście dobrze wiedział o naszych wizytach w Archaie, o rozmowach z Isnardem, nawet o zaproszeniu na ceremonię Bizango. Odszedłem na chwilę na bok, by dołączyć do grupki widzów wykorzystujących pobieloną ścianę kina jako pisuar.

– Co to ma być, że *blanc* sika pod murem? – zawołał Herard, kiedy wróciłem do jego zdezelowanego jeepa. – *Mes amis*, teraz wszystko rozumiem. Mój dom znowu ma się stać przystanią dla *malfacteurs*! – I śmiejąc się, wszedł w cień, poza niewielki krąg światła, które wylewało się z budynku kina. Nie potrzebowaliśmy żadnego słowa ani gestu, by wiedzieć, że musimy za nim podążyć.

Podpierając się drewnianym mieczem jak laską, szedł nierównym tempem, prowadził nas przez centrum miasta w labirynt uliczek między niewielkimi domami z gliny. Robiło się późno, tak późno, że większość Haitańczyków wolała nie wychodzić na zewnątrz. Nie widzieliśmy zbyt wielu osób, poza tym z powodu braku prądu nie paliły się żadne światła – był tylko księżyc i od czasu do czasu jakaś samotna lampa naftowa. Mimo to labirynt tętnił hałasem. Słyszeliśmy przyciszone głosy, płacz dzieci, skrzypienie bramy z powyłamywanymi zawiasami. Moja wyobraźnia sondowała mrok, próbowała zrozumieć życie ludzi mieszkających tu pod dachami krytymi strzechą, dostarczających sobie pożywienie dzięki płodom niewielkich przydomowych ogródków wysypanych zeskorupiałą ziemią. W górze powoli przesuwał się słodki wiatr znad oceanu, świszczał, omiatając liście palm. Czuło się tu przede wszystkim bluźnierczy smród ludzkich

gospodarstw: zapach odpadków, gnijących owoców, martwego muła, w którego truchle roiły się szczury.

– *Honneur!*

Herard przystanął przed wysoką bramą i trzykrotnie uderzył w nią laską. Żadnej odpowiedzi. Zastukał ponownie, powtarzając zwyczajowe pozdrowienie. Ktoś poruszył się po drugiej stronie bramy, mimo to nadal nie doczekaliśmy się reakcji. W końcu kobiecy głos zapytał, kto kryje się w ciemności. Herard wymienił nazwisko człowieka mieszkającego w tym gospodarstwie i polecił kobiecie, by go sprowadziła. Odmówiła, na co on skrzyczał ją i cicha uliczka wybuchła hałasem, jakby rozpoczęła się nierówna walka psów.

– Kobieto, pilnuj języka! – huknął Herard. – Chcesz, by spadło na ciebie *coup l'aire*? Czy mam wejść do środka i zacisnąć ci zęby? Czy mam wsypać sól w każdą zmarszczkę twojej gnijącej skóry?

Naraz rozległ się inny głos i zaraz potem usłyszeliśmy szybkie szczęknięcie stalowego zamka. Ukazała nam się wściekła twarz starego człowieka, gniewnego i ogorzałego. Kobieta ujrzała Herarda, pojęła, że to z nim się awanturowała, i wpadła w popłoch jak na widok żmii.

Zaczęła przepraszać, lecz Herard łagodnie zlekceważył jej skruchę i gestem polecił nam, abyśmy razem z nim weszli na ogrodzony teren, gdzie stały liczne domy mieszkalne pogrążone w mroku. Spojrzałem w bok i zobaczyłem dużą *tonnelle*, czyli kryty strzechą baldachim świątyni, stojącej wśród kilku bananowców. Otaczała ją bambusowa palisada, przez szpary między łodygami przedostawało się migoczące światło lamp, które co chwila mijali milczący ludzie. Na stołku przy drzwiach siedział samotny mężczyzna trzymający w dłoniach blaszany kubek. Kiedy tylko przeszliśmy pod rozkołysanymi liśćmi bananowców, gwizdy przeszyły czarną noc i z ciemności wyłoniła się niewielka grupka ludzi. Zbliżyli się do nas, ujrzawszy Herarda, pozdrowili go uprzejmie i zniknęli.

Przekroczyliśmy próg i spojrzały na nas przeszło cztery tuziny par oczu. W pierwszej chwili zgromadzeni tu ludzie byli ewidentnie zaskoczeni, zaraz jednak połapali się w sytuacji i zaczęli udawać uprzejmą obojętność. Pod ścianą ciągnęły się rzędy ławek i krzeseł z trzcinowymi oparciami; natychmiast pojawiły się trzy wolne miejsca z przodu, tuż przed *poteau mitan*. Herard kazał nam usiąść i wymknął się tylnym wyjściem z *tonnelle*. Podeszła do nas matrona pachnąca aromatami haitańskiej kuchni – liśćmi laurowymi, bazylią, papryczkami, olejem z orzeszków ziemnych –

i poczęstowała nas gęstą, syropowatą kawą w niewielkich czarkach. Naprzeciwko dwaj młodzieńcy rozstawiali bębny; posyłali Rachel ukradkowe spojrzenia, ona tymczasem otworzyła butelkę rumu, trzykrotnie skropiła nim *poteau mitan* i pociągnęła łyk. W rzędzie za nami rozległ się szmer aprobaty.

Peristyle był podobny do innych, które miałem okazję odwiedzić. Znajdował się tu pojedynczy centralny słup, trzy ściany z bambusa i czwarta, mocniejsza ściana szachulcowa. Z lichych belek stropowych przykrytych blaszanym dachem zwisała pajęczyna sznurków, do których poprzypinano bodaj setkę portretów prezydenta Jean-Claude'a Duvaliera i chyba dziesięć razy więcej haitańskich flag. Troje drzwi w ścianie prowadziło do sanktuarium. Były też dwa wyjścia: drzwi, z których skorzystaliśmy, oraz otwarte przejście po drugiej stronie. Choć wszystkie miejsca siedzące pozajmowano, wciąż przybywali nowi ludzie: stateczni, nadzwyczaj poważni mężczyźni i kobiety pełne determinacji. Mieli na sobie czyste ubrania z bawełny, wymłócone na kamieniach rzecznych, wysuszone na gałęziach drzew, wyprasowane żelazkiem z duszą i obficie posypane talkiem. Zauważyłem, że kobiet jest więcej niż mężczyzn, podobnie jak na innych spotkaniach vodoun, w których uczestniczyłem. Przynosiły garnuszki z jedzeniem, które szybko zabierano nad palenisko z rozżarzonych węgielków, znajdujące się za palisadą.

Niektóre symbole były dla mnie zupełnie nowe: czerń okalająca piedestał *poteau mitan*, czerwone skrawki płótna przyczepione do słupa, na drzwiach prowadzących do bagi i na flagach. Wreszcie zrozumiałem znaczenie tych ostatnich. Czerwień i czerń: kolory rewolucji. Najpierw z francuskiej trójkolorowej flagi oderwano biały pasek, potem, w czasach François Duvaliera, niebieski został zastąpiony przez czarny. Czerń, czyli barwa nocy; czerwień, czyli symbol przemiany, życiodajnej krwi i rebelii. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające *djabs* – diabły – podobne do gargulców. Z ust sterczały im czerwone języki poprzebijane czerwonymi sztyletami i błyskawicami. Pod nimi widniały napisy sporządzone czerwoną farbą na białej ścianie: „Niebezpieczeństwo Ust". Były też figury innych dziwnych duchów: Erzulie Dantor, czyli Czarnej Dziewicy, i Barona Samedi, Strażnika Cmentarzy. Nad jednym z wejść do bagi wypisano starannymi, gotyckimi literami układającymi się w łuk słowa: „Porządek i Szacunek Nocy". U stóp *poteau mitan* leżała ludzka czaszka służąca jako świecznik, przykryta peruką ze strużek zastygłego wosku. Herard, ku naszemu zaskoczeniu, przyprowadził nas na spotkanie Bizango.

Dłoń Rachel dotknęła mojej dłoni, jej spojrzenie wskazało mi imponującą postać stojącą samotnie przy tylnym wejściu, przyzywającą nas do siebie. Podążyliśmy za nieznajomym na zewnątrz, minęliśmy palenisko i niewielkie podwórze, aż wreszcie ujrzeliśmy Herarda, który wraz z jakimś człowiekiem siedział na krawędzi studni.

– Jesteście więc tu, gdzie pragnęliście się znaleźć – rzekł Herard. – Powitajcie przewodniczącego i spytajcie go, o co tylko chcecie.

Wszystko wydarzyło się niezwykle szybko, więc kompletnie zaskoczeni szukaliśmy w ciemności odpowiednich słów. Herard odchylił się w tył i oparł dłonie na rękojeści swojego drewnianego miecza, przewodniczący zaś skierował ku nam twarz i odezwał się aksamitnym głosem:

– *Mes amis*, czy *djab* ukradł wam języki? – Jego głos brzmiał łagodnie, zaskakująco uprzejmie.

– *Monsieur…* – zaczęła Rachel.

– Jean Baptiste, *mademoiselle*, do usług.

– Przywiódł nas tu mój ojciec, Max Beauvoir. Służy w Mariani. Może słyszał go pan w radiu?

– Znam twoją rodzinę, Rachel. Jestem z Saint Marc, twój wuj mi o tobie opowiadał. Czemu chcieliście się tu dziś zjawić? Twój ojciec zasiadał ze mną przy jednym stole, a teraz przysyła córkę jako posłańca do Shanpwel?

– Są rzeczy, które dziecię Gwinei musi wiedzieć – odpowiedziała Rachel. Zaczęła lakonicznie podsumowywać nasze dotychczasowe prace i podróże, dopóki Herard nie przerwał jej gwałtownie.

– Te sprawy są mu dobrze znane. Nie marnuj jego czasu.

– Kobiety… – podjęła niepewnie Rachel. – Czy jest dla nich miejsce w Bizango?

Jean Baptiste nie odpowiedział. Spojrzał w dal, obiegł wzrokiem całe gospodarstwo.

– Rachel – odezwał się ponownie Herard – czy nie jesteś córką swojego ojca? Przecież kobiety wszędzie pełnią najróżniejsze funkcje. Co to za stowarzyszenie, które nie chciałoby przyjmować kobiet?

– Ludzie mówią – powiedziała Rachel, tym razem odważniej – że stowarzyszenie może być słodkie jak miód lub gorzkie niczym żółć.

Przewodniczący się ożywił.

– Ach, przyjacielu – westchnął – ta dziewczyna już jest królową. Owszem, masz rację. Bizango jest słodkie, bo zapewnia ci wsparcie. Dopóki do niego należysz, cieszysz się szacunkiem, twoje pola są pod ochroną.

Tylko protestanci będą cię nienawidzić.

– A gorycz?

– Bo czasami stowarzyszenie postępuje bardzo, bardzo surowo. – Przewodniczący przerwał, zerknął na Herarda, który potakująco pokiwał głową. – Bizango to nocna religia. „Porządek i Szacunek Nocy", oto nasze hasło i kryje się w nim wielka prawda. Porządek, bo Bizango utrzymuje ład. Szacunek… Powiedz, Rachel, czego uczył cię ojciec, gdy byłaś dzieckiem? Uczył, że noc nie należy do ciebie. Że to nie twój czas, że jeśli spotkasz Shanpwel, wydarzą się straszne rzeczy. Noc należy do *djab*, oczy niewinnych nie mogą go oglądać. Ciemność zapewnia osłonę złodziejom i złoczyńcom, nie dzieciom. Dziecka nie powinno się osądzać.

Przewodniczący uniósł wzrok.

– Już czas – powiedział cicho i zaczął się zbierać. – Zostańcie z nami i tańczcie. Jutro odwiedźcie mnie w moim domu w Saint Marc.

Rozbrzmiały bębny. Wróciliśmy do *tonnelle* i zobaczyliśmy grupki tancerzy wirujące w ich rytm, rzucające sobie nawzajem wyzwania, zagrzewające się do coraz większego wysiłku. Pojawienie się Jeana Baptiste'a uspokoiło obecnych. Zaczął śpiewać, wówczas tancerze utworzyli falującą linię i otoczyli *poteau mitan*. Z lekko ugiętymi kolanami, wygięci w tył odpowiadali chórem przewodniczącemu i wysławiali Legbę, ducha rozstajów. Potem oddano cześć innym *loa*, padły imiona Carrefour, Grans Bwa, Aizan, Sobo. Zaskoczyło mnie, że ceremonia Bizango przypominała początek zwykłego nabożeństwa vodoun. Kobiety nadal krążyły po *tonnelle*, mężczyźni siedzący na krzesłach z trzcinowymi oparciami przekazywali sobie butelki clairinu zaprawionego korzeniami i ziołami. Minęła godzina i choć wszyscy się uwijali, nie pojawił się żaden duch.

Tuż przed godziną dwudziestą trzecią przewodniczący wydał z siebie okrzyk, a pozostali mu odpowiedzieli.

– Ci, którzy należycie!

– Wejdźcie!

– Ci, którzy nie należycie!

– Idźcie stąd!

– Shanpwel wyrusza na ulice! Ci, którzy należycie, wejdźcie, a którzy nie należycie, idźcie stąd! *Bête Sereine!* Zwierzęta Nocy! Zmieńcie skórę! – Człowiek z dwiema linami przerzuconymi przez ramiona tak, jak nosi się pasy z nabojami, pospieszył przez *tonnelle*, dzierżąc bicz z sizalu, i stanął koło wyjścia. Drzwi się zatrzasnęły, tancerze pobiegli do bagi.

– Siedem dmuchnięć z armaty!

Na zewnątrz rozległ się głęboki, przenikliwy jęk konchy, potem usłyszeliśmy siedem trzaśnięć z *fwet kash* – bicza. Tancerze wyłonili się z bagi i na wezwanie stalowych gwizdków rozstawili się wokół *poteau mitan*, zwróceni do niego twarzami. Po jednej stronie stanęli mężczyźni odziani w czerwień i czerń, po drugiej stronie – kobiety w długich czerwonych szatach.

Przewodniczący i wszyscy członkowie znajdowali się na swoich miejscach. Wówczas kobieta o wysokim, tęsknym głosie wyśpiewała pozdrowienie, prosząc Boga, by powitał każdego dostojnika po kolei. Wywoływani występowali z szeregu, stawali przed zebranymi i zgodnie z powolnym, niemal żałobnym rytmem modlitwy ustawiali się w innej konfiguracji, nadal zwróceni twarzą do *poteau mitan*. Ich tytuły były mi obce: *secrétaire*, *trésorier*, *brigadier*, *exécutif*, *superintendant*, *première reine*, *deuxième reine*, *troisième reine*. Nagły gwizd przełamał napięcie, a zebrani wydali z siebie piskliwy rytualny śmiech. Bez akompaniamentu bębnów, kłaniając się i dygając, członkowie stowarzyszenia zaczęli śpiewać:

Służę dobremu, służę złemu,
Służymy dobremu, służymy złemu,
Wayo-oh!
Gdy ktoś mnie nęka, wezwę przeciwko niemu duchy.

Potem, jakby na polecenie ostatnich gwizdków i bicza, zaczęli śpiewać pieśń stanowiącą zarazem ostrzeżenie:

O tym, co tu widzimy,
Nie będę mówił.
A jeśli powiemy,
Połkniemy swoje języki.

Śpiew trwał, dopóki drugimi drzwiami prowadzącymi do świątyni nie weszły trzy osoby. Pierwszą z nich był sekretarz stowarzyszenia. Trzymał maczetę i świecę, na głowie miał czarny kapelusz z materiałowym nakarczkiem wyszytym cekinami. Za sekretarzem kroczyła kobieta, może jedna z królowych, odziana w zielono-czerwoną pelerynę. Na końcu szła kobieta w czerwieni; na głowie niosła małą czarną trumnę. Członkowie stowarzyszenia ruszyli za nią i śpiewając poruszającą pieśń adoracyjną,

utworzyli niewielką procesję, która okrążyła *poteau mitan*. Zatrzymali się, kiedy kobieta delikatnie położyła trumnę na kawałku czerwonego płótna. Padło polecenie, by członkowie ustawili się w linii, po czym sekretarz, przewodniczący i jedna z kobiet przeszli uroczyście na koniec *tonnelle*, zawrócili jak żołnierze na defiladzie i idąc szeregiem, zbliżyli się do trumny.

Przewodniczący Jean Baptiste, stojąc między parą dostojników, odezwał się po francusku i oficjalnie rozpoczął spotkanie.

– Przed Bogiem Ojcem, Bogiem Synem i Bogiem Duchem Świętym, uważam nasz seans za otwarty. Sekretarzu, wygłoś swą odezwę.

Sekretarz, w jednej dłoni trzymając maczetę, a w drugiej mocno zużyty notatnik, zawołał:

– *Gonaïves*, 24 marca 1984 roku. *Séance Ordinaire*. Na potęgę Wielkiego Boga Jehowy i wszystkich Bogów Ziemi, na potęgę Diabolica i Maître Sarazin, na mocy wszystkich wyobrażonych linii, ogłaszamy, że flagi zostają rozwinięte! Teraz mamy przywilej przekazania tłuczka przewodniczącemu, by ogłosił rozpoczęcie uroczystości. Zapalcie świece!

Wszyscy członkowie, jeden po drugim, wychodzili z szeregu, kłaniali się z gracją trumnie, zostawiali niewielką ofiarę pieniężną i brali świecę odpalaną od ognia płonącego u stóp *poteau mitan*. W *tonnelle* zapłonęło więc miękkie światło, członkowie pochylili głowy i trzymając świece w obu dłoniach, blisko piersi, znów zaczęli śpiewać. Tym razem odśpiewali trzy pieśni; każda w niezwykle wymowny sposób wzywała do solidarności. Pierwsza z nich stawiała doniosłe pytanie:

O, przewodniczący, mówią, że jesteś wiarygodny,
I że w tym *lakou* mieszka magia.
Kiedy zbiorą siły i staną na zewnątrz,
Kiedy zbiorą siły, do kogo się zwrócimy?
Kiedy będziemy tonąć, której gałęzi się uchwycimy?
Tego dnia, gdy będziemy tonąć, kogo wezwiemy?
Której gałęzi się uchwycimy?

Druga pieśń zdawała się odpowiedzią na ten lament:

Nic, nic nam nie uczyni krzywdy,
Przed obliczem naszego przywódcy.
Nic nie uczyni nam krzywdy.
Jeśli jesteśmy głodni, jesteśmy głodni razem.
Jeśli jesteśmy nadzy, jesteśmy nadzy razem.
Przed obliczem naszego przywódcy nic nie uczyni nam krzywdy.

Ostatnią pieśń wyśpiewano buntowniczymi, hałaśliwymi głosami, stopy członków tupały w suchą ziemię, wzbijając niewielkie tumany kurzu.

Odmawiam umierania za tych ludzi,
Te pieniądze otrzyma *djab*,
Zamiast umierać dla ludzi, wolę, by *djab* mnie pożarł.
Te pieniądze otrzyma *djab*,
Nie będę umierał za tych ludzi.

Napięcie w szeregach członków stowarzyszenia stało się tak silne i wyczuwalne, że przewodniczący musiał uderzyć maczetą w betonową podstawę *poteau mitan*, by przywrócić porządek. Na jego polecenie człowiek, który – jak później ustaliłem – był skarbnikiem stowarzyszenia, wystąpił naprzód i wraz ze swym pomocnikiem przeliczył pieniądze. Oficjalnym tonem zakomunikowali zebranym: „Szesnaście *medalles*, szesnaście *gourde*". Kwota ta odpowiadała niespełna pięciu dolarom amerykańskim. Przewodniczący także zrobił krok naprzód i wyrecytował katolicką litanię, błogosławiąc ofiarę i prosząc Boga o wstawiennictwo dla stowarzyszenia. Po jego ostatnich słowach bębny wybuchły hałasem i szereg wreszcie się rozsypał. Zabrzmiały inne pieśni śpiewane w dziwnych rytmach. Jednej z nich towarzyszyły akompaniament czterech bębnów leżących na boku oraz staccato patyków uderzających o wydrążone drewno. Nagle bębny umilkły i znów wszyscy skupili uwagę na przewodniczącym, który stał samotnie koło *poteau mitan*, trzymając w objęciach płaczące, przestraszone dziecko. Głosowi przewodniczącego, wysokiemu, łagodnemu i pełnemu czci, zawtórowali zaraz inni:

Rzucili sieć, by złapać rybę.
Co za tragedia! To maleństwo
Złapało się w sieć!

Matka dziecka stała u boku przewodniczącego i kiedy członkowie śpiewali, łzy płynęły jej strużkami po policzkach. Jean Baptiste najpierw łagodnie oprowadził ją i dziecko dokoła *poteau mitan*, potem czule uniósł dziecko nad głowę i zasalutował czterem narożnikom, czterem stronom świata. Odwrócił się pomału, a członkowie stowarzyszenia błagali go:

Ocal to maleństwo!
Och, przywódco Shanpwel!
Ocal życie dziecka, prosimy,

Och, przywódco Shanpwel,
Ocal życie tego dziecka!
Yawé! Yawé!

Shanpwel otoczyli ciasnym kręgiem przewodniczącego. Każda z obecnych osób po kolei brała dziecko i zanurzała je w ciepłej ziołowej kąpieli. Kuracja dobiegła końca, znowu zabrzmiały bębny i członkowie Bizango zaczęli tańczyć. Tańczyli długo w noc.

*

Słońce potrafi rozpraszać tajemnice. Następnego popołudnia, gdy wraz z Rachel siedzieliśmy opodal nabrzeża Saint Marc w oczekiwaniu na Jeana Baptiste'a, myśleliśmy tylko o upale i roju much, które wokół nas krążyły. Wszystkie mroczne opowieści o Bizango musiały ustąpić na widok wybrzeża, w zderzeniu z zapachem ryb, sieci pokrytych solą, smoły i miejskiego kurzu. Poprzedniej nocy nie zabito żadnego dziecka, nikogo nie zmieniono w świnię. Zostaliśmy potraktowani jak goście honorowi. Wbrew temu, co mi mówiono, spotkanie Bizango okazało się niezwykle poważną, wręcz nabożną ceremonią, która ujawniła między innymi ściśle hierarchiczny charakter stowarzyszenia, wzorowany do pewnego stopnia na francuskim wojsku i administracji. Nie byłem na razie pewien, czy hierarchia ta jest czysto symboliczna, czy też pełni istotne funkcje.

Większość poranka spędziliśmy, rozmawiając z Robertem Erié, niegdysiejszym prefektem Saint Marc, od którego próbowaliśmy dowiedzieć się więcej na temat Jeana Baptiste'a. Erié to serdeczny, szczodry człowiek; choć posiada sporo ziemi i zalicza się do najważniejszych przedstawicieli miejscowej elity, cieszy się szacunkiem i sympatią całej społeczności. Nie wiedział wprawdzie, że Jean Baptiste stoi na czele stowarzyszenia, ale dobrze go znał. Kiedy pełnił funkcję prefekta, zatrudniał go jako swojego szofera. Jean sumiennie wykonywał wszelkie obowiązki, był niezłym kierowcą, do tego osobą cichą i dyskretną. Nie wydawałoby się jednak, że ma szczególnie duże wpływy w tradycyjnej wiejskiej wspólnocie Saint Marc. Uznałem za całkiem znaczące, że przewodniczący tajnego stowarzyszenia pracował jako szofer, aczkolwiek zachowałem tę myśl dla siebie. W czasach kolonialnych wielu niewolników, którzy później stanęli na czele rewolucji, było woźnicami – pozwalało im to obserwować i podsłuchiwać rządzących.

Rozmowa z byłym prefektem zapewniła mi też niezwykłą wiedzę na temat kontaktów między ważnymi urzędnikami mianowanymi przez

administrację rządową a tradycyjną społecznością. Wprawdzie Erié nie wiedział o stanowisku piastowanym przez Jeana, ale był dobrze obeznany z działalnością Bizango. Tłumaczył, że jako prefekt musiał orientować się w sprawach regionu. Nie potępiał stowarzyszeń ani nawet ich nie oceniał. Uważał ich członków za przyjaciół, swobodnie obracał się wśród nich. Podsumował to następująco: „Bez żadnych obaw mogłem pić ze swojej szklanki". Oni mieli obowiązek dostarczania mu informacji. Żadna ceremonia nie mogła się odbyć bez wiedzy prefekta. Erié uważał to za kwestię uprzejmości, nie zaś przymusu, i podkreślał, że nigdy nie próbował wtrącać się w sprawy stowarzyszeń. Nie wyobrażał sobie też sytuacji, w której taka ingerencja byłaby konieczna. Jak się później przekonałem, ta swobodna relacja między przedstawicielem władz centralnych rezydujących w stolicy a przywódcami społeczeństwa vodoun nie była przypadkowa. Przeciwnie, wynikała z charakteru ówczesnych rządów na Haiti.

Kraj podzielony jest na pięć *départments*, te zaś dzielą się na *arrondissements*, zarządzane przez prefektów, których powołuje prezydent. Każde *arrondissement* – jest ich łącznie dwadzieścia siedem – dzieli się na *communes*, zarządzane przez burmistrzów, wspieranych przez rady poszczególnych wsi. W skład każdej *commune* wchodzi kilka *sections rurales*.

Istnieje również osobny – wojskowy – podział administracyjny, nieco odmienny, ale – co ważne – na dwóch najniższych poziomach dokładnie pokrywa się on z podziałem opisanym powyżej. *Section rurale* jest zatem podstawową jednostką administracyjną. Osiemdziesiąt procent mieszkańców kraju mieszka w *sections rurales*.

Napotykamy tu pewien ciekawy i ważny paradoks. Gerry Murray, jeden z najbystrzejszych antropologów prowadzących w ostatnim okresie badania na Haiti, zauważa, że *section rurale* nie pokrywa się z gminą ani z wsią. To raczej „zbiór wielu różnych wspólnot lokalnych, sformowany arbitralnie, by łatwiej się nim zarządzało". Chłopi utożsamiają się nie z *section rurale*, lecz ze swoją rodziną i z sąsiadami z *lakou*, czyli grupy domostw krytych strzechą. Innymi słowy, ani władze rządowe, ani wojskowe nie uznają w sensie prawnym wspólnot, w których tak naprawdę żyje większość mieszkańców wsi. Aby dotrzeć do tych ludzi, rząd potrzebuje określonej grupy osób. Są to *chefs de section*, wyłaniani przez *sections rurales*. To właśnie *chef de section* dzięki sieci kontaktów wie, co się dzieje w każdym *lakou*.

Chef de section zawdzięcza swoją władzę formalną rządowi centralnemu, lecz tak naprawdę jego siła zależy od konsensusu mieszkańców podległej mu jednostki. Nie działa w pojedynkę; stoi na czele nieoficjalnej milicji tworzonej przez miejscowych chłopów. Ona również nie mogłaby działać, gdyby nie przyzwolenie wspólnoty. Jeżeli *chef de section* nie cieszy się poparciem, niewiele może zdziałać. W historii wielokrotnie zdarzało się, że rząd próbował obsadzać te stanowiska ludźmi z zewnątrz; było tak zwłaszcza za czasów okupacji amerykańskiej, gdy władze chciały wprowadzić protestantów na miejsce wyznawców vodoun. Tego rodzaju wysiłki zawsze kończyły się niepowodzeniem. Na mocy haitańskiego prawa *chef de section* może liczyć na pewne oficjalne wsparcie; zdaniem Murraya „szczególna forma, jaką przybiorą struktury policyjne w danym regionie, będzie zależeć w znacznym stopniu od miejscowych tradycji. Organy porządkowe adaptują się też do lokalnych realiów, a ich przedstawiciele muszą je dobrze znać". Wynika z tego, że jeśli rząd chce dotrzeć do chłopów, powinien obsadzać stanowiska *chefs de sections* osobami wywodzącymi się z lokalnych, tradycyjnych sieci kontroli społecznej.

Kim jest *chef de section*? Przede wszystkim lokalnym chłopem. Zazwyczaj ma ziemię oraz wiele żon i służy *loa*. Często zdarza się, że stanowisko to piastują wpływowi hounganowie. Sposób bycia *chef de section*, wartości, którym hołduje, i jego rola społeczna nie mają nic wspólnego z biurokratycznymi normami – jest on raczej przywódcą tradycyjnej społeczności. Teoretycznie rząd w stolicy wypłaca mu pensję (zdarza się nawet, że pieniądze naprawdę do niego trafiają), ale *chef de section* utrzymuje się głównie ze swojej ziemi. Podobnie jak afrykańscy patriarchowie uważa, że ma prawo werbować niepłatnych pracowników do roboty w gospodarstwie. Członkowie wspólnoty chętnie zgadzają się uprawiać za darmo jego ziemię, by w ten sposób wynagrodzić mu czas, który spędza, zajmując się ich problemami. Jego zadaniem jest wszak dochodzenie prawdy na temat rozmaitych konfliktów i zwoływanie trybunałów rozstrzygających wszystkie lokalne spory. Legitymizacja władzy *chef de section* ma charakter oddolny i w niewielkim stopniu zależy od (często niestabilnej) sytuacji w stolicy. Murray podkreśla, że *chefs de sections* potrafią sprawować swe urzędy bardzo długo i nikt tego nie podważa. Największym potencjalnym zagrożeniem jest niezadowolenie miejscowej ludności. Dlatego właśnie *chef de section* musi być lojalny wobec sąsiadów, nie wobec Port-au-Prince.

Słowem, choć instytucja *chef de section* ma łączyć dwa osobne światy istniejące na Haiti, ludzie pełniący tę funkcję są przedstawicielami tradycyjnych społeczności i wykorzystują lokalne sieci kontaktów. Robert Erié, wuj Rachel, powiedział nam, że w większości przypadków *chef de section* przewodniczy również tajnemu stowarzyszeniu Bizango. Nie była to bynajmniej błaha informacja.

*

Jean Baptiste, ku naszemu zaskoczeniu, zjawił się odziany w mundur kaprala armii. Prowadził wojskowy samochód i wyglądem przypominał jednego z niezliczonych anonimowych podoficerów, którzy obsadzają przydrożne posterunki na Haiti. Przeważnie widzi się ich drzemiących za biurkiem, podczas kiedy ich podkomendni zatrzymują twój samochód, każą ci wysiąść i pokazać paszport. Potem znaleźliśmy się w jego domu i znów przeistoczył się w człowieka władczego, pełnego spokojnej godności, która poprzedniej nocy zrobiła na mnie tak wielkie wrażenie. Rozmawiał z nami swobodnie, odpowiedział na wszystkie pytania, im dłużej go słuchaliśmy, tym wyraźniej rozumieliśmy, że mroczna fasada Bizango nie ma wiele wspólnego z rzeczywistością.

– Nie, nie. To był wypadek. Dzieci to małe aniołki, nigdy nie czynią zła. Nie podlegają sankcjom naszego stowarzyszenia. Dziecko, które widzieliście, było przypadkową ofiarą. Inne stowarzyszenie próbowało kogoś pochwycić, ale *coup l'aire* przypadkiem dotknęło tej dziewczynki.

– Kogo chcieli pochwycić?

– To ich sprawa.

– Czy mogła to być dowolna osoba?

– Ależ nie. Musicie zrozumieć, że Bizango jest jak zwyczajny rząd. Każdy ma swoje miejsce. Ludziom wymierza się sprawiedliwość. – Tu Jean Baptiste przedstawił nam funkcje pełnione przez poszczególnych członków.

Stowarzyszeniem zarządzali cesarz, przewodniczący, pierwsza, druga i trzecia królowa, *chef détente* i wiceprzewodniczący. Razem tworzyli oni ciało zwane *chef d'état majeur*. Były też inne królowe: *reine dirageur*, zazwyczaj żona cesarza, królowe flag i latające królowe. Nazwy pośledniejszych stanowisk mogłyby się znaleźć na liście urzędników administracji francuskiej: premier, radca, *avocat* (prawnik), *secrétaire*, *trésorier*, *superviseur*, *superintendant*, *intendant*, *moniteur*, *exécutif*. Oprócz tego niektórym przysługiwały tytuły wojskowe: generał, książę,

generał brygady, major, *chef détente*, *soldat*. Godne odnotowania okazały się trzy inne stanowiska: *bourreau*, czyli kat, który odpowiadał za wymierzanie kar zasądzonych przez stowarzyszenie; *chasseur*, czyli łowca, sprowadzający winowajców przed oblicze członków stowarzyszenia; *sentinelle*, strażnik stacjonujący przed bramą, pilnujący, by na spotkanie nie wdarły się niepożądane osoby.

Według Jeana Baptiste'a w samym tylko regionie Saint Marc działało kilkanaście tajnych stowarzyszeń. Każde sprawowało kontrolę na ściśle wyznaczonym terenie. Przewodzili im założyciele tytułowani cesarzami. Z czasem część członków mogła się usamodzielnić i pod egidą swojego cesarza stworzyć własną grupę. Organizacje musiały wzajemnie szanować swoje granice. Ewentualne spory rozstrzygał jeden z cesarzy – wyłoniony przez wszystkich regionalnych *empereurs*.

Celem Bizango, jak podkreślał wielokrotnie Jean Baptiste, było utrzymywanie porządku i szacunku dla nocy. Stowarzyszenia chroniły swoich członków i ich rodziny. Ponieważ niemal każdy miał krewnego należącego do stowarzyszenia, Bizango dbało de facto o wszystkich mieszkańców.

– Dla chorych, dla ludzi w kłopotach to nieocenione wsparcie. Nie liczy się, czy masz pieniądze, czy nie – wyjaśnił Jean Baptiste. – Stowarzyszenie jest dobre tylko dlatego, że potrafi być też bardzo złe. Jeśli mu się narazisz, surowo się z tobą obejdzie.

– Czy tylko ci, którzy narażają się stowarzyszeniu, są karani? Może każdy jest zagrożony?

– Nie, oczywiście, że nie każdy. Tak jak mówiłem, chodzi o wymierzanie sprawiedliwości. Najpierw musi odbyć się sąd. Załóżmy, że ktoś znajdzie się na ulicy w porze, która do niego nie należy. Być może dotknie go *coup l'aire*, ale tylko jako ostrzeżenie. Zachoruje, niezbyt ciężko, i nauczy się, że nie powinien chodzić po zmroku. – Jean wzruszył ramionami, jak gdyby była to najoczywistsza rzecz na świecie. – Jeśli jednak ktoś bez powodu nęka członka stowarzyszenia, kara będzie inna. Dysponujemy różnymi środkami.

Zaliczały się do nich rozmaite zaklęcia i preparaty – na przykład *coup l'aire*, *coup n'âme* i *coup poudre* – podstępnie wykorzystywane nocą przeciwko ofierze. Kat stowarzyszenia zastawiał specjalne pułapki w miejscach, do których uczęszczał winowajca. Przykładem tego rodzaju pułapki był proszek rozsypywany w kształcie krzyża na ziemi, zdolny pochwycić *ti bon ange*. Jeżeli do tego doszło, ofiara mogła liczyć jedynie na

pomoc ze strony przewodniczącego stowarzyszenia, musiała jednak sporo zapłacić.

– Mówią, że zjadamy ludzi – ciągnął Jean. – Owszem, zjadamy, ale tylko w tym sensie, że odbieramy im oddech życia.

– Herard twierdził, że Bizango robi znacznie gorsze rzeczy.

– Komendant mówi, co chce.

– Bo reprezentuje własne, jednoosobowe stowarzyszenie – powiedziałem z uśmiechem, przypomniawszy sobie dawne słowa Herarda.

Jean posłał mi poważne spojrzenie.

Nadal nie do końca orientowałem się w poczynaniach Herarda. Dlaczego nas straszył? I dlaczego ostatecznie zabrał nas na uroczystość, przedstawił nam Jeana i przez cały wieczór przyglądał się nam, bardzo zadowolony, że uczestniczymy w spotkaniu Bizango?

– W jakich okolicznościach stowarzyszenie decyduje się kogoś pochwycić? – spytała Rachel.

– Jeśli osoba jest w nocy poza domem… – zaczął Jean, a potem się zawahał. – Albo jeśli dowiemy się, że ktoś mówi rzeczy, których nie powinien mówić. Może biegnie do *blancs*, do jakichś rządowych dostojników i opowiada im, co robi jedno czy drugie stowarzyszenie. Chociaż winowajca próbuje się ukrywać, zawsze go odnajdziemy. Właśnie dlatego niektórym zdarza się, że dwukrotnie trafią pod ziemię.

– Masz na myśli zombie? – zapytałem.

Jean przyjrzał mi się spokojnym wzrokiem.

– Każdy złoczyńca zostanie ukarany. Zaśpiewam ci jedną z naszych pieśni. – Wysokim głosem, który sprawił, że znów przenieśliśmy się na wczorajszą uroczystość w Gonaïves, zaintonował:

Zabijają człowieka,
By zabrać jego zombie
I zmusić je do pracy.
O, Shanpwel O!
Nie krzycz, Shanpwel O!
Zabili człowieka,
Żeby zabrać jego zombie
I zmusić je do pracy.

Jean roześmiał się w głos, zanim dokończył pieśń.

– A co ze złodziejami? – spytała Rachel.

– Potrzebujesz dowodu, zawsze potrzebujesz dowodu. Kiedy ktoś poskarży się stowarzyszeniu, przeprowadza się śledztwo. Jeżeli oskarżony zostanie uznany za winnego, rzucamy zaklęcie. Jeżeli Shanpwel kradnie, od razu czeka go wydalenie ze stowarzyszenia.

– No a jeśli ucieknie? – spytałem, przypomniawszy sobie relację Isnarda, któremu udało się uniknąć pułapki.

– Dla winnego nie ma ucieczki. Stowarzyszenie doścignie go w całym kraju, nawet na najwyższej górze w całym Artibonite.

– Nawet za wodą?

– Tak, nawet na ulicach Nowego Jorku.

– Czy aby za wymierzanie sprawiedliwości nie powinien odpowiadać *chef de section*?

– Owszem. To jedno i to samo. Stowarzyszenie działa po zmroku. Ponieważ większość zbrodni popełniana jest w nocy, możemy zapobiec wielu złym rzeczom. Działamy wspólnie. *Chef de section* musi wiedzieć, co się dzieje w okolicy, więc go informujemy. I tak by się dowiedział. Jeżeli stowarzyszenie chce kogoś pojmać, a *chef de section* o tym wie, i wie, że chodzi o osobę winną przestępstwa, nie będzie interweniował. Zresztą przeważnie *chef de section* jest hounganem lub przewodniczącym Shanpwel. Chodzi za dnia, ale nocą on też zmienia skórę.

– Talerz potrzebuje łyżki, łyżka potrzebuje talerza – rzekła Rachel, cytując słowa Marcela Pierre’a. Jean znowu się roześmiał.

– Przyjaciele, widzieliście tak mało. – Następnie wyjaśnił, że wczorajsza ceremonia była jedynie czymś w rodzaju odbywającego się raz na dwa miesiące szkolenia dla członków jednego ze stowarzyszeń. W przyszłym tygodniu planowano regionalne spotkanie wszystkich grup z Saint Marc, powstało bowiem nowe stowarzyszenie i należało to uczcić. – Będę zaszczycony – dodał – jeśli pójdziecie tam ze mną jako moi goście.

13

Słodkie jak miód, gorzkie niczym żółć

Na Haiti krew kosztuje chłopa dwadzieścia dolarów za litr, o ile uda się ją kupić po oficjalnej cenie w banku Czerwonego Krzyża. Staliśmy z Marcelem Pierre'em i Rachel przy szpitalnym łóżku, patrzyliśmy, jak zawartość kolejnego worka wlewa się pomału w cienkie ramię żony houngana i niemal od razu wycieka między jej nogami, wsiąkając w bawełniane prześcieradło. Haitańskie szpitale publiczne mają sporo wspólnego z więzieniami: warunki, w jakich przebywają pacjenci i osadzeni, zależą głównie od tego, ile bliscy są w stanie zapłacić za lekarstwa, posiłki, pościel, a nawet kawałek pomieszczenia, żeby było gdzie położyć nierówny materac pamiętający czasy okupacji amerykańskiej. Marcel sprzedał większość swojego dobytku, mimo to nadal nikt nie zrobił nic, by wyleczyć jego żonę. Woził ją ze szpitala do szpitala, przetransportował z Saint Marc na południe w *camionnette*, choć musieli tłoczyć się wśród kur i kobiet wracających z targowisk. Tego dnia za ostatnie pieniądze przywiózł ją do stolicy. Dobrze wiedział, że jeśli do wieczora nie uda mu się kupić więcej krwi, jego żona umrze.

Dopiero w tej sytuacji zdołał przezwyciężyć dumę i zwrócił się do nas o pomoc. Od jakiegoś czasu dawałem mu pieniądze – nazywaliśmy to zaliczką na poczet kolejnego preparatu. Wiedział, że tak naprawdę nie potrzebuję więcej proszku, ja zaś wiedziałem, że Marcel dawno dostał ode mnie więcej niż mogła kosztować jakakolwiek trucizna.

Oczywiście żaden z nas nie powiedział tego na głos, kiedy wieczorem Marcel ze zbolałą miną zjawił się w Peristyle de Mariani. Rachel ucałowała go w oba policzki i pospieszyła po tacę z jedzeniem. Uścisnąłem Marcela i usiedliśmy razem na kanapie. Od dawna wiedziałem, jakie miejsce zajmuje on w tradycyjnej hierarchii Saint Marc. Tak naprawdę był płotką, houganem *nieg*, czyli takim, który musi chodzić po ulicach, by w ogóle być widocznym. Wyrzutek, alfons, *malfacteur*, producent trucizn – zrozumiałem teraz, do jakiego stopnia żył na uboczu. Na Haiti mężczyźni nie płaczą, lecz z oczu Marcela płynęły łzy. Ująłem jego dłoń – poza tym niewiele mogłem dla niego zrobić. Przyglądałem mu się i myślałem, jak bardzo zmieniła się nasza relacja, jak głupie i pochopne okazały się nasze pierwsze wrażenia.

Max Beauvoir również doskonale wiedział, kim jest Marcel, lecz kiedy ten wszedł do pokoju w towarzystwie Rachel, przyjął swojego gościa jak człowieka równego sobie. Był to ważny gest, który wyraźnie poruszył Marcela. Wieczorem przed ceremonią Max i Marcel poszli razem do sanktuarium świątyni. Po pierwszej modlitwie Max uhonorował Marcela, zaprosiwszy go, by przewodził rytuałowi. Gdy Marcel zaintonował pieśń, przeszedł przemianę. Zaraz dosiadł go Ogoun; *loa* biegał dookoła *peristyle*, ku przerażeniu gości ściągał obrusy ze stolików zastawionych drinkami. Beauvoir nie próbował go powstrzymywać. Ogoun płonął niesamowitym ogniem. Godzinę wcześniej śmierć zdawała się tak bliska. Teraz człowiek stał się bogiem, śmierć była niemożliwa.

*

Przez większą część następnego dnia Rachel i ja jeździliśmy z Marcelem po Port-au-Prince. Kupiliśmy więcej krwi, znaleźliśmy szpital dla jego żony i pokój dla córki. Między innymi właśnie dlatego spóźniliśmy się wieczorem do Saint Marc na ceremonię Bizango, na którą zaprosił nas Jean Baptiste. Były też inne powody: deszcz znów spowodował powódź na Truman Boulevard, przez co zrobiły się korki. Potem wpadliśmy na kolumnę samochodów prezydenckich, która zablokowała drogę na północ od stolicy. Do tego w Mariani zjawił się Isnard z zaproszeniem na inną ceremonię Bizango, odbywającą się wcześniej tego samego wieczoru w Archaie. Zanim zleciliśmy mu, aby załatwił dla nas parę spraw w stolicy, i zanim uporaliśmy się z korkami, dawno zapadł zmrok. Deszcz psuł widoczność i spowalniał jazdę na północ. Krótki wypad do Archaie okazał się bezowocny. Na miejscu zastaliśmy tylko *hounfour* pogrążony w ciemności i stygnące węgle w zgasłym niedawno palenisku. Isnard poszedł do sąsiedniej chaty; przez szparę w drzwiach samotna kobieta odziana w czerwień i czerń poinformowała go, że ktoś umarł podczas ceremonii i wszyscy członkowie stowarzyszenia pouciekali. Zanim nasz jeep znów zdołał nabrać nieco prędkości wśród gęstniejącej nocy, wiedzieliśmy, że nieuchronnie spóźnimy się na spotkanie z Jeanem Baptiste'em.

Jean udał się już na ceremonię; nawet jego najstarszy syn nie wiedział, gdzie dokładnie zbierają się członkowie Bizango, mimo to poprowadził nas wyboistą drogą na rozstaje na południe od miasta zgodnie ze wskazówkami pozostawionymi przez ojca. Mogliśmy tylko czekać. Burza odeszła, pasaty przepędziły ostatnie dzikie, postrzępione chmury i odsłoniły niebo usiane gwiazdami. Ciszę zakłócał jedynie odgłos fal bijących o brzeg. Choć minęła

godzina, człowiek, który miał nas tu spotkać, nadal się nie pojawiał, więc rozczarowani ruszyliśmy z powrotem do Saint Marc. Kiedy oddaliliśmy się od morza, Isnard usłyszał bębny Bizango. Zostawiliśmy go przy drodze, odwieźliśmy syna Jeana do miasta i zaraz wróciliśmy. Isnard tymczasem odkrył, skąd dobiega rytmiczna muzyka. Zaprowadził nas na pole otoczone kauczukowcami. Pośrodku pola ujrzeliśmy kompleks niskich budynków.

Natychmiast jak spod ziemi wyrósł przed nami olbrzymi mężczyzna, *sentinelle*, z dwiema linami przerzuconymi przez ramiona. Drugi mężczyzna stał za nami, odcinając nam drogę.

– Kim jesteście? – spytał szorstki, anonimowy głos.

– *Bête Sereine*. Zwierzęta Nocy – odparł Isnard beznamiętnym głosem. *Sentinelle* zrobił krok w bok i zza jego pleców wyłonił się trzeci Shanpwel, który podszedł do Isnarda i położył mu dłonie na ramionach.

– Skąd przychodzisz?

– Przychodzę z pięty.

– Dokąd idziesz?

– Idę na palce.

– Który palec?

– Jam jest piąty.

– Z iloma gwiazdami chodzisz?

– Jest nas troje – Isnard wyciągnął dłoń, lecz jego gest został zignorowany. Tajemniczy mężczyzna nadal trzymał ręce na jego ramionach. Rachel, pewna siebie, zrobiła krok naprzód.

– Przybywamy do was na zaproszenie naszego przyjaciela Jeana Baptiste'a – powiedziała grzecznie.

Mężczyzna posłał jej podejrzliwe spojrzenie.

– Jean Baptiste spodziewa się ciebie i tego białego?

– Tak. Jesteśmy spóźnieni, zatrzymał nas deszcz. – Mężczyzna puścił Isnarda i wysłał *sentinelle*, by przekazał nasze słowa uczestnikom ceremonii. Przez kilka niezręcznych minut staliśmy w milczeniu i słuchaliśmy rytmu bębnów Bizango. Od świątyni dzieliło nas zaledwie sto metrów, mimo to ich dźwięk był teraz słabszy niż wcześniej, kiedy pierwszy raz usłyszeliśmy je na drodze. Przypomniały mi się słowa Herarda: „Kiedy bęben Bizango rozbrzmiewa u drzwi twojego domu, wydaje się dochodzić z daleka. Gdy rozbrzmiewa wiele kilometrów od ciebie, brzmi, jak gdyby dochodził z twojego podwórza".

Przybycie posłańca z wiadomością od Jeana Baptiste'a przełamało

napięcie. Posłaniec powitał nas serdecznie, *sentinelle* i jego towarzysze rozpłynęli się w ciemności. Przez chwilę gawędziliśmy, potem w ciszy podążyliśmy za posłańcem wąską ścieżką wiodącą do świątyni. Nieprzerwane bębnienie stawało się coraz cichsze. Gdy byliśmy blisko, usłyszeliśmy słowa pieśni:

> Zgraja wyruszyła, stowarzyszenie wyruszyło,
> Uważaj, matko, która mnie zrodziłaś.
> Zgraja wyruszyła, stowarzyszenie wyruszyło.
> Matki Dzieci,
> Podwiążcie sobie brzuchy.

Faktycznie, stowarzyszenie wyruszyło, procesja mijała odległe rozstaje, ale w świątyni nadal tłoczyło się mnóstwo ludzi. Gdy przeciskaliśmy się do środka, otaczały nas twarze, w których było coś nieprzyjaznego, i gestykulujące ręce. Dokoła *poteau mitan* garstka mężczyzn i kobiet kołysała się i padała na ziemię, dalej, w cieniu, stała grupa bębniarzy. Włożyli sobie instrumenty między nogi, droczyli się z tańczącymi niczym lalkarze. Muzyka nie ustała, ale kiedy bębniarze spojrzeli na nas, ich gardłowe, prześmiewcze głosy obwieściły wszystkim nasze przybycie.

Posłaniec wyprowadził nas tylnym wyjściem ze świątyni na dziedziniec; zebrało się tam kilkaset osób. Panowała radosna atmosfera. Stoły gęsto otoczone biesiadnikami, zapach mięsa z rusztu i słodkich ziemniaków skojarzyły mi się w pierwszej chwili z piknikiem w małym miasteczku. Zarazem czuło się tu napięcie, wzmacniane dodatkowo przez syk dziesiątek lamp marki Coleman, rozstawionych dokoła dziedzińca. Rzucały one ostre, niemal oślepiające światło i gdy wraz z Rachel i Isnardem mijaliśmy kolejne stoły, musiałem wbić wzrok w ziemię. W końcu dotarliśmy do Jeana Baptiste'a. Powitał nas, posadził obok siebie, lecz nikomu nas nie przedstawił. Rachel przeprosiła za nasze spóźnienie, zamieniła z Jeanem parę ogólnikowych zdań, jednak zaraz zaległa wokół nas niezrozumiała cisza. Po drugiej stronie stołu siedziało sześciu mężczyzn nieruchomych niczym kamienie. Światło za ich plecami sprawiało, że nie widzieliśmy ich twarzy; ogromne ciała zlewały się w jedną złowrogą postać. Zacząłem opowiadać rozmaite anegdoty, które w przeszłości zawsze sprawdzały się w tego typu sytuacjach, tym razem żadna nie zadziałała. Równie zakłopotany Isnard uznał, że ze względu na naszą obecność musi wykazać się wiedzą o Bizango, porwał się więc na niemądry gest: wyciągnął gąsiorek clairinu, wstał i zaproponował toast. Co gorsza, gąsiorek okazał się pusty.

– Przyjaciele nocy – zawołał Isnard z niestosownym melodramatyzmem – wszyscy jesteśmy braćmi!

– Co masz na myśli, mówiąc: wszyscy jesteśmy braćmi? – odpowiedział mu z drugiej strony stołu obojętny głos.

– No… – Isnard zaczął się motać. – Jesteśmy Haitańczykami, wszyscy jesteśmy Haitańczykami. – Oczywiście zamierzał dać do zrozumienia, że sam też należy do Bizango.

– Tak, zgadza się. Jesteśmy *Nèg Guinée*, ludźmi Afryki – przytaknął cień. – Przynajmniej niektórzy z nas.

Na szczęście, zanim Isnard zdążył cokolwiek dodać, ludzie siedzący przy stołach dokoła nas ożywili się na wieść, że wraca procesja. Jean szybko zaprowadził nas do *peristyle*, gdzie panował jeszcze większy tłok niż wcześniej. W oddali, przez szpary w ścianie z bambusa, widziałem procesję, która wiła się po wzgórzach niczym olbrzymi wąż: posuwała się naprzód, zatrzymywała się, znów ruszała, pomału wyłaniała się z nieziemskiej ciemności. Światło latarni niesionych przez ludzi po obu stronach pochodu rozświetlało wirujący kredowaty pył wzbijany przez kroczące stopy. Słyszałem głosy dobiegające z oddali, gwizdy, krótkie, wyszczekiwane rozkazy, wzywające uczestników, by formowali porządną linię. Trzask sizalowego bicza rozlegał się w rytm powolnych kroków, gdy osoby idące na czele zatrzymały się, a trumna niesiona na ramionach grupki uczestników pochodu zakołysała się niczym wahadło. Monotonne głosy nadawały jednolitości tej czerwono-czarnej mozaice, wiązały wszystkich w rytm muzyki:

Przychodzimy z cmentarza,
Poszliśmy tam po naszą matkę.
Witaj, matko Dziewico,
Jesteśmy twoimi dziećmi.
Przychodzimy prosić cię o pomoc,
Dodaj nam odwagi.

Gdy procesja wlała się do świątyni, latarnie przy wejściu oświetliły poważne twarze jej uczestników odzianych we wspaniałe szaty. Jako pierwszy wszedł *sentinelle*, który obiegł *poteau mitan*, rozglądając się dokoła z udawaną podejrzliwością. Za nim kroczyli samotny mężczyzna dzierżący sznur i grupa osób niosących świętą trumnę. Większość członków stowarzyszenia stłoczyła się w pobliżu, tymczasem goście wycofywali się do sąsiednich pomieszczeń. Wszędzie roiło się od czerwono-czarnych strojów.

Procesja okrążyła powoli *poteau mitan*, ale liczyła tak wielu uczestników, że musieli oni napierać na siebie nawzajem, jedno ciało przylegało do drugiego, wokół słupa przelewała się wielka fala. Wysoka, olśniewająca kobieta odziana w satynową edwardiańską suknię naszywaną cekinami i w korsarskim kapeluszu ze strusim piórem stanęła pośrodku. Powolnymi, zamaszystymi gestami dyrygowała procesją, a jej twarz, ukryta częściowo pod rondem kapelusza, była pełna doskonałej powagi. Kobieta wydawała się zarówno znużona, jak i całkowicie spokojna.

Cały ten moment miał w sobie oniryczną moc. Święta trumna spoczęła na czarno-czerwonej fladze, pieściły ją kwiaty. Shanpwel zdmuchnęli płonące świece, które trzymali przy piersi, i powkładali je do dwóch aksamitnych kapeluszy umieszczonych przy trumnie. Majestatyczna kobieta w połyskliwej szacie przeszła z łatwością obok stłoczonych członków procesji, pozdrawiając każdego z nich skinieniem głowy. Rozległ się donośny okrzyk, któremu zaraz zawtórowały gwizdy i śpiew konch.

– Dwadzieścia jeden strzałów z armaty na cześć przywódcy! – Bicz na zewnątrz zaczął trzaskać, kobieta przechyliła głowę w bok i odwróciła się w stronę *poteau mitan*. Pojąłem, że to cesarzowa. Wszyscy zebraliśmy się tu, by uczcić nowe stowarzyszenie, które powołała do życia. U jej boku stanął mężczyzna pełniący funkcję herolda.

– Cisza! Za moment… – zaczął. Jego słowa zniknęły w pełnym podniecenia zgiełku. – Cisza! Ludzie, nie jesteście w swoich domach! Cisza! – Cesarzowa uniosła rękę i wszyscy natychmiast zamilkli.

– Za moment – ciągnął herold – będziemy mieli zaszczyt przedstawić ci obecnych tu przewodniczących. – Wyczytano nazwiska pięciu przywódców Bizango, w tym Jeana Baptiste'a. Wszyscy oni wystąpili naprzód. Cesarzowa uniosła nieco głowę i światło padło na jej przepiękną twarz, na skórę cudownie naciągniętą na wydatne kości policzkowe. Po chwili formalnie otworzyła uroczystość.

– *Circonstantier*, 31 marca 1984 roku. *Séance Ordinaire*. Na potęgę Wielkiego Boga Jehowy, pana Ziemi!

Niewysoki mężczyzna wystąpił naprzód i znalazł się w centrum uwagi. Jego lekko zamglone oczy omiotły pomieszczenie i zapadła cisza.

– Drodzy przyjaciele! – rzekł mężczyzna. – Często stawałem przed wami w takie dni jak ten. Raduję się z naszego dzisiejszego spotkania, mogę was bowiem powitać i podzielić się myślami i sprawami, które tak wiele znaczą dla nas wszystkich. Niestety, dziś moje myśli pouciekały, uciekła też moja wyobraźnia, więc nie mogę ulec swoim najpotężniejszym pragnieniom.

Mimo to chcę podziękować wszystkim gościom za przyjęcie zaproszenia! – Po tym wstępie zamilkł. Słowa najwyraźniej traktował jak żywe istoty, jak nosicieli tradycji mówionej. Każde z nich należało smakować. – Bracia i siostry! – ciągnął po chwili. – Spotykamy się dziś w braterskiej komunii myśli i uczuć. Uczuć, z których rodzi się siła naszego braterstwa. Ta siła nadaje znaczenie dzisiejszej uczcie. Tak, mówimy o naszym Bizango, o instytucji, którą w potocznym języku nazywa się czasem Bissango. Bizango to kultura tutejszego ludu, kultura wyrastająca z naszej przeszłości, tak jak litery i nauka właściwe są cywilizacji elit. Każdy lud, każda rasa ma swoją historię. Tak samo Bizango ma swój obraz przeszłości. To element narodowej duszy.

Znów przerwał, zapadła cisza. Kiedy wznowił przemowę, jego słowa legły na poduszce wilgotnych, gorących ciał, mieszały się z ciepłem wydzielanym przez latarnie, aż powietrze zaczęło wibrować, naelektryzowane ponadczasową ideą.

– Bizango niesie radość, niesie pokój. Jest religią haitańskich mas, bo pozwala nam zapomnieć o żalach, troskach, problemach i kłopotach. Inne znaczenie Bizango to sławna ceremonia na Bois Caïman. Przynależy ona do tego samego imperium myśli. Nasza historia, dzieje Macandala, Romaine'a La Prophétesse, Boukmana, Pedro… Ludzie ci nosili w swej piersi wiele poświęceń. Żyli i wierzyli! Wspomnijmy też Hyacinthe'a, który nie okazał strachu, dowiódł swym ludziom, że pociski armatnie to jeno woda. A Macandal? Przywiązano go do katowskiego pala i zaraz miały go przeszyć kule, znalazł jednak sposób ucieczki dzięki ofiarom, które złożył. Raz jeszcze widzimy…

Nagle ostry głos z drugiego końca sali przerwał tę mowę i zaraz wszystkie spojrzenia pobiegły ku mnie i Rachel. Odezwał się krągły przewodniczący jednego ze stowarzyszeń:

– Pozwólcie, przyjaciele. Dessalines mówił nam wiele rzeczy. Jestem człowiekiem. Nie jestem w swoim domu, ale ja również mogę mówić. Co tu robi ten *blanc*? Dlaczego słucha naszych słów? – Otaczający nas ludzie zadrżeli nieprzyjaźnie. Za pozwoleniem Jeana Baptiste'a nagrywałem jawnie fragmenty uroczystości. Teraz mój magnetofon zaczął wzbudzać nieufność.

– Czy nasze słowa mają wyjść poza te ściany? – W zastygłej ciszy słyszałem syk kropli deszczu, które spadały na niewielką świeczkę koło mojego ucha.

– Daj mi magnetofon, szybko! – rozkazała Rachel.

Posłuchałem jej. Od razu stanęła przed zebranymi, zaoferowała

urażonemu przewodniczącemu, że odda mu taśmę, i poprosiła o przebaczenie.

– *Blanc* zjawił się tu jako mój gość, ja zaś przybyłam, bo jestem dzieckiem Gwinei.

Taśma została wspaniałomyślnie przyjęta, kryzys zdawał się zażegnany, ale wtedy na scenę wkroczył Jean Baptiste, który stanął twarzą w twarz z drugim przewodniczącym.

– Nie, ta taśma należy do mnie. *Blanc* to również mój gość. Mój dom jest jego domem, ta dziewczyna to córka człowieka, którego nazywam przyjacielem.

Po chwili wahania taśma wróciła w moje ręce. Zapanował niepewny spokój, dostojnik stojący przy *poteau mitan* rozpoczął przerwaną mowę od samego początku, na koniec zaś poczynił oczywiste nawiązanie do haitańskiej rewolucji.

– Powtarzamy raz jeszcze, że w tysiąc osiemset czwartym roku przyszedł szczególny moment, który zrodził owoce. Rok tysiąc osiemset czwarty zrodził dzisiejsze dzieci. Dziękuję wam.

Aby przywrócić odpowiedni rytm uroczystości, cesarzowa natychmiast wezwała obecnych do składania ofiar w świętej trumnie. Poprowadziła modlitwę, zaśpiewała pierwsze wersy *adoration*, osoby zgromadzone w świątyni, jedna po drugiej, zaczęły podchodzić i składać niewielkie sumy pieniężne na rzecz stowarzyszenia.

– Jeśli odwiedzicie moje stowarzyszenie, na pewno nie doświadczycie takich scen – powiedziała cicho stojąca koło mnie niska, nieco chochlikowata kobieta. – To jakieś szaleństwo! Przecież ta uroczystość jest publiczna, każdy powinien być tu mile widziany. – Natychmiast ujęła mnie i Rachel za ręce. Oznajmiła, że nazywa się Josephine, a jej stowarzyszenie spotyka się co drugą środę. Jeśli zechcemy przyjąć zaproszenie, z wielką chęcią nas ugości. Razem z Rachel od razu wdały się w serdeczną paplaninę. Przerwał im agresywny, groźny głos z drugiego końca sali.

– Bracia, siostry! Czekajcie! Ceremonia na Bois Caïman była wyłącznie sprawą Afrykanów. Żaden *blanc* nie powinien uczestniczyć w naszej dzisiejszej uroczystości! Żaden *blanc* nie powinien oglądać, co czynimy nocami!

W pomieszczeniu wybuchł gwar gniewnych, bezcielesnych głosów. Członkowie podzielili się na dwie grupy. Hałaśliwa mniejszość potępiała fakt, że się tu zjawiłem, większość twierdziła zaś, że uczta to wydarzenie

publiczne, święto, w którym każdy może wziąć udział. Jean Baptiste przebiegł przez *peristyle* i stanął w naszej obronie, inni sojusznicy otoczyli nas półkolem. Odruchowo zacząłem macać glinianą ścianę za plecami, starałem się ocenić jej wytrzymałość. Rachel, stojąca u mojego boku, dygotała ze strachu.

– Nie martwcie się – szepnęła Josephine. – Nikt tu nie jest głupi. To publiczna uroczystość, w przeciwnym razie by was tu nie było. Tak naprawdę to tylko zabawa.

Nagle elektryczne lampy zgasły i zaraz znów się zapaliły. Josephine wyglądała na zaniepokojoną. Światło ognia płonącego u podstawy *poteau mitan* rzucało cienie tancerzy na ściany świątyni, dziwnie łamiące się na szparach w poszyciu. Oddechy stawały się coraz cięższe, zmieniły się w sapanie towarzyszące intensywnemu wysiłkowi, rytm wprawiał ziemię w drżenie, ramiona tancerzy poruszały się w górę i w dół niczym tłoki, gwałtownie na nas napierając.

– Co to za głupoty! – krzyknęła Josephine, ale przyciągnęła nas bliżej. – Shanpwel! Otwórzcie swoje tyłki! – Światło znowu zgasło, otaczający nas kordon jeszcze bardziej się zacieśnił.

– Uważajcie! – krzyknął do nas Isnard. – Zasłońcie usta koszulą! – Przez krótką, przerażającą chwilę mogliśmy tylko czekać, wpatrzeni w kurz zawieszony w bursztynowym świetle. Isnard sądził, że za chwilę ktoś rozpyli proszek. Chwyciłem Rachel. Czułem jedynie przeszłość i przyszłość przetaczające się nade mną jak wody niezmąconej rzeki.

Nic się jednak nie stało. Wśród podnieconych krzyków znów zapalono światło, napięcie opadło, strach Rachel ustąpił miejsca złości.

– Posłuchaj – powiedziała – skoro nas tu nie chcą, powinniśmy sobie pójść.

– Nie, kochana, zostajecie, ani kroku! – Josephine była nieustępliwa.

– Przecież to niedorzeczne!

– Nie martw się, moje dziecko, ich czas już minął. – Miała rację. Gniew, wyczuwalny zaledwie kilka chwil temu, zniknął, na jego miejscu pojawiły się śmiech i serdeczne powitania. Krągły przewodniczący stowarzyszenia, który jako pierwszy sprzeciwił się mojej obecności, zabrał teraz głos i zadeklarował, że pragnie pokoju.

– Bracia i siostry! – zawołał, gdy bębny umilkły. – Coś wam wyjaśnię.

– Cisza! – krzyknął ktoś.

– Nigdy nie zmienia się to, czy człowiek jest kimś więcej lub kimś mniej

niż człowiekiem, czy jest biały, czy też czarny. O tak, rzecz ta nie zmienia się bez względu na to, czy człowiek ma rację, czy też nie. – W tym momencie przerwały mu donośne brawa. – Ja sam – ciągnął – wiem, że chcieć to móc. Zabieram głos publicznie, żeby wyjaśnić swoje motywy. Nie bez powodu chciałem wziąć tę taśmę. Przewodniczący Jean Baptiste powiedział, że taśma jest jego, więc oddałem ją białemu. Nie jestem jednak głupcem. Jeśli *blanc* przybędzie do mnie, pozwolę mu nagrać rytuały vodoun. Pozwolę mu, żeby nauczył się pieśni Cannibal. Ale słowa muszą pozostać nasze. Pieśni są publiczne, słowa są prywatne. To wszystko. Proszę wybaczyć, *mademoiselle* – dodał, patrząc na Rachel. – Mówię to, by wyświadczyć panience przysługę. – Rachel podziękowała mu, obiecała, że przyjmie zaproszenie i weźmie udział w ceremonii. Jej ciche słowa zginęły w hałasie robionym przez niecierpliwych bębniarzy i ludzi spragnionych tańca.

Wszelkie rozważania i wyrzuty zostały zduszone przez nagłą intensywność ruchu, za sprawą której *peristyle* zmienił się w wielki krąg wirującego światła. Jeszcze parę minut wcześniej panował tu tłok, wszyscy byli ściśnięci, teraz zaś każdy miał dość miejsca, by tańczyć. Kręcili się więc jak derwisze, ramiona młóciły powietrze, potem zaczęły się konwulsyjne podrygi, stopy tupały w ziemię, wzbijając tumany kurzu aż do kolan. Rachel jest świetną tancerką, ja tańczę bardzo niezgrabnie, lecz nawet mnie pochłonął rytm. Ku powszechnej radości przyłączyliśmy się do pozostałych, naśladowaliśmy Shanpwel, gdy skakali przez salę. Staccato bębnów podrzucało nas w górę i zaraz ciągnęło nas z powrotem do szeregu. Czułem wibracje u podstawy kręgosłupa; biegły niczym prąd aż do czaszki. Rytm trzymał nas w swej mocy godzinami, pot lał się po naszej skórze, zapach kadzideł, kurzu, tanich perfum i rumu mieszał się z niepoważną zmysłowością, która kazała naszym ciałom lgnąć do siebie i zaraz się rozdzielać. Mój umysł próbował odnaleźć drogę przez tę noc, lecz zagubił się w jakiejś rozległej krainie przeszłości, reagował jedynie na miarowy rytm, falował niczym krasnorosty ciągnięte przez wartki strumień, zarazem mocno wrośnięte w muł.

Nie wiem, kiedy wszystko to się skończyło. Pamiętam tylko chłodne powietrze na zewnątrz świątyni i świt przebijający się przez perłowoszare niebo. Pamiętam nieruchome palmy, kobiety mijane w drodze powrotnej, udające się na targ, człapanie mułów, na których jechały, światła burdelu Marcela Pierre’a, klientów wylegujących się przed wejściem, delektujących się jeszcze posmakiem nocy, ciemności, czasu spędzonego w miękkich, posłusznych ramionach.

*

Dopiero późnym popołudniem następnego dnia zdołaliśmy w pełni docenić nagranie, którego o mało co nie straciliśmy. Na tle zgiełku pieśni i tanecznych rytuałów wyróżniały się dwie informacje. Po pierwsze, przemówienie: była to jednoznaczna publiczna deklaracja wywodząca Bizango z haitańskiej rewolucji i z działalności przedrewolucyjnych grup *marrons*, zgodna z hipotezą antropologa Michela Laguerre'a. Po drugie, co ważne z punktu widzenia naszych prac terenowych, udało się zarejestrować nazwiska niemal dziesięciu ważnych przywódców Bizango w samym tylko regionie Saint Marc. Dzięki szczodrej pomocy Roberta Erié, wuja Rachel, w ciągu jednego dnia skontaktowaliśmy się z pięcioma cesarzami. Szczególnie wielu informacji dostarczył nam imponujący, sprytny i potężny Jean-Jacques Leophin.

Nasze pierwsze odwiedziny u Leophina miały charakter wyłącznie towarzyski, zapoznawczy. Okazał się on starym człowiekiem, chudym, lekko przygarbionym. Bardzo lubił złoto, o czym świadczyły rzucające się w oczy sygnety na palcach i łańcuch na szyi. Wystarczyło, że raz pstryknął palcami, i zaraz pojawiły się krzesła, stół oraz taca z lodem i butelką whiskey. Piliśmy w *peristyle* o niebieskich ścianach, otoczeni obrazami przedstawiającymi skaczące *djabs* i Czarną Dziewicę. Na podwórzu stał popsuty mercedes z odkręconymi kołami, wsparty na cegłach, przez co wydawał się pomnikiem.

Sygnety, łańcuch, czarna fedora, lulka – wszystkie te akcesoria przesłaniały duszę człowieka ściśle zbratanego z mistycznym światem. Gdy mówił, jego spojrzenie przenikało dogłębnie rozmówców. W krótkim czasie poznałem go lepiej i pojąłem, że to jeden z tych rzadko spotykanych ludzi, którzy zdołali wyrzeźbić unikatową osobistą filozofię z tysięcy rozmaitych elementów znalezionych we wszechświecie i którzy następnie żyją zgodnie ze swoimi przekonaniami. Często opowiadał przypowieści, nawiązywał do afrykańskich mitów i legend, mieszając je z cytatami z *Le Petit Albert*, księgi wiedzy magicznej, niegdyś zakazanej na Haiti, lecz i tak uchodzącej za biblię czarowników.

– Słowo „Bizango" pochodzi z Cannibal – wyjaśniał Leophin. – Znajdziecie je w *Czerwonym Smoku* lub w księgach Maga Emmanuela. Bizango ma dowodzić, że zmiana jest możliwa. Dlatego mówimy: „Nauczcie się zmieniać". Żyjemy w świecie, więc możemy zmieniać świat. Wszyscy twierdzą, że Shanpwel przemieniają ludzi w świnie… Tak naprawdę chodzi

tu o myśl, że wszystko jest względne. Może ci się wydawać, że ty i ja jesteśmy równi. Że jesteśmy dwiema osobami, mamy taką samą postać, taką samą skórę. Inna istota, jeśli spojrzy na nas od tyłu, powie być może, że jesteśmy dwiema „świniami", dwoma „osłami". Albo nawet, że jesteśmy „niewidzialni". Oto na czym polega przemiana w Bizango. Oto co oznacza „zmieniać".

– Dawno temu – ciągnął – Shanpwel nie istnieli. Cztery wielkie narody Makala, z północy, południa, wschodu i zachodu, utworzyły Bizango, by zaprowadzić porządek i skłonić swych ludzi do okazywania szacunku.

– Mowa o czasach, zanim pojawili się biali?

– Tak, ale również o późniejszych czasach. Na południu żyła pewna dziewczyna, która zapamiętywała słowa jednego z przywódców i przekazywała je nie tam, gdzie trzeba. Gadała, sprawiała kłopoty. Wreszcie wszyscy czterej przywódcy spotkali się, pojęli, co się dzieje, i skazali ją na śmierć. Kiedy została stracona, urządzono wielką publiczną ucztę, podczas której wyjaśniono ludziom, że o sprawach czterech narodów nie wolno opowiadać na zewnątrz. Właśnie wtedy utworzono Bizango, aby chronić ludzi przed niebezpieczeństwem płynącym z ust. Nawet dziś, jeżeli ktoś źle wypowiada się o stowarzyszeniu, trzeba mu przypomnieć, że ma szanować swoje usta. Wszyscy się zatem spotykamy.

– Masz na myśli trybunał?

– Nie, radę. Ktoś organizuje ucztę, jest ryż, fasola, cola, rum i tak dalej. Potem najważniejsi członkowie Bizango odchodzą na stronę. Mam na myśli *groupe d'état majeur*: przewodniczących, ministrów, królowe. Dokonujemy oceny. Jeśli na przykład uznamy, że taki czy owaki powinien umrzeć piętnastego stycznia, idziemy do cesarza – ja na przykład jestem cesarzem tego regionu – i jeśli cesarz wyrazi zgodę, czynimy znak na papierze. I człowiek umiera. Bywa jednak, że ktoś ma odmienne zdanie, wówczas cała sprawa długo się ciągnie. Mniej więcej co trzy miesiące zwołujemy *séance*, by ją przedyskutować. Jeżeli nadal nie udaje się osiągnąć konsensusu, powołujemy trzynastoosobową grupę i wtedy decyduje większość. Tak działa Shanpwel. Stowarzyszenie nie może jednak osądzić nikogo, kto nie wyrządził bezpośrednio krzywdy jednemu z członków. Nie wszyscy nam podlegają.

– Czy to właśnie nazywa się sprzedaniem kogoś stowarzyszeniu?

– Tylko w tym kryje się sprawiedliwość. Sprawiedliwość zawsze zostaje wymierzona. Sprzedanie to szczególna sytuacja, bo wszystko zaczyna się od członka stowarzyszenia, nie od przywódców. Każdy członek może kogoś

sprzedać, by w ten sposób dojść sprawiedliwości. Jeżeli toczysz z kimś spór, płacisz niewielką kwotę, przekazujesz cesarzowi swoje imię i opis sprawy. Sumienne stowarzyszenie osądzi wówczas zarówno ciebie, jak i tego, kogo oskarżasz.

– Czy oskarżony musi stawić się osobiście, cieleśnie przed stowarzyszeniem?

– Głupie pytanie. Tłumaczę ci raz i drugi, a ty nie słuchasz. Mówiłem przecież, że wymierza się sprawiedliwość. Oczywiście, że oskarżony musi stanąć przed stowarzyszeniem. Cesarz wysyła po niego *chasseur*, łowcę. Zadaniem łowcy jest przyprowadzić oskarżonego. Nie można wymierzyć nikomu sprawiedliwości zaocznie! – Zniecierpliwiony Leophin zaczął się wiercić na krześle. – Rzecz jasna, te sprawy się niekiedy komplikują. Bywa, że sprzedany człowiek choruje nawet przez trzy lata, bo wyrok nie zapada. Wtedy, ponieważ wszyscy wiedzą, że chory jest na liście, jego rodzina może wynająć wróża, by zbadał, co się dzieje. Gdy to ustali, rodzina ma jedną jedyną szansę wyrównania krzywd. Jeżeli wyrazi taką wolę, zbiera się stowarzyszenie, któremu sprzedano oskarżonego. Rodzina musi zapłacić każdemu z czterech przywódców stowarzyszenia.

– Więc oskarżonego można wykupić?

– Tylko w niektórych przypadkach.

– Na przykład?

– Mówię ci przecież, że chodzi o osąd. Skoro tak, okoliczności będą rozmaite.

– Załóżmy, że chcę się po prostu kogoś pozbyć i go sprzedaję.

– Wobec tego zostaniesz osądzony. Bo to ty złamałeś kodeks stowarzyszenia.

– Co to za kodeks?

– Siedem czynów. –Jean-Jacques Leophin bez pytania wyrecytował, niczym uczony prawnik, siedem rzeczy, za które można zostać sprzedanym stowarzyszeniu. Były to kolejno:

Ambicja – zbytnie bogacenie się oczywistym kosztem rodziny i osób, które ma się na utrzymaniu.

Okazywanie braku szacunku bliźnim.

Uwłaczanie stowarzyszeniu Bizango.

Kradzież kobiety należącej do innego mężczyzny.

Rozpuszczanie oszczerczych plotek, które szkodzą innym.

Skrzywdzenie członków swojej rodziny.

Wszelkie niesprawiedliwe działania uniemożliwiające innym pracę na roli.

Pomyślałem, że lista mogłaby posłużyć za akt oskarżenia Clairviusa Narcisse'a, i od razu wróciłem myślami do jego przypadku. Clairvius często toczył spory z różnymi członkami swojej rodziny. Spłodził wiele dzieci i nie łożył na ich utrzymanie. Nie wywiązywał się również z innych obowiązków wobec społeczności, co pozwoliło mu odłożyć tyle pieniędzy, że jego dom jako pierwszy w całym *lakou* miał dach kryty blachą, nie słomą. Bez wątpienia postępowanie Clairviusa budziło gniew dalszych członków rodziny. No i jeszcze spór z bratem, dotyczący ziemi. Tak poważna kłótnia najprawdopodobniej oznaczałaby konieczność skorzystania z arbitrażu dokonanego przez stowarzyszenie Bizango. Herard Simon mówił mi, że to wuj Clairviusa wystąpił o zwołanie trybunału. Możemy się domyślać przebiegu obrad, warto jednak zwrócić uwagę na kilka kwestii. Ojciec Clairviusa nadal żył, sam Clairvius nie miał dzieci uznawanych przez społeczność. Zgodnie z obowiązującym na Haiti zwyczajem rodzinne pola nie powinny być dzielone „między pierwsze pokolenie potomstwa, bo młodsi bracia z pewnością nie będą się domagać ziemi od starszych, gdyż byłoby to oznaką braku szacunku". Co więcej, jeżeli spadkobierca „żąda oficjalnego podziału, zanim umrą rodzice, zgodnie z tradycją zostaje uznany za impertynenta". Zgodnie z kodeksem obowiązującym na haitańskiej wsi Clairvius ewidentnie naruszył zasady. Najważniejszym obowiązkiem głowy rodu na Haiti jest „zachowanie rodzinnych zasobów, by zapewnić dzieciom dobry start". Liczą się kolejne pokolenia; skoro tak, Clairvius, nieżonaty i bezdzietny, znajdował się na gorszej pozycji niż jego brat, który w tamtym czasie miał liczne potomstwo na utrzymaniu. Poza tym, gdyby racja była po stronie Clairviusa, tajne stowarzyszenie bez wątpienia ukarałoby brata, który odpowiadał za poddanie go zombifikacji. Tymczasem przez niemal dwadzieścia lat brat żył spokojnie w swojej wsi. Jeżeli weźmiemy pod uwagę obecne chłodne stosunki między Clairviusem i jego rodziną, uznamy za bardziej niż prawdopodobne, że to Clairvius był winny. Tak zresztą uważała większość moich haitańskich rozmówców. Dodatkowym potwierdzeniem było niezwykłe oświadczenie Leophina wygłoszone, gdy tylko wspomniałem o przypadku Narcisse'a.

– Brat sprzedał go stowarzyszeniu w Caho – oznajmił Leophin. – Chodziło o siódmy uczynek. O ziemię ich rodziców. Narcisse próbował przejąć ją siłą. – Leophin przerwał na moment i dodał dobitnie: – Nie znaczy to, że stowarzyszenie jest złe. Jeśli ktoś z twojego domu cię zdradzi, zasługuje na śmierć, lecz nie czyni to twojego domu złym miejscem.

– Więc ludzie, którzy zabrali Narcisse'a, nie pochodzili z jego wsi?

– Zdarzają się takie przypadki. Ja na przykład rezyduję tu, w Fresineau. Wszyscy wiedzą, że Leophin jest panem rejonu rozciągającego się od Gros Morne po Montrouis. Stowarzyszenie z Archaie nie może ot tak złapać kogoś na moim terytorium. Najpierw muszą poprosić mnie o zgodę. Wyjaśnią mi, na czym polega problem. Jeśli prośba wyda mi się rozsądna, zwołam *séance* i przedyskutuję wydanie oskarżonego. Może się zdarzyć, że moi ludzie się sprzeciwią lub uznają zarzuty za niesprawiedliwe, wtedy oskarżony znajdzie się pod moją ochroną. Wszyscy cesarze komunikują się ze sobą, niekiedy osobiście, niekiedy za pośrednictwem *superviseur*, posłańca.

– Bizango dociera do wszystkich zakątków kraju – powiedziała Rachel, autentycznie zadziwiona.

– Nie dociera – poprawił ją Leophin. – Ono już tam jest. Bo widzisz, jesteśmy gwiazdami. Działamy nocą, lecz wszystkiego dotykamy. Jeśli jesteś biedny, zwołam zgromadzenie, by zaspokoić twoje potrzeby. Głodujesz: dam ci jedzenie. Potrzebujesz zarobku: otrzymasz trochę pieniędzy, by móc rozkręcić jakiś interes. Oto Bizango. Oto dłoń w dłoni. W jedną tylko rzecz stowarzyszenie się nie miesza – ciągnął. – Obojętnie, jaką zbrodnię popełnisz, może się zdarzyć, że pozwolimy ci ujść bezkarnie. Ale stowarzyszenie wymaga, żebyś szanował przywódców sprawujących urząd z mocy prawa. Nie możesz przeciwko nim podburzać, nie możesz krzykiem próbować wziąć sobie jakiegoś urzędu. Musisz wysłuchać głosu ludu i wystartować w wyborach.

– Co, jeśli na przykład policjant znęca się nad członkiem stowarzyszenia? – spytałem.

– Jeżeli nie lubisz rządu, pamiętaj: wszystkie psy króla też są królami. Nawet te, które źle postępują. Z drugiej strony, jeśli policjant jest prawdziwym bratem, pewnego razu przełożony wezwie go do siebie i poinformuje, że zostaje przeniesiony w inny rejon. Chociaż nie chcemy go skrzywdzić, nasza wyrozumiałość ma swoje granice.

– A więc członkowie Bizango współpracują z rządem. Co w przypadkach, kiedy…

Leophin przerwał mi, trochę poirytowany.

– To rząd współpracuje z nami. Nie ma wyboru. Wyobraź sobie, co by było, gdyby najeźdźcy wylądowali w jakimś odległym zakątku departamentu Nord-Ouest. Zostaliby wybici w pień jeszcze na plaży! Ale nie przez ludzi rządu. Cały ten kraj od niepamiętnych czasów jest przygotowany na takie sytuacje. Administracja rządowa z Port-au-Prince musi z nami

współpracować. Byliśmy tu pierwsi. Jeśli nie podoba nam się rząd, to rząd musi odejść. Na Haiti jest niewiele broni palnej, ale wszystka znajduje się w naszych rękach.

*

Ostatnia deklaracja Leophina nie była czczą przechwałką, o czym świadczą umizgi najważniejszych krajowych przywódców do stowarzyszeń Bizango. Dotyczyło to zwłaszcza doktora François Duvaliera. Jego rewolucja, często błędnie przedstawiana w zachodniej prasie i utożsamiana głównie z późniejszym okresem okrutnej przemocy, zaczęła się jako bunt czarnej większości przeciwko przywilejom niewielkiej elity władzy, która przez znaczną część historii Haiti odgrywała dominującą rolę w polityce i gospodarce. Kiedy w 1957 roku Duvalier został wybrany na prezydenta, nie mógł ufać armii – w czasie jego rządów podjęto kilkanaście prób inwazji lub zamachu stanu. Utworzył więc własną służbę bezpieczeństwa: Volontaires de la Sécurité Nationale, czyli Ochotniczą Milicję Bezpieczeństwa Narodowego. Zyskała ona sławę jako Tonton Macoute. (Było to nawiązanie do haitańskiego folkloru. Niegrzeczne dzieci straszy się, że ich ton ton – wujek – schwyta je do *macoute*, czyli do worka, i porwie). Dotychczas nikt nie zdołał przekonująco odtworzyć początków tej organizacji ani wyjaśnić, jak to możliwe, że powstała tak szybko i natychmiast zaczęła działać w niemal każdej haitańskiej miejscowości. Być może przyczyniła się do tego sieć stowarzyszeń Bizango, o której opowiadał mi Leophin.

François Duvalier, z wykształcenia lekarz, pilnie uczył się haitańskiej kultury. Miał na koncie publikacje z zakresu etnologii, w młodości był jednym z najważniejszych członków niewielkiej grupy wydającej wpływowe pismo „Les Griots”, na łamach którego rozkwitały idee przyszłej rewolucji. Cała grupa wywodziła się z wielkomiejskiej elity, odebrała dobre wykształcenie, lecz pragnęła zmian w reakcji na upokorzenie wywołane przez amerykańską okupację kraju oraz w geście buntu przeciwko uwiądowi i uległości haitańskiej burżuazji. W tamtym okresie bębny i inne przedmioty wykorzystywane podczas ceremonii vodoun tropiono i niszczono, a mieszkańców wsi zmuszano do deklarowania lojalności wobec Kościoła katolickiego. Natomiast członkowie grupy Les Griots głosili, że vodoun to prawomocna religia ludowa. Wymagało to nie lada odwagi i zapewniło Duvalierowi bezwarunkowe poparcie tradycyjnych społeczności. Podczas kampanii przed wyborami w 1957 roku, które dały mu władzę, zabiegał o wsparcie hounganów. W niektórych częściach kraju prowincjonalne

świątynie vodoun pełniły funkcję lokalnych sztabów kandydata. Zwycięstwo oznaczało, że Duvalier stał się pierwszym przywódcą od niemal stu lat, który uznawał religię vodoun i prawo ludzi do jej praktykowania. Wielu hounganów otrzymało wpływowe stanowiska rządowe. Przy co najmniej jednej okazji Duvalier ściągnął wszystkich kapłanów vodoun w kraju do pałacu prezydenckiego, by odbyć z nimi naradę. Krążyły plotki, że sam był hounganem. Wszystko to oznaczało radykalną zmianę oficjalnej polityki. Zaledwie rok czy dwa przed objęciem władzy przez Duvaliera w kraju nadal palono bębny vodoun. Krótko potem houngan został ministrem edukacji.

Co najważniejsze, Duvalier wiedział, że otaczają go wrogowie i że ostatecznie każdy czarny prezydent zawdzięcza stanowisko tradycyjnym społecznościom. Przez cały okres swoich rządów dokładał starań, by wykorzystywać sieć kontroli społecznej, która – wedle słów Leophina – istniała dzięki tajnym stowarzyszeniom. Duvalier przeciągał na swoją stronę wpływowych hounganów i nieprzypadkowo Herard Simon – człowiek głęboko religijny, a zarazem patriota – stanął na czele Tonton Macoute w regionie obejmującym jedną piątą Haiti. Dawniej czarni mieli bardzo ograniczony dostęp do stanowisk publicznych lub posad rządowych. W niektórych miastach na mocy niepisanych zasad nie mogli wchodzić do wybranych parków. Dla ludzi w rodzaju Herarda Duvalier był zbawcą. Nic dziwnego, że gdy spytałem Simona, czy w pierwszych latach musiał zabić wiele osób, odpowiedział całkiem szczerze: „Nie zabijałem ludzi, tylko wrogów”.

Bez cienia wątpliwości bliskie kontakty Duvaliera z hounganami oznaczały, że znał stowarzyszenia Bizango oraz ich przywódców. Był pierwszym prezydentem kraju, który osobiście obserwował proces wybierania każdego *chef de section*. Ciekawe również, że mieszkańcy haitańskiej prowincji uważali Duvaliera za wcielenie Barona Samedi, ducha utożsamianego z tajnymi stowarzyszeniami. Prezydent nawiązywał do tego swoim strojem i zachowaniem: zawsze nosił ciemne okulary w rogowych oprawkach, czarny garnitur i wąski czarny krawat, a więc elementy stroju, które często pojawiały się na starych litografiach przedstawiających Barona Samedi. Krótko mówiąc, niezależnie od motywów, jakie mu przyświecały, François Duvalier zdołał przeniknąć tradycyjną społeczność vodoun. Przywódcy tajnych stowarzyszeń nieuchronnie stali się ważnymi oficerami Tonton Macoute, członkostwo w służbie bezpieczeństwa w znacznym stopniu pokrywało się też z członkostwem w stowarzyszeniach. Kusi wręcz, by zadać pytanie, czy sam prezydent nie stał się symbolicznym lub może

nawet całkiem realnym przywódcą wszystkich tajnych stowarzyszeń.

*

Josephine, stara kobieta, z którą zaprzyjaźniliśmy się tamtej nocy podczas ceremonii, sprzedawała fasolę na rynku w Saint Marc, nietrudno więc było ją odnaleźć. Większość Shanpwel już nas kojarzyła, kilkanaście osób o znajomych, lecz dziwnie anonimowych twarzach poprowadziło nas między straganami. Dziwnie się czułem, mijając ludzi uśmiechających się znacząco. Wiedzieli, kim jestem, choć ja nadal nie wiedziałem wszystkiego.

Gdy dotarliśmy do stoiska – był to prosty wóz z markizą z obszarpanego płótna, na którym leżało kilka równo usypanych stert nakrapianej fasoli i zardzewiała puszka służąca do odmierzania towaru – nikogo nie zastaliśmy, lecz chwilę później Josephine przytruchtała jak dzierlatka, tak bardzo zaskoczona i ucieszona naszym przybyciem, że nie mogła ustać w miejscu. Zostawiła stoisko pod opieką innej sprzedawczyni i poprowadziła nas przez targ, przystając coraz, by pożartować z przyjaciółmi, aż wreszcie najbardziej okrężną możliwą drogą dotarliśmy do naszego jeepa. Potem, zamiast udać się do domu przewodniczącego stowarzyszenia Josephine – taki był cel naszej wizyty – musieliśmy objechać cały targ dwa razy.

W końcu Josephine pokierowała nas drogą gruntową wiodącą przez meliorowane pola na wschód od Saint Marc. Dolina, jak wiele innych położonych wzdłuż środkowego wybrzeża Haiti, to oaza pośród jałowej pustyni. Tam, gdzie się zatrzymaliśmy, bujne pola ustąpiły miejsca krzewom. Widok wprawił nas w melancholijny nastrój – na drodze do niewielkiego gospodarstwa wrośniętego w porowate wzgórze minęliśmy jedynie kilka zmęczonych drzew. Na terenie gospodarstwa zobaczyliśmy dwa niewielkie główne budynki połączone *tonnelle* i otoczone wiklinowym płotem. Mimo że świątynia nie była stara, gliniane ściany zdążyły popękać na tysiąc kawałków. Nad naszymi głowami zwisała smętna haitańska flaga, zatknięta na długi pal.

Wewnątrz było chłodniej. Gdy nasze oczy przyzwyczajały się do ciemności, Josephine przedstawiła nas przewodniczącemu Andrésowi Celestinowi. Tak się składało, że spotkaliśmy go wcześniej: pierwszy raz podczas ceremonii, w której uczestniczył razem z innymi przywódcami Bizango, drugi raz na głównym placu Saint Marc, wskazał nam go bowiem Robert Erié. Wtedy, w przestrzeni miasta, odziany w sztywny dżinsowy mundur Tonton Macoute, sprawiał wrażenie dziarskiego. Teraz wydawał się wrakiem człowieka, leżał plackiem na pryczy, twarz miał opuchniętą

i mocno przefasonowaną z powodu – o czym dowiedzieliśmy się później – potężnego ciosu otrzymanego poprzedniej nocy podczas starcia między dwiema grupami Rara. Ewidentnie nie był teraz w stanie przyjmować gości, więc gdy z wyraźnym bólem próbował wstać i nas powitać, Rachel szybko podbiegła i łagodnie pomogła mu znów się położyć. Celestin doznał poważnego wstrząsu mózgu. Rana sama w sobie nie była może poważna, ale wdało się groźne zakażenie. Nie zabawiliśmy długo, obiecaliśmy tylko, że wrócimy nazajutrz, zostawiliśmy mu trochę pieniędzy na jedzenie i czym prędzej pojechaliśmy do Saint Marc, gdzie kupiliśmy nieco lekarstw, które następnie przekazaliśmy Celestinowi za pośrednictwem Josephine. Następnego dnia zjawiliśmy się ponownie, wracaliśmy codziennie, aż wreszcie pomału Celestin wydobrzał. Mniej więcej tydzień po bójce uznał, że odzyskał dość sił, by z nami porozmawiać. Oczywiście doskonale wiedział, na czym nam zależy.

O ile Leophin i Jean Baptiste mieli mocną pozycję i cieszyli się niepodważalną władzą, o tyle Andrés dopiero piął się w hierarchii, a każdy jego gest świadczył o niespokojnym, przedsiębiorczym duchu. W młodości celowo przeprowadził się w okolicę Saint Marc, jednego z głównych ośrodków działalności Bizango, i co ani trochę nas nie zaskoczyło, został ważnym członkiem stowarzyszenia, któremu przewodził Leophin, dopóki rywalizacja między nimi dwoma nie zrobiła się zbyt ostra. Andrésa wydalono za nieposłuszeństwo i założył własne stowarzyszenie, obecnie próbował je skonsolidować. Był ambitny, może aż za bardzo, ale nikt nie mógł mu zarzucić, że gra nieczysto. Przeciwnie, wybierał ostentacyjną, przesadną szczerość. Dochowywał wierności bogom, lecz chętniej niż inni wykorzystywał ich do własnych celów. Nasze przypadkowe spotkanie uznał za wspaniałą szansę, tak samo jak my.

– Normalna rzecz, że ze sobą współpracujemy – wyjaśnił nam. – Ja mam coś, czego wy chcecie, czyli wiedzę. Wy macie coś, czego potrzebuję ja. – Miał na myśli i pieniądze, i nasze znajomości, które mogły ogromnie pomóc jego stowarzyszeniu. Uznałem to podejście za przyjemnie szczere.
Za plecami Andrésa grupka dzieci zebrała się wokół paleniska, wypinając głodne brzuchy. Zmęczona kobieta wzięła garść grubego piachu, by wyszorować garnek; obok niej leżały sterty drewna na opał i puszki z wodą zbyt cenną, by używać jej do mycia. Przez chwilę Andrés i ja patrzyliśmy sobie w oczy, potem on uniósł głowę i chrapliwym śmiechem przypieczętował naszą umowę.

*

Tej środy odbywało się spotkanie członków stowarzyszenia, więc w nocy, zgodnie z poleceniem Andrésa, wróciliśmy do jego gospodarstwa, jak zwykle spóźnieni. Większość członków była już na miejscu, kręcili się, zniecierpliwieni czekali w ciemności na lampy Colemana, by uroczystość mogła się wreszcie zacząć. Na tyłach *tonnelle*, tam gdzie wcześniej widzieliśmy palenisko, trzy kobiety tańczyły impulsywnie w rytm paru bębnów. Przerwały wkrótce po naszym przybyciu. Świątynia była zbyt mała, a grupa członków zbyt nieliczna, by ktokolwiek mógł choćby udawać dyskrecję. Ci, którzy nas znali, powitali nas serdecznie; pozostali przyglądali się nam zdziwieni.

Andrés zupełnie się nie przejął naszym spóźnieniem, po krótkiej pogawędce zasugerował uprzejmie, że pora, abyśmy porozmawiali z mistrzem. Podążyliśmy za nim po omacku w ciemności, wyszliśmy z *tonnelle*, skręciliśmy za róg jego domu i znaleźliśmy się przy niewielkim budynku niepewnie opartym o najbardziej stromy kawałek wzgórza. Zastukawszy trzy razy, by uprzedzić duchy, Andrés otworzył zardzewiały zamek i poprowadził nas do środka. Za zasłoną krył się niewielki ołtarz, na którym płonęła świeczka – właściwie pojedynczy knot wystający z misy pełnej gorącego wosku. Ponad płomieniem ujrzałem dziesiątki lusterek i dzwonków podwieszonych pod sufitem na wstążkach. Rachel i ja usiedliśmy na dwóch wiklinowych krzesłach ustawionych tak blisko, że nasze kolana się stykały. Tymczasem Andrés nachylił się ku nam i pierwszy raz dostrzegłem czarną opaskę przesłaniającą jego zranione oko.

– Koniecznie musicie się z nim spotkać, choć jeszcze go nie znacie. Nie mogę zrobić czegoś, co jest poza moim czasem. Tylko on może zdradzić wam tajemnice. – Za moimi plecami rozległo się kaszlnięcie i pojąłem, że nie jesteśmy sami. Andrés zaciągnął zasłonę i polecił nieznajomemu, by przyniósł butelkę rumu. – Powiedz ludziom, że mogą już tańczyć – dorzucił, po czym odwrócił się twarzą do ołtarza. – Przyjaciele, tyle wiedzy macie do zdobycia! Pokażę wam wielkie rzeczy. Wade, jesteś *blanc*. Ty, Rachel, musisz służyć jako jego mistrz i pokazać mu to, co ja pokażę tobie. Rozumiecie? Oboje rozumiecie? Dobrze.

Zadźwięczał dzwonek w jego dłoni. Powłóczystym gestem drugiej ręki Andrés rozkołysał lusterka i okruchy bursztynowego światła zatańczyły w całym pomieszczeniu. Asystent zjawił się z powrotem, postawił butelkę u naszych stóp i zniknął. Znów dzwonek, Andrés usiadł i podjął monotonną, hipnotyzującą litanię, ciągnącą się bez końca, wezwał może dwieście albo

i więcej duchów i mocy, aż naraz, w jednej chwili, jego głos zupełnie się zmienił. Nagle zaczął się jąkać, zupełnie nad tym nie panując. Zjawił się *pwin*, mistyczna siła stowarzyszenia pod postacią mistrza o imieniu Hector Victor.

– O-o-o-o co-co-co-co tu się dzieje? Ki-kim jesteście? Ma-ma-ma-mamy tu dwoje obcych. Skąd przybywacie? Z Port-au-Prince? Ra-ra-rad jestem was widzieć. Jestem Hector Victor. Służę gdziekolwiek, czy-czy-czynię cokolwiek. Słuchaj, młoda panno: wy-wy-wygląda na to, że mnie potrzebujesz. Potrzebujesz informacji. Nie? A-a-a więc czego? O-o-och! Ha! A więc facet już z tobą rozmawiał. Co ci powiedział?

– Powiedział, że mamy się z tobą spotkać, bo to ty znasz odpowiedzi – szepnęła Rachel.

– O-o-och, to prawda. Jedno wiem. Ale trzeba zapłacić. Jak w szkole. Mu-mu-musisz zapłacić. Sa-sa-sa-sama rozumiesz. I-i-i-ile możesz zapłacić?

– O nie, Hectorze Victorze, powiedz, ile żądasz. Nie mogę po prostu podać dowolnej kwoty.

– Och – *pwin* zamilkł. – Po-po-powiedz, czy dobrze widzę, że to rum? – Podałem mu butelkę i pomyślałem, że tylko na Haiti możesz pić rum, targując się z bogiem. – Do-do-dobrze – ciągnął Hector Victor – młoda damo, wiem, że zarabiasz więcej niż ja. Bę-bę-będzie cię to zatem kosztować sze-sze-sześćdziesiąt dolarów. Zobaczysz, że warto. Twój ojciec jest hounganem, prawda? Zo-zo-zo-zobaczysz, będzie zadowolony.

– Hm… – mruknęła Rachel, jak gdyby targowała się ze sprzedawcą warzyw.

– Rachel – szepnąłem – w porządku, zapłacimy.

– Dobrze, dostaniesz czterdzieści dolarów teraz, resztę będziemy ci dłużni.

– Och, tak, mogę wam zaufać. Na pewno mogę. We-we-we-wezmę tyle, ale zobaczysz, to warte dużo więcej. Teraz już pójdę, niech mój wierzchowiec wykona pracę. Ale pamiętaj: Hector Victor może dosiąść wierzchowca w każdym bagi. – Hector Victor spojrzał na asystenta, który przyniósł rum, i podał mu jeden z otrzymanych ode mnie banknotów. – We-we-weź to, rozmień i daj innym. Potem powiedz, żeby przynieśli więcej. – Asystent, który nadal pozostawał w półmroku, wyślizgnął się z bagi.

Mistrz wydmuchał nos w gazetę i rozwalił się na krześle, wydawał się komicznie strapiony.

– Pie-pie-pie-pieniądze – westchnął. – Widzisz, jak to jest? – Zjawił się

kolejny asystent. – Kto-kto-kto idzie? A, to ty. Posłuchaj, mamy zadanie. Wykonaj je dobrze. Potrzebujemy tych ludzi. Po-po-potrzebujemy ich i nic złego nie może się stać. Po-po-powiedz mojemu wierzchowcowi, że dzięki tym ludziom będziemy chodzić po ziemi, po której nigdy nie moglibyśmy chodzić.

Asystent przez chwilę zaprzątał naszą uwagę, polecił nam, abyśmy zapisali jego imię, bo wówczas będziemy mogli skontaktować się z nim za pośrednictwem ogłoszenia w ogólnokrajowym radiu. Mistrz skierował ku asystentowi nieprzesłonięte oko, upewnił się, że odpowiednie informacje zostały zanotowane, i zniknął, pozostawił tylko zwiotczałe ciało, które zaraz ponownie obudziło się do życia i znów stało się Andrésem Celestinem.

Andrés był wycieńczony, potrzebował ładnych kilku minut i paru łyków rumu, żeby wziąć się w garść. Na zewnątrz bębny wybijały teraz inny rytm, pusty dźwięk konchy oznaczał początek ceremonii.

– A więc – powiedział w końcu – możemy się brać do pracy. Czy Hector Victor zachowywał się grzecznie? Tak? To dobrze, czasami bywa strasznie nieokrzesany. Masz zapałki? Wstańcie oboje. – Andrés zdmuchnął świecę, czubek knota żarzył się przez moment w ciemności niczym klejnot, aż w końcu zgasł. – Oto chwila, która dopiero ma nadejść. Trudny czas, kiedy się porządnie ubrudzicie. Nim stąd wyjdziecie, wasze ubrania zmienią się w zupełne szmaty. To srogie, może zbyt srogie. – Zamilkł, słyszałem jego oddech, gdy oddalał się od ołtarza. – Zapalić świecę! – Zajaśniała zapałka.

– Świece to gwiazdy. Wszystko zostaje wprawione w ruch, dzień staje się nocą, koniec staje się początkiem. Oto nowe życie. Oddalcie się od światła.

Rachel i ja wycofaliśmy się ostrożnie w cień za zasłoną. Andrés przyjął nas jedno po drugim, najpierw Rachel, potem mnie, nauczył nas uścisku dłoni, nauczył, jak pozdrawiać członków Bizango. Później wyprowadził nas z bagi i powiódł do *tonnelle*. Brama gospodarstwa była teraz zamknięta i pilnowali jej strażnicy, Shanpwel zmienili skóry, rozstawili się w rzędzie pod ogrodzeniem. Andrés polecił im, by go słuchali, i zaczął przemawiać. Niemal każde jego zdanie obecni natychmiast kwitowali burzliwym aplauzem. A on wyjaśnił, że spotkał nas na święcie ku czci cesarzowej Adèle i rozwścieczyło go, że zostaliśmy tak źle potraktowani. Skąd tylu głupców, pytał, którzy nie wiedzą, że biali bywają ważni, że mogą pomóc w odpowiedniej chwili.

– Biali potrzebują nas, my potrzebujemy ich. – Wypowiedziawszy te słowa, polecił Rachel i mnie, abyśmy przywitali się uściskiem dłoni ze wszystkimi członkami stowarzyszenia po kolei. Pomału, posłuszni temu

rozkazowi, zaczęliśmy kroczyć wzdłuż rzędu ludzi stojących pod ogrodzeniem. Witaliśmy się z każdym tak, jak nas nauczono. Niektórzy uśmiechali się, inni chichotali, jeszcze inni mieli kamienne twarze.

Zabrzmiały i ucichły bębny, jedna z królowych pawim głosem zaintonowała płaczliwą *adoration*. Kobiety otwarły drzwi prowadzące do niewielkiej ziemianki i wyciągnęły stamtąd świętą trumnę, *madoulè*, matkę stowarzyszenia. Uformowała się procesja. Andrés polecił, abyśmy się do niej przyłączyli, i razem z innymi członkami Shanpwel zaczęliśmy kroczyć w coraz bardziej zacieśniającym się kręgu tak wolno, że rozbolały mnie kostki. Wreszcie trumnę położono na ziemi, wszyscy przystawali przed nią, składali ofiary, oddawali jej cześć. Potem zaczęły się pokłony. Kiedy trumnę zaniesiono z powrotem do ziemianki, Andrés znów zaprowadził nas do bagi.

– To dopiero początek – rzekł. – Cień wiedzy, która jest do zdobycia. – Oznajmił, że musimy wrócić, aby wydać ucztę oraz odkryć inne tajemnice. Potem naszym obowiązkiem będzie udział w każdym *séance*. Co do mnie, nawet gdybym znalazł się za wielką wodą, będę musiał przysyłać tu swojego ducha i oczywiście pieniądze dla osób w potrzebie. Na koniec Andrés nachylił się ku nam i wyszeptał dwa hasła, które musieliśmy poznać. Sięgnął po cztery szklanki.

– Pijcie – rozkazał, podawszy nam po jednej szklance.

Od zielonego płynu zapiekło mnie w gardle.

– Teraz to. – Druga dawka była lepka, syropowata. – Teraz znacie już porządek rzeczy – wyjaśnił Andrés. – Pierwsza szklanka była gorzka. A druga?

– Słodka – odpowiedziałem.

– Tak. Oto właśnie Shanpwel. Z jednej strony gorzkie, z drugiej strony słodkie. Gdy znajdziecie się po gorzkiej stronie, nie poznacie własnych matek.

Widzieliśmy tylko sylwetkę Andrésa stojącego za zasłoną. Wytrząsnął resztę zawartości szklanek na ziemię, krople zbiegły się niczym rtęć i wsiąkły w piasek.

Potem Rachel i ja wkroczyliśmy w długi, cichy korytarz i przez następny miesiąc byliśmy słońcu obcymi.

Epilog

– Czyli to jest twój wybór? – spytał Herard.

Spotkaliśmy się na drodze w palącym słońcu. Byłem chory, słaby, gardło miałem tak wysuszone, że ledwie mogłem mówić, gorączka kazała mi się skryć w cieniu krzaków. Herard poszedł za mną.

– Nie słuchałeś mnie – stwierdził. – Takich rzeczy nie można robić ot tak sobie. Wszystko ma swoją cenę. Jest wiedza, którą warto posiąść, i wiedza, której lepiej unikać.

– Zostaliśmy dobrze przyjęci – odparłem.

– Dziecięce zabawy! Co ty tam wiesz.

– Wiem, że odpowiedzi, których szukam, znajdę wśród Bizango.

– Bzdura, nic nie rozumiesz. – Odwrócił wzrok. – Kiedy upadniesz, czy stowarzyszenie tego człowieka będzie dostatecznie silne, by cię podnieść?

Zaskoczyły mnie te słowa. Dokładnie to samo mówił Leophin. Ostrzegał, że człowiek może wstąpić tylko do jednego stowarzyszenia Bizango, musi zatem wybrać takie, które zdoła pomóc w potrzebie.

– Na razie miałeś szczęście – ciągnął Herard. – Nie czekaj, aż przyjdzie czas, kiedy ujrzysz rzeczy, których nie powinieneś oglądać.

– Czy masz na myśli składanie ofiar?

– Tak, właśnie ten czas. Z końcem każdego roku muszą zgromadzić swe moce.

Odwrócił się i pomału ruszył w stronę drogi. Kiedy dotarł do jeepa, zawołał do mnie:

– Możesz wstąpić do Bizango lub pójść ze mną i służyć *loa*. Ale musisz podjąć decyzję: jedno albo drugie!

*

Tak naprawdę, zamiast dokonać wyboru, uznałem, że moje badania na Haiti muszą zostać na razie przerwane. Herard stanowczo potępiał Bizango, w jego słowach kryła się przestroga. Przypominał mi, że moje uczynki mają określone konsekwencje. Jeśli przejdę inicjację i wstąpię do stowarzyszenia

Andrésa Celestina, nie będzie odwrotu. Przestanę być człowiekiem z zewnątrz, który może swobodnie nawiązywać najrozmaitsze relacje z najrozmaitszymi ludźmi. Stanę się częścią sieci, zwiążę się przysięgą z innymi członkami, będę miał wobec nich zobowiązania.

Przyjechałem na Haiti, żeby badać zombie. Udało mi się pozyskać i zidentyfikować truciznę, której właściwości chemiczne pozwalały na przeprowadzenie zombifikacji. Zarazem, jako zachodni naukowiec, napotkałem złożony światopogląd, zupełnie odmienny od mojego. Sprawiło to, że ostatecznie odkryłem nie tyle chemiczne podstawy wierzeń rozpowszechnionych na Haiti, ile psychologiczne i kulturowe podwaliny chemicznej reakcji organizmu na toksynę. Co bodaj ważniejsze, badania wykazały, że zombifikacja ma funkcję społeczną, wynikającą z haitańskiej tradycji.

Owszem, nie udało mi się na żywo zaobserwować procesu zombifikacji ani zobaczyć żywego ciała wyjmowanego z grobu, ale przestałem do tego dążyć. W ciągu ostatnich kilku tygodni trafiły mi się dwie całkiem obiecujące okazje, oczywiście pod warunkiem zapłacenia bokorowi odpowiedniej sumy w gotówce. Nawiązałem nawet wstępne kontakty, szybko jednak pojąłem, że charakter moich badań zupełnie się zmienił. Rok czy dwa lata wcześniej na pewno doprowadziłbym sprawę do końca, ośmielony sceptycyzmem, który towarzyszył mi wówczas na Haiti. Teraz jednak zupełnie wyzbyłem się wątpliwości i właśnie dlatego musiałem zrezygnować z uczestniczenia w ceremonii, choć w ten sposób mógłbym zdobyć dowody zdolne przekonać innych niedowiarków. Zażądano ode mnie niemałych pieniędzy – gdyby wszystko okazało się oszustwem, zmarnowałbym sporą kwotę. A gdyby naprawdę dokonano zombifikacji, nie mógłbym mieć pewności, czy nie zrobiono tego z mojego powodu. Dotarłem do Rubikonu, którego nie zamierzałem przekraczać.

Pozostały jeszcze tajne stowarzyszenia, ale badanie ich wymagałoby innego podejścia. Nie wystarczało spisanie oficjalnych zasad, o których opowiadali mi przywódcy Bizango. Musiałbym też prowadzić obserwacje, aby się dowiedzieć, w jaki sposób zasady naprawdę są stosowane na co dzień. Niezbędne byłoby długotrwałe uczestniczenie w życiu wspólnoty, oznaczające wielomiesięczną pracę terenową. Poza tym musiałbym przejść pełną inicjację i zostać członkiem stowarzyszenia Bizango – byłoby to nie celem, ale środkiem do celu. Podobnych przedsięwzięć nie należy się podejmować ot tak. Z żalem postanowiłem przerwać rozmowy z Andrésem.

Zresztą przyszła pora na zmiany. Rachel musiała przygotować raporty

przed powrotem na uniwersytet, co wymagało od niej spędzania czasu w stolicy. Ja miałem książkę do napisania. Ponieważ znowu nadeszło lato, pora pielgrzymek, przed wylotem do Stanów pojechałem na północ, żeby wziąć udział w święcie w Plaine du Nord, podczas którego słudzy *loa* oddają cześć Ogounowi, bogu ognia i wojny.

*

Święte drzewa *mapou* wyznaczają miejsce, w którym raz do roku opodal centrum wsi sucha droga zamienia się w błotnisty staw. Błoto, podobnie jak wody w Saut d'Eau, ma ponoć właściwości lecznicze, więc co roku zjawiają się tu tysiące pielgrzymów. Jedni chcą napełnić butelki, drudzy obmywają swoje dzieci, jeszcze inni po prostu zażywają kąpieli. Ponieważ cały teren otaczają domy, potężna energia pielgrzymów może skupić się wyłącznie na niewielkiej przestrzeni i w konsekwencji nawet powietrze wydaje się tam naelektryzowane. Zamiast poważnego Damballaha, któremu oddaje się cześć w Saut d'Eau, panuje tu istny szał charakterystyczny dla Ogouna.

Dokoła stawu pali się krąg świec, pielgrzymi w kolorowych bawełnianych szatach nachylają się ostrożnie nad błotem i zostawiają ofiary z rumu, mięsa, ryżu i wina. Grają bębny, ludzie, których dosiadł duch, wchodzą do stawu, zanurzają się i wyłaniają – kompletnie odmienieni. Widzę młodego człowieka: tylko oczy wystają mu z błota, porusza się pomału jak gad, mija nogi nagich kobiet o skórze pokrytej śliską glinką. Dzieci nurkują niczym kaczki, próbują wyławiać monety. W cieniu *mapou* Ogoun karmi byka ofiarnego liśćmi i poi go rumem, ludzie wyciągają ręce, by dotknąć zwierzęcia, potem maczeta przecina mu gardło i krew rozlewa się po błocie.

Patrzyłem na to wszystko, gdy nagle poczułem, że coś spływa mi po ramieniu – nie woda, nie pot, nie rum. Odwróciłem się i zobaczyłem człowieka przyciśniętego do mnie. W rękę miał powtykane igły i niewielkie ostrza, z blizn powstałych w poprzednich latach obficie lała się krew, kapała na liście przywiązane do jego łokcia i na moją skórę. Uśmiechał się. On też był opętany, jak młodzieńcy, którzy dosiadali umierającego byka, jak tancerze, jak kobiety nurzające się w błocie.

Słowniczek

Adoration: pieśń towarzysząca składaniu ofiar pieniężnych podczas ceremonii vodoun.

Afonia: utrata głosu wskutek zaburzenia fizjologicznego lub psychosomatycznego.

Agwé: *loa*, władca mórz.

Asson: święta grzechotka houngana lub *mambo*, tykwa wypełniona nasionami lub kręgami węża, opleciona luźnymi koralikami i kręgami węża.

Autonomiczny układ nerwowy: część układu nerwowego odpowiedzialna za reakcje niezależnie od woli, na przykład bicie serca, perystaltykę.

Ayida Wedo: *loa*, której symbolem jest tęcza. Towarzyszka Damballaha.

Ayizan: *loa*, patronka targowisk, towarzyszka Loco.

Bagi: wewnętrzne sanktuarium świątyni, pomieszczenie, w którym znajduje się ołtarz poświęcony duchom.

Baka: zły duch, posłaniec czarowników. Często przybiera postać zwierzęcia.

Baron Samedi: *loa*, pan i strażnik cmentarzy. Na każdym cmentarzu symbolem Barona Samedi jest duży krzyż umieszczony na pierwszym wykopanym tam grobie. Ważny duch Bizango.

Bête Sereine: Zwierzę Nocy, określenie, którym tytułują się członkowie stowarzyszeń Bizango. Dosłownie oznacza to „pogodne zwierzę”.

Biała ciemność: termin, którego użyła Maya Deren, by opisać własne doświadczenie bycia opętaną.

Bieluń: rodzaj roślin z rodziny psiankowatych (*Solanaceae*).

Bizango: nazwa tajnego stowarzyszenia, także rytuał praktykowany przez Shanpwel. Słowo wywodzi się prawdopodobnie od Bissagos, afrykańskiego plemienia zamieszkującego archipelag o tej samej nazwie należący obecnie do Gwinei Bissau.

Blanc: biały, konkretnie „cudzoziemiec”. Słowo to nie musi mieć

pejoratywnego wydźwięku (podobnie jak „gringo” w niektórych częściach Ameryki Łacińskiej).

Bokor: słowo wywodzące się od *bokono*, w języku fon oznaczającego kapłana. Na Haiti jednak bokor to czarownik, osoba trudniąca się czarną magią.

Bourreau: kat, stanowisko w stowarzyszeniu Bizango. Odpowiada za egzekwowanie decyzji podejmowanych przez *groupe d'état-majeur*.

Cacique: słowo nadal używane na Haiti w odniesieniu do prekolumbijskich władców kraju.

Camionnette: niewielka ciężarówka służąca jako autobus.

Canari: gliniany dzban, w którym przechowuje się *ti bon ange*, rozbijany podczas ceremonii pogrzebowej.

Cannibal: określenie tajnego stowarzyszenia.

Canzo: próba ognia przeprowadzana podczas inicjacji.

Carrefour: rozstaje, ale też *loa*, kojarzony z Bizango i z rytuałami Petro.

Cata: najmniejszy z trzech bębnów Rada.

Cesarz: założyciel nowego stowarzyszenia Bizango, również tytularny przywódca kilku różnych stowarzyszeń.

Chasseur: łowca, stanowisko w stowarzyszeniu Bizango.

Chef de section: urzędnik sprawujący nadzór nad *section rurale*.

Cheval: koń, wierzchowiec. W religii vodoun słowo to oznacza osobę, którą opętał – czyli której dosiadł – duch. Stąd oryginalny tytuł książki Mayi Deren *The Divine Horsemen*; w dosłownym przekładzie oznacza to „boscy jeźdźcy”.

Christophe Henri: były niewolnik, oficer Dessalines'a, który w latach 1807–1820 rządził północną częścią Haiti. Zginął śmiercią samobójczą.

Clairin: tani biały rum, często wykorzystywany w rytuałach vodoun.

Concombre zombi: dosłownie „ogórek zombie”, potoczna nazwa *Datura stramonium.*

Convoi: nazwa jednego z tajnych stowarzyszeń.

Corps cadavre: ludzkie ciało, osobne od poszczególnych komponentów duszy.

Coup l'aire: zaklęcie powietrzne, sposób rzucania zaklęć powodujących

nieszczęścia i choroby.

Coup n’âme: zaklęcie duszy, pozwala pochwycić *ti bon ange* konkretnego człowieka.

Coup poudre: magiczny proszek powodujący chorobę lub śmierć.

Criminel: jeden z *loa*.

Damballah Wedo: jeden z *loa*. Jego symbolem jest wąż, towarzysz Ayidy Wedo.

Dessalines, Jean-Jacques: najważniejszy oficer Toussainta L’Ouverture’a, pierwszy cesarz niepodległego Haiti w latach 1804–1806. Zginął w zamachu stanu w 1806 roku.

Dessounin: rytualne rozdzielenie *ti bon ange* i ducha martwej osoby od jej ciała.

Djab: diabeł, baka, zła moc.

Dokte feuilles: zielarz, uzdrowiciel używający roślin w swoich praktykach.

Dysfagia: zaburzenia połykania.

Ekpe: tajne stowarzyszenie Efików z Kalabaru. Inaczej Stowarzyszenie Lamparta.

Erzulie: *loa*, duch miłości.

Esprit: duch lub dusza zmarłego.

Fugu: zwyczajowa nazwa *Takifugu*, rodzaju ryb (głównie morskich) z rodziny rozdymkowatych. Mianem tym określa się też ryby zawierające tetrodotoksynę, serwowane w japońskich restauracjach.

Fwet kash: bicz z sizalu.

Gad: amulet w postaci tatuażu wykonywanego na skórze nowicjusza vodoun, zapewniający ochronę przed złymi siłami.

Gourde: haitańska waluta.

Govi: gliniany dzban, w którym przechowywane są duchy zmarłych lub *loa*.

Grans Bwa: *loa*, duch lasu.

Gros bon ange: „duży dobry anioł”. Komponent duszy wspólny wszystkim świadomym istotom, pierwiastek kosmicznej energii, który odnajdujemy u każdego człowieka.

Groupe d’état-majeur: grupa osób kierujących stowarzyszeniem Bizango.

Guede: *loa*, duch zmarłych.

Gwinea: Afryka, mityczna ojczyzna, kraina *loa*.

Hoodoo: odpowiednik słowa voodoo, spotykany powszechnie na południu Stanów Zjednoczonych.

Hounfour: świątynia vodoun obejmująca nie tylko budynek, lecz także kapłanów i inne osoby pomagające w odprawianiu rytuałów. Czasem słowem tym opisuje się tylko sanktuarium i ołtarz, ale już nie *peristyle*.

Houngan: kapłan vodoun.

Hounsi: członkowie *société*, czyli *hounfour*, nowicjusze na różnych etapach inicjacji. Z języka fon („hu” oznacza bóstwo, „si” to małżonek).

Invisibles, les: wszystkie niewidzialne duchy, w tym *loa*.

Język kreolski haitański: język tradycyjnego społeczeństwa vodoun.

Lambi: koncha używana jako surma.

Langage: święty język używany wyłącznie podczas ceremonii pochodzenia afrykańskiego.

Legba: *loa*, duch rozstajów, umożliwia komunikację między bogami a ludźmi.

Loa: bóstwa vodoun.

Loco: *loa*, duch roślin.

Loup garou: wilkołaczyca. Mówi się, że latająca królowa (*reine voltige*) Bizango również jest wilkołaczycą.

Macandal, François: niewolnik z ludu Mandingo urodzony w Afryce, stracony – jak się uważa – w 1758 roku za udział w spisku trucicieli. Od jego nazwiska pochodzi nazwa jednego z istniejących współcześnie haitańskich tajnych stowarzyszeń.

Macoute: pleciony worek używany przez haitańskich chłopów.

Madoulè: święta trumna, symbol stowarzyszeń Bizango.

Malfacteur: złoczyńca, zwłaszcza osoba, która specjalizuje się w przygotowywaniu proszków.

Maman: „matka”, największy z trzech bębnów Rada.

Mambo: kapłanka vodoun.

Mangé moun: „jeść ludzi”, eufemistyczna nazwa morderstwa.

Mapou: puchowiec pięciopręcikowy, zwany też drzewem kapokowym, *Ceiba pentandra* z rodziny ślazowatych, święte drzewo vodoun.

Marron: zbiegły niewolnik. Słowo wywodzące się z hiszpańskiego „cimarrón”, oznaczającego „dziki, krnąbrny”.

Mort bon Dieu: wezwanie od Boga, naturalna śmierć.

Mystères: *loa*.

Nam: słowo pochodzące od francuskiego „âme”, czyli dusza. Odnosi się do całości duszy w religii vodoun, czyli gros bon ange, ti bon ange i innych komponentów.

N’âme: duch wewnątrz ciała, siła, dzięki której każda komórka może funkcjonować.

Nèg Guinée: człowiek z Afryki, z mitycznej ojczyzny. Również osoba afrykańskiego pochodzenia.

Obrzęk płuc: gromadzenie się płynu w pęcherzykach płucnych.

Ogoun: *loa*, duch ognia, wojny i metali, bóg kowal.

Paquets Congo: niewielkie święte zawiniątka z magicznymi preparatami, które chronią przed chorobą lub złem. Najbliższy istniejący w rzeczywistości odpowiednik niesławnych, często błędnie przedstawianych „laleczek voodoo”.

Parestezja: przykre wrażenie, na przykład mrowienie lub drętwienie skóry.

Peristyle: zadaszona, zazwyczaj pozbawiona ścian przestrzeń, w której odbywa się większość ceremonii vodoun.

Petro: grupa *loa*, które zapewne wywodzą się z rytuałów odprawianych w Kongo.

Pierre tonnerre: kamień piorunowy stworzony przez ducha, a zatem mający mistyczne moce uzdrawiające.

Poro: tajne stowarzyszenie ludu Mende z Sierra Leone.

Poteau mitan: słup pośrodku *peristyle*. *Loa* wspinają się po nim, gdy przybywają na ceremonię.

Poudre (poud): magiczny proszek.

Przewodniczący: druga po cesarzu osoba w stowarzyszeniu Bizango, członek *groupe d'état-majeur*.

Psychoaktywna substancja: związek chemiczny mający wpływ na funkcjonowanie mózgu.

Psychofarmakologia: nauka badająca, w jaki sposób związki chemiczne oddziałują na mózg.

Pwin: magiczna siła lub moc, wzywana, by wypełnić wolę czarownika bądź stowarzyszenia Bizango. Może być wykorzystywana w dobrych lub złych celach.

Rada: grupa rytuałów *loa*, pieśni i tańców wywodzących się z Dahomeju. Nazwa pochodzi od Ardry w Dahomeju, obecnym Beninie.

Rara: wiosenne święto, podczas którego odbywają się procesje organizowane przez poszczególne *hounfours* stowarzyszeń Bizango.

Reine: królowa, najważniejsze kobiece stanowisko w stowarzyszeniu Bizango. *Première reine* – pierwsza królowa – należy do *groupe d'état-majeur*. Niżej w hierarchii stoją: *deuxième reine* (druga królowa), *troisième reine* (trzecia królowa) i *reine drapeau* (królowa flagi).

Reine voltige: latająca królowa, utożsamiana też z *loup garou*, czyli wilkołaczycą. Cztery *reines voltiges* niosą świętą trumnę podczas procesji Bizango.

Saint-Domingue: kolonia francuska, która później przeistoczyła się w Haiti.

Séance: nocne spotkanie członków Bizango.

Seconde: „drugi", środkowy bęben Rada.

Secrétaire: sekretarz, stanowisko w stowarzyszeniu Bizango.

Section rurale: podstawowa jednostka administracyjna na haitańskiej prowincji.

Sentinelle: strażnik, stanowisko w stowarzyszeniu Bizango. Pełni funkcję zwiadowcy podczas procesji, pilnuje wstępu na ceremonie.

Servi loa: „służyć *loa*", termin używany przez wyznawców vodoun na określenie ich wiary.

Shango: *loa*, duch burzy.

Shanpwel: słowo odnoszące się do tajnych stowarzyszeń, niekiedy używane wymiennie z Bizango. Zasadniczo jednak Shanpwel to raczej członkowie

Bizango, a nie ich praktyki czy rytuały.

Sinica: niebieskawe zabarwienie skóry spowodowane brakiem tlenu we krwi.

Sobo: *loa*, duch pioruna.

Société: *hounfour* i jego członkowie.

Soldat: najniższe stanowisko w stowarzyszeniu Bizango.

Superviseur: stanowisko w stowarzyszeniu Bizango. Odpowiada za przekazywanie wiadomości między przewodniczącymi różnych stowarzyszeń.

Tap tap: popularna kreolska nazwa kolorowych autobusów.

Tetrodotoksyna: silna neurotoksyna występująca u rozdymek i innych zwierząt. Hamuje przedostawanie się jonów sodu do komórek i w ten sposób blokuje przekazywanie sygnałów między neuronami.

Ti bon ange: część duszy, która kształtuje charakter, siłę woli, całą osobowość jednostki.

Tonnelle: strzecha lub dach z blachy falistej, prowizoryczny zamiennik *peristyle*, zadaszenie, pod którym odbywają się ceremonie i tańce.

Tonton Macoute: od „ton ton”, czyli wujek, i „macoute”, pleciony worek. Nazwa służby bezpieczeństwa utworzonej przez François Duvaliera.

Toussaint L’Ouverture: były niewolnik, przywódca rewolucji, generał, wyzwoliciel, uważany za haitańskiego Simona Bolívara. Zdradzony przez Napoleona i deportowany do Francji, gdzie umarł w 1803 roku.

Tykwa: inaczej kalabasa, zdrewniała część owocu tykwy używana jako naczynie na wodę lub rytualne.

Uremia: inaczej mocznica, stan, w którym toksyny, usuwane zazwyczaj z moczem, przedostają się do krwi.

Vévé: symbol kreślony na ziemi mąką lub prochami, służy do przywoływania *loa*. Każdy duch ma swoje własne vévé.

Vlinblindingue: nazwa tajnego stowarzyszenia (występuje również wariant Vinbrindingue).

Vodoun: religia tradycyjnego społeczeństwa Haiti.

VSN: Volontaires de la Sécurité Nationale, czyli Ochotnicza Milicja Bezpieczeństwa Narodowego, oficjalna nazwa Tonton Macoute.

Wété Mo Nan Dlo: „Odzyskać martwego z wody”. Rytuał, w którym *ti bon ange* zmarłej osoby zostaje odzyskane przez żyjących i otrzymuje nową formę.

Zombi astral: zombie duchowe, czyli zombie *ti bon ange*. Element duszy, który może być dowolnie kontrolowany przez tego, kto wejdzie w jego posiadanie.

Zombi cadavre: *corps cadavre*, *gros bon ange* i inne komponenty duchowe. Zombie cielesne, które można wykorzystać do niewolniczej pracy.

Zombi savane: były zombie, człowiek poddany zombifikacji, który następnie zdołał wrócić do świata żywych.

Literatura

1 Jaguar

Relację na temat wyprawy przez Darién można znaleźć w książce Sebastiana Snowa *The Ruck-Sack Man*, Hodder and Stoughton, London 1976. Biografia profesora Schultesa – zob. M. B. Krieg, *Green Medicine*, Bantham Books, New York 1964. Najważniejsza praca Schultesa to napisana razem z Albertem Hofmannem *The Botany and Chemistry of Hallucinogens*, Charles C. Thomas, Springfield 1980. Wspólnie napisali też na ten temat popularnonaukową książkę *Plants of the Gods*, McGraw-Hill, New York 1979.

2 „Pogranicze śmierci”

Trudności towarzyszące stwierdzeniu zgonu omawiają: R. Kastenbaum i R. Aisenberg, *The Psychology of Death*, Springer Publishing, New York 1972; A. K. Mant, *The Medical Definition of Death*, w: A. Toynbee (ed.), *Man's Concern with Death*, Hodder and Stoughton, London 1968; L. Watson, *The Romeo Error*, Hodder and Stoughton, London 1974. Przypadek młodej kobiety z kostnicy w Sheffield opisał londyński „Times”, 28 lutego 1970. Przypadek nowojorski został przytoczony w książce Watsona na s. 15. Badania medyczne poświęcone zdolnościom indyjskich fakirów omówiono m.in. w: B. K. Anand, G. S. Chhina, B. Singh, *Studies on Shri Ramanand Yogi During his Stay in an Air-Tight Box*, „The Indian Journal of Medical Research” 1961, t. 49, nr 1, s. 82–89; B. K. Anand, G. S. Chhina, *Investigations on Yogis Claiming to Stop their Heard Beats*, „The Indian Journal of Medical Research” 1961, t. 49, nr 1, s. 90–94. Przypadek Clairviusa Narcisse'a został po raz pierwszy przedstawiony w: L. Douyon, *Les zombis dans le contexte vodou et Haitien*, „Haiti Santé” 1980, nr 1, s. 19–23. Rozmaite zagadnienia związane z anestezjologią – zob. F. K. Orkin, L. H. Cooperman (ed.), *Complication in Anesthesiology*, J. B. Lippincott Co., Philadelphia 1982.

3 Hipoteza kalabarska

Ceremonia z użyciem achumy została opisana w: D. Sharon, *The San Pedro Cactus in Peruvian Folk Healing*, w: P. T. Furst (ed.), *Flesh of the Gods: The Ritual Use of Hallucinogens*, Praeger, New York 1972, s. 114–135; D. Sharon, *Wizard of the Four Winds*, The Free Press, New York 1978. Wnioski z moich własnych obserwacji przedstawiłem w: E. W. Davis, *Sacred Plants of the San Pedro Cult*, „Botanical Museum Leaflets – Harvard University" 1983, t. 29, nr 4, s. 367–386.

„Stary, pożółkły katalog", o którym wspominam, to R. M. Moscoso, *Catalogus Florae Domingensis*, cz. 1, L&S Printing Inc., New York 1943. Inne informacje na temat *concombre zombi* – zob. T. C. Brutus, A. V. Pierre-Noel, *Les plantes et les légumes d'Haiti qui guérissent*, Imprimerie de l'Etat, Port-au-Prince 1960.

Inne informacje na temat bielunia – zob. H. Schleiffer, *Sacred Narcotics of the New World Indians*, Hafner Press, New York 1973; H. Schleiffer, *Narcotic Plants of the Old World*, Lubrecht & Cramer, Monticello 1979; H. A. Hansen, *The Witch's Garden*, Unity Press, Santa Cruz 1978; A. T. Weil, *The Marriage of the Sun and the Moon*, Houghton Mifflin Co., Boston 1980; W. Emboden, *Narcotic Plants*, Macmillan Publishing Co., New York 1979; T. E. Lockwood, *The Ethnobotany of* Brugmansia, „Journal of Ethnopharmacology" 1979, t. 1, s. 147–164.

O bobotrutce kalabarskiej opowiada znakomity artykuł B. Holmstedta, *The Ordeal Bean of Old Calabar: The Pageant of* Psysostigma venosum *in Medicine*, w: T. Swain (ed.), *Plants in the Development of Modern Medicine*, Harvard University Press, Cambridge 1972. Tajne stowarzyszenia Efików – zob. D. Forde, *The Efik Traders of Old Calabar*, Oxford University Press, London 1956.

4 Biała ciemność i żywe trupy

Podstawowe książki na temat religii vodoun to m.in.: A. Métraux, *Voodoo in Haiti*, Schocken Books, New York 1972; M. Deren, *Taniec nieba i ziemi. Bogowie haitańskiego wudu*, przeł. M. Wiśniewska, Z. Zagajewski, Wydawnictwo A, Kraków 2000; M. J. Herskovits, *Life in a Haitian Valley*, Alfred A. Knopf, New York 1937. Warto sięgnąć do artykułów naukowych George'a Simpsona, zwłaszcza: G. E. Simpson, *Religious Cults of the Caribbean: Trinidad, Jamaica and Haiti*, „Caribbean Monograph Series" 1980, t. 15. Zob.

także: M. Marcelin, *Mythologie Vodou*, Les Editions Haïtiennes, Port-au-Prince 1949; L. Maximilien, *Le Vodou Haitien*, Imprimerie de l'Etat, Port-au-Prince 1945; O. M. Rigaud, *The Feasting of the Gods in Haitian Vodu*, „Primitive Man" 1946, t. 19, nr 1–2, s. 1–58. Inne ważne źródła to: H. Courlander, *Haiti Singing*, Cooper Square Publishing, New York 1973; M. S. Laguerre, *Voodoo Heritage*, Sage Library of Social Research 98, Sage Publications, Beverly Hills 1980. Można przywołać też dwie przyjemne w lekturze i pełne wartościowych informacji książki, oparte na osobistych doświadczeniach autorów: K. Dunham, *Island Possessed*, Doubleday & Co., Garden City 1969; F. Huxley, *The Invisibles – Voodoo Gods in Haiti*, McGraw-Hill, New York 1966.
Z historycznego punktu widzenia interesująca jest praca J. Price-Marsa, *Thus Spoke the Uncle*, Three Continents Press, Washington 1983.

Przypadek innego zombie z Ennery, wioski, w której znaleziono Ti Femme – zob. G. E. Simpson, *Magical Practices in Northern Haiti*, „Journal of American Folklore" 1954, t. 67, nr 266. Métraux (1972) omawia też relacje W. B. Seabrooka, *The Magic Island*, George G. Harrap & Co., London 1929 i Z. Hurston, *Tell My Horse*, Turtle Island, Berkeley 1981. Przypadki Ti Femme i Narcisse'a przedstawia: B. Diederich, *On the Nature of Zombi Existence*, „Caribbean Review" 1983, t. 12, nr 3, s. 14–17, 43–46. Inne omówienie przypadku Narcisse'a, niestety nazbyt sensacyjne – zob. J. Pradel, J. Casgha, *Haiti: La République des morts vivants*, Editions du Rochel, Paris 1983.

Chodzenie w ogniu i po rozżarzonych węglach – zob. A. T. Weil, *Health and Healing – Understanding Conventional and Alternative Medicine*, Houghton Mifflin Co., Boston 1983.

5 Lekcja historii

Podstawowe źródła historyczne to m.in.: J. G. Leyburn, *The Haitian People*, Yale University Press, New Haven 1941; C.L.R. James, *The Black Jacobins*, Random House, New York 1963; Moreau de Saint-Méry, *Description topographique, physique, civile, politique, et historique de la partie française de l'Isle de Saint Domingue*, Libraire Larose, Paris 1958. Inne wczesne źródła: J. Baskett, *History of the Island of St. Domingo from Its First Discovery by Columbus to the Present Period*, Negro Universities Press, Westport 1971 [1818]; J. Brown, *The History and Present Condition of St. Domingo*, Frank Cass, London 1971 [1837]; J. Franklin, *The Present State of Hayti*, Negro

Universities Press, Westport 1970 [1828]; C. MacKenzie, *Notes on Haiti*, Frank Cass, London 1971 [1830]; F. Wimpffen, *A Voyage to Saint Domingo*, London 1817.

Strukturę współczesnego haitańskiego społeczeństwa badali: M. M. Horowitz, *Peoples and Cultures of the Caribbean*, The Natural History Press 1971; S. Mitz (ed.), *Working Papers in Haitian Society and Culture*, Antilles Research Program, Yale University, New Haven 1975; P. Moral, *Le Paysan Haitien*, G. P. Maisonneuve et Larose, Paris 1961; G. E. Simpson, *Haiti's Social Structure*, „American Sociological Review" 1941, t. 6, nr 5, s. 640–649; M. Laguerre, *The Place of Voodoo in the Social Structure of Haiti*, „Caribbean Quarterly" 1973, t. 19, nr 3, s. 36–50.

Najbardziej bodaj pouczającą analizę ewolucji współczesnej społeczności wiejskiej znaleźć można w: G. F. Murray, *The Evolution of Haitian Peasant Land Tenure: A Case Study in Agrarian Adaptation to Population Growth*, praca doktorska, Columbia University 1977. Szczególnie ważna była dla mnie również praca J. Foucharda, *The Haitian Maroons – Liberty or Death*, Edward W. Blyden Press, New York 1981.

6 Wszystko jest trucizną, nic nie jest trucizną

Dobrym wprowadzeniem do zagadnień afrykańskich religii jest książka Johna Mbiti, *Afrykańskie religie i filozofia*, przeł. K. Wiercińska, PAX, Warszawa 1980. Zob. także: G. Parrinder, *West African Religion*, The Epworth Press, London 1961. Wspaniałą książką popularnonaukową jest praca L. Watsona, *Lightning Bird. The Story of One Man's Journey into Africa's Past*, Simon and Schuster, New York 1982.

7 Dwie kolumny notatek na tablicy

Informacje na temat składników roślinnych pochodzą z rozmaitych źródeł, m.in.: J. M. Dalziel, *Useful Plants of West Africa*, London 1937; T. S. Hithens, *Drug Plants of Africa*, African Handbook 8, University of Pennsylvania Press, Philadelphia 1948; A. Sofowora, *Medicinal Plants and Traditional Medicine in Africa*, John Wiley & Sons, Chichester 1982; J. M. Watt, M. G. Breyer-Bandijk, *Medicinal and Poisonous Plants of Southern and Eastern Africa*, E.&S. Livingston, Ltd., Edinburgh 1962.

Informacje na temat *Bufo marinus* pochodzą z: J. J. Abel, D. I. Macht,

The Poisons of the Tropical Toad Bufo aqua, „Journal of the American Medical Association" 1911, t. 56, s. 1531–1536; K. K. Chen, H. Jensen, *A Pharmocognostic Study of Ch'an Su, the Dried Venom of the Chinese Toad*, „Journal of the American Pharmaceutical Association" 1929, t. 23, s. 244–251; H. S. Fabing, *Intravenous Butofenine Injection in the Human Being*, „Science" 1956, t. 123, s. 886–887; J. Flier [et al.], *Widespread Occurence in Frogs and Toads of Skin Compounds Interacting with the Ouabain Site of Na+, K+, ATPase*, „Science" 1980, t. 208, s. 503–505; A. B. Kennedy, *Ecce Bufo: The Toad in Nature and Olmec Iconography*, „Current Anthropology" 1982, t. 23, nr 3, s. 273–290.

Informacje na temat potencjalnie halucynogennych właściwości *Bufo marinus* – zob. M. Dobkin de Rios, *The Influence of Psychotropic Flora and Fauna on the Maya Religion*, „Current Anthropology" 1974, t. 15, s. 147–152; P. Furst, *Symbolism and Psychopharmacology: The Toad as Earth Mother in Indian America*, XII Mesa Redonda – Religión en Mesoamérica, Sociedad Méxicana de Antropología, Mexico 1972; N. Hamblin, *The Magic Toads of Coxzumel*, 44th Annual Meeting of the Society for American Archaeology, Vancouver 1970. Zob. także Kennedy (1982). Tim Knab opisał swoje doświadczenia w niepublikowanym tekście *Narcotic Use of Toad Toxins in Southern Veracruz.*

Cytat z Iana Fleminga: *Pozdrowienia z Rosji*, przeł. Ziemowit Andrzejewski, Alfa, Warszawa 1990, s. 214–215.

Istnieje ogromna literatura na temat rozdymek. Bodaj najlepszy przegląd informacji dotyczących tych ryb znaleźć można w artykule C. Y. Kao, *Tetrodotoxin, Saxitoxin and their Significance in the Study of Excitation Phenomenon*, „Pharmacological Reviews" 1966, t. 18, nr 2, s. 997–1049. Znakomite omówienie i przegląd objawów towarzyszących zatruciu tetrodotoksyną – zob. B. W. Halstead, *Poisonous and Venomous Marine Animals of the World*, Darwin Press, Princeton 1978. Wyniki moich badań zaprezentowałem w: E. W. Davis, *The Ethnobiology of the Haitan Zombi*, „Journal of Ethnopharmacology" 1983, t. 9, nr 2, s. 85–104; E. W. Davis, *Preparation of the Haitian Zombi Poison*, „Botanical Museum Leaflets – Harvard University" 1983, t. 29, nr 2, s. 139–149. Pełna bibliografia – zob. Kao (1966) i Halstead (1978). Najważniejsze prace, które przywoływałem w moich artykułach z 1983 roku, to:

Akashi T., *Experiences with Fugu Poisoning*, „Iji Shimbum" 1880, t. 27,

s. 19–23.

Clavigero F. J., *The History of (Lower) California*, Stanford University Press, Stanford 1937.

Fukada T., *Puffer Fish Poison and the Method of Prevention*, „Nippon Iji Shimpo" 1937, t. 762, s. 1417–1421.

–, *Violent Increase of Cases of Puffer Poisoning*, „Clinic and Studies" 1951, t. 29, nr 2, s. 1762.

Fukada T., Tani I., *Records of Puffer Poisonings. Report 1*. „Kyusha University Medical News" 1937, t. 11, nr 10, s. 7–13.

–, *Records of Puffer Poisonings. Report 2*. „Iji Esei" 1937, t. 7, nr 26, s. 905–907.

–, *Records of Puffer Poisonings. Report 3*. „Nippon Igaku Oyobi Kenko Hoken" 1941, t. 3258, s. 7–13.

Halstead B. W., Bunker, N. C. *The Effects of Commercial Canning Process upon Puffer Poisoning*, „California Fish and Game" 1953, t. 39, nr 2, s. 219–228.

Hashimoto Y., *Marine Toxins and Other Bioactive Marine Metabolities*, Japanese Scientific Societies Press, Tokyo 1979.

Kawakubo Y., Kikuchi, K. *Testing Fish Poisons on Animals and Report on a Human Case of Fish Poisoning in the South Seas*, „Kaigun Igakukai Zasshi" 1942, t. 31, nr 8, s. 30–34.

Mosher H. S. [et al.], *Tarichatoxin-Tetrodotoxin: A Potent Neurotoxin*, „Science" 1964, t. 144, s. 1100–1110.

Noniyama S., *The Pharmacological Study of Puffer Poison*, „Nippon Yakubutsugaku Zasshi" 1942, t. 35, nr 4, s. 458–496.

Tani I., *Seasonal Changes and Individual Differences of Puffer Poison*, „Nippon Yakubutsugaku Zasshi" 1940, t. 29, nr 1–2, s. 1–3.

Yano I., *The Pharmacological Study of Tetrodotoxin*, „Fukuoka Med. Coll." 1937, t. 30, nr 9, s. 1669–1704.

Wiele ciekawych informacji na temat rozdymek znaleźć można w artykule Noela Vietmeyera opublikowanym niedawno na łamach „National Geographic", sierpień 1984, t. 13, nr 2, s. 260–270.

8 Śmierć voodoo

Wiktoriańskie lęki związane z przedwczesnym pochówkiem, stosowane środki ostrożności, wspaniały opis i szkic urządzenia, które wymyślił hrabia Karnice-Karnicki, przedstawia W. R. Hadwen, *Premature Burial – And How It May*

Be Prevented, Swan Sonnenschein & Co., Ltd., London 1905. Wiele historycznych przypadków przedwczesnego pochówku omawia G. E. MacKay, *Premature Burials*, „The Popular Science Monthly" 1880, t. 16, nr 19, s. 389–397. Inne publikacje z tamtej epoki to: M. R. Fletcher, *One Thousand Buried Alive by Their Best Friends*, Boston 1890; F. Hartmann, *Buried Alive*, Boston 1895. Przypadek pułkownika Townsenda został omówiony u Kastenbauma i Aisenberga (1972), wspomina o nim też Watson (1974).

Literatura antropologiczna poświęcona śmierci voodoo obejmuje m.in. następujące pozycje:

Cannon W. B., *Voodoo Death*, „American Anthropologist" 1942, t. 44, s. 169–181.

Cawte J., *Voodoo Death and Dehydration*, „American Anthropologist" 1983, t. 83, s. 420–442.

Clune F. J., *A Comment on Voodoo Deaths*, „American Anthropologist" 1973, t. 75, s. 312.

Eastwell H. D., *Voodoo Death and the Mechanism for Dispatch of the Dying in East Arnhem, Australia*, „American Anthropologist" 1982, t. 84, s. 5–18.

Glascock A. P., *Death-Hastening Behavior: An Explanation of Eastwell's Thesis*, „American Anthropologist" 1983, t. 85, s. 417–420.

Lester D., *Voodoo Death: Some New Thoughts on an Old Phenomenon*, „American Anthropologist" 1972, t. 74, nr 3, s. 386–390.

Lex B. W., *Voodoo Death: New Thoughts on an Old Explanation*, „American Anthropologist" 1974, t. 76, nr 4, s. 818–823.

Przypadki pacjentów, którzy mają za sobą doświadczenie śmierci, pochodzą z: M. B. Sabom, *Recollections of Death – A Medical Investigation*, Simon and Schuster, New York 1982. Zob. także E. Kübler-Ross, *Rozmowy o śmierci i umieraniu*, przeł. I. Doleżal-Nowicka, Media Rodzina, Poznań 2007.

9 Każdego lata wędrują pielgrzymi

Biogenezę tetrodotoksyny omawia B. W. Halstead (1978). Przypadek wykorzystania *Duboisia myoporoides* jako antidotum na zatrucie ciguatoksyną udokumentowali E. Dufra, G. Loison, B. Holmstedt, *Duboisia myoporoides: Native Antidote against Ciguatera Poisoning*, „Toxicon" 1976, t. 14, s. 55–64.

10 Wąż i tęcza

Relację na temat objawienia maryjnego przytacza Herskovits (1937).

Etnologiczne informacje na temat opętania – zob. E. Bourguignon, *Possession*, Chandler & Sharp Publishers, Inc., San Francisco 1976; E. V. Zuesse, *Ritual Cosmos – The Sanctification of Life in African Religions*, Ohio University Press, Athens 1980. Tradycyjne badania medyczne – zob. J. C. Dorsainvil, *Vodou et névroses*, Imprimerie La Presse, Port-au-Prince 1931; L. Mars, *The Crisis of Possession in Voodoo*, Reed, Cannon & Johnson Co., Berkeley 1977; Price-Mars (1983). Opisy opętania w kontekście współcześnie odprawianych rytuałów – zob. M. Deren (2000); I. Lowenthal, *Ritual Performance and Religious Experience: A Service for the Gods in Southern Haiti*, „Journal of Anthropological Research" 1978, t. 34, nr 3, s. 392–415; M. S. Laguerre, *The Festival of Gods: Spirit Possession in Haitian Voodoo*, „Freeing the Spirit" 1977, t. 5, nr 2, s. 23–35.

Omówienie haitańskiej koncepcji duszy – zob. A. Métraux, *The Concept of Soul in Haitian Vodu*, „Southwestern Journal of Anthropology" 1946, nr 2, s. 84–98; M. Deren (2000). Moje ustalenia odbiegają nieco od tego, co można przeczytać w tych dwóch źródłach, ale tak naprawdę najbardziej liczy się różnica semantyczna. To, co nazywam *ti bon ange*, niektórzy inni badacze nazywają *gros bon ange*. Natomiast funkcja każdego z dwóch elementów duszy pozostaje taka sama. Métraux twierdził, że badania poświęcone naturze duszy w vodoun są „trudne, gdyż wśród haitańskich wyznawców spotkać można wiele różnych przekonań, koncepcji i teorii, zależnie od tego, czy mamy do czynienia z osobami mniej czy też bardziej wykształconymi, a także zależnie od tradycji religijnej, z której się wywodzą, i charakteru ich kontaktów ze światem współczesnym" (Métraux 1946, s. 84). Métraux opierał swoje interpretacje głównie na wywiadach z jednym źródłem z Biura Etnologii w Port-au-Prince. Odnotowywał też, że wielu informacjom, które tam uzyskał, zaprzeczał inny jego rozmówca, skądinąd houngan. Formułując swoje wnioski, Métraux kierował się „wrażeniem, że wypowiedzi [źródła] odzwierciedlają raczej ogólne przekonania mieszkańców haitańskiej prowincji" (Métraux 1946, s. 85). Pewnego razu w rozmowie z jednym ze swoich informatorów wspomniałem o rozmaitości interpretacji formułowanych przez antropologów. Odpowiedź zrobiła na mnie nie lada wrażenie. Według informatora antropolodzy kierują się niewypowiedzianym założeniem, że każdy houngan czy adept vodoun zna odpowiedź na każde, choćby nawet najbardziej skomplikowane pytanie z zakresu teologii. Ale przecież czy każdy francuski chłop lub prowincjonalny proboszcz potrafiłby rozstrzygnąć dowolną kwestię teologiczną z rodzaju tych, którymi zazwyczaj zajmuje się Watykan? Czy w ogóle interesowaliby się tymi zagadnieniami?

Medycyna ludowa vodoun – zob. A. Métraux, *Médecine et Vodou en Haiti*,

„Acta Tropica” 1953, t. 10, nr 1, s. 28–68; J. C. Delbeau, *La Médicine Populaire en Haiti*, rozprawa doktorska, Université de Bordeaux, Bordeaux 1969; L. Denis, *Médicine populaire*, „Bulletin du Bureau d’Ethnologie d’Haiti” 1963, t. 4, nr 29, s. 37–39.

Informacje na temat haitańskiej etnobotaniki – zob. Brutus i in. (1960); R. Leon, *Phytothérapie Haïtienne, nos simples*, Imprimerie de l’Etat, Port-au-Prince 1959; Les P. Missionnaires du T. S. Rédempteur, *Haiti flore Médicinale*, Monastère Saint Gerard, Port-au-Prince 1943.

Porównanie zachodniego myślenia naukowego i tradycyjnych sposobów myślenia spotykanych w Afryce – zob. R. Horton, *African Traditional Thought and Western Science*, „Africa” 1967, t. 37, nr 1, s. 50–71, 155–187. Koncepcję równowagi jako niezbędnego warunku zdrowia znakomicie omawia Weil (1983).

11 Powiedz mojemu wierzchowcowi

Oprócz przywołanych już źródeł historycznych, *marronnage* omawiany jest w: Y. Debbash, *Le Marronnage: Essai sur la désertion de l’esclave Antillais*, „L’Année Sociologique” 1961, t. 3, s. 1–112, 117–195; G. Débien, *Le Marronnage aux Antilles Françaises au XVIIIE siècle*, „Caribbean Studies” 1966, t. 6, nr 3, s. 3–44; L. F. Manigat, *The Relationship between Marronnage and Slave Revolts and Revolution in St. Domingue-Haiti*, w: V. Rubin, A. Tuden (ed.), *Comparative Perspectives on Slavery in New World Plantation Societies*, The New York Academy Of Sciences, New York 1977; R. Price (ed.), *Maroon Societies: Rebel Slave Communities in the Americas*, The Johns Hopkins University Press, Baltimore 1979. Najważniejszym źródłem informacji była dla mnie książka Foucharda (1981).

Istnieje dużo publikacji poświęconych tajnym stowarzyszeniom. Publikacje o charakterze przeglądowym to m.in. N. MacKenzie, *Secret Societies*, Collier Books, New York 1967; L. F. Mak, *The Sociology of Secret Societies*, Oxford University Press, Kuala Lumpur 1981; H. Webster, *Primitive Secret Societies*, Octagon Books, New York 1968. Teoretyczne rozważania na temat tajnych stowarzyszeń – zob. K. Wolff (ed.), *The Sociology of Georg Simmel*, The Free Press, Glencoe 1950.

Wiele cennych informacji na temat tajnych stowarzyszeń z Afryki Zachodniej znaleźć można w następujących pracach:

Agiri B., *The Ogboni among the Oyo-Yoruba*, „Lagos Notes and Records” 1972, t. 3, nr 11, s. 50–59.

Bascom W., *Secret Societies, Religious Cult Groups and Kinship Units Among the West African Yoruba*, rozprawa doktorska, Northwestern University, Evanston 1939.

Bellman B., *Village of Curers and Assassins*, Mouton, Paris 1975.

Butt-Thompson F. W., *West African Secret Societies*, H.F.&G. Witherby, London 1929.

Harley G. W., *Notes on the Poro in Liberia*, „Peabody Museum Papers" 1944, t. 29, nr 2.

Harris W. T., Sawyer H., *The Springs of Mende Belief and Conduct*, Sierra Leone University Press, Freetown 1968.

Herskovits M. J., *Dahomey*, J. J. Augustin, New York 1938.

Jedrej M. C., *Structural Aspects of a West African Secret Society*, „Journal of Anthropological Research" 1976, t. 32, nr 3, s. 234–245.

–, *Medicine, Fetish and Secret Society in a West African Culture*, „Africa" 1976, t. 46, nr 3, s. 247–257.

Little K., *The Poro as an Arbiter of Culture*, „African Studies" 1948, t. 7, nr 1, s. 1–15.

–, *The Role of the Secret Society in Cultural Specialisation*, „American Anthropologist" 1949, t. 51, s. 199–212.

–, *The Mende of Sierra Leone*, London 1951.

–, *Political Function of the Poro, pt. 1*, „Africa" 1965, t. 35, nr 4, s. 349–365.

–, *Political Function of the Poro, pt. 2*, „Africa" 1966, t. 36, nr 1, s. 62–71.

Magid A., *Political Traditionalism in Nigeria: A Case Study of Secret Societies and Dance Groups in Local Government*, „Africa" 1972, t. 42, nr 4, s. 289–304.

Morton-Williams P., *The Yoruba Ogboni Cult in Oyo*, „Africa" 1980, t. 501, nr 4, s. 362–374.

Murphy W., *Secret Knowledge as Property and Power in Kpelle Society: Elders vs. Youth*, „Africa" 1980, t. 50, s. 193–207.

Ottenberg S., *Leadership and Authority in an African Society*, University of Washington Press, Seattle 1971.

Ottenberg S. (ed.), *African Religious Groups and Beliefs*, Archana Publications, Meerut 1982.

Weckman G., *Primitive Secret Societies as Religious Organizations*, „International Review for the History of Religions", 1970, t. 17, s. 83–94.

G. L. Robb opublikował znakomity artykuł przeglądowy na temat wykorzystania

trucizn w próbach niewinności w Afryce: *The Ordeal Poisons of Madagascar and Africa*, „Botanical Museum Leaflets – Harvard University" 1957, t. 17, nr 10. Zob. także Holmstedt (1972).

Zora Hurston opublikowała wyniki swoich badań na Haiti w 1938 roku w książce *Tell My Horse*. Kolejne wydanie ukazało się w roku 1981 nakładem wydawnictwa Turtle Island w Berkeley. Sięgnąłem też do autobiografii Z. Hurston, *Dust Tracks on the Road*, University of Illinois Press, Urbana 1984.

Typowe przykłady lekceważącego sceptycyzmu w kwestii istnienia zombie – zob. E. Bourguignon, *The Persistence of Folk Belief: Some Notes on Cannibalism and Zombies in Haiti*, „Journal of American Folklore" 1959, t. 72, nr 283, s. 36–47; M. Laroche, *The Myth of Zombi*, w: R. Smith (ed.), *Exile and Tradition*, Longman & Dalhousie University Press 1976; L. P. Mars, *The Story of Zombi in Haiti*, „Man" 1945, t. 45, nr 22, s. 38–40.

Artykuły te powstały po części w odpowiedzi na wysyp nieco sensacyjnej literatury podróżniczej, dzieł takich jak: J. H. Craige, *Cannibal Cousins*, Minton, Balch & Co., New York 1934; J. H. Craige, *Black Bagdad*, Minton, Balch & Co., New York 1933. Pierwszą tego rodzaju książkę wydał S. St. John, *Hayti: Or the Black Republic*, Frank Cass, London 1971 [1884]. Inne, o których warto wspomnieć, to: W. Seabrook (1929) oraz F. Wirkus, T. Dudley, *Le Roi blanc de la Gonave*, Payot, Paris 1932.

O haitańskich tajnych stowarzyszeniach wspominają: Métraux (1972), Courlander (1960), Herskovits (1937). Tradycyjny obraz Bizango jako czcicieli mrocznych sił przedstawia J. Kerboul, *Le Vadou: Magie ou réligion*, Editions Robert Laffont, Paris 1973. Inny punkt widzenia: L. Hurbon, *Sorcellerie et pouvoir en Haiti*, „Archives des sciences sociales des réligions" 1979, t. 48, nr 1, s. 43–52. Michel Laguerre przedstawił swoje analizy w artykule: *Bizango: A Voodoo Secret Society*, w: S. K. Tefft (ed.), *Secrecy*, Human Sciences Press, New York 1980. Omówienie nieformalnego systemu sprawiedliwości na haitańskiej prowincji – zob. J. Montalvo-Despeignes, *Le Droit Informal Haïtien*, Presses Universitaires de France, Paris 1976.

Wzmianka na temat preparatu używanego do zombifikacji pojawia się w Starym Kodeksie Karnym Haiti. Artykuł 249 brzmi:

> Za próbę morderstwa uważa się także użycie jakiejkolwiek substancji, która nie powoduje zgonu, a zamiast tego komę, krótko- lub długotrwałą. Jeśli po otrzymaniu takiej substancji ofiara została pochowana, cały akt należy traktować jak morderstwo, bez względu na ostateczny skutek. (Cyt. za: Leyburn 1941, s. 164).

12 Taniec w paszczy lwa

Kwestię tego, przed kim naprawdę odpowiada *chef de section*, omawia Murray w swojej rozprawie z 1977 roku. Inne teksty na ten temat – zob. J. Comhaire, *The Haitian „Chef de Section”*, „American Anthropologist” 1955, t. 57, s. 620–624; P. Lahav, *The Chef de Section: Structure and Functions of Haiti's Basic Administrative Institution*, w: S. Mitz (ed.), *Working Papers in Haitian Society and Culture 4*, Antilles Research Program, Yale University, New Haven 1975.

13 Słodkie jak miód, gorzkie niczym żółć

Omówienie kwestii dotyczących podziału ziemi – zob. rozprawa Murraya. Przedstawia on też swoje wnioski w: G. F. Murray, *Population Pressure, Land Tenure and Voodoo: The Economics of Haitian Peasant Ritual*, w: *Beyond the Myths of Culture: Essays in Cultural Materialism*, Academic Press, Cambridge 1980. Pewne informacje istotne z punktu widzenia przypadku Clairviusa Narcisse'a podają Comhaire (1955) oraz F. W. Underwood, *Land and Its Manipulation among the Haitian Peasantry*, w: W. Goodenough (ed.), *Explorations in Cultural Anthropology*, McGraw – Hill Book Co., New York 1964.

Wczesne poglądy François Duvaliera – zob. L. Denis, F. Duvalier, *La civilisation haïtienne: notre mentalité est-elle africaine ou gallo-latine?*, „Revue Anthropologique” 1936, nr 10–12, s. 353–373; L. Denis, F. Duvalier, *L'evolution stadiale du vodou*, „Bulletin du Bureau d'Ethnologie” 1944, t. 2, nr 12, s. 1–29. Lorimer Denis i Duvalier opublikowali też kilka artykułów etnograficznych zawierających opisy rozmaitych rytuałów vodoun, które obserwowali.

Powiązania między vodoun a polityką w najnowszej historii Haiti – zob. R. Bastien, *Vodoun and Politics in Haiti*, w: *Religion and Politics in Haiti*, Institute for Cross-Cultural Research, Washington 1966; D. Nichols, *Politics and Religion in Haiti*, „Canadian Journal of Political Science” 1970, t. 3, nr 3, s. 400–414; M. Laguerre, *Voodoo as Religious and Political Ideology*, „Freeing the Spirit” 1974, t. 3, nr 1, s. 23–28; M. Laguerre, *Voodoo and Politics in Contemporary Haiti*, wystąpienie na konferencji *New Perspectives on Caribbean Studies: Toward the Twenty-first Century*, Research Institute for the Study of Man, City University of New York, 28 sierpnia – 1 września 1984.

Dwie skrajnie negatywne oceny okresu rządów Duvaliera – zob. B. Diederich, A.

Burt, *Papa Doc: The Truth about Haiti Today*, McGraw-Hill, New York 1969; R. Rotberg, *Haiti: The Politics of Squalor*, Houghton Mifflin Co., Boston 1971.

Podziękowania

Kiedy prowadziłem badania nad zombie, byłem stypendystą Kanadyjskiej Rady do spraw Badań Społecznych i Humanistycznych (stypendium doktorskie). Bezpośrednie szczodre wsparcie finansowe zapewniły mi też Międzynarodowa Fundacja Badań Psychiatrycznych, Fundacja Badań Antropologicznych imienia Wennera-Grena (grant 4554) oraz Narodowa Fundacja Nauki (grant doktorski BSN-8411741).

Przywiezione przeze mnie próbki botaniczne badał profesor R. A. Howard z Arboretum Arnolda na Uniwersytecie Harvarda. Próbki zoologiczne zostały przebadane przez zespół z Muzeum Zoologii Porównawczej na Uniwersytecie Harvarda.

Niezwykle cennych materiałów bibliograficznych dostarczyli mi profesor Bo Holmstedt z Instytutu Karolinska w Sztokholmie, profesor Chien Yuan Kao z Centrum Medycznego Down State na Brooklynie, profesor Michael G. Smith z Yale University oraz profesor Richard E. Schultes z Uniwersytetu Harvarda. Pragnę podziękować zwłaszcza profesorom Smithowi i Schultesowi za słowa zachęty oraz za ich intelektualny wkład w moją pracę.

Dzieje Haiti poznałem w znacznym stopniu dzięki wspaniałym pracom doktora Geralda Murraya z Uniwersytetu Stanu Massachusetts w Bostonie, doktora Michela Laguerre'a z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley oraz Jeana Foucharda.

Wstępne badania laboratoryjne przeprowadził profesor Leon Roizin z Uniwersytetu Columbia. Inne osoby, którym jestem wdzięczny za rady i pomoc w badaniach laboratoryjnych, to: doktor Laurent Rivier (Uniwersytet Lozański), profesor James Cottrell i doktor John Hartung (Centrum Medyczne Down State). Projekt Zombie zrodził się dzięki wizjonerskiemu pomysłowi trzech osób: Davida Merricka, profesora Heinza Lehmanna i nieżyjącego już doktora Nathana S. Kline'a.

Nie dałbym rady przeprowadzić badań na Haiti, gdyby nie współpraca i wsparcie udzielone mi przez wiele osób. Doktor Lamarque Douyon podzielił się ze mną swoimi ustaleniami na temat medycznych aspektów zombifikacji, ponadto przedstawił mnie Clairviusowi Narcisse'owi. Personel

Szpitala imienia Alberta Schweitzera przekazał mi akta medyczne. W Port-au-Prince gościli mnie i wspierali Leilas Desquiron, doktor Max Paul i jego pracownicy z Haitańskiego Instytutu Kultury i Sztuki, Eleanor Snare z Instytutu Haitańsko-Amerykańskiego oraz Lesly Conde z Narodowego Biura Turystyki. Na prowincji współpracowałem z wieloma osobami, które chętnie dzieliły się ze mną swoją wiedzą. Mam nadzieję, że moje podziękowania przyjmą zwłaszcza: Jean Baptiste, Jacques Belfort i madame Jacques, Michel Bonnet, Andrés Cajuste, Andrés Celestin, Robert Erie i jego żona Carmine, Ives François, César Ferdinand, Jean-Jacques Leophin, La Bonté, Miriatel, Jean Price-Mars, Solvis Silvaise i Marcel Pierre. Część z nich została ukryta za pseudonimami, lecz wszyscy sprawili, że projekt zakończył się sukcesem.

Na koniec chcę złożyć podziękowania Herardowi Simonowi i Maxowi Beauvoirowi. Simon i jego żona Hélène to *serviteurs* o niezwykle głębokiej wierze. Dodam też, że Herardowi, wielkiemu hounganowi, zawdzięczam ochronę duchową i fizyczną, bez których mój projekt nigdy nie doczekałby się zakończenia. Max Beauvoir również jest ojcem sukcesu. On, jego żona Elizabeth oraz córki Rachel i Estelle otworzyli przede mną swój dom, ugościli mnie z niezwykłą serdecznością i wspierali w najważniejszych chwilach. Rachel współpracowała ze mną na wszystkich etapach badań terenowych. Jej entuzjazm, odwaga i szczodrość nie osłabły nawet na moment. Mam nadzieję, że czytając książkę, dostrzegliście, jak wielki dług mam wobec Rachel i wobec wszystkich Haitańczyków, którzy tak ciepło przyjęli mnie w swoim kraju.

Lavinia Currier zapewniła mi w Wirginii dach nad głową i miejsce, w którym mogłem spędzić tyle czasu, by dokończyć książkę. Przeczytała też i oceniła kilka fragmentów, podobnie jak Charlie Fisher.

Monique Giausserand zapoznała się z całością; jej komentarze i rady na wszystkich etapach pracy okazały się bezcenne. Raymond Chavez oraz Harmon i Virginia Stevensowie dodawali mi otuchy podczas pracy. Jestem też wdzięczny Timothy’emu Plowmanowi i Penny Matekaitis za wsparcie techniczne. Moja agentka Jane Gelfman od początku entuzjastycznie mnie dopingowała. Dzięki niej poznałem też swojego wydawcę, Dona Huttera. Gdyby nie jego ciekawość i cierpliwość, niniejsza książka nigdy nie zostałaby ukończona.

No i wreszcie pragnę podziękować Monique za wsparcie i niegasnącą miłość.

Wade Davis

The Plains, Wirginia

Przypisy

[1]
A. Carpentier, *Królestwo z tego świata*, przeł. Kalina Wojciechowska, Muza, Warszawa 2000, s. 20 (wszystkie przypisy w tekście pochodzą od tłumacza).

[2]
Peristyle to zadaszona przestrzeń, w której odbywają się rytuały vodoun.

[3]
Do 1986 roku, a więc do czasu obalenia Jean-Claude'a Duvaliera, flaga Haiti wyglądała inaczej niż obecnie, miała też inne kolory. Dziś tworzą ją dwa poziome pasy: niebieski i czerwony, pośrodku zaś znajduje się godło państwowe.

[4]
Dziś częściej używa się nazwy *Rhinella marina*.

[5]
Ian Fleming, *Pozdrowienia z Rosji*, przeł. Ziemowit Andrzejewski, Alfa, Warszawa 1990, s. 214–215.

[6]
W rzeczywistości zielnik *Bencao jing* powstał w pierwszej połowie III w. n.e.

[7]
VSN – Volontaires de la Sécurité Nationale, Ochotnicza Milicja Bezpieczeństwa Narodowego.

[8]
Tożsamość płciowa Romaine'a La Prophétesse jest nieznana. Przyszedł na świat jako Romaine Rivière, po urodzeniu przypisano mu płeć męską. Podczas powstania ubierał się w kobiece stroje, przyjął też kobiecy przydomek (La Prophétesse). Nie wiemy jednak, czy używał rodzaju męskiego, czy żeńskiego ani z którą płcią się identyfikował. Tradycyjnie o tej postaci pisze się w rodzaju męskim, takie rozwiązanie przyjąłem też w tej książce.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

Wydawnictwo Czarne

@wydawnictwoczarne

Sekretariat i dział sprzedaży:
ul. Węgierska 25A, 38-300 Gorlice
tel. +48 18 353 58 93

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

Dział promocji:
al. Jana Pawła II 45A lok. 56
01-008 Warszawa

Opracowanie publikacji: d2d.pl
ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków
tel. +48 12 432 08 52, e-mail: info@d2d.pl

Wołowiec 2022
Wydanie I